

De. 11. 1.
TOM CCLXXX.

ROK 70.

SERYA 9.

ZESZYT 839.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

L I S T O P A D.

1910.

TOM IV.—ZESZYT 2.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1910.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	209
2. JÓZEF KALASANTY SZANIAWSKI,—przez <i>Miecz. Smolarskiego</i>	232
3. ROBERT SCHUMANN,—przez <i>Józefa Władysława Reissa</i>	258
4. PAMIĘTNIK DEOTYMY	267
5. AUSTRYA A ROSYA W POCZĄTKACH PANOWANIA MIKOŁAJA I,—przez <i>Br. Pawłowskiego</i>	285
6. DROGI DO METAFIZYKI,—przez <i>Michała Sobeskiego</i>	311
7. BRUNO LILJEFORS,—przez <i>Maryę Zielewiczównę</i>	327
8. „NOWA HELOIZA“ RUSSA,—przez <i>d-ra J. H. Reinholda</i>	334
9. PIŚMIENICTWO:	
F. DE BOJANI: „Innocent XI. Sa correspondance avec ses nonces,—przez <i>Macieja Loreta</i>	361
LUDWIK WŁODEK: „Polskie kolonie rolnicze w Paranie,—przez <i>Wacława Dunina</i>	366
BRONISŁAWA OSTROWSKA: „Chusty ofiarne,—przez <i>A. Drogoszeńskiego</i>	371
MICHAŁ JANIK: „Z dziejów wymowy w w. XVII i XVIII,—przez <i>A. D.</i>	375
FELIKS BOGACKI: „Zagadnienia etyki,—przez <i>d-ra Zygmunta Bujakowskiego</i>	379
10. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Zbrodnia na Jasnej Górze.—Stan obecny herezyi maryawickiej.—Rozprawy na temat „odżydzania postępu“ polskiego.—Sesja sejmiku galicyjskiego.—Stanowisko sejmiku finlandzkiego.—Z wystaw sezonowych	384
11. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. <i>Marya Konopnicka</i> , ś. p. <i>Felicjan Faleński</i> , ś. p. <i>Roman Plenkiewicz</i> i ś. p. <i>Franciszek Żmurko</i> ,—przez <i>L. W.</i>	402
12. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	411



№ 111

OPOKA.

XXI.

Wiadomość o zamordowaniu Obrońskiego przez robotników obiegła lotem ptaka miasto i wywołała wśród społeczeństwa oburzenie i niepokój, którym nie towarzyszył wszakże żal. Pokazało się, że zmarły nie miał prawie przyjaciół. Za pogardę, z którą traktował kraj i ludzi, tłum odplacił mu chłodem. W gazetach ukazały się nekrologi, pełne banalnych pochwał i ubolewań z powodu „niepowetowanej straty,“ naprawdę zaś ogół zapatrywał się na tragiczną śmierć ordynata przedewszystkiem jako na doniosły wypadek polityczny, świadczący o niebezpiecznem podnieceniu umysłów i namiętności w masach proletaryatu. Zatrważało to jednych, napełniało otuchą innych. Powtarzano puszczonej przez kogoś w kurs czy frazes, że każdy ruch społeczny ma swoje ofiary, że godziny wielkich wydarzeń i przewrotów dziejowych bywają zwykle krwawe, jakgdyby ten frazes miał cokolwiek wyjaśnić albo usprawiedliwić, i uważano sprawę za załatwioną. Przez cały tydzień pisma karmiły czytelników sensacją, zabarwiając ją rozmaicie, zależnie od poglądów partyjnych, korzystając skwapliwie z wybornej sposobności przeprowadzenia rachunków stroniczych. Komentowano także niechętnie testament, w którym nieboszczyk podobno przekazywał całe swoje mienie razem z ordynacją stryjecznemu bratu, Konstantemu, cenne zbiory polecił zamknąć w pałacu na lat sto, aż do chwili pogłębienia smaku i zamiłowań artystycznych w kraju, a znaczne legaty, z zupełnem pominięciem celów narodowych, przeznaczył dla służby, dla jakiegoś miasta powiatowego i kilku wsi. Potem zaczęły po mieście krążyć pogłoski, równie bezpodstawne, jak i w sprawie testa-

mentu, którego nikt nie czytał i nie widział, pogłoski, że zmarły surowem i bezwzględnem postępowaniem, a także bezprzykładnym wyzyskiem doprowadził robotników do ostateczności, że na fabryce panowały oddawna opłakane stosunki i że pracownicy nie stawili ani wygórowanych, ani niesłusznych żądań. Dawano plotce w obozie postępowym, sympatyzującym jawnie albo pokryjому z wszelkimi objawami „wrzenia“, a potępiającym „z zasady“ zbrodnię, chętnie wiarę, i popularność ordynata, zawsze bardzo nieznaczną, opadła na termometryczne opinii o wiele stopni poniżej zera.

Mimo to w godzinie wyprowadzenia zwłok z mieszkania zebrały się przed bramą i w pałacu tłumy. Zajeżdżały co chwila karety, powozy i dorożki, znoszono wieńce. Stawili się wszyscy z towarzystwa przez solidarność salonową i znajomi z obozu konserwatywnego przez solidarność partyjną. Były delegacye od włościan, przedstawiciele administracyi z fabryki i ordynacyi, pokazał się na krótko jeden z najwyższych dygnitarzy państwowych w mieście. Zwracały na siebie powszechną uwagę Konstantowa Obrońska w ciężkiej żałobie z czworgiem czarno ubranych dzieci i pani Wronia, która, szlochając głośno, klęczała przy zwłokach aż do chwili wynoszenia trumny. Kuzyn zabitego, Konstanty, o którym trywialnie szeptano w tłumie, że „grubo zarobił“ na tej śmierci, że „obłowił się“, że kilku czy kilkunastu milionami rychno obetrze sobie łzy, klęczał także przez cały czas i modlił się z książki. Odczytując w Officium lekye, wyjęte z Hioba, korzył się przed śmiercią w głębokiem wzruszeniu nicością życia i nie odczuwał badawczych spojrzeń, któremi go dotykali raz po raz zgromadzeni, ani domyślał się zawistnej niechęci, która rozgoryczała serce stłoczonej na ulicy ciżby. Hrabina Skomoroch zaczęła go niepotrzebną kondolencyą na temat czasu, który łagodzi rany, i religii, która daje siły do znoszenia ciosów. Wstał wówczas, w milczeniu słuchał, uprzejmie podziękował, a potem witał tych wszystkich, którzy zbliżali się do niego i uważali za właściwe wyrazić mu współczucie. Ciekawi oglądali z zajęciem salony, zwykle zamknięte, dostępne dla niewielu, które mało kto znał. Podziwiano obrazy i rzeźby, wiedząc, że nieboszczyk należał do znawców. W ścisku wywrócono i uszkodzono posąg zamysłonego rzymianina, jeden z piękniejszych. Stuk, wrzawa i zaniepokojenie, które się uczyniły i trwały kilka mgnień, w przykry sposób zmąciły żałobną ciszę i skupienie. Potem księża dalej śpiewali modlitwy. Czas dłużył się zebrany, dla których ten pogrzeb był smutnym i nudnym obowiązkiem. Hance udało się dotrzeć aż do

pokoju, gdzie stały zwłoki. Gdy Paweł przyniósł jej z miasta sensacyjną nowinę, wpadła w stan niezwykłego podniecenia, który zdziwił ją, a Pawłowi wydał się tak podejrzanym, że zaczął w końcu przypuszczać współnictwo w zbrodni. Zadawała mnóstwo pytań, dowiadywała się o najmniejsze szczegóły, dotyczące osoby zamordowanego, sprowadziła sobie wszystkie dzienniki i po wiele razy odczytywała opis zbrodni. Ożywiła się, oczy dziewczyny, zwykle znudzone albo smutne, zapłonęły, stała się wymowną. Nazwisko ordynata nie schodziło jej z ust, tak jak myśli nieustannie przez dzień cały krążyły dokoła jego pałacu. Postanowiła udać się na miejsce i zobaczyć chociażby w trumnie tego, który oddawna miał dla niej jakiś niewytłómaczony urok, którego nie znała i nie widziała nigdy za życia. Przemogła onieśmienie, w które wprawiał ją widok ulicy, policyi i ludzi, zwyciężyła bojaźń spotkania znajomych. Przyszła wczesnie, gdy jeszcze nie było prawie nikogo i została do końca eksportacyi. Powstawały w niej, roily się, przesuwwały się niezwykle obrazy, wrażenia i myśli, wszystkie tłoczące i ciężkie. Nie były to przelotne nastroje, które lechcą i zlekka kołyszą duszę, ale odczucia, sięgające wgłąb świadomości. Odurzona niemi i znekana, nie mogąc ich zmieścić i uporządkować, ogarnąć i przerobić na wyraźne wnioski, stała bezradnie, jakgdyby w ciężkim smutku przy trumnie kogoś bardzo bliskiego. Pałac i przepych komnat wzbudziły w niej zawistny zachwyt, którego doznawała od niejakiego czasu na widok bogactwa, z zazdrości zaś wynikała zjadliwa radość na myśl, że magnat, którego niezmierna fortuna urągała poprostu jej ubóstwu i nędzy głodnych rzesz, runął nagle dotknięty zemstą uciemionych. Ale gdy znalazła się przy zwłokach, rozwiały się odrazu brzydkie uczucia. Trumna była zamknięta i czarne jej wieko zakryło na zawsze smutny widok trupa, ostatni ślad człowieka. Oczy napróżno szukały tego, dla którego zbierały się na ulicy tłumy i zajeżdżały powozy, dla którego znoszono wieńce, przygotowano karawan, ustawiono katafalk, lichtarze, krzewy... Oczy chciały koniecznie popatrzeć ostatni raz na twarz, która miała zniknąć na zawsze, w oczy, które już nie widziały, na usta, które uciekły na wieki... Spojrzenie odwracało się z odrazą od trumny... Z człowieka, który żył i działał, chodził po tych pokojach, wydawał rozkazy, przyjmował gości, nie zostało już nic, nawet zwłoki jego... I niepotrzebnemi wydawały się świece, płonące dokoła czarnego, niezgrabnego pudła, święty obraz, dywany, rośliny... Blask światła, zieleń i kwiaty, cała sztuczność hołdu, którego nie było już komu oddawać, raziły i nękały... Ciekawa,

trochę dziecinna chęć ujrzenia ordynata, który wyrósł w wyobraźni Hanki jako symbol bogactwa i władzy, szczęścia i męskiej piękności, żał, że przysłała za późno, zawód, wypływający z dziwnego złudzenia, że między nią, a zmarłym zostało jakieś niewypowiedziane słowo, zamieniły się w litość, która głęboko wzruszyła serce. Nasuwało się zestawienie możnego i radosnego życia, które zbiegło w tym pałacu, z milczącą, straszliwie martwą trumną, nasuwał się wniosek o beznadziejnej nicości wszystkiego, co ziemskie i ludzkie. Ten, który przez wiele miesięcy, gdy z okien konspiracyjnego mieszkania podziwiała codziennie ogromne kamienice magnata, ukazywał się jej zawistnym, zdumionym i bezwiednie tęskniącym oczom jako uosobienie panowania, potęgi i szczęścia, którego z oddali czciła za to, że był silny, bogaty i szczęśliwy, runął w jednej chwili z wyżyn możnego życia i stał się niczem... Nie było go... Odszedł, porzucił wszystko, znikł, jak cień, i zczecło życie jego, niby sen, który trwa jedno мгновение. Bez śladu przepłynęły wszystkie dnie, jak chmury, które wędrują po niebie i giną, widziane krótko, na zawsze, chyżo, jako „orzeł, lecący do żeru,“ zbiegły lata... W trumnie jest koniec...

Gdy ludzie wobec otwartej mogiły trwożą się zwykle o siebie i z niepokojem, przerażeniem albo wstrętem myślą tylko o własnej śmierci, w uczuciach Hanki nie było nic osobistego. Ogarniała ją melancholia, zupełnie bezinteresowna i bezstronna. Chciałaby, żeby człowiek taki, jakim wyobraziła sobie Obrońskiego, używał jeszcze, cieszył się, istniał, żałowała życia jego, jak dzieła sztuki, któreby ktoś zniszczył, albo jak pieśni, brutalnie przerwanej. Widziała groźną moc śmierci, która powaliła olbrzyma, a nie bała się jej na razie dla siebie. Podnosiły się w niej bunt przeciw bezlitości losu a zarazem gniew przeciw sprawcom zbrodni, oburzała ją zła i głupia krzywda, i przejmował smutek, zawarty w tym obrazie nędzy człowieka i nędzy życia...

Pełna żałosnych myśli, oglądała pokój, trumnę i zebranych. Jakkolwiek odwykła od ludzi i zdziczała w samotności, chociaż zdawała sobie sprawę, że znajduje się wśród najwyższej sfery towarzyskiej, nie odczuwała zupełnie nieśmiałości. Patrzyła prosto w twarze, spokojnie zbierała spostrzeżenia i badała. Tu przy zwłokach wszyscy wydali się jej jednako małymi i nie widziała żadnej między sobą a nimi różnicy. Stała blisko przy katafalku i nie chciała nikomu ustąpić miejsca, mimo, że zauważyła zdziwione spojrzenia gości i pewne zaniepokojenie na twarzy Pawła, który udawał, że jej nie widzi. Mówiła sobie, że ona ma także, albo nawet większe prawa, niż ci wszyscy zgromadzeni,

ze znużeniem oczekujący końca przykrew ceremonii. Przyniosła przecież z sobą szczerą żal i serdeczne współczucie.

W pokoju było gorąco, cicho i trwożnie. Napływali wciąż nowi goście, rozlegały się szepty powitania, szeleściły suknie kobiet. Chwiały się niespokojnie, trącane powiewem, który płynął z jakiegoś otwartego w sąsiednim pokoju okna, płomienie świec, i ściekał wosk, zakofywały się od czasu do czasu zlekka gałęzie oleandru i palm, zabrzmiał niekiedy szmer przyciszonej rozmowy, natychmiast stłumiony—poza tem trwało ciężkie i nieruchome milczenie. Każdy z przybywających panów, ubrany w czarny surdut, w czarnym krawacie i z czarną rękawiczką na jednej ręce, spoglądał chwilę ku trumnie, jakgdyby po to jedynie, żeby przekonać się czy dobrze zamknięta i czy nie zsuną się z podwyższenia jej nóżki, z których jedna wsparła się o sam brzeg katafalku, potem patrzył przez mgnienie spłoszonym wzrokiem na własne buty, potem szukał spojrzeniem znajomych, rozweselającego widoku żywych. Panie wchodziły przeważnie z jakimś smutnie poboznym grymasem, który wnet topniał. Na wszystkich obliczach zakrzepł wyraz niemitego wysiłku i sztucznego skupienia.

Hanka wolałaby, ażeby przy zwłokach nie było nikogo prócz niej, młodej damy, która łkała klęcząc, i jakiegoś pana, który pilnie modlił się z książki. Drażniło ją lekceważenie eleganckiego tłumu, który zebrał się obojętny i nudził się, który nie rozumiał, czy nie chciał widzieć okrutnie szyderczej prawdy, która spoglądała ku niej z pomiędzy tych jarzących świec i wspaniałych roślin i tłoczyła duszę. Domyślała się, że wszyscy zgromadzeni radziby jaknajprędzej załatwić nieznośną a niezbędną formalność, oddać tak zwaną ostatnią posługę, zapomnieć o zmarłym i wrócić do własnych małych spraw. Myślała z gorącością, że dziś jeszcze a najdalej jutro, zaczną się wizyty i przyjęcia, sprawunki i plotki, że życie potoczy się zwykłym trybem, powszednią i płytką falą codzienności, że w tym pałacu zamieszka kto inny, że mogiłę porośnie trawa... Myślała o nędzy człowieka, którego pewnego dnia zamykają do trumny i zakopują do ziemi z jego wysokimi myślami, ogarniającymi wszechświat, z jego uczuciem, z niezaspokojonemi pragnieniami, z jego szczęściem, myślała o smutnej nicości życia... I zgon ordynata, którego w poetyckiej wyobraźni urobiła na powieściowego bohatera, był dla niej nie tylko posępną ilustracją znikomości człowieka, ale także jak gdyby pogrzebaniem wiary w życie i w szczęście, w moc woli ludzkiej i trwałość dzieł ludzkich. Było jej żal Obrońskiego, że porzucił młodość, uciechy, władzę i złoto, ale jeszcze bardziej było

żał złudzenia, które zbladło. Złamana niedolą i wykolejona, złorzeczyła dawniej ludziom, że ją skrzywdzili, sobie, że zbłądziła i nie znalazła dosyć mocy, złemu ustrojowi świata, i nie przestawała śnić o radosnem święcie życia, o człowieku silnym, który odważnie zdobywa, śmiejąc się bierze, zwyciężywszy ból, wdziawa szaty godowe, nie przestawała spodziewać się jeszcze dla siebie i wierzyć. Uczyły ją niegdyś ulubione książki, uczył powieściopisarz Rzyżniewski. Zawody i cierpienia, których zaznała poddostatkiem, nie rozczarowały jej, lecz napełniły zjadliwą gorczyzą. Im ciężej było Hance na własnej jej drodze, tem żarliwiej zazdrościła tym, którym, jak przypuszczała, udało się osiąść, i tem goręcej pragnęła naprawić „błąd“ oraz rozpocząć pogoń na nowo. Rozumiała życie, jako szczęście na ziemi. Tu ponury akord śmierci zagłuszył wszystkie tamte słowa i trunna wyszła z wierzenia. Oderwane pojęcie śmierci, nad którym z lekceważeniem przechodziła do porządku, przyoblekało się w kształt realny, stało się żywym i groźnym i głęboko wstrząsnęło jej wrażliwą organizacją. Snuły się bez ustanku po duszy Hanki wciąż te same, wywołane widokiem katafalku, żałobne wnioski o tem, że szybko przemijają dnie i lata, że kończy się wszystko w grobie, że gasną w ziemi najbardziej wysokie myśli i stygną najgorętsze serca, że życie jest krótką chwilą łudzącego snu, że niema na ziemi ani radości, ani mocy... Wysłuchana w płacz wewnętrzny, z posepnych skarg tworzyła rzekłbyś elegię i składała ją, niby wieniec żalu u stóp zmarłego. Zawodziła nad marnością życia, lamentowała nad zburzonym gmachem wiary w człowieka, lecz jak gbyby z oddalenia, jakgdyby teoretycznie i obiektywnie, sama wyniesiona ponad ogół śmiertelnych i wyjęta z pod prawa śmierci. Ani razu nie powstała w niej zwykła na pogrzebach, pospolita ale prawdziwa i przerażająca myśl, że kiedyś — może już rychło — zawrą się jej oczy na zawsze, skończy się wszystko i dla niej, że tak samo zamkną ją w trumnie, zaniósą i przysypią piaskiem...

Dopiero, gdy ukazali się księża w biretach i czarnych kapach, otoczyli kołem katafalk i rozpoczęli modlitwy, dopiero wówczas przykra trwoga ścisnęła jej serce. Ponure śpiewy znały pełną poetycznej melancholii ciszę, wniosły w atmosferę smutku coś surowego i bezwzględnego. Wydało się Hance, że nad nieboszczykiem odbywa się sąd, ukazała się jej nagle niewiadoma, tajemnicza i straszna dal zagrobowego istnienia. Śmierć, w której widziała dotąd tylko martwy sen i wieczną nicość, wyrosła przed nią, jako przerażająca zagadka. Zabrzmiąło pełne grozy

pytanie. I zmarły, którego nie było przedtem, którego przykryło czarne wieko, którego życie tych wszystkich zebranych, jej własne myśli i uczucia zasłoniły zupełnie, spojrział naraz ku niej jak gdyby z głębi odmetu męką żywych oczu... Z bojaźnią patrzyła na księży, którzy spokojnie, wprawnie, niemal machinalnie czytali ze swoich ksiąg, z bojaźnią słuchała niezrozumiałych słów. Przeniknął ją dreszcz. Wydawało się jej, że to jest nietylko sąd nad nieboszczykiem, ale także sąd nad nią, nad jej życiem. W pewnej chwili ujrzała wyraźnie jakiś pokój, katafalk ze świecami i siebie samą po śmierci, otoczoną przez księży. Zrozumiała do dna okropność własnego zgonu... Wzdrygnęła się w niej woła życia, odezwał się strach fizyczny, wstręt ciała, któremu straszno jest pod ziemią, w mogilnym mroku, wśród robactwa. Doznała prawie zawrotu głowy, niby na krawędzi, pochylona nad otchłanią... Popchnie ją z tyłu zmienacka jakaś ręka — runie w dół... Odczuła rozpaczliwą krótkość i kruchość dni swoich, które przechodzą, których coraz mniej, których już mało... A potem?! Śpiew księży, ubranych w czarne kapy, kładzie ostatni kres... Bała się o los zmarłego, którego imię wymawiano od czasu do czasu w łacińskiej modlitwie, a może tylko o siebie. Widziała krawędź stromego urwiska, a na dnie ciemność i pustkę, niezmierny przestwór, nad którym krążyły stada drapieżnych ptaków... I było mgnienie, w którym stanęły jej przed oczami ciała zabitych w dniu zamachu. Zmrużyła szybko powieki... A słowa pieśni polatywały dokoła niej, niby roje żarłocznych ptaków, i szarpały jej duszę — i nie wiedziała, czy to śpiewają księża, czy też owe ofiary zamachu, i czy ten grobowy sąd odbywa się nad nią, czyli nad Obrońskim...

Dla nabrania otuchy spojrziała po otaczających. Na wszystkich twarzach tkwił ten sam sztuczny i skupiony, tylko bardziej uroczysty wyraz. Przestrachu nie odczuwał tu nikt. Wytworne towarzystwo, które na rautach uprzejmie słuchało deklamacyi i muzyki, na balach tańczyło, na proszonych obiadach umiało dowcipnie i wesoło rozmawiać, potrafiło odpowiednio zachować się i podczas eksportacyi. Zazdrościła teraz tym paniom i panom, którzy spokojnie i niezmiernie poprawnie oczekiwali, z rękami splecionymi do modlitwy, końca nużącej ceremonii. W tym pokoju, gorącym i natłoczonym, było duszno nietylko dla płuc, ale i dla myśli. Chciałaby uciec stąd duszą od trumny, od śpiewów i księży, od śmierci ordynata i śmierci własnej — a nie miała dokąd. Religia otwierała przed niektórymi ze zgromadzonych dalekie a pocieszające perspektywy, innych wołało niecierpliwie

życie, które lubili, za którym tęsknili — ona zaś straciła religię i zgubiła drogę życia. I nie mogła nigdzie schronić się przerażoną myślą...

Cofnęła się tylko od katafalku ku drzwiom. Przechodząc, zauważyła młodą pannę w męskim czarnym kapeluszu, przepiętym skromną szpilką, o oczach, w których w tej chwili mieszkał szczerzy, niewymownie żalony smutek. Po twarzy Pawła, dziwnie rozjaśnionej, ze spojrzenia, którym, zdawało się, chciał zabronić jej przystępu do swojej świętości i własności, odgadła, że to jest księżniczka Marylka. Ale miłość, która przed kilku tygodniami zabawiała jej kobiecą ciekawość, w tem miejscu i w tych okolicznościach nie była zajmującą. Hanka, stojąc blisko, straciła natychmiast tych dwoje młodych z oczu. Pochłonęła ją bolesna trwoga jej duszy. Słuchając posępnego śpiewania, widziała wciąż pusty przestwór, samotne cierpienie i stado wielkich, drapieżnych ptaków, które w pustce krążyły niespokojnie...

Modlitwy i psalmy, które tak pognębiły Hanke, były dla księżniczki Marylki właśnie słowem i nutą otuchy w smutku, z którym weszła do żałobnego pokoju. Widok katafalku napęlił ją żalem, tym głębszym może, iż spostrzegła dokoła wśród otaczających chłód, znudzenie i obojętność. Znając towarzystwo, które się zgromadziło przy zwłokach, czytała na twarzach po przez maski uroczystego milczenia pospolite troski i puste światowe myśli. Jak na rautach, panie obserwowały tu kapelusze i toalety, a panowie spoglądali ku sobie porozumiewawczo, gdy ktoś nowy, zwłaszcza któraś z pięknych i admiirowanych dam wchodziła do pokoju. W sąsiednich salonach niektórzy prowadzili szeptem rozmowy polityczne albo sportowe. I trumna, nad którą nikt nie płakał, prócz lekkomyślnej i nieco ośmieszanej pani Wroni, wydała się księżniczce samotną, opuszczoną i dziwnie smutną, a człowiek, który odszedł, którego nikt nie żałował nawet w dniu eksportacji, zasługującym na litość. Gdy księża zaintonowali żałobne pacierze, myślała, że wśród świata, który łatwo i chętnie zapomina, tylko kościół pamięta o zmarłych, że kościół jest jedynym łącznikiem między ziemią żywych i daleką krainą dusz a religia — pasmem pociechy i nadziei jak dla tych, którzy gasną, tak i dla tych, którzy zostają w żalu. Modliła się żarliwie. Dla ordynata, który za życia imponował, oniesmielał i odpychał chłodem rozumu, twardą stanowczością woli i szyderstwem, miała teraz rzewne i pełne tkliwego politowania uczucie, niby wobec bezbronnego a chorego dziecka. Tragiczny koniec i przedśmiertne męczarnie, o których przesadnie opowiadano na

mieście, przypuszczenie, że nieboszczyk, nie umiając tego okazać, może kochał na prawdę, wrzuciły jej serce. Wspomnienie oświadczyło jej przykrem. Wyrzucała sobie niechęć, której nie potrafiła ukryć, ostre słowa ostatniej rozmowy, skłonna była prawie żałować, że nie uległa prośbom ordynata. Przychodziło jej na myśl, że gdyby się zgodziła, kto wie, może inaczej złożyłyby się okoliczności i nie byłoby tego bolesnego pogrzebu. Wobec nie-szczęścia i śmierci małym i nic nie znaczącym wydawało się własne jej życie i łatwą ofiarą. Chciałaby przeprosić zmarłego za zawód, którego była przyczyną, za egoizm i brak poświęcenia, modlitwom, które szeptała ustami, towarzyszyły inne, serdeczne, łagodne i dobre słowa, płynące z głębi serca. Pariętała zimne spojrzenie, ironiczny uśmiech, lekceważącą niedbałość Obrońskiego, piękną i okazałą postać pogardliwego magnata, ale widziała go tylko takim, jakim musiał być w godzinach przedzgonnych tam na sali fabrycznej: znękanego beznadziejną walką z robotnikami, skatowanego, z ranami na twarzy i piersi, w ubraniu, zbroczonym krwią... Wielbiła męstwo, niezłomny hart duszy, siłę woli, których ordynat złożył dowody... I widziała opuszczoną, zdawało się, przez wszystkich, nieplakaną trumnę—i dlatego pełne smutku oczy jej zachodziły od czasu do czasu łzami... Nie ukrywała tych łez, pragnąc niemi wynagrodzić zmarłego za zło, które uczyniła mu za życia, a także za obojętność świata, którego nie wrzuciła nawet tak straszna śmierć. Przekonanie, że nieboszczyk spogląda ku niej z tajemniczej dali zaświata i ocenia wdzięcznie jej żal i wierną pamięć, budziło w sercu kojące zadowolenie. A gdy młodość brała w niej górę nad żałobnym nastrojem i nasuwała się jakaś ziemską myśl, odzywała się radosna chęć powrotu do rodzeństwa i zajęć, do codziennego życia, gdy mimowolne spostrzeżenie: jakiś błahy wniosek co do sztywniej pozy hrabiny Skomoroch, co do zaczerwienionych od płaczu powiek pani Wroni, albo co do Pawła, który stał blisko, sprawiło jej roztargnienie. wówczas walczyła z sobą, usiłowała utrzymać smutek, zamykała oczy albo usilnie wpatrywała się w katafalk, w księży i czarne ich kapy, w skromny wieniec, który po kryjomu bez wiedzy matki poleciła złożyć na trumnie ordynata. I znowu modliła się gorliwie, ze skupieniem... Po odmówieniu psalmów i pacierzy księża zaintonowali pieśń, która brzmiała prawie weselnie i wyszli, jakgdyby otwierając jakowyś zwycięski i radosny pochód. Służba odstawiała śpiesznie wazony i lichtarze, zabrano wieńce, poczem tak zwani przyjaciele wzięli trumnę i ponieśli ją na barkach. Śpiew zniżył poważne milczenie pałacu,

który obudził się na krótką chwilę z wytwornego uśpienia, stąpienia tłunne napełniły wykwintne salony brutalnym hałasem, kilka mgnień trwała wrzawa, za ostatnimi idącymi uczyniła się grobowa cisza. Zamknięto drzwi na klucz i bramę, szeregiem obojętnych okien pałac patrzył na wielkie i gwarne zbiorowisko ludzkie, na wysoki karawan, który ruszył i wolno oddalał się, chwiejąc się. Ucichła i opustoszała wreszcie ulica.

Księżniczka jechała z matką w karecie. Widok zgromadzonej przed bramą gawiedzi, która z ciekawością gapiła się, robiła głośne uwagi, śmiała się, pokazywała sobie kogoś palcem, widok miasta i zwykłego życia, magazynów, dorożek, przechodniów, spotęgowały w niej smutek. A im głębszym był smutek, tembardziej nękało ją dziwne, rozumowo nieuzasadnione, a mimo to rzeczywiste poczucie odpowiedzialności przed Bogiem i przed zmarłym za to, co się stało i tem usilniej wymawiała sobie egoizm i brak poświęcenia. Wydawało się jej wciąż, że gdyby zgodziła się zostać żoną ordynata, gdyby ona dała mu to szczęście, którego pragnął, nie byłoby przyszło do krwawej rozprawy z robotnikami, nie byłoby przyszło do zgonu. I wstydziła się samolubnych marzeń o kochaniu, którego zapewne nie znajdzie, z żalem wspominała wszystkie rozmowy z ordynatem, który teraz, otoczony aureolą tragicznej śmierci, ukazywał się jej innym. Zaczynała wierzyć w szczerą jego uczuć... Pochyliła głowę pod ciężarem pierwszej w radosnej młodości troski, snuła zabarwione na czarno myśli o życiu, w którym nie warto pragnąć, marzyć i spodziewać się, w którym samotny grób kładzie wszystkiemu kres i nie odpowiada matce, trochę znudzonej długą jazdą, trochę zaniepokojonej dziwnym zachowaniem się córki. W milczeniu dojechały do oddalonego dworca kolei. Inni tym razem „przyjaciele“ ponieśli trumnę aż do wagonu. Potem oczekiwano długo z coraz większą niecierpliwością na odejście pociągu. Wszyscy byli pomęczeni i głodni. Dla skrócenia czasu rozpoczęto rozmowę, z początku cichą i nieśmiałą, potem coraz głośniejszą i bardziej ożywioną. Trumna, ukryta w głębi zwykłego, ozdobionego tylko kwiatami, wagonu, nie wywierała już tego, co tam, w żałobnym pokoju, wrażenia, nie tłoczyła i nie przerażała, zresztą pospolite otoczenie dworca kolejowego, ruch ludzi i gwar, świst parowozów ułatwiały powrót do życia. Nawet pani Wronia przestała szlochać i hrabina Skomoroch, zazwyczaj niezmiernie uroczysta, skupiona i poważna na pogrzebach, opowiadała coś swojej sąsiadce o stowarzyszeniu niewiast katolickich. Księżniczka stała przy samych stopniach, koło Konstantowej Obrońskiej i Pawła, który jej nie

odstępował. Wzruszona szukała w odrażającym wagonie tego, który przed kilku dniami pełen rozumu i myśli, pełen sił i projektów, otoczony szacunkiem, miał za chwilę odjechać jako rzecz, nikomu niepotrzebna, jako obojętny towar i szukała kwiatów swoich, pragnąc, ażeby one znalazły się najbliżej trumny. Przemawiała do zmarłego ostatnimi słowami pożegnania... A gdy zatrzaśnięto i zaplombowano drzwiczki, załatwiono wszystkie formalności, lokomotywa gwizdnęła i pociąg potoczył się z prozaicznym hurkotem kół, wówczas patrzyła najdłużej za oddalającymi się wagonami, w smugę dymu, która białała to tu, to tam: między domami, aż znikła... I doznała dziwnego uczucia, że z tym pociągiem, który odchodzi, kończy się jej młodość dobra i radosna, odsuwa się w przeszłość nadzieja kochania i szczęścia, że odtąd rozpocznie się życie pracy, trosk i poświęcenia. Smutek został w jej figlarnych, wesołych, śmiejących się łatwo i często oczach. Z roztargnieniem żegnała odjeżdżających i dziękowała hrabinie Porayskiej za zaproszenie na wentę, nieuważnie słuchała hałaśliwych rozpraw kilku zaprzyjaźnionych z nią panien na temat jakiejś wycieczki zamiejskiej i rozmowy Pawła, który odprowadzał ją do karety.

— Księżniczka pojedzie także?—pytał niespokojnie.

— Nie wiem jeszcze... zapewne...

— Chciałbym wiedzieć...—nalegał—podobno wycieczka bardzo zajmująca...

— Pojadę—odparła uprzejmie, prawie ulegle.

— Byleby dopisała pogoda...

— Tak... gdybyż pogoda...

Głos jej był stłumiony i martwy, szła wolno, jakgdyby ociągając się. Chwilę trwało milczenie.

— Szkoda Obrońskiego! — odezwał się Paweł — był, działał, układał plany — i niema już nic... szkoda...

Księżniczka nie odpowiedziała nic. Odczuła w słowach Pawła szczerą i badawczą a przychylnie spojrzała na niego. I wydało się Pawłowi, że podała mu rękę na pożegnanie serdeczniej, niż zwykle, i że oczy jej, obojętne dla wszystkich, miały dla niego, gdy powóz ruszał, spojrzenie przyjazne.

XXII.

Jakiś modny w tym sezonie i bywający w świecie artysta odnalazł gdzieś w głuchym zakątku ubogi i nieznanany nikomu ko-

ściotek wiejski oryginalnej architektury a w kościółku—niegdyś słynący cudami, dziś zapomniany obraz, na którym oblicze Chrystusa, kuszonego przez szatana, a zwłaszcza twarz dyabła miały „ciekawym“ wyraz, napisał o niespodzianem odkryciu kilka barwnych artykułów i opowiadał w salonach, interesujących się swoją sztuką, tyle i tak wymownie, że zachęcił starego Porayskiego, który lubił uchodzić za znawcę (w nieobecności szyderskiego Obrońskiego) i hrabinę Skomoroch do zwiedzenia skromnej i odległej kaplicy. Odtąd ubogi kościół i stary obraz nabrały rozgłosu. Wzruszenie hrabiny Skomoroch, której rzewne wrażenia były przez dni kilka tematem rozmów, przekonało wszystkich, a surowe słowa jej, potępiające nieznamość zabytków własnego kraju, stały się bodźcem. Wycieczkę do Modrego Potoku zaliczono do najpilniejszych obowiązków narodowych. Rozpoczęły się wędrówki. Kto był i widział, musiał zachwycać się nad głębią myśli i pierwotnością uczucia, nad dokładnością rysunku, kto nie był i nie widział, musiał koniecznie pojechać i stwierdzić na własne oczy. Potem, gdy któraś z licznych córek pani Szydłowskiej zaręczyła się i ktoś puścił w obieg dowcip, że matka wyprosiła sobie to szczęście modlitwą przed Chrystusem, kuszonym przez szatana, kaplica w Modrym Potoku zyskała jeszcze na popularności a obraz zaczął naprawdę robić cuda. Jeżdżono tedy do zapadłej wioski z coraz większym zapalem całymi partjami i poosobno, dla zabawy i dla mody, przez ciekawość i przez snobizm, i z pobożności. Komunikacja była arcyniemila: pociąg odchodził o bardzo wczesnej godzinie, włókł się powoli i nudnie, potem całą milę jechało się wózkiem chłopskim po najgorszej drodze, ale im więcej było niewygód i przykrości, tem przyjemnijszem stawało się poczucie spełnionego obowiązku, sama jazda zaś niezwykła i uciążliwa dla ludzi, przyzwyczajonych do wagonów sypialnych i samochodów, miała urok czegoś prawie egzotycznego.

Część bawiącego się towarzystwa, do którego należała księżniczka Marylka, postanowiła odbyć tę wycieczkę wspólnie. Projektowi kilka razy przeszkodził deszcz, na pogrzebie Obrońskiego zapadła przeto uchwała, żeby nie czekać wątpliwej w listopadzie pogody i wybrać się w najbliższy piątek, nawet gdyby dzień wypadł słotny, z wielką ilością parasoli, buterszmitów, książek do nabożeństwa, w płaszczach nieprzemakalnych, kaloszach i futrach. Paweł otrzymał także zaproszenie i upewniwszy się co do udziału księżniczki, którą ostatniemi czasy z powodu wyjazdu jej na wieś i rekolekcyj widywał rzadko i krótko, zaczął chwalić niezmiernie pomysł urządzenia wyprawy, energicznie namawiał niechętnych

i obojętnych, cieszył się z góry i niecierpliwie oczekiwał wyznaczonego dnia. Uśmiechała mu się perspektywa całodziennego jazdy z panną Marylką, obiecywał sobie długie z nią rozmowy, przypominał i pieścił słowa, które chciałby powiedzieć oddawna, których nie mówił onieśmielony bojaźnią, zgadywał odpowiedź, widział jej zaniepokojone oczy i chwiejny uśmiech ust, układał zdania, któremi zjedna, wzruszy, przekona... Przypominał mu się spacer, ów dawny i jedyne, odbyty niegdyś pod drzewami ogrodu Mirskich, marzył, że powtórzą się dobre i drogie chwile samotności. Słyszał szept radosnego przeczucia, świeciło mu szczęście i snuła się w sercu nadzieja trwożna, jak owe lękliwe opary, które wstają o brzasku letnim nad łąkami... Spodziewał się... Zauważył był podczas eksportacji w księżniczce zmianę, którą, jak wszyscy kochający, tłumaczył na dobre, przyjazne podanie ręki przy pożegnaniu i przychyłne spojrzenie dały mu powód do pomysłnych przewidywań, były dowodem „zmiany“ na lepsze, optymistyczna wyobraźnia zaokrągliła, dopełniła i pogłębiła te spojrzenia—i wydawało się Pawłowi, że na wycieczce rozstrzygnie się los jego pragnień, że nareszcie po latach smutku, po długich dniach oczekiwania i niepokoju ukaże mu się jasna dola przyszłości.

W piątek obudził się o świcie, ubrał się pośpiesznie i natychmiast wyruszył. Turkot mknącej cichemi ulicami dorożki, widok powleczonych jeszcze ostatnimi falami zmierzchu, ale pogodnych niebios, rozweseliły radosne i bez tego serce. Z niezmierną uciechą patrzył, jak gaszono na ulicy latarnie i jak znikwały w błękiecie gwiazdy. Uśmiech zadowolenia wybiegał mu co chwila na usta. Przyjaznym spojrzeniem witał stróżów, którzy odziani w kozuchy uwijali się przy bramach. Czasami wzrok jego zatrzymywał się na jakimś zasłoniętym oknie, z ciekawością szukał i życzliwie pozdrowiał tych, którzy za nim mieszkali... Zabawiał oczy gonitwą kotów na płaskim, blaszanym dachu... Szerokie wody ciemniejącej w dole rzeki powiały nań wspomnieniem, które odbiło się w duszy sennym obrazem dalekiego szczęścia... Cieszyły Pawła dzwony kościelne, jękliwy świst parowozów, przeciągłe wołanie syren fabrycznych... Najzwyklejsze wrażenia nabierały dla niego szczególnego a zaprawionego radością znaczenia, przedmioty ukazywały mu się jako symbole jakowejś ukrytej, jemu tylko wiadomej myśli... Widział dokoła wesele...

Na dworcu nie było jeszcze nikogo. W skąpo oświetlonej sali snuli się zaspani lokaje i kilku podróżnych drzemało na fotelach pod ścianami... Popijając lekką i złą herbatę, Paweł niepokoił się, czy aby znowu coś nie pokrzyżowało planów, co chwila

spoglądał na zegarek, patrzył na drzwi i w okna, które wychodziły na pusty plac przedstacyjny. Ale mijały minuty i kwadranse i nikt nie pokazywał się. Prozaiczny i gnębiący nastrój poczekalni z poziewającymi kelnerami, z głodnym psem, który pod stolami szukał okruszyn chleba, z chrapiącym panem nie zachmurzył usposobienia Pawła. Wśród sennej nudy otoczenia niespokojnie w oczekiwaniu radości biło serce. Obliczał czas, niecierpliwił się, tracił nadzieję, po pierwszym dzwonku stracił ją zupełnie... Wówczas zaczęły zajeżdżać dorożki i powozy. Zjawili się najpierw młodzi ludzie. Niewyspani, skwaszeni i źli, mieli miny znudzonych ofiar. Zrzędzili, przeklinali głupi rozkład pociągów, narzekali na wczesne wstanie, wyśmiewali ku zgorszeniu Pawła pomysł urządzenia wycieczki... Potem, poziewając przy herbacie, wymyślali lokajom od idyotów i niedołęgów. Masło okazało się nie świeżem, a ser nie był dość dobrym... W cichej przedtem sali uczyniło się gwarnie... Służba z całych sił nadskakiwała grymasującym panom, sam właściciel restauracyi przyszedł przeproszać... Ukazanie się pań, które przywiozły z sobą dobry humor, werwę i zapal, które, zarumienione od mrozu, wyglądały ładnie, zamknęło zblazowanej młodzieży usta. Księżniczka Marylka przyjechała ostatnia. Spostrzegłszy ją we drzwiach, Paweł wstał, postąpił niepotrzebnie kilka kroków na jej spotkanie i zawahał się. Ona zaś rozmyślnie czy też przez roztargnienie przywitała się z nim na końcu. Ponieważ było już mało czasu, ruszono tłumnie ku pociągowi. Zajęto prawie cały wagon I klasy, stoczywszy uprzednio utarczkę z jakimś urzędnikiem kolejowym, który pod naciskiem wielce wymownych i niegrzecznych spojrzeń usunął się dobrowolnie wraz z żoną, z czworgiem małych dzieci, imbrykiem do herbaty i całą ruchomą kuchnią. Panny usiadły wszystkie razem, szczelnie obok siebie, księżniczka—przy oknie, i Paweł mimo zręcznych manewrów nie miał do niej dostępu. Stał tedy przez cały czas na korytarzu, u drzwi przedziału z kilku innymi panami, którzy zabawiali damy. Rozmowa była ogólna, były żarty i śmiechy z byle jakiego powodu, często bez powodu... Ktoś zabrał ze sobą pięć szkaradnie starych i brzydkich parasoli i obdarzał nimi panie, które wzdrygały się i broniły się... Ktoś inny zjadał suchy chleb z solą, udając głodnego... Oburzano się na Gniazdowskiego, słynnego wodzireja, który poziewał, zasypiał i chrapał głośno, budził się i znowu grał rolę znudzonego i znudzonego, oburzano się potem na tych, którzy zrzędzili i poddawali krytyce wycieczkę.

— Co nas może obchodzić—dowodził młody Porayski—przed-historyczna kaplica z przedpotopowym bohomazem! Kazano nam wstać o świcie, wyjechaliśmy bez śniadania, będziemy się trząść, będziemy głodni...

— Tem większa zasługa...

— Trzeba odpokutować za grzechy...

— Podzielimy się chlebem...

— Zresztą o chłodzie i głodzie... W tem cały wdzięk... Pan nie rozumie!...

— Pobożna pielgrzymka...

— A jeśli pobożna pielgrzymka, trzeba ze stacyi iść pieszo i śpiewać godzinki—zaproponował Jasiak Pomiarowski.

— Pójdziemy piechotą... doskonała myśl!

— Jak pielgrzymka, to pielgrzymka...

— Wolałbym kilka dobrych samochodów...—wzdychał w dalszym ciągu Porayski.

— Pan psuje nastrój...

— Lepiej mieć obiad bez nastroju, niż nastrój bez obiadu...

— Nie samym chlebem żyje człowiek...

— Nie samym chlebem, ale ostrygami, homarami, zupą, rybą, pieczysem, szparagami, dobrym Burgundem...

Niektórym podobał się ten oklepany dowcip, ale wogóle krytyczny sceptycyzm młodego Porayskiego, który lubił przybierać pozę rozkapryszonego dziecka, nie znalazł powodzenia. W towarzystwie utrzymał się zapał, który wynikał nie tyle z chęci oglądania arcydzieł w Modrym Potoku, ile z rozweselenia pań, zadowolonych ze zmiany wrażeń i otoczenia. Zamiast salonów, które znudziły, wszystkie podobne do siebie, był wagon, zamiast jour'ów, na których podawano te same wszędzie ciastka i herbatę—podróż, trochę głodu i zmęczenia. Umartwienie i trudy jazdy były nietylko rozrywką, ale nadawały wycieczce pozór niezwykłej, prawie bohaterskiej wyprawy, który to charakter bohaterski chętnie a z dumą podkreślano. Pozatem bawiono się, niby na jakiejś światowej wizycie. Te same, jakkolwiek na inny temat, żarty, ci sami, wszyscy swoi, doskonale znani ludzie i ten sam światowy nastrój. Cesia Pomiarowska, siostra Jaśka, starzejąca się panna, bardzo odczytana i inteligentna, która miała opinię „d'un bas bleu,” spróbowała wejść i wprowadzić innych na tory literacko-artystyczne, zapytywała o styl kaplicy w Modrym Potoku, o szkołę malarską i epokę, w której mógł powstać ów cudowny obraz, opowiedziała jakąś poetyczną legendę, ubolewała nad brakiem wydawnictw, poświęconych historii sztuki polskiej, ale panowie,

nieprzygotowani i nieusposobieni do „mądrych“ rozpraw, pozbawili ją głosu — i dalej toczyła się rozmowa pusta, lekka, wesoła.

Paweł uśmiechał się od czasu do czasu, czasami, żeby nie wyglądać na niemego, powtarzał coś za innymi, przeważnie milczał. Pochunurniała radosna przedtem jego twarz, usta zaciskały się w grymas niesmaku. Cierpiał nad tem, że nie posiada tak zwanych talentów towarzyskich, że nie potrafi, jak inni, zabawić, rozśmieszyć, wymyślić dowcipu, któryby podobał się i zwrócił na niego uwagę. Wydawało mu się, jak zwykle, gdy bywał na zebraniach, że on jest wyłączony i wzięty za nawias nikomu niepotrzebny, że między nim a resztą towarzystwa wyrosła ściana, że on gra tutaj między tymi bawiącymi się swobodnie rolę śmieszoną i upakarzającą — i z niepokojem badał zdaleka księżniczkę. Ani razu przez cały czas oczy jej, zwykle uprzejme, nie zatrzymały się na nim... Brała udział w ogólnej rozmowie, patrzyła na Gniazdowskiego, na Porayskiego, odpowiadała na ich zaczepki, naradzała się nad czemś półgłosem z panną Cesią, śmiała się, chwilami odwracała się do okna i długo spoglądała na błękit i niespodzianą pogodę listopadowego dnia, albo pochylała głowę i gładziła miękkie futro swego sobolowego kołnierza — tylko do niego nie zwróciła się ani słowem, ani spojrzeniem. Smuciło i trwożyło to Pawła. Zestawiał dzisiejsze przywitanie, prawie niegrzeczne z przyjaznym uściskiem ręki po pogrzebnie i wysnuwał posępne wnioski. Zgasły odrazu wszystkie nadzieje, które pieścił przez kilka dni, w sercu uczyniła się ciemność...

Tymczasem księżniczka unikała starannie Pawła, ale nie przez zapomnienie, jak dawniej, gdy nie spostrzegała go zupełnie i, rozbawiona, przechodziła nad nim do porządku, jak gdyby nie istniał, nie znajdował się w salonie. Dziś obecność Pawła ciążyła jej, krępowała i onieśmiałała. Wolałaby, żeby nie było go tu, u drzwi przedziału, żeby odszedł sobie, chciałaby nie widzieć go i nie wiedzieć o nim — i nie mogła. Przeczynała, zgadywała i bała się... I trwała w wesołych i szczęśliwych zwykle oczach księżniczki troska...

Na stacyi umówiła się z Cesią Pomiarowską i młodziutką Hanią Drożewską i wybrała najmniejszy wózek, w którym nie znalazło się już miejsca dla Pawła. Mogła tedy odpocząć od nieustannej a niepokojącej kontroli jego wzroku, nie potrzebowała zadawać sobie przymusu zabawiania i „wesołego“ bawienia się. Przysłuchując się w milczeniu rozmowie towarzyszek, błędziła zamysłonem spojrzeniem wśród jesiennych krajobrazów, z uciechą witała wiejskie zagony, za którymi tęskniła. Dzień był piękny,

ale już zupełnie zimowy. Z mroźnie wypogodzonego błękitu nie uśmiechały się do ludzi owe cudne, wędrowne obłoki, które w dnie wiosenne i letnie ukazują się niespodzianie w lazurach, podobne białym piórom i puchom, śnieżnym kwiatom i srebrzystej wełnie i płyną sennie modrym gościńcem z krainy marzenia w świat szczęścia, zachwycające i zachwyczone, ciche i czyste... Jasne niebiosy rozpostarły się chłodnym i pustym bezmiarom, i jak na umarłym stepie, jak na śpiących wodach, rozlanych w nieskończoność, oczy biegły w dal, tonęły w nieobjętym przestworzu, gubiły się, napróżno szukały kresu i drogi, wspomnień i obrazów i nie umiały nic znaleźć... Zimne oblicze nieba stało się obcem, nie miało żadnego wyrazu... Żałobnie, na tle chłodnego błękitu, rysowały się nagie drzewa, cienne sploty ich gałęzi kładły na szlaku drogi suche, szkieletowe cienie. Promienie słońca, które w kwietniowe południa spływają słodkim pocałunkiem i przenikają ziemię ciepłą pieszczotą, ślizgały się obojętnie po zmarzniętych skibach, słały się smugami bladego złota dla ozdoby, niby blask świec po twarzy nieboszczyka. Między niebem a ziemią zerwany był związek twórczej łączności. Mrozy położyły kres wszystkiemu. Zimowe słońce spoglądało bezlitośnie na umarłą równinę i smutne szczątki lata, które wkrótce miał zasypać dobroczynny całun śniegu... Na chłopskich sznurach i miedzach sterczały tu i owdzie ubogie, zczerniałe badyły—ostatni ślad minionych dni bujnego rozkwitu, ponieważ się pod kopytami koni rumiane i żółte liście, czasami wytrwały dąb cieszył oczy ocalałą szatą, która świeciła ślicznie i mieniła się połyskami rdzawej miedzi. Radosne błonia łąk spłowieły i okryły się nieokreśloną barwą brzydkiej starości niby zdeptane, zniszczone kobierce. Trwała nad martwą ziemią martwa cisza. Zgasły oddawna śpiewy ptaków, zeszywniały nieruchome konary i umilkł pod lodem głos pracowitych strumieni. Tylko koła wózka turkotały głucho na twardej grudzie.

Księżniczka odczuwała piękno słonecznej pogody i smutek mroźnego, bezśnieżnego dnia. Przypominały się jej ciepłe, słodkie, gwarne, pachnące nadzieją poranki wiosenne, które niewiedzieć dlaczego wydawały się już bardzo odległymi, i ogarniała ją tęsknota za niepowrotną przeszłością. Przekonanie, które wynurzyło się w niej w chwili, gdy oddalał się pociąg ze zwłokami Obrońskiego, przekonanie, że skończyła się młodość i rozpoczyna się życie, szare, trudne i posępne, zostało w pamięci. Dziwiła się Hani Drozewskiej, która, śmiejąc się, szczebiotała wesoło, jak ptak, i snuła radosne projekty na przyszłość, podziwiała pannę

Cesię, która, mimo nieszczęśliwej miłości, ubóstwa i staropanieństwa, umiała zachować pogodę. Nad nią już od kilku tygodni zawisła troska. Pierwsze występy i pierwsze powodzenia w świecie rozweseliły ją na krótko. Gdy dostrzegła zasłonięte pozorami zabawy rachuby, walkę o byt, to jest o zamażpójście, rzeczywisty cel karnawału—przestała bawić się. Zgasła naraz promienna łuna radości, w której ukazała się Pawłowi tego roku na raucie. Zaczęła unikać panów, podejrzewając w każdym z nich konkurenta, odmówiła ordynata i zmroziła młodego hrabiego Jaworowskiego, który próbował oczarować ją swoją piękną a bezmyślną twarzą. Marzyła wieczorami w swojej cichej panińskiej świetlicy o wielkiem szczęściu kochania... A ciotki gderwały coraz zjadliwiej i gniewały za wybredność, za kaprysy, za dziecinność pojęć, tłómaczyły, że pannie z niewielkim posagiem niewolno przebierać, przytaczały zachęcające przykłady, nauczały. Matka brała ją co prawda w obronę, ale nie umiała przed czujnym wzrokiem córki ukryć zaniepokojenia. Wynikały niekiedy spory. Matka mówiła o obowiązkach, którymi trzeba zastąpić marzenia, o celach i zasadach życia, ostrzegała, że nie spełniają się nigdy sny młodości, że nie dla szczęścia rodzi się człowiek, że gorzko najczęściej pokutują ci, którzy szukają na ziemi poematu i czekają królewiczów z bajki. Trapiła pannę Marylkę rozterka. Smutek, który widziała w oczach matki, gnębił serce, a żałowała marzeń i wierzyła jeszcze. Znużona cichą a uporczywą walką, tęskniła do czasów, gdy nie było jeszcze mowy o zamażpójściu, i do wsi, gdzie nikt nie dokuczał i żaden „epuzer“ nie przerywał samotnych dni. Fałę żalu płynęły przez duszę, nawiedzały ją surowe myśli o życiu. Przyglądała się otoczeniu, badała ludzi i dole ludzkie, rozważała. Ukazały się jej poraz pierwszy cierpienie, zawody, nieszczęścia, których niewidziała przedtem, i powtarzała sobie coraz częściej twarde słowa matki. Zblakły radosne barwy, któremi przystroiła była świat, szare chmury zakryły przyszłość... Przychodziły chwile, w których skłonna była wyrzec się i uleść namowom rodziny, i myślała wówczas o Pawle, którego cierpliwa, nieśmiała, wierna miłość budziła w niej najmniej odrazy. Przeczuwając, że nie znieśie dłużej milczącego niezadowolenia matki, że niewytrzyma nowej seryi napaści ze strony ciotek i ustąpi w końcu, doznawała trwogi i przedewszystkiem pragnęła odsunąć możliwie najdalej moment stanowczy. Dlatego niechętnie wzięła udział w wycieczce.

Ale gdy ukazały się zabudowania Modrego Potoku ciekawość oglądania słynnych zabytków, o których tyle mówiono w salonach, przemogła smutek i księżniczkę ogarnął zapał. Kaplica,

zbudowana przed wiekami podług wzorów romańskich, zeszpeczona w późniejszych czasach portykiem w stylu odrodzenia, przemówiła do niej pięknem wysokiej wieży, której nie uszkodziły lata i nietknęli ludzie. Daleki krzyż nurzał się w błękitnie i zrywała się w duszy chęć, żeby wznieść się, ulecieć na skrzydłach w słoneczne przestwory, pławić się w niebieskiej dali, zostać tam... Górna tęsknota twórców, którzy w twardym kamieniu zawarli myśl nadziejską, zachwyty żywej wiary, dążenie wzwyż, żądze lotu, nieukożone pragnienie serca człowieczego, udzielała się widzowi. Spojrzenie biegło po prostopadłej ścianie ciosu, pieściło doskonałą czystość linii architektonicznej, radowało się, podziwiała niezmierny trud wielkiej pracy, usiłowało przeniknąć mrok, który czerniał tajemniczo w podszczytowych oknach, patrzących, zdawało się, w dal niewiadomą ku zagadce przeznaczenia, zazdrościło wysokiemu krzyżowi... Była krótka chwila zapomnienia o rzeczach małych, o lichocie życia, o troskach dnia... Zaduma oglądała nieskończone rozłogi czasu, dawną przeszłość, znikomy potok stuleci, świetny dzień ojczyzny...

Zaszczyciwszy wiekopomną wieżę kilku wykrzyknikami, gwarne towarzystwo udało się do kościoła. Tu zaopiekował się niem były organista, mąż podeszły w latach, ale żwawy i okazałej postawy, który rozwlekł i nudnie, uroczystym tonem, głosem przyciszonym, przymykając od czasu do czasu oczy, opowiadał, objaśniał, wykladał. Uznawszy wreszcie, że audytorium jest dostatecznie przygotowane i odpowiednio nastrojone, odślonił firanki. Niektórzy ukłękli i zaczęli modlić się. Obraz był niewielki, trochę zniszczony i dosyć niewyraźny. Na pierwszym planie szatan, odziany w szkarłatne szaty ze złotym łańcuchem na piersi, wyniosły, wspaniałe i dumny, pulchną, ozdobioną pierścieniami ręką wskazywał coś i spojrzeniem zwracał się do Chrystusa, który siedział na kamieniu, ubogi i cichy, znużony i smutny, z głową pochyloną, i patrzył w ziemię. Za nimi, w rozległej panoramie, ciągnęły się wzgórza, winnice, zielone doliny, bogate miasta, opasane modrą wstęgą rzeki, kwitnące ogrody, cudny szmat kraju zalanego promieniami zachodzącego słońca. Po ustach widzów przesunął się uśmiech ironii. Szeptano sobie do ucha, że arcydzieło jest zbyt małych rozmiarów, że nie warto było fatygować się, że djabeł nie ma ani ogona, ani rogów, że malarz nie znał widocznie zupełnie historii, jeśli namalował kościoły, pałace i stroje średniowieczne, nieznanne jeszcze w epoce biblijnej... Z zadowoleniem i upodobaniem wytykano za to na ołtarzu drewniane posągi dwu świętych biskupów, którzy w sztucznej ekstazie wznie-

śli do góry martwe oczy, a wargami śniali się chytrze... Inni, przeważnie panie, usiłowali zachwycać się...

Księżniczka przyglądała się długo w milczeniu. Zaciekawiał ją szatan, typ zmysłowego magnata, doskonale utuczzonego na smacznych ucztach, zadowolonego z życia, pewnego siebie i władzy swojej, który dumnym gestem moźnej ręki ukazywał niezmiernie i bogate posiadłości swoje i z pogardliwą litością zachęcał, nauczał i kusił ubogiego proroka. Mimo całej okazałości, mimo świetnych połysków szkarłatnego atłasu, mimo przepychu ubrania i wyniosłej potęgi wielmożny kusiciel budził odrazę. Wstrętną była jego nalana, blada, znużona użyciem twarz i wstrętnym parweniuszowski gest pulchnej ręki. Niecierpliwiły bezmyślne, hultajskie, chełpliwe oczy hulaki i pycha postawy. U stóp szatana czołgała się symboliczna żmija, która przenikliwymi źrenicami przebiegle zerkała w stronę kuszonego. Gdy upojony wielkością i dostatkiem swoim książę świata tego nie wątpił o zwycięstwie, mądry wąż badał przebiegle i czekał. To rozdwojenie mocy dyabelskiej w pomysłę malarza było dziwnem. A Chrystus, obojętny na piękno urodzajnych winnic, żyznych dolin, kwitnących sadów, bogatych grodów, zwiesił głowę i krył smutnie zadumane Oblicze. I zdało się księżniczce, że ciche wargi Syna Człowieczego szepcą wyrazy żalu nad „wszystkimi królestwami świata i chwałą ich.“ Wspominając wersety ewangelii, zapytywała Jezusa, dlaczego nie objął władzy nad ziemią, nie uczynił woli Swojej i nie okazał mocy, dlaczego przeszedł cichy, oddalił się i chciał, ażeby trwały niedola i zło... Dumiała...

Ustami szatana przemówiła może przed wiekami do Boga ludzkość i zaniósła trzy prośby, postawiła trzy warunki... Zostały w sercu człowieka te same, niespełnione wówczas pragnienia, toczy się wciąż walka między Panem a duchem ziemi, między Bogiem wiecznym a księciem świata tego... Chrystus nie przemienił kamienia na chleb, nie olśnił cudem potęgi Swojej, nie uczynił pokłonu... Ani bogactwa, ani nieśmiertelności, ani szczęścia nie otrzymała z rąk Syna Człowieczego ludzkość... Chrystus wzgardził ziemią—a świat nie uznał... I utrzymała się władza zła...

Zastanawiając się wciąż nad niezupełnie zrozumiałem, symbolicznem znaczeniem mowy kusiciela, księżniczka patrzyła ku pochylonemu Jezusowi, na którego znużonych wargach były bolesne słowa smętnych przeczuć. Zwyciężyły na obrazie i w dziejach potęga doczesna, pycha żywota, pożądlliwość i przemoc materji—miałoż tak być do końca? i na zawsze? Alboż niezakwitną już nigdy cudne nadzieje, aż przeminie kiedyś noc krzywdy

i bezprawia, ucisku i niedoli, że nastanie dzień sprawiedliwości ojczyźnie, ludziom i światu? Dumiała jeszcze... I przyszło jej naraz na myśl, że może rodzina, podsuwając świetne partye, bezwiednie kusi ją bogactwem i chwałą, które trzeba odepchnąć... Uśmiechnęła się z dzieciinnego zestawienia własnych smutków z wielką i tajemniczą walką Boga, ale to przypomnienie troski, którą straciła była z oczu, przejęta zachwytem, zachmurzyło nanowu serce... uśmiech i radość znikły na twarzy...

Tymczasem organista zasłonił obraz, kaplica wyludniła się. Była pora śniadaniowa. Pod drzewami ustawiono tapczany i drewniany stół, rozłożono zapasy. Wśród gwaru i śmiechów spożyto skromne śniadanie, na które podano butersznity, wino i cukierki. Porayski poształ po śledzie i sardynki, a gdy i tego było mało wobec niezwykłych apetytów, głodni, udali się do miasteczka i obiecali przynieść stamtąd mnóstwo wybornych smakołyków. Reszta przyjezdnych rozproszyła się po cmentarzu i na rozległej łące, która słała się spłowiłym kobiercem za kościołem nad rzeką. Rozpoczęły się gonitwy na gładkiem błoniu, na miękkiej, jak aksamit, trawie, nucono pod niebem wiejskiem, wśród sielskiej ciszy, modne walce z najnowszych operetek... Księżniczka, przewidując nieuniknione spotkanie z Pawłem, trzymała się wciąż Cesi Poniarowskiej, którą lubiła, w której towarzystwie było jej raźniej. Zrywając ostatnie ocalałe liście, cudne, niezwykle zabarwieniem, zaglądając w głąb ustronnych zakątków nadrzecznych, w których przebywały milczenie i mróz, gdzie srebrne szrony sznurami najcieńszych pereł obieliły gałęzie, dzieliły się wrażeniami. Panna Cesia ganiła niezrozumiały pomysł malarza, unosiła się natomiast nad pięknem wyniosłej wieży, która przypomniała duszy dawną chwałę, dnie potęgi i szczęścia, świetne czasy i świetnych ludzi... Ogarnął ją zapach... Jej dobre i miłe oczy świeciły. Mimo cierpień i zawodów serce dziewczyny kryło w sobie słoneczną radość...

W pewnej chwili podszedł ku nim Paweł, który krążył dookoła nich oddawna, który obserwował i śledził, skradał się przebiegle. Zaczęła się sztuczna i nudna rozmowa. Wśród plasku fali, która opłukiwała przybrzeżną skorupę lodu, cedzono płytkie, niepotrzebne słowa o pogodzie, o śniadaniu, o kaplicy... Potem ktoś odwołał pannę Cesię... Księżniczka mogła być odejść z przyjaciółką, ale przyszło jej to na myśl zapóźno. Zostali we dwoje. Kilka mgnień trwało milczenie. W księżniczce trwożnie kołatało się serce. Patrzyła na chłodne rozłogi białych niebios, na chłodną wodę rzeki, na suche, ciemne i nieprzyjazne różgi nagich ko-

narów, na równinę łąki i błękitną tafłę lodu gdzieś w dali—i tęskniła za czemś. Zazdrościła niebu i ziemi martwego spokoju, chciałyby zniknąć naraz, rozwiać się, stać się cząstką przyrody...

— Pamięta pani — zaczął Paweł — przed rokiem tak samo w jesieni chodziliśmy pod drzewami parku...

— Tak, panie—odparła pośpiesznie i szybko szła, ale nie ku towarzystwu tylko coraz dalej od kościoła. Zmieszana, pełna bojaźni zmyliła drogę.

— Mówiłem wówczas...

— Panu niepodobają się zabytki w Modrym Potoku?—przerwała i przeszkodziła.

Nieodpowiedział nic, zapadło milczenie. Księżniczka szła coraz śpieszniej ku słońcu, które zniżало się, ku onej niebieskiej tafli lodu na jakiejś sadzawce.

— Gdy inni zwykle modlą się przed obrazem o cud zdrowia, ja prosiłem o cud szczęścia... czy ten cud się spełni, księżniczko?

— Szkoda tylko, że zeszepecono styl kaplicy... okna i kolumny są czysto romańskie — przeszkodziła znowu i znowu uczyniła się cisza.

Na szybie lodu, ku której zbliżali się, stał się słup słonecznego blasku, śmiała się złota smuga, igrał promień radości. Zatrzymali się nad sadzawką. Księżniczka oglądała po przez szklistą, przezroczą powłokę głębię nieruchomej wody, szukała spojrzeniem dna...

— Gdybyż można było skryć się na cichem dnie, pod głęboką milczącą wodą—pomyślała. Słyszała szybkie tętno serca, śmiechy i śpiewy bawiących się... pragnęłyby wrócić tam, ale czekała. Poddawała się konieczności. Zdawało się jej, że Paweł, którego wzrok czuła na sobie, stanął między nią a towarzystwem, między nią a całym światem, że on zabiera od niej piękno tego dnia i szczęście młodości, że coś się kończy i przemija nazawsze. Ogarniając spojrzeniem niebios a jesienne dale, nad którymi świeciło wieczorne słońce, żegnała wszystko... Paweł patrzył w jej zdyszowaną, zaróżowioną twarz i walczył ze wzruszeniem. Rozumiał, że to jest stanowczy moment, najstosowniejsza chwila, że trzeba korzystać, że będzie zapóźno, chciał mówić—i nie mógł. Słowa, które przygotowywał i pieścił oddawna, rozproszyły się, przemował go lek.

— Czy spełni się cud—powtórzył—czy jaka nadzieja... Drżał, łamał mu się głos... Urwał. Prośbą nieśmiałychem oczu dopowiadał.

Księżniczka drgnęła. Uczyniła rękami jakiś ruch, jak gdyby chciała zatknąć uszy albo zamknąć mu usta.

— Nie wiem, panie...—szepnęła—potem... może potem... nie teraz... nie teraz...—prosiła, jak o łaskę.

Paweł nie pytał więcej. Zagrały w duszy dzwony... zdało mu się, że cud się dokonał... I cofnął się naraz o krok, jak gdyby obawiał się, że obecnością swoją przeszkodzi czemuś.

Nastąpiła cisza. Księżniczka pochyliła na mgnienie głowę i, gładząc swój sobolowy kołnierz, dumiała. Minęła jej trwoga... Z niezmierną radością myślała, że chwila, której lękała się, już jest poza nią... Z uśmiechem powitała zachodnie blaski, ognistą czerwień zimowej zorzy, ze szczęściem, rzekłbyś więziń, wypuszczony na wolność, spoglądała na cichy krajobraz kończącego się dnia... Wzruszona rozmową, odczuwała wdzięczność dla Pawła za to, że przestał mówić, że usunął się, że zostawił jej młodość, że nie zażądał stanowczego słowa, któreby położyło kres...

W milczeniu wracali potem. Paweł szedł za nią cicho, jak duch, pełen szczęścia i czci... Wołano już na nich od kościoła, gdyż zajęchały wózki i do pociągu zostały zaledwie dwie godziny.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

Józef Kalasanty Szaniawski.

(Przyczynek do charakterystyki.)

Józef Kalasanty Szaniawski odgrywał w swoim czasie rolę wybitną. Kiedy się mówi i pisze o czasach legionów i Królestwa Kongresowego, trudno niemal nie wspomnieć o tej postaci, nie dość jeszcze oświetlonej, jako zagadka psychiczna, do rozwiązania nie łatwej, jaką był członek tajnego komitetu, spiskowiec, rewolucjonista i filozof, później generalny królewski prokurator i cenzor, z czasem członek najwyższego sądu kryminalnego po roku 1831-ym i powstaniu listopadowem.

Nie pozostawił po sobie dobrej pamięci. A jednak był czas, kiedy uznawano w nim jednego z najdzielniejszych patryotów i jedną z najoświecześniejszych w Polsce głów. Był czas, kiedy pisano o nim: „Był u nas mąż bardzo biegły w naukach, w prawie, ekonomii politycznej i administracyi, sławny filozof i uczeń Kanta. Nikt nadeń więcej ksiąg starych i nowych nie przeczytał, nikt głębiej nie myślał od niego w Polsce. W swoim czasie pisarz zawołany, patryota, jeden z luminarzy naszych!¹⁾”

Pisano to i przypominano wtedy, kiedy już dawno ta jego dawna dobra sława zapomniana została. A jednak odgrywał ongi w każdym patryotycznym ruchu rolę wybitną. Urodzony w Kalwarii Zebrzydowskiej, w części kraju nazwanej później Galicyą, po ukończeniu nauk w Kaliszu i Królewcu, po pełnieniu przez lat trzy obowiązków komisarza sądowego w Kaliskiem, służył dwa lata w kawaleryi narodowej. W ruchu Kościuszkow-

¹⁾ Mochnacki Maurycy: „Powstanie narodu polskiego w r. 1830 i 1831.“ Poznań, 1863, str. 132.

skim miał brać udział żywy. Należał wtedy do tych jednostek, które żywiej od innych pozostawały pod wpływem rewolucyi francuskiej i przejęły od niej—na gruncie polskim—świeże jeszcze skrajne hasła rewolucyjne. Zaliczał się wtedy z księdzem Mayerem, Kazimierzem Konopką, Maruszewskim, Dembowskiem—do członków klubu, który wywołał przy poparciu Kołłątaja egzekucye na więźniach, posądzonych o zdradę stanu 9 maja 1794 r. w Warszawie. Później—według relacji Lelewela ¹⁾—przy egzekucyach dnia 28 czerwca na własnych barkach nosił belki na szubienicę, a później, dwaj przyszli członkowie Tow. Przyjaciół Nauk, z Bogumiłem Lindem razem, mieli przypatrywać się zdejmowaniu święceń przy ołtarzu z biskupa Skarszewskiego.

Minęła mu wtedy pierwsza młodość, dobiegał bowiem lat trzydziestu.

Następnie znajdujemy go za granicą w czasie formowania się legionów. W Paryżu należał do republikańskiej „Deputacyi polskiej,” a prócz tego z polecenia rewolucyjnego komitetu kształcił się w umiejętnościach. ²⁾ W korespondencyi konspiracyi na rzecz legionów znajdujemy cały szereg jego listów. Potem powrócił do Warszawy. Między rokiem 1802 a 1808 ogłosił tutaj szereg dzieł. Były to: „Co to jest filozofia, niektóre myśli służyć mogące do porozumienia się względem odpowiedzi na to pytanie,” ³⁾ „O znamienitych systemach moralnych starożytności,” „System chrystyanizmu krótko wyłożony,” ⁴⁾ „Rzut oka na dzieje filozofii od czasu jej upadku u Greków i Rzymian aż do epoki odrodzenia. Przydana rzecz o skeptykach moralnych i o szkodliwym dążeniu filozofii XVIII w.,” ⁵⁾ „Rady przyjacielskie młodemu czcicielowi nauk filozofii, pragnącemu znaleźć pewniejszą drogę do prawdziwego i wyższego oświecenia.” ⁶⁾

W owym także czasie pułkownik, Józef Neumann, znany z powodu listu otwartego przeciw generałowi Dąbrowskiemu, pisanego w 1800 roku, wystosował do Szaniawskiego szereg listów w kwestyach socyologicznych, ekonomii politycznej i społecznych.

¹⁾ Historia panowania Stanisława Augusta (Przypisy).

²⁾ List Szaniawskiego w korespondencyi Związku republikańskiego.

³⁾ Warszawa, 1802.

⁴⁾ Warszawa, 1803.

⁵⁾ Warszawa, 1804.

⁶⁾ Warszawa, 1805.

W roku 1803 znajdujemy nazwisko Szaniawskiego obok nazwisk gen. Józefa Niemojewskiego, szefa Drzewieckiego, Horodyskiego i innych w jakiejś spółce dla handlu z morzem Czarnym, związanej w myśl wznowionych dążeń ku pracy organicznej. ¹⁾

Z ustąpieniem Prusaków i utworzeniem Księstwa Warszawskiego przez Napoleona, poczęła się dawnego komisarza sądowego karyera urzędowa. Zostaje jeszcze w grudniu 1806 r. członkiem Najwyższej Izby Administracyjnej, później Dyrekcji Sprawiedliwości, odbiera w Berlinie z polecenia Rządu archiwum, odnoszące się do odebranych obecnie ziem Księstwa. Najlepsze artykuły stronnictwa dawnych republikanów miały wychodzić z pod jego pióra. Razem z Horodyskim wydał broszurę Kołłątaja p. t. „Nil desperandum,“ w której ten dowodził o korzyściach dla Polski, jakie wyniknąć muszą same przez się z przedsięwziętej raz polityki Napoleona. ²⁾ Głośnym jest z zatargu z ministrem Łubieńskim, wobec którego broni kraju przed zastosowaniem jednego z pruskich zniesionych praw, opuszczając posadę i dając tem dowód siły i żywości swego charakteru. W r. 1809, na posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk, którego był jednym z pierwszych członków, wygłosił pełną patryotyzmu i uniesienia pochwałę pułkownika Cypryana Godebskiego, pod Raszynem za ojczyzną poległego. Około roku 1811 musiał opuścić objęte na nowo, po umorzeniu zatargu stanowisko, by dla poratowania zdrowia udać się do Niemiec.

Tam miał się poznać ze znakomitymi mówcami Kościoła katolickiego Wernerem i Hochbauerem, czemu jego biograf ³⁾ przypisuje wielką wagę.

Kiedy w roku 1813 po nieszczęśliwej wyprawie na Moskwę i bitwie pod Lipskiem rozstrzygały się losy Księstwa i Napoleona, wysłano go do kwatery głównej cesarza Aleksandra do pertraktacyi.

Z kwatery tej mamy kilka listów.

W czasie kongresu wiedeńskiego uczestniczył w komisji utworzonej z ramienia trzech rządów pod przewodnictwem radcy barona d'Anstett dla interesów Polski.

¹⁾ Tokarz: „Ostatnie lata Hugona Kołłątaja.“ Kraków, 1905, tom. I.

²⁾ Tamże, tom II.

³⁾ Wł. Tarnowski (W. T.): „Nekrolog Józ. Kal. Szaniawskiego, b. Radcy Król. Polskiego etc.“ Lwów, 1843.

Po r. 1815 mianowany został referendarzem stanu, w r. 1816 prokuratorem generalnym, w r. 1821 radcą stanu, dyrektorem wychowania, prezesem Tow. ksiąg elementarnych i kierownikiem Wydziału cenzury.

I oto dzieje się z nim coś dziwnego. W duszy przetóm podobny jak u wielu współczesnych. Dawny rewolucjonista i wolnomyślny staje się nagle zwolennikiem ładu, porządku i istniejącej władzy. Nawet ci, którzy go bronią po śmierci, donoszą, że zarzucano mu krępowanie oświaty i szerzenie obskurantyzmu. Zwraca przeciw sobie całe społeczeństwo. Nawet w samym rządzie patrzą nań widać nieprzychylnie, bo, jak widzimy z listów, lęka się o swoje stanowisko. A z drugiej strony znowu ci, którzy go potępiają, próbują go bronić. „Szaniawski zajmuje niepoślednie miejsce w historii piętnastoletniego Królestwa. Jakich środków użył Nowosilcow, żeby go skłonić do odegrania fałszywej i nikczemnej roli, do nadania tak niebezpiecznego kierunku wychowaniu publicznemu, niewiadomo. To pewna, że za pieniądze, tytuły i urzędy takim serwilistą, jakim był, nie został. Ani go zbogacono, ani wywyższono nad innych. Nie ulega także zaprzeczeniu, że się i sam nie piął, jak inni, do wysokich dostojęstw. W tym samym stopniu, jaki miał przed utratą zasłużonego imienia, w tem samym ubóstwie pracował dla zarobienia sobie na największą niesławę i nienawiść publiczną. Jedyńy może i pamiętny przykład aberracyi tak potężnego umysłu!“

„Nie pojmuje i nikt, jak sędzę, pojąć nie zdoła Kalasantego Szaniawskiego, który obcemu despotyzmowi tak dzielnych, tak skutecznych dostarczał środków przeciw *niepodległości Polski*, nie przeciw źle zrozumianemu liberalizmowi i duchowi zaburzeń społecznych. Ten filozof mówił, że działa tylko przeciw jakobinizmowi i materyalizmowi, rzeczywiście jednak przestał wierzyć w Polskę, ducha polskiego zwał *śmieszoną polakeryą* i w edukacyi publicznej to zaszczerpieć przedsiębrał, co by na przyszłość nawet każde powstanie udaremnić mogło.“¹⁾

I oto, zdaje się, że to, co Mochnacki podaje jako jeden z rysów charakterystycznych, było tej przemiany przyczyną. By ją określić, dość powtórzyć fakt, że w r. 1823 dawny agitator legionów domagał się wstrzymania wydawnictwa rosyjskiej „Gazety Petersburskiej,“ za to, że dała wzmiankę o pismach Napoleona na wyspie św. Heleny.²⁾ Otóż ten człowiek — jak tylu innych

¹⁾ Mochnacki: „Powstanie narodu polskiego.“

²⁾ „Wiek XIX, sto lat myśli polskiej,“ tom II.

wówczas—przeszał poprostu wierzyć w Polskę. Trzykrotny rozbiór i zniszczenie narodowego bytu zbyt silnem było wstrząśnięciem, by nie musiało wykołoić wielu ludzi. I wtedy, jako światło zaświecone przed zupełnem dniem zgaśnięciem, pozostała idea niepodległości rozniecona przez rewolucję Kościuszkowską. Kiedy ona upadła, ci ludzie ratują się, bo dążą. Ale przeszła chwała legionów i potęga wielka Napoleona. Polska upadła znowu, by powstać, ale już nie w dawnej mocy i chwale, podźwignięta dłonią zwycięzcy. I oto dawni bohaterowie zamkną oczy w niesławie—przytoczeni już przez Mochnackiego—Zajączek, Krasiński, Kurnatowski, Hauke, Trębicki, Potocki. Gdy na gruzach Saragossy żołnierz polski palcem umaczanym we własnej krwi, konając, pisał: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ — jego zwierzchnik, jeśli ocalał, choć równo z nim narażał życie, mógł przed r. 1830 przejść na stronnika obcego rządu i zwolennika reakcyi, bo patrząc na wszystkie przemiany — przeszał wierzyć w Polskę.

Nie mogło to być jednak bez moralnej winy charakteru. Nie musiała być silną idea tych, co tak łatwo mogli o niej zapomnieć. Szlachetniejsi usuwali się, gdy zwątpili, od publicznego życia. U Szaniawskiego przyczyniło się do tego może zdrowie słabe, choroby częste, w następstwie zamiłowanie zbytnie w życiu urzędniczem i spokojnem.

W zbiorze prywatnym ¹⁾ znajdujemy szereg jego listów pisanych do żony. Obejmują one okres od 1810 do 1831 r., t. j. od czasu największej chwały Księstwa Warszawskiego do upadku rewolucyi listopadowej. Pisane w czasie kilkakrotnych podróży, szczerze, w zaufaniu, stylem jasnym i prostym, zawierają obok spraw codziennych niejedną szczegół ciekawy.

Tytułowane są przeważnie długi czas: „A Madame M-e la Comtesse Szaniawska née Comtesse Mycielska.“

Żona jego, Ludwika, była córką Aleksandra, od roku 1779 generał-majora komenderującego wojsk polskich i Konstancyi Maryi Dahlke, córki komendanta Kamieńca, Chrystyana.

Bratem jej był Erazm ²⁾, pułkownik kościuszkowski, pod Powązkami ciężko ranny, członek tajnego towarzystwa Republikańców.

¹⁾ P. Konstantego Popiela w Krakowie.

²⁾ Erazm Mycielski wywodził się według wszelkiego prawdopodobieństwa z linii Chryzostoma, miecznika kaliskiego. Żychliński uważał tę linię z braku źródeł za wygasłą pod koniec XVIII w. (patrz: „Złota księga szlachty polskiej,“ t. 5-ty).

Za pierwszym mężem była za szambelanem Idzim Moskorzowskim, z którym się rozwiodła, widocznie niezupełnie zgodnie, bo dopiero przyszedł jej mąż odbiór od niego niektórych jej sprzętów załatwił. ¹⁾

Przed ślubem jeszcze sprzedała Szaniawskiemu majątek po ojcu odziedziczony — Wyszki. ²⁾

Listy pisane do niej przez męża pochodzą z każdej widocznie większej, odbywanej przez niego podróży. Nie mamy ich z Niemiec z 1811 r., gdzie miał bawić według życiorysu; pierwsze listy, dwa z Warszawy z 1810 roku, jeden z Puław z r. 1813, zajmują sprawy domowe.

Wyjątek stanowi wzmianka o zamierzonym pisaniu historii legionów i o dalszych losach pułkownikowej, Cypryanowej Godebskiej. ³⁾

Ważniejsze są listy z placu boju z 1814 roku, gdzie wysłanym został do kwatery cesarza Aleksandra do pośredniczenia w interesach Polski, kiedy po bitwie pod Lipskiem i przegranej kampanii w Niemczech zachodziła na zawsze gwiazda Napoleona i we Francji rozgrywały się czyny jego ostatnie.

Listy te częściowo przytaczamy:

Basel, dn. 26 stycznia 1814 r.

„Najukochańsza Ludwiniu! Z tego miejsca ostatni list piszę do Ciebie: dalsze odezwy chyba z głębi Francji odbierzesz. Wszystko już stąd wyruszyło w tych dniach i ja także jutro świtem wyjeżdżam za Xciem Radziwiłłem. ⁴⁾ Kwatera główna Monarchów była już w tych dniach o 20 milek naszych od Paryża. Można już uważać rzecz za skończoną, osobliwie po zawartych pokojach z Danią i Neapolem. Zniknęła już owa dumna potęga: palec Boży trącił oną widocznie. Pozostaje teraz zagadka, z kim będą zawierać pokój?

„O naszym przeznaczeniu głęboka dotąd tajemnica. Nic jeszcze nie postanowiono: ale nie masz wcale na czem budować nadziei, jedynie chyba jeszcze na tajemniczem milczeniu Wspaniało-

¹⁾ List z 21 października 1810 r.

²⁾ Z notatki przesłanej przez Artura br. Rejsky'ego.

³⁾ Ogłoszony w pracy o Cypryanie Godebskim, „Przegląd Polski,“ 1910.

⁴⁾ Antonim.

myślnego Aleksandra. Cóżkolwiek już teraz postanowi Opatrzność, trzeba będzie poddać się z dobrowolną rezygnacją przeznaczaniu. Oh! czemuż na wiosnę nie umieliśmy usłuchać głosu lepszych przeczuć, ani zrozumieć ducha Europy! Czemuż natchnienie religijne nie wskazało nam, gdzie jest prawdziwa Sprawa ludzkości!

„Służy mi zdrowie aż dotąd, i Jan także jest zdrów. Finanse tylko nasze chorują. Niewiele było pieniędzy, a i na tych ogromna strata w ewaluacji tutejszej i francuskiej. Czcigodny nasz Xże ¹⁾ nie przybywa i pojąć przyczyny tego nie mogę. Nie piszę do niego żadnych doniesień, bo rozumiałem zawsze, iż jest już w drodze. Komitetowym moje uszanowanie: niechaj o mnie nie zapominają. Nie wiem, czy Departamenta już pokończyły swe adresa?“

Chaumont, d. 6 marca 1814 r.

„Najukochańsza Ludwiniu! W momencie odchodzącego kuryera piszę, i dlatego nie więcej jak słów kilka! Jesteśmy tu zdrowi wszyscy. Główna kwatera rusza niedługo naprzód. Blücher jest pod samym Paryżem i wszystko idzie pomyślnie. Gdybyś mogła, prosiłbym Cię, abyś samemu JW. Wawrzeckiemu oświadczyć raczyła szczerze ukłony od Xcia, a odemnie cześć głęboką. Niechaj będzie najlepszej myśli, bo się wszystko zwraca na pociechę i niedługo może wrócimy do Warszawy.

„Przybyła tu Xżna Radziwiłłowa, przywiozła mi łaskawe wyrazy JW. Wawrzeckiego. I ten interes ukończy się niedługo.“

14 marca 1814 r., Chaumont.

„Najukochańsza Ludwiniu! Dwa słowa tylko, bo kuryer odchodzi. Jestem zdrów, ale zawsze w kłopotcie o Twoje zdrowie. Jutro ruszamy naprzód. Xże Antoni odjeżdża do Berlina, stamtąd do Warszawy: pisać będę przez niego! My także ruszymy do was za parę tygodni.

„Nadzieje zawsze niezłe.“

¹⁾ Adam Czartoryski.

Chaumont, d. 15 marca 1814 r.

„Najukochańsza Ludwiniu! Odjazd Xcia Antoniego do Warszawy daje mi miłą sposobność pisania do Ciebie tych kilku liter, ale mnie razem i zasmuca, że tracimy najprzyjemniejsze towarzystwo współpracownika pod wszelkimi względami nader szanownego, który mnie przez ten cały przeciąg czasu zaszczycił codziennymi dowodami przyjaznej dobroci. Ma On objąć Ordynacyę Nieświezką i Ołycką i dlatego stąd się oddala.

„Nie odbieram od Ciebie żadnej wiadomości od czasu listu, który pisałeś przez naszego Xcia. Niepewność o twem wówczas słabem zdrowiu dręczy mnie nieskończenie. Chciałbym już wyjechać do domu i przykrzę się o to Xciu, ale razem uznaję sam, że mnie jeszcze wypuścić nie może w tym najważniejszym momencie, gdzie wielkich zdarzeń codziennie wyglądamy.

„W tych dniach spodziewamy się pokoju, albo też wcale kongres rozerwanym zostanie. Na przypadek pokoju moglibyśmy w tydzień zaraz wyjechać: jeżeli wojna, tedy chyba za trzy niedziele porzucimy Francyę. I w jednym zgoła i w drugim razie mam pewną nadzieję, że w kwietniu najukochańszą moją niańcię uściskam. Bez smutnych kilku pomyłek jużby była dotąd koalicya dopięła swego celu i rzeczy byłyby skończone: ależ i tak skutek ten nie minie, chociaż się o miesiąc odwlecze.

„Pisałem ci niedawno, że nadzieje nasze dobrze stoja, chociaż wszystko trzymanem być musi w tajemnicy. Jest jednak wielkie podobieństwo i niemal pewność, że nasze Wyszki wpadną w linią krainy, która do Prus odpada. Racz to powierzyć Generałowej Dobrodz., do której nie piszę osobno, ale o ich interesach nie zapominam. Nie trzeba jednak tego rozgłaszać dalej. Dla tej krainy, odpadającej do Prus, zrobią tu wszystko, czego trzeba, aby była szczęśliwszą i nie została zasmuconą.

„O naszych domowych interesach nic nie piszę. Działaj tam, co możesz i jak się zdaje. Niezbyt długo przybędę i ja, więc się ratować zaczniesz z biedy, którą dla mnie i terazniejszy mój kosztowny wojaż znacznie pomnoży. Komitetowi opuścili mnie widzę zupełnie i nic nie przysłali: niechaj Im Bóg płaci. Zwalić chcieliby ciężar na Xcia, jakgdyby on po swoich tu wojażował lub mnie posyłał interesach. Cóż robić? jest to widzę przeznaczeniem mojem, bym się zawsze kręcił około cudzego dobra i pracował dla drugich z moją własną szkodą. Niechajże i tak będzie.

Bylebyś tylko Ty, najukochańsza Ludwiniu! żyła spokojną i zdrową! Adieu! adieu! Twój dozgonnie najwierniejszy Kalas...

„Szanownym: Horodyskiemu (do którego dziś piszę), Orchowskiemu, Detillemu i poczciwym Franciszkostwu tysiączne ucałowania. Braterstwo ściskam serdecznie.

„Z odjazdem Xcia Antoniego upada mi sposobność pewnego pisywania do Ciebie. Bądź więc spokojną, chociaż listu długo może odemnie nie odbierzesz, bo kuryery rossyjskie zbyt rzadko w tamtą stronę idą.

„Pojutrze wyjeżdżamy stąd znowu ku Paryżowi za główną kwaterą. Już tą razą cofać się nie myślę.

„Od Xcia naszego ukłony.“

W przeciągu następnych dni rozgrały się na polu wojennem niespodziewane wypadki. Napoleon, widząc, że nie zdoła zwyciężyć przewagi wojsk sprzymierzonych, cofnął się, zagrażając z tyłu armiom nieprzyjaciół. Przedsięwzięcie się nie powiodło. Dowódcy tych armij wysłali jeden korpus, który miał obserwować ruchy Napoleona, a sami z główną siłą pociągnęli na Paryż, który też wkrótce ogłosił detronizację cesarza. Szaniawski jednak razem z innymi zagrożony zagarnięciem przez Francuzów, musiał ustąpić z Chaumont i znalazł się w Bazylei. Stąd wysłał do żony list ostatni:

Basel, 2 kwietnia 1814 r.

„Zdziwisz się zapewno, Najukochańsza Ludwiniu! że z tego miejsca odbierasz odemnie zgłoszenie. Czynię one naumyślnie, abym uprzedził, a przynajmniej uspokoił waszę o nas troskliwość, która by wzniecić mogły tajemne baśnie po całych Niemczech w tej chwili rozsiewane. Znajdujem się tu na moment z naszym szanownym Xciem: uboczny wypadek zmusił nas równie z innymi cywilnymi oraz i z bagażami cofnąć się aż tutaj. Po obrotach militarynych 20 i 21-o Bonaparte znalazł się odcięty od Paryża i przenosząc wojnę w tył armiów zagroził wszystkim tym, co w tyle kwatery głównej znajdowali się. My właśnie naówczas bawiliśmy w Chaumont, dla tem swobodniejszego wygotowania niektórych pism potrzebnych. Wysłany przez Francuzów korpus partyzancki wygnał nas stamtąd równie jako i wszystko to, co w tamtej okolicy znajdowało się w bagażach, officyerach, chorych i t. d. Że zaś i na bokach ukazywały się kommandy małe, które zdawały się chcieć przecinać cofanie się licznych bagażów,

więc ostrożność doradzała cofać się z nimi aż do Renu. Otóż dla czego aż tutaj przybyliśmy. Teraz wszystko znowu inną postać bierze. Bonaparte, przerywając się ku Paryżowi, odebrał ostatnią podobno klęskę, straciwszy sto armat, ośmiu generałów i kilka tysięcy ludzi wziętych w niewolę. Skoalizowani powinni już być w Paryżu dzisiaj. Lyon stracony, a wreszcie Wellington posuwa się z swej strony w południową Francję i Bordeaux (największe miasto po Paryżu) ogłosiło się już za Burbonami. Za parę dni ruszamy znowu do głównej kwatery. Cierpię na tem wiele ze wszech względów, że nie mogę w tych dniach jeszcze wracać do mojej drogiej Ludwini, jakem miał pewną nadzieję: ale rozwiązuje się już blisko los Europy i nie można opuścić jeszcze tego momentu. Z tem wszystkiem jednak po 20-ym t. m. pewno stąd wyjedziem do Warszawy. Odezwę niniejszą piszę na dwie ręce, aby Cię jedna przynajmniej doszła. Jesteśmy tu wszyscy zdrowi; nawet i konie nasze. Po milion razy etc.

Kal...

„Wszystkim pocziwym szczerze ukłony.“

Przepowiednie przesłane w liście wkrótce się spełniły. Szaniawski w roku następnym brał udział w Kongresie Wiedeńskim jako członek Komisji trilateralnej dla spraw Polski, a kiedy za inicjatywą „wspaniałomyślnego Aleksandra“ utworzono Królestwo Kongresowe, współdziałał w układaniu dla niego projektu konstytucyi ¹⁾ i pod konstytucją tą podpisał.

Rys charakteru i przekonań, jaki wysnuć możemy z tych listów z 1814 roku, jest jeden przedewszystkiem — brak przywiązania dla Napoleona. Ale to nie było wtedy odosobnione zjawisko. Minął czas, gdy pisali poeci: „Polacy w chlubnym zaszczyście z wiernymi Frankami razem“ pociągną „na reszty świata podbicie.“ Sławą nieśmiertelną Napoleona zachwiała wyprawa na Moskwę, Księstwo poniosło dlań, choć zawdzięczało mu niepodległość, tyle ciężarów, że przestało już ten dar cenić. Nim książę Józef zginął pod Lipskiem, już członkowie Rządu w Warszawie chcieli rokować z Rosją. ²⁾ Wtedy, w roku 1814, Napo-

¹⁾ Askenazy: „Rosja—Polska.“

²⁾ Sam Szaniawski z ramienia Rządu czy ks. Adama Czartoryskiego był z odnośnem posłannictwem w Krakowie, gdzie bawił ks. J. Poniatowski. Dawny republikanin już w 1809 roku sprzeciwiał się pochwałom zbyt dla Napoleona w broszurze Kollątaja.

leon, choćby był nawet zwyciężył, nie byłby już mógł pozyskać tyle siły, by oddziaływać jeszcze na losy Księstwa. Mogli więc wtedy ludzie polityczni nawet bez żadnej złej woli, losy jego od losów ojczyzny odłączyć i spoglądać z całą nadzieją ku okazującemu już tylokrotnie tak wiele dobrej woli Aleksandrowi.

W r. 1816 sprzedał Szaniawski Wyszki, a za pozyskane pieniądze nabył „posesyę“ w Warszawie. Posiadłość ta, do której z jego podróży wędrować odtąd będą jego listy, odegra niejednokrotnie w jego korespondencji ważną rolę. ¹⁾

W roku 1818 wyjechał dla zdrowia do kąpiel do Trenczyna. Z miejsc w korespondencji ciekawszych przytoczymy jego przybycie i pierwszy opis tej miejscowości.

d. 5 sierpnia 1818 r., w kąpielach pod Trenczynem.

„Jeżeli, Najukochańsza moja Ludwiniu! smutny wyjechałem z Krakowa, dlatego, że mnie z Warszawy żadna od Ciebie nie doszła wiadomość, tedy smutniejszym jeszcze tu jestem dlatego, że za przybyciem nie zastałem najnniejszej do mnie odezwy. Stałem tu przedwczoraj wieczorem, wczoraj udałem się zaraz do Trenczyna (który stąd dobrą milę jest odległy) i tam wypytywałem się na poczie o listy: ale wszelkie wypytywania moje, i tu u Bademeistra, i w Trenczynie—były bezskuteczne. Zapewno więc listy warszawskie tułają się dotąd po Wiedniu i Prezburgu, gdyż tą dopiero drogą dochodzą tutaj. Wyglądać będę z niespokojnością, dopokąd mnie co z Warszawy nie dojdzie: Boże daj! bym co odebrał jak najprędzej!

„Podróż moja, chociaż leniwa, dosyć jednak była szczęśliwą. Jesteśmy zdrowi obydwaj z Janem. Położenie tutejszych kąpiel jest bardziej jeszcze górami zamknięte, niżeli w Reinertz: ale wyszedłszy stąd ćwierć milki dochodzi się do doliny, którą płynie rzeka Wach, a która jest jedną z prawdziwie rozkosznych i romantycznych. Jechałem nią przedwczoraj mil kilka, ciągle zajęty rzadkimi jej powabami. Posada starożytnego i już opustoszałego zamku Trenczyńskiego na prostopadłej skale jest jedną z najosobliwszych: Szkoda, że stąd nie można cieszyć się codziennym jego widokiem! Zresztą na upiększenie tutejszego położenia nic tu prawie ręka ludzka nie zrobiła, bo to, co dotąd zrobiono, nie

¹⁾ Była to realność oznaczona wówczas: Nowy Świat № 1283.

może iść w żadne porównanie z upiększeniami w innych podobnych miejscach. Natomiast wody zdają się dzielne. Ciepło wody tutejszej równa się ciepłu Warmbrunńskiej.

„Znajduje się tu dwudziestu kilku Polaków i Polek z rozmaitych stron polskiej ziemi. Z Warszawy dwóch tylko przybyło: Tadeusz Łubieński i Kuźniczowa. Z pomiędzy innych tu będących znam tylko jednego Dębskiego, członka Komisji Wdzkiej Krakowskiej, — i Pszczółkowskiego.

„Mieszkania wszystkie niemal zastałem jeszcze zajęte i ledwie umieściłem się na chłopskiej chałupce: co do wygody podobniuteńko jak w Landek u naszej Szmurfeilowej, ale nierównie drożej i bez żadnego na którąkolwiek stronę widoku; — zresztą jestem dość dobrze i starzy gospodarstwo moi są bardzo dobrzy ludzie. Jam dziś rozpoczął kucharzyć: nie wiem jeszcze jak to pójdzie, ale też nie jestem w kłopotcie, bo na wszelki wypadek uciekłbym do traktyerni tutejszej, która nie jest tak złą, jak ją słyszałem wszędzie okrzyczaną.“

W Trenczynie bawił Szaniawski do trzeciego września i na miejscu powziął plan wstąpienia do Wiednia i poradzenia się tam co do osłabionego wzroku. W dwa dni później stanął w nocy w Wiedniu. Spotkał się tutaj z „godnym naszej literatury weteranem,“ hr. Ossolińskim, odbył konferencyę z „najpierwszym okulistą tutejszym,“ prof. Beer, który dał mu „wiele rad i przestróg, ale nie groził dotąd żadnem nieszczęściem,“ szukał w Baden kasztelana Linowskiego, ale ten już do Warszawy wyjechał.

17 września stanął w Krakowie. W listach porozumiewał się z żoną, co do pewnych ulepszeń w ich posiadłości, otoczenia jej parkanem dokupienia majątności od sąsiada i pokrycia kilku budynków gontami. Powoływał się tu na przykład komisarza cesarskiego „JW. Nowosiltzofa,“ który dał nowy dach drewniany. O wrażeniu, jakie na nim Kraków wywierał, wiemy jeszcze z czasu poprzedniego jego pobytu, kiedy pisał:

„Czas mój schodzi mi tu nieznacznie w domu Dziadziuni, a potem po obiadach u Krakowianów gościnnych, wreszcie po promenadach, które znowu rozżarzają we mnie dawną miłość Krakowa; i widzę, że gdybym tu jedno lato przesiedział, jużby mi było niepodobna stąd się wydobyć. Gdy spojrzę na góry, znika mi z przed oczu Warszawa z wszystkimi ogrodami swymi i całym przepychem, oraz ze wszystkimi powabami naszych urzędów.“

Wrażenie, jakie czyniło to miasto, było powszechnem w owych czasach, gdy zawierało się wprawdzie w obrębie dzisiejszego śródmieścia, ale ręka ludzka nie zburzyła jeszcze starych, obron-

nych bram i murów, a starych godeł i szczytów domów nie dotknął jeszcze pożar 1850 roku. Opiewali je pieśnią Wężyk, Każ. Brodziński, Reklewski, nim przyszedł poeta wolnego miasta, Edmund Wasilewski. Jedną z „promenad,“ któremi chadzał Szaniawski, wiodła może także na wzgórze św. Bronisławy, chociaż tam nie stała jeszcze, usypana rękami ludu, mogiła z sercem Kościuszki.

Zamiłowanie przyrody było jedną z cech Szaniawskiego. Z Trenczyna już pisał, że lubi błąkać się samotnie. Choć więc położenie tamtejszego zamku na stromej skale nazwał jedynie „osobliwem,“ nie wiemy, czy prokurator generalny warszawski nie był pierwszym w Polsce, który w roku 1818 krajobraz jakiś, uznając jego piękność, nazwał „romantycznym.“

Na ludzi, czucia i słowa ich schodzi duch czasu, ale okres, jaki teraz nadejdzie, nie wszystkich powiedzie ku chwale.

W Krakowie bawił jeszcze ponownie w sierpniu 1820 roku w przejeździe z Krzeszowic, gdzie używał kąpieli, i pisał, że „gości jest tu dość wielka liczba, a osobliwie z Krakowa, życie dość tanie, stancye trudne i drogie, wygody żadnej ani porządku, miejsce jednak bardzo przyjemne i upięknione,“ oraz „dni całe trawię pomiędzy skałami i lasami na dolinie Czerny, tym sposobem czas schodzi mi łatwo.“ Z powrotem zajechał do Łuczanowic, do „szanownego patryarchy Żeleńskich.“ W roku 1821 leczył się na ból głowy kąpielami w Baden.

Liczył już wtedy pięćdziesiąt jeden rok.

I wtedy rozpoczyna się okres w jego życiu, mniej więcej równocześnie z okresem, kiedy kończą się liberalne, a poczynają nieprzychylnie rządy cesarza Aleksandra — okres, w którym Szaniawski, tracąc całą zasłużoną swoją sławę, staje wrogo wobec każdego bardziej ideowego ruchu społeczeństwa, oddając się zupełnie na usługi obcego rządu.

Nastąpiło to, lub okazało się od chwili, kiedy wszystkie sprawy cenzuralne oddane zostały ministeryum wyznań i oświecenia, a na czele komitetu cenzury stanął Szaniawski.

Było to w maju 1822 roku.

Człowiek, któremu zarzucano niegdyś zacieśnienie filozoficzne, ¹⁾ ale nie zarzucano nigdy dotąd braku tolerancji, który miał

¹⁾ Kiedy Szaniawski jechał z ks. Ad. Czartoryskim w 1814 r. do kwatery głównej Aleksandra, miał mówić nieprzychylny mu Linowski do Koźmiana: „Co on (książe) poradzi z tym ciężkim pedantem, filozofem, kancistą, który

stosunki z wszystkimi legionistami, a jako prokurator był zwierzchnikiem Horodyskiego, Neymana i Orchowskiego, stał się nieprzyjacielem nie tylko wolnej, ale poprostu — polskiej myśli. Przytoczywszy o nim zdanie Mochnackiego, przytoczymy dla lepszej jego charakterystyki zdanie Mickiewicza.

Wypowiedział je jako profesor literatury słowiańskiej na lekcji 17 maja 1842 roku:

Szaniawski — „żarliwy patriota w rewolucji 1794 r., potem terrorysta i naczelnik klubu we Francji, usunął się na stronę z rozpaczą w duszy i szukał pociechy w filozofii. On pierwszy wprowadził filozofią niemiecką do Polski. Cała jego siła inteligencji wywarła się teraz na zgłębienie systemów, na bujanie w marzeniach; to mu przynosiło ulgę. Życie obywatelskie zamknawszy w ciasny i pospolity obręb, brak wolności rzeczywistej, wynagradzał sobie wolnością urojoną, stawiając i rozwiązując kwestye według upodobania. Gdyby był Niemcem, pewnie zaspokoiłoby go to zupełnie: pisałby ciągle, tworząc systemy zachwałę a pędząc życie niskie i prozaiczne; ale, że powołanie narodu polskiego, nadewszystko polityczne, wkładało nań ciężkie obowiązki, wyszedł pomatu na rządowego cenzora i moralnie zdrajcę kraju. Jako pisarzowi, należy mu się znakomitsze miejsce w historii filozofii polskiej.“

Mickiewicz więc przypisuje zmianę w przekonaniach Szaniawskiego niezwykłym, a nieszczęsnym kolejom naszej ziemi. To pewna, że każdy nieszczęśliwie zakończony ruch niepodległościowy miał u nas swoich rozbitków i jednym z takich stał się Szaniawski. Zdrajcą kraju faktycznie nigdy nie był. Przynajmniej do 1831 roku. Nie wydawał polskich tajemnic, ani się nawet nie przestał czuć Polakiem. Ale przestał nim być faktycznie, ducha polskiego nie gnębił wprawdzie, ale krępował. Raz nawet — nie próbujemy wchodzić w powody — gdy należał do komisji śledczej w sprawie „Związku przyjaciół“, stowarzyszenia studenckiego w Warszawie, położył razem z przewodniczącym tej komisji Haukiem i Rautenstrauchem podpis na raporcie dla nich korzystnym wbrew Hankiewiczowi i Podoskiemu, którzy odmówili swego podpisu. ¹⁾

Zresztą jednak był powolnym narzędziem w ręku Nowosilcowa, prowadził cenzurę w sposób reakcyjny. Znaną jest ich

nie ma pojęcia ani ducha, ani form, ani stylu dyplomatycznego. (Kaj. Koźmian: „Pamiętniki“).

¹⁾ Askenazy: „Łukasziński.“

wspólna ekspertyza „Wallenroda.“ Co było przyczyną? Może nieruchomość starzejącego się umysłu człowieka, który w ideały swoje przestał wierzyć, walczyć już nie chciał, na usunięcie się nie miał już dość siły woli, a był głęboko przekonany o zasłudze swej w wypełnianiu porządnem i lojalnem swego obowiązku. W dawnym mieście świętej wiary, gruzy i szczęty zaległy, Szaniawski czuł, że zwraca przeciw sobie całe społeczeństwo, że ma nieprzyjaciół już nawet w samym Rządzie, przecież z dziwną filozofią przyjmował to jedynie, jako krzyż i dopust Boży, wyrobił sobie przekonanie, że to czyni, co czynić powinien i to stało się może przyczyną, że żaden niemal z współczesnych, którzy o nim piszą, nie może mu poskąpić kilku słów obrony przy bezwzględnych nieraz słowach potępienia.

I do udowodnienia tego posiadać będą niejaką wagę listy, pisane w czasie, gdy minęła już dawno młodość dumna i burzliwa, a cenzor warszawski stał już w otwartej walce ze zbliżającym się już do zbrojnego ruchu społeczeństwem.

Listy te pochodzą z Wiednia z 1828 roku.

Podróż ta była przedsięwziętą w celach częściowo leczniczych, w części naukowych. Listy charakteryzuje pewna szczególna filozofia, chrześcijańska, zdania się na los Boży, a zarazem okazywanego trochę zewnątrz, bo bardzo często, stoicyzmu, zaparcia się, skromnych żądań szczęśliwości, nie spodziewania się poprawy na lepsze.

Znać uczucie człowieka, który lęka się, że go prześladować będą i który zarazem doznał już wiele ludzkiej niechęci, jest rozgorączkowanym, bo o niej wie, a chce uważać ją jako niesprawiedliwą i niesłuszną.

Jako dowód przytaczamy list z dnia 9 stycznia 1828 roku:

„Odebrałem wczoraj list Twój d. d. 29 Grudnia r. z. i dziękuję Ci z serdecznem uczuciem za Twoje dobre życzenia, a zarazem i za rozmaite nowiny z Waszego horyzontu, których my tutaj jesteśmy nieco głodni, gdyż tu nigdy o Warszawskim świecie nic usłyszeć nie można. Podziękuj tam odemnie najserdeczniej Tym wszystkim, co o Tobie pamiętają i o mnie jeszcze nie zapominają; Bóg im to niechaj nadgradza, u którego żadna dobra uczynność nie idzie w zapomnienie. Nie dziwuj się innym, że o nas zapomnieli; żyją oni na świecie, a nas tam nie widują, nie można więc wymagać, ażeby nas szukali w zaciszu, gdzie żadnej światowej przyjemności nie znaleźliby. Niektórzy pragną jeszcze dalszego wyrostu, muszą więc zbliżać się pod wschodzące słońca: my się już takim na nic nie przydamy. Wszystko to dzieje się

bardzo naturalnie i nie mogłoby bez jawnego cudu dziać się inaczej. Nie powinno nas to bynajmniej obchodzić, bo owszem wyższe stań w chrześcijańskiej rozwadze odnosić możemy korzyści. Nam w położeniu naszym nic więcej już nie pozostaje do życzenia, jak tylko, ażebyśmy tę krótką resztę dni naszych spędzić mogli w jakimkolwiek chociaż słabowitem zdrowiu, w swobodnej samotności, przy jakiegokolwiek, chociażby ubogiej wygodce, w łagodnej i stale wypogodzonej atmosferze prawdziwie chrześcijańskiego życia. Takowe życzenia zdają się na pozór ograniczonymi, ale one w istocie są nader rozległe i nader wiele obejmują. Prośmy Boga, aby z nich udzielił nam to przynajmniej, co jest najpotrzebniejszym i jedynie niezbędnym.

„O zdrowiu mojem nie mam nic nowego do doniesienia. Nie cierpię tylko czasami na nogi, czasami na oczy, a niekiedy i na głowę. Co tydzień idę do poczwiwego Malsattego,¹⁾ ażeby mu się poskarżyć, lecz gdy Go zobaczę, zapominam o moich biedach i pogadamy sobie czasem o czemsiś wyższem, a tak nieraz zdrowszym odchodzę... Wzdycham tylko za nadejściem wiosny, ażeby się z Stołecznego zgiełku wymknąć do Baden, tam... samotnie podumać.

„Cieszę mnie dary, które w Petersburgu spotkały Towarzyszów podróży X. L.²⁾ Niechaj mu Bóg błogosławi, jako urzędnikowi nieugiętej, bezstronnej i nieinteresownej woli i chęci, który ani na jedną chwilę nie spuszcza z uwagi prac i przedmiotów swojego Urzędu i dźwiga śmiało swój krzyż urzędniczy nie oglądając się na krzyki złośliwej Rzeszy przyganiaczów, ani też szukając ulgi w płochych roztargnieniach świata.

„W przeszłym tygodniu pisałem do Ciebie dnia 2 stycznia. Odpisuję dziś także i naszemu ministrowi na list, którym mnie zaszczycić raczył. Proś także poczwiwego Wincentego, ażeby JW. Senatorowi Nowosiltzoff ponowił odemnie wyrazy szczerego uszanowania i zadawnionej wdzięczności, a razem i serdeczne życzenia z powodu nowego roku; niech mu Bóg da wszystko dobre, co do prawdziwej pomyślności należy.

„W odpowiedzi do naszego ministra donoszę mu także o stanie mojego zdrowia, a zarazem oświadczam, że w końcu Maja mógłbym powrócić do Warszawy. Jeżeliby mi się jednak udało odbyć podróż do Bawaryi, powrót mój spóźniłby się może o mie-

1) Lekarz Szaniawskiego.

2) Ks. Lubeckiego.

siąc: wszystkie te jednak domniemania są tylko pod warunkiem, jeżeli w ciągu kuracyi mojej nie zajdzie nic przeciwnego, coby przewracało ludzkie rachuby.“

Błądząc po bibliotekach, lecząc się, odwiedzając swego lekarza i bawiącą w Wiedniu księżną Kazimierzową Lubomirską, unosząc się nad doskonałą muzyką włoską w operze na „Cyruliku Sewilskim,“ jest jednak myślą i troską Szaniawski ciągle w Warszawie. Egzaltuje się w chrześcijańskiej pokorze pisząc:

„Pilnuję ciągle mojego zacisza i słodzę sobie te szczęśliwe dni rekolekcyi, która mi i jako Chrześcianinowi i jako Urzędnikowi—koniecznien była potrzebną i przy pomocy Boskiej stanie się niemało użyteczna. Błogosławić za to będę Rząd codziennie aż do zgonu, bo to sobie mam za wysokie dobrodziejstwo, chociażbym one pod moralnym tylko względem uważał. Niech Bóg zlewa wszelkie łaski na ministra za pomoc (choć i nieco spóźnioną) do wyjednania urlopu: używam go na dobro duszy mojej, na dobro umysłu i zdrowia, ale nie zapominam także i o przedmiotach mojego urzędu. Żałuję tylko, że mi trudno będzie (a raczej już prawie niepodobno), odwiedzić Bawaryę i niektóre w tamtych stronach szkolne instytuta: nie masz na to ani czasu ani funduszu.“

Równocześnie chcąc mieć widocznie większą sumę w rękę, prowadzi przez żonę starania co do nabycia przez rząd jego posesyi. Sprawa jednak idzie oporem, skutkiem tego tak pisze:

„Pomimo Twoich pocieszających zapewnień nie spodziewam ja się łatwego pozbycia naszych posesyi, w innych rękę poszłoby to jak najprędzej i jak najkorzystniej, ale nam tak nie pójdzie, jeżeliby się ziściło, będzie to także cud wyższego miłosierdzia. Staraj się ile możesz, ale nie nalegaj zbyt, żeby znowu nie powiedziano, żeśmy to niejako wymusili. Bogu poleć resztę.“¹⁾

Innym razem zauważa, po otrzymaniu jakichś mniej pomyślnych wieści z domu:

„Cieszę się, że z chrześcijańską rezygnacją znosisz widok tyłu faryzeuszowskich postępowań względem nas: trzeba owszem dziękować Bogu, że nam w tej mierze przynajmniej daje coś do cierpienia, a tem samem i do jakiegokolwiek zasługi: bez cierpienia musiałby chrześcianin żyć w niejakej trwodze o przyszłość; tylko droga krzyża prawdziwą i pewną na tutejszym padole, wszystkie inne niebezpieczne.“²⁾

¹⁾ List z 16 stycznia 1828 r.

²⁾ List z 23 stycznia 1828 r.

Pod koniec stycznia donosi:

„Wiem ja dobrze, że umiesz oszczędzać, aby być w pogotowiu na czas niedostatku. Masz w tem wielką rację: potrzeba nam się oglądać na czas dalszy, bo nie możemy spuszczać się na żadną z tych zwyczajnych pomocy, których inni doświadczają, nie wypada nam się ani nawet na to spuszczać, coby nam się może i sprawiedliwie należało. Ludzie w tych czasach tak wiele są zaprzątnięni swoimi własnymi zabiegami o swój los światowy, że nie mają żadnej wolnej chwili do pomyślenia o innych.

„Raduję się, że po zbawiennych tutaj rekolekcyach powrócę cierpliwym, i gotowym przyjąć z ochoczą wdzięcznością każdy los jaki mnie spotka chociażby też wydawał się najsrożej dokuczającym. Tutejsze wieści pomiędzy naszymi rodakami zapewniają, że Xże L. napewno obejmuje skarbowe ministeryum w Petersburgu; uważałbym to za niepowetowaną dla naszego kraju stratę. Miejsce jego ma dostać Kalinowski, a na ministeryum nasze wewnętrzne ma iść Kossecki, Mostowskiemu zaś dają spoczynek z promocją i pensją. Plater, jako najstarszy Radca, zostaje ministrem stanu, albo też pójdzie na Radcę Sekretarza stanu.“¹⁾

W innym miejscu znowu pisze:

„I tutaj pomiędzy naszymi rodakami biegają wieści o różnych zmianach, jakie zająć mają w Warszawie; lecz to wszystko pochodzi podobno z samych tylko domysłów. Nie daję wiary płonny wróżbom; staram się jednak tymczasem uzbrajać po chrześcijańsku, ażebym wszelki, (chociażby też i najprzeciwniejszy) los przyjąć mógł z radością i z szczerą nawet wdzięcznością, dla tych, co się do niego przyłożyć raczą. Biorąc miarę z przeszłości nie mogę spodziewać się dla siebie nic pocieszającego, i dlatego jestem przygotowany na wszystko, byle tylko w mój zgubny los nie wciągano tych, którzy mnie wierniejszą zaszczycaли przyjaźnią. Widzę jaśnie jakie czasy wschodzą na Europejski horyzont; przyzwyczajam więc wcześniej mój umysł do zupełnej rezygnacyi; o tobie tylko najczęściej myślę i o potrzebnej dla ciebie wygodzie, a pod tym względem uważałbym restauracyą mojego zdrowia jako dar pożądaný. Wierzaj mi, że i sprzedaż naszych posesyi podpadnie jeszcze rozmaitym przeszkodom z strony niektórych osób, co mnie swemi prześladowaniami zaszczycać raczą, a którym ja przecież wszystkiego dobrego życzę. Gdyby tam kto miał szczerą wolą nabycia, nie wypy-

¹⁾ 30 stycznia 1828.

tywałyby się o plenipotencyą, bo ja nie pojechałem ani do Indyów ani do Ameryki.“¹⁾

27 lutego zamieszcza uwagi w liście:

„Wszystko dokładnie obrachowawszy, jesteśmy tu oboje bardzo wygodnie na tym padole, potoczne przeciwności i cierpienia nasze niczem są w porównaniu z tem, co prawdziwy chrześcianin szczerze Boga kochający i na przyszłość wiekuiłą pamiętny cierpieć powinien: są to dopiero małe krzyżyki, ale jeszcze nieskończenie daleko jesteśmy od prawdziwego krzyża; do tego gotować się, o ten prosić winniśmy, nader szczęśliwi, że już niewiele mamy pasma życia, a tem samem i cierpienia nasze nie będą już długimi.

„Ciesz się w liście Twoim, że znowu projektują nabycie na klinikę. W samej rzeczy, gdyby tylko chciano zapomnieć na moment czyje to są posesyje i rozebrać rzecz bezstronnie, znalezioneby, że na tej przestrzeni możnaby bezpiecznie i klinikę i Politechniczne gmachy umieścić.

„Warunki nabycia mają z nami najłatwiejsze, rozkład i termin wypłaty mogą sobie ułożyć jak najdogodniej, byleśmy tylko mieli ubezpieczoną pewność na dalsze lata.“

W pierwszych dniach kwietnia z powodu Zmartwychwstania Pańskiego, obchodzonego w Wiedniu nabożeństwami bardzo uroczyste i świąt wielkanocnych—pisze:

„Niechaj Bóg błogosławieństwa swoje zsyła i Tym, co wydawali się może naszymi Przeciwnikami lub Nieprzyjaciółmi. W chrześciańskim duchu rzecz biorąc, niezawodną to jest prawdą, że prześladowania i przeciwności stają się prawdziwym dla Człowieka dobrodziejstwem, a zawzięci Nieprzyjaciele nader dobrotczynnymi Pomocnikami do wyższego szczęścia: kochajmy Ich szczerze; znajdziemy w tem nieocenione korzyści, a może i dla Nich nawet samych niejaki dobro znajdziemy.“

„Zresztą zajmował się tam Szaniawski szukaniem przez żonę dokumentów dla rodziny Dahlke, oraz spotykał się w domu Malsattiego z Fryderykiem Szleglem, którego zaliczał do „małej liczby najznamienszych autorów w Europie.“ Tak ucztę z nimi wspólną opisywał:

„Onegdaj biesiadowaliśmy znowu w trójkę u dobrego Malsattiego, dał nam obiad (co do potraw i win) zupełnie włoski, ale przepyszny i obfity: byłbym się obładował nad miarę, gdyby

¹⁾ List z 6 lutego 1828 r.

mnie była całkiem nie zajęta uczona i głębokomyślna konwersacya moich dwóch genialnych spółbiesiadników; duch wziął górę i to mi ze wszech względów wyszło na dobre.“

Innym razem donosił, że idzie do miasta na „Vorlesung Schlegela über die Philosophie der Geschichte.“¹⁾

Ciekawą i charakter Szaniawskiego ze wszech miar oświetlającą była jego znajomość ze „sławnym z filozoficznych i politycznych pism“ Adamem Müllerem, który mu przed kilkunastu laty „część rozpraw swych nieznanemu posłał do Warszawy.“²⁾

Otóż ten Müller, istotnie w Niemczech znany, przechodził podobne koleje, jak cenzor warszawski. Mając lat dwadzieścia kilka, po przejściu z protestantyzmu na katolicyzm, poświęcał się publicystyce i pisał dzieła o treści prawnopaństwowej i społecznej. W roku 1813 współdziałał w powstaniu w Tyrolu, w dwa lata później był z cesarzem Franciszkiem w Paryżu, potem był konsulem w Lipsku, umarł w roku 1829 jako radca dworu.

Za pobytu w Saksonii był redaktorem dwóch pism „Deutsche Staats-Anzeigen“ i „Unparteiischer Literatur und Kirchenkorrespondent“, które jednak z powodu reakcyjnej ich tendencji wkrótce upadły.

W domu jego „nader skromnym, bogobojnym i odznaczającym się istotną dobroduszością“ Szaniawski bywał gościem częstym.

Równocześnie nie otrzymując od ministra żadnej na swój list odpowiedzi, nie czując się pewnym na swoim stanowisku i widząc, że układy o sprzedaż posiadłości nie wiodą do skutku, tak pisał:

„Wiem ja dobrze i dawno tak byłem wyperswadowany, że nam interesa nie pójdą nigdy tak, jakby iść powinny: ale na to wszystko jestem nader spokojnym; rób i Ty toż samo. Bóg tak dopuszcza i zapewno to wyjdzie na nasze dobro. Są jeszcze dobrotoczne szpitale na świecie, toć i my gdzie znajdziemy przytułek, tak jak go tylu innych ludzi znajduje. Mylisz się — względem mojej Emerytury; jeszcze mi lat parę do niej brakuje, które chyba łaska Monarchy mogłaby nadstawić. Dobry Jasio H.³⁾ ma racya, gdy mi radzi szukać spokojności; ależ to od biedaków i sama nawet spokojność często ucieka. Spodziewam się jednak zna-

¹⁾ List z 16 kwietnia 1828 r.

²⁾ Wzmianki w listach z 13 lutego, 5 marca i t. d.

³⁾ Wspominany nieraz w listach Szaniawskiego Hankiewicz.

leść ją, oddając wszystko na wolę Bogu i gotowym będąc z zupełną rezygnacją na wszystko, co się moim zwierzchnikom spodoba zrobić ze mną, dobrze, czy źle, przyjmę każdy los z pocałowaniem Ich ręki, bo jestem pewnym, że każdy wyjdzie dla mnie na lepsze. O Twojej tylko posady i wygody jakimkolwiek ustaleniu myślę teraz najczęściej, ale i to przecie Bóg opatrzy.“¹⁾

Pod pozorami więc rezygnacyi tliło w nim wiele jeszcze żaru zgorzknienia i niechęci. W maju przeniósł się do Baden. Opisywał z zachwytem okolice, które „majowa pora czyni teraz prawdziwie uroczemi, nie masz tam jeszcze natłoku gości i można jeszcze włączyć się samotnie po wzgórzach i skałach, można samotnie dumać nad znikomościami, które nas nieustannie wywabiają z pośród nas samych i wśród odmętu upływających chwil trzymają nas ciągle w zgubnej niepamięci na wiekiustą przyszłość.“²⁾

Zaraz jednak po chwilach takiej cichej i dobrej zadumy, przychodzą nań troski ziemskie i w tym samym liście pisze:

„Minister nasz, dla wszystkich nadzwyczajnie uprzejmy, musi być na mnie okropnie zagniewanym, kiedy dotąd ani słówka od nikogo nie odbieram z strony Jego: otóżto jest świat i jego przemijający reprezentanci!“³⁾

Wkrótce niespodzianie zmieniło się wszystko pomyślnie.

Od Rady Stanu Zaleskiego przyszło zawiadomienie, że Komisya Rządowa upoważnia Szaniawskiego „do odbycia podróży do Bawaryi dla poznania rozmaitych tamtejszych reform edukacyjnych i szkolnych i zarecza mu zwrot kosztów podróży z Wiednia do Monachium i stamtąd do Wiednia.“⁴⁾ W listy wstępuje nowy, weselszy ton i duch, ale i tu jeszcze nie obywa się bez kłopotów, bo zwraca się do Komisyi o „forszuss“ tysiąca kilkuset złp., w czem widocznie naraża się na odmowę.

Natomiast otrzymuje list od Paclawskiego z asygnacją na 600 złp. na zakupno książek dla Tow. Książ elementarnych.

Przed wyjazdem do Bawaryi udaje się, by zwiedzić stolicę Węgier, skąd pisze te tak charakteryzujące jego przekonania polityczne słowa:

„Szkoda wielka, że czarodziejskiemu położeniu nie odpowiadają bynajmniej, ani porządek, ani wewnętrzne ochędostwo, ani

¹⁾ List z 9 kwietnia 1828 r.

²⁾ List z 14 maja 1828 r.

³⁾ List z 14 maja 1828 r.

⁴⁾ 11 czerwca 1828 r.

owa pod wszelkimi względami wygodność, która tak widocznie odznacza niemieckie prowincje austriackiego państwa! tutejsi konstytucyoniści niewiele (jak widzę) przesadzają się pod względem wewnętrznej czystości i prawdziwej regularności. Kraj ten obficie jest ubogaconym we wszystko, co dogadzać może potrzebie, wygodzie a nawet i zbytkowi; lecz mieszkańcy nie dbają bardzo wiele o użyźnienie tych błogich darów, i zdaje się, że na to używają przywilejów politycznej wolności, ażeby osłabiać dobroczynny kierunek rządu, który pragnąłby prowadzić ich do staranniejszego porządku.“¹⁾

Wogóle Szaniawski nie był już teraz nigdy zwolennikiem zbytnej wolności politycznej. Charakterystyczną jest dla niego wzmianka w liście z lipca o wyjeździe Nowosilcowa:

„Smuci mnie niemało odjazd Senatora, i boję się zmian niepomysłnych.“

Pod koniec lipca przez Salzburg i Ischl przybył do Monachium. Odwiedzał tu różnych uczonych, których nazwisk nie wymienia, ale co do których wyrobił sobie przekonanie, że „nie wszystko złoto, co się świeci.“ Oglądał bogate zbiory, stwierdzał, że podróż ta nie pozostanie bez naukowej korzyści, był u „geheimrath'a“ Schellinga, ale ten zapadł właśnie na zdrowiu bardzo niebezpiecznie. Zastał go dopiero za drugim razem:

„Przyjął mnie nader uprzejmie; dopytywał się o wiele rzeczy. Nie mogłem skorzystać z Jego przyjaznej skłonności, gdyż widząc go jeszcze cierpiącego, musiałem skracać rozmowę i nareszcie pożegnać dobrego człowieka.“²⁾

Nabrał wrażenia, że tu porozumiewszy się z niektórymi „przewodnikami głębszego myślenia,“ możnaby coś pożytecznego stworzyć i ugruntować w dziedzinie prawdziwej chrześcijańskiej filozofii.

Na tem listy z tej podróży się kończą, Szaniawski powracał widocznie do Warszawy.

Miał nadejść czas wielkich przewrotów, zmian, w kraju burzyło się oddawna pod powierchnią, we dwa lata później wybuchła rewolucya 29 listopada.

Cenzor warszawski, który po powrocie stanowiska, jak się lękał, nie stracił, dawny legionista—razem z rosyjskimi urzędnikami przed narodowym ruchem uznał za konieczne ująć z War-

¹⁾ 13 lipca 1828 r.

²⁾ Monachium, 9 sierpnia 1828.

szawy. ¹⁾ I oto z Wiednia i Baden wysyła ostatnie, jakie znajdujemy listy, pisane pod wrażeniem wypadków w kraju, bardzo osobiste, ciekawe, jako bezdźwięczny już, po za siebie nie wybiegający odgłos, jaki obudziły wielkie wypadki w duszy dawnego patrioty-Polaka.

Wiedeń, d. 19 stycznia 1831 r.

„Odebrałem list Twój d. d. 5 b. m. wraz z ekspedycją oznajmującą uchylenie posad Dyrektorów Jene. w k-yi Oświecenia. Doszedł mnie także i przedostatni Twój list z d. 27 grudnia. Z mojej strony pisuję zawsze regularnie co środa i dotąd żadnej jeszcze środowej poczty nie opuściłem. Cieszę się, że Twe zdrowie służy Ci jakośkolwiek: lecz głębokie czuję zmartwienie dostrzegając, że co do środków finansowych zostajesz tam w krytycznem położeniu. Łatwo sobie wystawić mogę Twoją biedę przy obecnej potrzebie wielorakich wydatków i przy zupełnem ogołoceniu z wszelkich środków dochodu. Boli mnie niezmiernie, że nie jestem tu w możności przyjść Ci w pomoc, chociaż nieustannie o tem myślę. Miałem nadzieję, że sam tylko cierpieć będę, ale i ta nadzieja płoną okazała się. Próżno byłoby pisać do kogo w tej mierze: przystęp do serc wszędzie teraz zamyka się, a prześladowanemu nie pozostaje jak tylko cierpieć po chrześcijańsku i milczeć. Modłę się codziennie o pomoc Boga dla Ciebie i ufam, że przecież wynajdziesz jaki środek ratowania się. Oddałem Ci w ostatnich listach moich zupełną władzę rozrządzenia ruchomym i nieruchomym majątkiem naszym; chciałbym to nawet zrobić w sposobie urzędowym: dlatego nie pojmuję czemu zapytujesz mnie jeszcze o ostatnią cenę posesyi. Spuść im ile tylko będzie potrzeba; zniż ją o 20, o 30, a nawet i 40 tysięcy, jeżeli chcą tak tanio na użytek publiczny nabyć. Mnie już ta fortuna nie obchodzi, jak tylko pod względem zapewnienia Tobie swobody i wygody. Kończ zatem i ratuj się, żebyś następnie i zdrowie Twoje ratować mogła u wód, do których obiecanemu przybyciu Twemu raduję się już wcześniej. Czterdzieści przeszło

¹⁾ Na wyjazd ten, który go ocalał, nastawał usilnie Mochnacki. Młody patriota wywdzięczał mu się za to, że dawniej przy uwolnieniu go od zajęć w cenzurze, Szaniawski zdołał sobie jego rodzinę pozyskać. (O tem i o całym ich stosunku—słowa matki—Mochnacki: „Dziela,” Poznań, 1863, t. I, str. 313).

lat usługiwałem publicznemu dobru z szczerą bezinteresownością; nie będzie więc dla mnie od rzeczy skończyć w stanie zupełnego ubóstwa. Racz jedynie pamiętać, ażeby przy transakcyach zabezpieczone było i dostatecznie zawarowane dopełnienie i wykonanie warunków i obowiązków przez stronę nabywającą przejętych, mianowicie co do brzęczącej wartości pieniędzy.

„Moje zdrowie nie pogarsza się w tej zimowej porze, i owszem,—dzięki czułym staraniom szanownego i najłaskawszego lekarza wszyscy mi rokują zupełne wyrestaurowanie się, byle tylko wróciła dla mnie spokojność i swoboda, a razem błogie odczucie po tyłu niezasażonych ciosach. Tymczasem staram się wzmacniać moją chrześcijańską cierpliwość, wiedząc ile mnie tam nieznośnie szarpia nieprzytomnego. Już mnie to wcale nie dziwi, bo nadto wiele nazytałem się podobnych rzeczy po Europejskich pismach. Bóg niechaj nie pamięta mściwym! W końcu lutego postanowiłem mieszkać w Gratzu; w nader pięknym, tanim i swobodnym miejscu, pomiędzy bardzo poczciwymi góralami: jednakże zależeć to jeszcze będzie i od czasu przybycia Twego w te strony i od dalszych okoliczności zdrowia Twego i finansów Twoich oraz od Twego także wyboru.“

13 kwietnia, Wiedeń, 1831 r.

„Od dni już kilkunastu jestem bez najmniejszej od Ciebie wiadomości, gdyż po ostatnim liście Twoim nie odebrałem nic, aż do obecnej chwili. Wzrasta więc ciągle niespokojna we mnie troskliwość z tego powodu i to tem bardziej, że ustały w części przeszkody pisania, skoro Warszawa nie jest już w stanie oblężenia, a stąd większa dla mieszkańców spokojność. Troskam się jeszcze i z tej przyczyny, że nie wiem jeszcze nic o twoich dalszych układach na wiosnę i na lato, od czego także i moje dalsze w znacznej części zależą. Oczekuję więc z rzetelnem upragnieniem na Twoje listy. Tymczasem zaś ułożyłem sobie przenieść się w maju do Baden, ażeby tam odbyć wcześniej kąpiele niżeli się miejsce zapełni tłumem przybywających gości. Zdrowie moje polepsza się, ale w tych dniach odbyłem znaczną biedę kataralną. O Twoje zdrowie błagam Boga nieustannie. Polecam także Bogu wspaniałomyślnych przyjaciół, których okoliczności nie zmieniły. Pisuję regularnie co środa, jeszcze nie opuściłem żadnej środowej poczty, nie wiem tylko, czy Cię listy dochodzą...“

Baden, 24 maja 1831 r.

„Odebrałem wczoraj list Twój z d. 11 b. m.—dziękuję Ci za nadzieję sprzedaży domów: byłoby to prawdziwie cudownym wypadkiem w obecnym czasie. Za kilka dni odwiedzę Wiedeń i starać się będę nadesłać Ci akt potrzebny dla ułatwienia transakcyi. Racz tylko być baczną w układzie warunków sprzedaży. Nie wiem z kim wchodzisz w negocyacyą, lecz z każdym na wszelki przypadek potrzebne są ostrożne i wszelką okoliczność przewidujące opisy. Wyłączyć trzeba wyraźnie wszelkie wypłaty w papierach jakiegobądź rodzaju, bo w obecnych czasach żadne papiery nie mogą być pewnemi swej stałej wartości. Należy także zawarować ocalające bezpieczeństwo na przypadek zawodu w wypłacie jakowej raty i t. d. O Ciebie tu istotnie chodzi, więc działaj z przewidywaniem, bo te posesye ostatnim są środkiem dalszej „existencyi“ na tym biednym padole płaczu: reszta już padła ofiarą czasu, gdyż tak się Bogu podobało. Od miesiąca prawie nie postaćem w Wiedniu, bo finanse nie pozwalają robić przejażdżek; nie wiem, co się dzieje na świecie i z tem jest mi lepiej.

„Straszą mnie, że w Gratz przez nacisk podróżników życie stało się kosztowniejszem, jeżeliby tak było, musiałbym szukać sobie innego miejsca, o czem później doniosę.

„Z biblioteką zrób co Ci się podoba, pragnąłbym jedynie ocalić dla siebie moją pracowicie zebraną podręczną (w pokoju na dole będącą) bibliotekę; zawiera ona wielkie skarby dla ducha i stanie się po mnie nader korzystną pozostałością dla znawców wyższego życia.“

Baden, d. 21 czerwca 1831 r.

„Odebrałem przed kilku dniami list Twój d. d. 1-o Czerwca podziurawiony i poświadczony, jako przechodził przez kwarantannę. Dzisiejsza odezwa jest już ostatnia z Baden, gdyż ukończyłem kąpielną kuracyą i przedwczoraj byłem w Wiedniu z osobistym raportem u szanownego mego lekarza, który zdawał się dość kontent z stanu mojego zdrowia. Przenoszę się jutro na stałe letnie pomieszkanie do miasteczka Kloster-Neuburg o półtory mili od Wiednia: leży ono nad Dunajem, pod górami, w rozkosznej i nader zdrowej okolicy; taniść wielka, a w tantejszym klasztorze znajduje się jedna z najznacniejszych w Niemczech

Bibliotek. Przekonałem się po bliższej rozwadze, że nie wypada oddalać się za nadto od Wiednia, dopóki interes twojej dalszej existencji nie ustalą się jakożkolwiek. Na zimę, jeżeli Bóg życia pozwoli, osiądę w Gratz lub w Saybach, albo w Klagenfurt: wszystko to są znaczniejsze piękne miejsca w pobliżności od Włoch i w monarchii Austryackiej. Kosztowniejszy nieco pobyt w Baden uszczuplił mi moich finansów niemal na dwa miesiące, trzeba to teraz nadstawić przez podwojoną oszczędność w Kloster-Neuburg, skąd za dwa — da Bóg! tygodni odbierzesz dokładne uwiadomienie o mojej nowej posiadzie. Akt darowizny muszę na nowo przerabiać, ażeby nie miano prawa wymagać tu stępla odpowiadającego wartości rzeczy: tymczasem zaś działaj na mocy plenipotencji. Z nabywcami warszawskimi nie wdawaj się, jak chyba za gotowe pieniądze: w niedość ostrożnej transakcyi zguba nieochybna. Przetrzymaliśmy najokropniejszą epokę, dopomóż Bóg przetrzymać i resztę biednego czasu. Oczekuję z upragnieniem dalszych od Ciebie doniesień o ukończeniu kłopotliwych przesładowań, któremi Ciebie tak nieludzko, tak niesprawiedliwie dotknęto. Odpuść Im o Boże!”

Tak się kończy ostatni z dochowanych listów Józefa Kalasantego Szaniawskiego i ostatni list korespondencyi z 1831 r. Nie masz w tych listach, które są, żadnej wzmianki o przejmujących wówczas Warszawę wypadkach, dyktaturze Chłopińskiego, Grochowie, Ostrołęce. Konspirator z czasu Kościuszki i legionów, troszczy się jedynie swoim losem, kto wie, czy serce jego w owych wielkich chwilach zabiło — zdawna na te sprawy zamknięte.

Przeszedł krótki czas powstania. Przeszło to, co wielu było istnieniem duszy, Polska upadła raz jeszcze. Szaniawski wrócił do kraju. Gdy na wygnaniu pędzili żywot dawni jego towarzysze, dawny zwierzchnik ks. Adam Czartoryski i dawny podwładny—Mochnacki, on został członkiem najwyższego rosyjskiego sądu kryminalnego w Warszawie, przed który szły sprawy spiskowych. Umarł w wieku późnym—na emeryturze. Część jego ksiąg zakupił rząd dla biblioteki publicznej.

Droga, na którą wszedł i losy nieszczęsne kraju — tutaj go wywiodły.

MIECZ. SMOLARSKI.

Robert Schumann

(SYLWETKA JUBILEUSZOWA).

W chwili, gdy dalekiem echem rozbrzmiewają akordy jubileuszowych godów ku czci Chopina, odbiera pokrewny Chopinowi duch, Robert Schumann, w setną rocznicę swoich urodzin, hołd świata muzycznego, korzącego się przed tragedją jego życia i twórczości. W promiennych blaskach chopinowskiej sztuki postać Schumanna nietylko nie blednie, lecz przeciwnie, uwypukla się i przyobleka w słoneczną aureolę, bo jakaś tajemna nić opłótła te dwa bratnie duchy i połączyła nierozzerwalnym węzłem ich nazwiska: gdyby Schumann nie więcej nie wyśpiewał, prócz entuzjastycznego hymnu na cześć chopinowskich poematów — starczyłoby to, by mu zapewnić tytuł do naszej pamięci i hołdu.

W duszy Schumanna rozegrała się tragiczna walka między porywem ducha, rwącego się na wyżyny prometejskich zmagañ, a bolesną niemocą przetopienia wszystkich tęsknot i uczuć w słyszalny dźwięk. Z tego rozszczepienia ducha i rozdźwięku między pragnieniem a bezsiłą wyrosło męczeństwo Schumanna. Nic bardziej przygnębiającego nad jego życie: świt wróżył przyszłość, pełną blasków i radości, zmierzch życia utonął w mrokach obłędu, który stoczył wątki organizmu artysty; snadź długo nurtować musiał ten niewidzialny wróg w głębinach duszy, szerząc swe dzieło zniszczenia, bo on to wyrzeźbił ów chorobliwy rys posępnej zadumy na twarzy Schumanna, on zniemacka dobywał się na powierzchnię i zdławionym krzykiem czającej się trwogi płoszył uśmiech wesela, który pierzchał w złowrogim przeczuciu przed tajemnym demonem, on wreszcie osiadał na ustach w zaklętym milczeniu i kamienną martwością obłędnej melancholii kładł widmowe cienie na duszę Schumanna. W śmiertelnych zapasach z po-

tężnym demonem wzbierał i nabrzmiewał ból, wżerał się coraz głębiej, aż wybuchnął straszliwym jękiem bezdennej rozpacz: z bólu narodziła się muzyka Schumanna.

Nazwano Schumanna „pogrobowcem romantyzmu“ — i słusznie. Wykarmiony poezją Jean Paula i fantasty E. T. A. Hoffmanna wzrósł Schumann w atmosferze, przesyconej romantycznym tonem, w kręgu ideałów, które pieściła fantazyja, podniecona egzaltacją uczuć, odwracająca się od szarej rzeczywistości ku legendowym światom mistycznego średniowiecza. Najszlachetniejsze dążenia romantyków, by życie wysubtelnić i przepoić poezją, ich tęsknota za syntezą sztuki, zamykającej w sobie słowo i dźwięk, linię i barwę, za „uniwersalną“ poezją, działającą bezpośrednio na uczucie, oto węzły, zespalające twórczość Schumanna z romantyzmem. Romantyzm — to jedno z najbardziej charakterystycznych znamion w muzyce Schumanna.

Lecz w romantyzmie nie wyczerpuje się całkowicie indywidualność twórcza Schumanna. Ponad wszystkim góruje odrębny, subiektywny wyraz, uderzający na pierwsze wejście i zabarwiający specyficznym tonem każdą nutę schumannowskiej muzyki: wiośniany czar i szczerłość uczucia, subtelna, niemal kobieca wrażliwość, która tętni nerwowem podnieceniem, miękki liryzm, rozptylający się w melancholijnem marzeniu, nieświadomy, wizyjnerski stan, wahaający się między półsnem a jawą, i krótkie, urywane błyski myśli, jędrne w swej koncentracji i sile wyrazu.

Często spotykana u romantyków i w dobie poromantycznej dwoistość talentu literackiego i muzycznego (E. T. A. Hoffmann, Berlioz, Cornelius, Liszt, Wagner) występuje także u Schumanna: w jednej osobie poeta i muzyk, powołany był do urzeczywistnienia estetycznych ideałów romantyki. Ta dwoistość talentu objawiła się bardzo wcześnie: żyłka literacka, odziedziczona po ojcu, ruchliwym księgarzu-naktadcy, skłaniała go do poezji; pierwsze próby poetyckie, wiersze, pisane pod wpływem Jean Paula, sentymentalne powieści zapowiadały poetę niezwyklej miary. Obok tego tlał jeszcze słabym płomieniem zapał do muzyki, nie znajdujący dość silnej podniety w atmosferze domowej. Przez długi czas wahał się między poezją a muzyką, lecz niejasne zrazu umiłowanie muzyki przerodziło się z wolna w namiętność i wybuchnęło potężnym żarem ognia: muzyka zwyciężyła.

Schumann porzucił rozpoczęte studia prawnicze, a poświęcił się wyłącznie muzyce i z wyczerpaniem wszystkich sił, niemal w chorobliwym napięciu gorączki zagłębił się w nową sferę ducha, jakby chciał jednym tchem wchłonąć w siebie upragnione światy

i nadsporyć spóźniony czas i braki. Z dzieł Bacha i Schuberta czerpiąc nieocenione skarby wiedzy, oddał się grze fortepianowej i niebawem pod systematycznym kierunkiem pianisty Fr. Wiecka (ojca słynnej Klary W., późniejszej żony Schumanna, niezrównanej interpretatorki jego utworów) ovladnął wszystkimi tajnikami fortepianowej techniki, a nawet postanowił pod fascynującym wpływem gry Paganiniego poświęcić się karierze wirtuozowskiej; lecz paraliż ręki, spowodowany zbyt forsownem ćwiczeniem, zmusił go do porzucenia tej myśli i skierował na właściwe pole sztuki, rzucając go wyłącznie w ramiona twórczości.

Do nowego zawodu artystycznego wnosił Schumann, prócz muzycznego geniuszu, pierwiastek poetycki i siłę intelektualną, opartą na głębokiej wiedzy i ogarniającą najrozleglejsze widnokręgi. Z młodzięcym zapałem wystąpił w szranki, by pod znakiem romantyki odrodzić zastygającą w skostniałym formalizmie uświęconej tradycji sztukę i pobudzić ją techniem młodości do nowego życia. W związku z ogólnym prądem romantyki, wyzwalającej się z krępujących więzów konwensu, stawiającej sztukę nie jako abstrakcyjne bożyszcze ponad życiem, ale jako bezpośredni wyraz życia, odzwierciedlający wszystkie jego otchłanie i wyżyny — nastąpił i w muzyce zwrot od szerokiej plastyki i „klasycznego“ spokoju formy sonatowej ku subiektywnym światom uczuć i myśli, ku nowym formom, wyrosłym z ducha epoki: stało się to pod wpływem „ostatnich“ kwartetów Beethovena. Nie symfonie, mieniące się przepychem barw orkiestralnych, lecz krótkie poematy nastrojowe, urywane strzępy myśli, subtelne impresye zamknęły w sobie wszystkie uczucia i tęsknoty nowego pokolenia, wyśpiewały jego duszę.

Stąd i u Schumanna przeważa forma muzycznej *miniatury*. Napozór bezładne, pozbawione planu, bez wyrazistych konturów i jasno określonej formy „klasycznych wzorów,“ mają przecież te miniatury, tworzące cykliczną całość, nadzwyczaj logiczną, odrębną i związaną z wewnętrzną treścią, budowę. Dalekie od grubego sentymentalizmu i płytkości mendelsohnowskich „Pieśni bez słów“ („Lieder ohne Worte--und Sinn,“ jak je dowcipnie nazwał jeden z krytyków), istne pieścidełka, pełne cieniowań, olśniewają czarem harmonii, pozbawionej wprost materialnego dźwięku, śmiałością pomysłów i w swej eterycznej miękkości, rozplywającej się we mgle pastelowej kolorystyki, zdają się rozsiewać upajającą woń. Na fali uczucia wypływa myśl krótka i zwięzła, błysnie na chwilę, by miejsca ustąpić innej, która również ledwo muśnie przelotnie powierzchwnie, już pierzcha. Motywy muzyczne w „Mi-

niaturach“ schumanowskich, z natury rzeczy krótkie i skoncentrowane, nie nadają się wprawdzie do rozsnucia w najrozmaitszych odmianach tematycznych, lecz właśnie ujęte w niewielkie ramy lirycznych poematów, odsłaniają całą skalę piękności i siłę charakterystyki.

Objawia się w nich bowiem ścisły związek między myślą muzyczną a konkretnym obrazem i silna tendencya do oparcia się o program poetycki. Przeprowadzając praktycznie zasadę E. T. A. Hoffmanna o przesyconiu muzyki pierwiastkami poetyckimi, nie kusił się Schumann o to, by niewolniczo trzymać się programu i wszystkie szczegóły wiernie illustrować, bo by to wykaczało poza sferę muzyki, lecz pragnął przedewszystkiem oddać to, co stanowiło uczuciową substancję poetyckiego obrazu, odtworzyć jego wewnętrzny nastrój. Stąd te fantastyczne, literackie tytuły utworów, jak *Papillons*, *Carneval*, *Kreisleriana*, *Kinderscenen*, *Novelletten*, przyczem nie należy zapominać o tem, że Schumann nadawał je dopiero po skomponowaniu.

W tych „Miniaturach“ muzycznych staje Schumann przed nami jako subtelny malarz psychicznych stanów, zdolny najlżejszym drgnieniom duszy, wszystkim pragnieniom, porywom i walkom nadać właściwy wyraz. W cudownej mieszaninie powiewnego wdzięku i wiośnianej pogody, w tajemnym mroku łązawej zadumy i melancholijnej skargi, w dusznej, oszałamiającej zmysły atmosferze namiętej tęsknoty przemawia bezpośrednio dusza artysty i oplata czarodziejską nicią duszę słuchacza. Urokiem poufnej, osobistej spowiedzi owiane są i „*Fantasie-Stücke*“ (z popularnem „*Warum*“) i niezrównane „*Kinderscenen*“, sączące przez mgłę odległych wspomnień wrażenia lat dziecięcych, i „*Karnawał*“, tryskający życiem i humorem, pełen subtelnej rytmiki ze słynnym marszem „*contre les Philistins*“, jakby symbolem wiecznie żywej i młodej siły, idącej w zapasy z martwością tępego zastoju.

Na jedną charakterystyczną nutę w muzyce Schumanna zwrócić należy uwagę: oto wśród pogody, wybuchów śmiechu i wesołości nagle milknie nuta taneczna, głos się załamuje, wesołe rytmy pierzchają, zmęczone nagłym dreszczem niepokoju i trwogi, śmiech rozpływa się w melancholijnej tęsknocie, głuchy nastrój cichej rezygnacyi kładzie się chmurą smutku i posępnej żałoby. To czuwa—demon obłądu! Tak brzmią „*Nachtstücke*“ op. 23 mroczne nastroje nocy, gorączkowe majaczenia podnieconej wyobraźni, spowite ciężką oponą głębokiego przygnębienia: wizye pogrzebów, korowody duchów z rozwianym włosom na głowie i roz-

paczą przerażenia na twarzy. Ten sam ponury, zasadniczy ton dźwięczy w niektórych fragmentach większych utworów, jak w finale F-moll Koncertu („sans orchestre“), gdzie przybiera prawdziwie wizyonerskie kształty i wybucha istnym orkanem namiętności, lub w Sonacie fis-moll, która płonie demonicznym żarem i wre, jak kipiący gejzyr, w ekstazie bolesnego szału.

W twórczości Schumanna fortepian był wyłącznym tłumaczem myśli i przebogatej skali uczuć. W utworach fortepianowych spoczywa nie tylko najpoufniejszy świat osobistych przeżyć artysty, ale zarazem tkwi główna siła i postępowy charakter muzyki schumannowskiej, gdyż ich styl stał się punktem wyjścia dla nowoczesnej techniki fortepianowej. Wszystkie zdobycze techniczne, świetnie rozwinięte przez Chopina i Liszta, jak bogata figuracja, niezwykle efekty dźwiękowe, szeroko rozłożone akordy, użycie pedału dla gry wiązanej spotykamy w zarodku u Schumanna, traktującego fortepian polifonicznie, orkiestralnie (por. „Études symphoniques“); na miejsce błyskotliwego wirtuozostwa passażów stworzył Schumann styl, wyrosły organicznie z fortepianu i natury jego dźwięku i nadający niezatarte piętno nie tylko kompozycjom fortepianowym, ale i orkiestrowym: symfonie schumannowskie, mimo niezrównanych piękności lirycznych i istic beethovenowskiej głębi, pozbawione są kolorytu orkiestralnego, gdyż pomysłane przy fortepianie, potem zostały wtłoczone w ramy instrumentacji. W fortepianowych poematach Schumanna, stanowiących młodzieńczą epokę jego twórczości, spotyka się najwięcej błysków prawdziwie genialnych; tu przejawia się najściślej łączność jego muzyki z duszą współczesną i tu tkwią zasadnicze pierwiastki jego wpływu na Francję i Młodą Rosję, z którymi go łączy wiele punktów stycznych.

Wyrazem poufnych spowiedzi duszy i serca i najcenniejszym osobistym dokumentem są, obok miniatur fortepianowych, „Pieśni“ Schumanna, stworzone w r. 1840, w czasie walki o rękę Klary Wieck i wynikłych stąd denerwujących przeżyć duchowych. Oparte na liryce romantycznej Heinego, Rückerta, Eichendorffa, Chamissa, odznaczają się nie tyle siłą inwencji melodyjnej, ile raczej poetyckim nastrojem, stapiającym najściślej słowo z dźwiękiem muzycznym, głębią i szczerością uczucia, subtelnym kolorytem harmonii, a przede wszystkim pogłębieniem partyi fortepianowej. Zwłaszcza tam, gdzie myśl lub treść uczuciowa liryki zbyt skomplikowana nie da się bez reszty wypowiedzieć śpiewem, tam fortepian, wyzwalając się ze swej biernej roli wtóru, wlokącego się za melodyą, staje się tłumaczem myśli i w dłuższych preludjach

snuje symfoniczne przedziwo tonów, odzwierciedlając duchowy nastrój utworu; chwilami osiąga fortepian taką przewagę nad śpiewem, że przytłacza melodyę i narusza wewnętrzną harmonię pieśni. Ale to wyjątkowo: gdyż w zasadzie stały się „Pieśni“ Schumanna tak pod względem faktury, jak prostoty wyrazu i szczerości uczucia, „klasycznym“ wzorem muzycznej liryki i przygotowały nowoczesną pieśń, skryształizowaną w twórczości Corneliusa i Hugona Wolfa. Zwłaszcza w nastrojach miękkich, marzycielskich lśni dusza Schumanna kryształem najczystszych barw („Mondnacht“) lub w pieśniach, uderzających w ton ludowy, tchnie liliową białością wzniesłego natchnienia („Marienkäferchen“).

Równoległe z twórczością muzyczną rozwijał Schumann działalność krytyka: w roku 1834 założył pismo „Neue Zeitschrift für Musik,“ mające skupić wszystkie postępowe żywioły do bezwzględnej walki z wstecznictwem, filisterstwem, zepsuciem w dziedzinie sztuki. Obok osobistych zalet charakteru wnosił Schumann do zawodu krytyka głębokie wykształcenie i niezwykle czytanie, wytrawny sąd, przepyszny styl, owiany urokiem fantazyi, intuicyę artystyczną, zdolną wnikać w najgłębsze otchłanie ducha. Około tego pisma grupować się miał idealny „Davidsbund,“ związek, istniejący tylko „w głowie założyciela,“ z królem Dawidem, zwycięzcą Filistynów, jako patronem na czele; członkowie, noszący fantastyczne imiona, to nie realne postacie, ale symbole dwójstej natury Schumanna, portrety jego duszy: Florestan, namiętny i niepohamowany rewolucjonista, gwałtownego przewrotu żądny, i Euzebius, melancholijny marzyciel, rozplywający się w miękkich nastrojach i subtelnych półtonach uczuć. Z nowego pisma idzie rzeczowa, krytyczna ocena wszystkich współczesnych objawów życia muzycznego, bez żółci, bez służalczego hołdu dla uznanych autorytetów, pełna zrozumienia dla każdej artystycznej formy, w której widzi tylko zewnętrzny środek wyrazu, będący wypadkową formą prądów, panujących w pewnej epoce. Z nowego pisma płyną hasła, które budzą cześć dla indywidualnych światów artysty i kształcą świadomość ogółu dla odczucia i zrozumienia arcydzieł; jak głos fanfary brzmi pobudka: wypłenić chwasty! precz z dogmatami estetycznymi! młodości, czynu, postępu!

Czy Schumann śpiewa pochwalny hymn na cześć chopinowskich poematów, poruszających współbrzmiające struny jego duszy, lub ocenia rewolucyjny czyn Berlioza we wzorowej pod względem metodycznym analizie, czy odsłania mistyczne światy piękna, zakute w szubertowskiej Symfonii (C-dur), którą z pyłu archiwalnego odgrzebał, lub zrażony do wewnętrznej próżni muzyki Meyer-

beera smaga biczem nielitościwej krytyki jego „Hugenotów“ — zawsze na dnie duszy drga idealizm, owiany głębokiem uniłowaniem sprawy. Krytyczne pisma Schumanna ujęły w widomą formę to, co ówczesne pokolenie w tęsknocie za „prajednością sztuki“ instynktownie odczuwało; głosząc zasadę syntetycznej sztuki, dał Schumann potężny impuls na przyszłość i stał się pionierem nowoczesnej muzyki i jej estetyki.

A przecież te rewolucyjnym duchem przesiąknięte pisma Schumanna stały się powodem krzywdzących ataków ze strony obozu „wagnerowskiego,“ nie mogącego mu przebaczyć, że on, który z entuzjazmem powitał młodzieńcze utwory Chopina, zamknął swoje krytyczne pisma apoteozą pseudoklasycznych sonat Brahmsa, którego przeciwnicy Wagnera wysunęli jako swego rzecznika przeciw nowemu bojownikowi na polu sztuki. Pod kątem widzenia późniejszych przeciwieństw, wyrosłych między Schumannem a Wagnerem, rozpatruje wroga opozycya schumannowska z błędnego stanowiska jego twórczość kompozytorską, starając się obniżyć rolę Schumanna w dziedzinie muzyki na korzyść jego zasług literackich i zarzuca mu, że muzyka jego pozbawiona jest charakteru bezpośredniości, jest czemś nieorganicznem, sztucznie zaszczerpienem w jego duszy, że Schumann tworzył bez wewnętrznego impulsu, gdyż był talentem literackim, czego dowodem jego młodzieńcze utwory poetyckie, podczas gdy muzyka nie była naturalnym wyrazem jego duszy. Schumann to — według nich — „zaściankowy talent,“ „ulubieniec muzycznego filisterstwa“ (M. Graf.). Na poparcie swych wywodów przytaczają przeciwnicy fakt, że Schumann nie odziedziczył talentu muzycznego, gdyż w rodzinie nie było tradycyji muzycznych, że się wysilił w walce ze swoją naturą i popadł w obłąd, płynąc przeciw prądowi, bo twórczość muzyczna, zamiast dać mu wyzwolenie, stała się klątwą, pod brzemieniem której duch jego się ugiął.

Mimo jednostronnego zabarwienia, przebijającego się z tych zarzutów, nie da się zaprzeczyć, że jest u Schumanna obłądne pragnienie czynu i niezdrowa ambicya, chwytająca się najśmielszych pomysłów i porywająca się na dzieła gigantyczne, które stanowczo przerastają jego wątłe siły. W przystępie owładającego nim „obłądu wielkości“ tworzy Schumann dzieła symfoniczne (symfonie C. Es.), choralne („der Rose Pilgerfahrt“) coraz większych rozmiarów, aż w końcu pragnie ogarnąć muzyką swoją najgłębszą tragedycę ludzkiego męczeństwa: „Fausta.“ Wprawdzie miłośna liryka „Fausta“ i fantastyczny pierwiastek nadzmysłowych światów znalazły w muzyce Schumanna współdzwicznuy

ton, lecz dla odtworzenia poetyckich głębin, podniosłego patosu i mistycznej sfery ducha, zamykającej w sobie melancholie wszechludzkiego bólu—cichy liryk nie zdołał wydobyć wymownych akcentów, wstrząsających dramatyczną siłą. Naiwnością jest zdanie, że muzyka Schumanna do II części „Fausta“ stanowi najlepszy komentarz, odslaniający allegoryczny mistycyzm poematu, niedostępnego dla zrozumienia ogółu, gdyż — jak trafnie powiedział jeden z współczesnych estetyków—faustowskie „sceny“ Schumanna—to „niedojrzały embryon operowy bez wydatniejszej charakterystyki instrumentalnej i wokalne.“

Pod wpływem nieprzyjaznych sądów opozycji o muzyce Schumanna powszechne uwielbienie dla jego sztuki poczęło słabnąć i z dniem każdym malała liczba zwolenników. Dopiero krytyczna ocena jego twórczości, napisana przez d-ra A. Seidla („Wagneriana“ t. II, „R. Schumann und die Neudeutschen“), podkreślająca silną indywidualność artystyczną Schumanna, postępowy charakter i zdobycze jego muzyki, spowodowała korzystny zwrot w ogólnej opinii. D-r Seidl pełną wymierzył Schumannowi sprawiedliwość, dowodząc, że jego twórczość należy uważać za pośrednie ogniwo między romantyzmem a „szkołą weimarską,“ że muzyka jego wypłynęła z tych samych założeń i tendencji, co muzyka Wagnera i Liszta. W „Genowefie“ (tekst Hebbła) orkiestra jest środkiem dramatycznego wyrazu i symfoniczną tkaniną, ściśle zespoloną z akcją i uzupełniającą psychologiczne tło dramatu; Symfonia D-moll, pomyślana jako „symfoniczna fantazyja,“ rozsadza tradycyjną formę sonatową, zestawiając obok siebie bez pauz poszczególne części orkiestralne, spływające w jednolitą całość i formalnie toruje drogę „symfonicznym poematom“ Liszta; tematyczne rozsnucie myśli muzycznej w utworach Schumanna wyprzedza wagnerowską technikę „przewodnich motywów“ (Leitmotiv).

Zarzut, że muzyka Schumanna była czemś „sztucznie zaszcze-pionem“ w jego duchowym organizmie, że nie płynęła bezpośrednio ze źródeł duszy, jest bezpodstawny, gdyż w cudownym zespole dwoistego talentu jego geniusz muzyczny płonął jasnością tęczyowych blasków i najłżejsze poddmuchy uczucia, które poruszały wrażliwe, niby harfy, włókna jego duszy, przetapiał na dźwięki, drgające echem serdecznych bólów, tęsknot i umiłowań. Dość wsłuchać się we wspaniałą muzykę do „Manfreda,“ w której twórcza fantazyja Schumanna wzbija się na najwyższe szczyty: muzyka, spowita w ponury koloryt melancholijnej liryki, stanowi kongenialny wyraz byronowskiego poematu.

A jakąż czarowną moc i skarbnicę muzycznych piękności kryje w sobie schumannowska muzyka komnatowa, a w szczególności „kwartety smyczkowe,” w których wyśpiewała się narzycałsko-shelleyowska natura artysty, tęsknym smutkiem przepojona i do kontemplacji skłonna! Ujęte w poszczególne ustępy nastrojowe subtelnością wypieszczonych szczegółów tematycznych, intymnym charakterem i szczerością uczuć odsłaniają cztery instrumenty zespołu w całej nagości duszę Schumanna; zwłaszcza jeden z instrumentów, posępna wiola, szczególnie przez Schumanna umiłowana, drga oddźwiękiem osobistych uczuć, melancholijną nutą tęsknicy i skargi.

Najwybitniejszym rysem w sztuce Schumanna jest liryzm, rozplywający się w nieokreślonych stanach subiektywnych nastrojów. Ten dominujący ton liryczny w jego artystycznej indywidualności sprawił, że utwory dramatyczne i symfoniczne, wymagające plastycznej siły charakterystyki, śmiałych linii, perspektywicznych rzutów i epicznego spokoju, pozbawione są przejrzystości i otulone mgłą, zacierającą kontury myśli: stąd nierówność i niejednorodność tonu; obok części, stojących na wyżynach natchnienia, jest wiele ustępów słabych.

Lecz nad wszystkim unosi się niezaprzeczone znanie geniuszu.

Gdybyśmy w dziedzinie ducha szukali pokrewnej Schumannowi postaci, to dziwną analogię znaleźlibyśmy w przedwcześnie zgasłym pieśniarzu, Hugonie Wolfie. I w jego muzyce dźwięczy ta sama schumannowska melancholia, liryzm i łzawa zaduma, i w jego życiu ten sam posępny ton i tragizm bolesny; a gdy duch jego pograżył się w mrokach obłądzenia — i on w zamachu samobójczym szukał wyzwolenia z męczeństwa życia.

JÓZEF WŁADYSŁAW REISS.

PAMIĘTNIK DEOTYMY.

V.

O własnych skrzydłach.

Bóg jednak nie pozwolił, ażebym została w zupełnych ciemnościach. I tu jest jedna z chwil mego życia, w których najwyraźniej dostrzegam celowe działanie Opatrzności.

Oto w czasach, gdy słońce mego szczęścia zaczęło się już chylić do zachodu, wtedy właśnie, od drugiej strony widnokrewn wzeszła cicha gwiazda Przyjaźni, tak, że choć później noc nastąpiła, nie straciłam drogi, bo błękitny promyk tej gwiazdy zaświecił mi dobroczynnie i dotąd świeci jak drogowskaz.

W owej chwili osierocenia od moich najbliższych nie doznałam tyle opieki, ani tyle serca, ile mogłam ich się spodziewać. Jedna tylko moja przyjaciółka, pani Eugenia Wolff, okazała mi bezgraniczne poświęcenie, była mi niezłomną podporą, mądrą radą i niewyczerpaną pociechą, tem cenniejszą, że nie usiłowała pocieszać mnie czczemi słowami, ale umiała razem ze mną płakać. Ach, i ona była cierpieniem już wypróbowana! Już sama opłakiwała dwoje najmilszych dzieci... A ileż innych ciosów jeszcze ją czekało! Ileż klęsk serdecznych miałyśmy jeszcze razem w ciągu lat przeboleć!

Nie dziw, że znalazłszy w niej tyle wspólnych uczuć i myśli, zamarzyłam o zamieszkaniu pod jednym z nią dachem. Na nieszczęście, w domu przez nią zajmowanym nie było wówczas żadnego wolnego mieszkania. Oczekując pomyślniejszej pory,

musiałam tymczasowo umieścić się gdzieindziej, mianowicie w domu Olechowicza, gdzie moja ciotka, wojewodzina Wodzińska, i moja kuzynka, księżna Lucyanowa Woroniecka, miały swoje miejskie *pied-à-terre*.

Sąsiedztwo było przyjemne, ale złudne. Te panie spędzały wiosnę, lato i jesień na wsi, a tylko parę zimowych miesięcy poświęcały Warszawie. Tym sposobem przez większą część roku byłam zupełnie osamotniona i to w Jeruzolimskiej Alei, naówczas jeszcze tak odludnej, że nieraz wieczór z ganku mego słyszałam rozpaczliwe krzyki przechodniów, napastowanych przez nocnych rabusiów. Ta samotność mocno mi się dała we znaki. Co więcej, mieszkanie moje stało się wkrótce za ciasnem, bo z powodu zaszłej wtedy śmierci mego szwagra, musiałam zająć się potomstwem, pozostałam po mojej siostrze, brać do siebie to jedną, to drugą panienkę, i tak odtąd mi już wypadło nie od starszych być przygarniana, ale samej młodszych przygarniać.

Dzięki Bogu, niedługo potrwiał ów popas na Jeruzolimskim pustkowiu. Już w 1871 roku znalazło się prześliczne i stosowne dla mnie mieszkanie w tym samym domu (naówczas Okęckiego), gdzie mieszkała od lat kilku moja przyjaciółka. Wprowadziłam się tam z radością, a zadowolenie moje zyskało jeszcze trwalsze podstawy, gdy w następnym roku dom ten przeszedł na własność samychże państwa Emanuelostwa Wolffów. Odtąd mogłam się już nie lękać żadnych zmian ani rugów.

Istotnie, oto już przeszło ćwierć wieku przeżyłam w tem uroczem siedlisku, które ma wszelkie zalety, bo znajduje się w środku miasta (na rogu ulic Królewskiej i Marszałkowskiej) — posiada cały szereg okien, wychodzących na ogród Saski (na który tym sposobem już z trzeciej strony spoglądam), a co najważniejsze, czyni mnie sąsiadką pani Eugenii tak bliską, że choć mieszkamy zupełnie osobno, możemy w każdej porze się widywać, i czy to z książką, czy z robótką, czy w rozmowie, czy w zadumaniu snuć coraz nowe ogniwa tej trzydziestoletniej przyjaźni, w którą życie wplotło już tyle cichych uśmiechów i tyle podniosłych smutków.

Pomnąc na odwieczne zdanie, że „dom jest wyłącznem królestwem kobiety,“ i będąc z wrodzonej skłonności zabita *domatorką*, postanowiłam urządzić sobie mieszkanie tak ładnie i tak stosownie do moich upodobań, aby dom stał się dla mnie prawdziwie przyjemnym. Więc biblioteka dostała ściany i umeblowanie czerwone, szafy do książek cienne a duże, bo już ich liczba niepomierne wzrosła. Tu stanęło biurko po moim ojcu, sprzęt

szacowny i niesłychanie wygodny, przy którym większą część życia przepędzam. Tu stoją szafki z pamiątkami po rodzicach, tu z rzeźbionej niszy świeci wizerunek Przyjaźni. Z tej komnaty usunęłam wszelakie złotości, niema też w niej ani obrazów, ani sztychów (których nie cierpię na ścianach), ale same są tylko rzeźby, posągi na konsolach, popiersia na szafach. Klasyczne ich profile pięknie odbijają od szkarłatu murów i surowy nieco wygląd tej siedziby rozjaśniają swoją promienną białością.

Tuż obok położony, nieduży pokój jadalny przystroiliłam po maurytańsku, niby jeden z pieściwych alkierzyków Alhanbry.

Salon tu znalazłam bardzo piękny, z gankiem i widokiem na ogród. Salonowi nie pożałowałam już złota, które zaświeciło z obić i zwierciadeł. Wierna wspomnieniom domowym, ubrałam go w meble i firanki *złote*. U ścian zawisły też same Sybille, też same portrety familijne, co patrzyły na cały przebieg poniedziałków. A i tu miały na co patrzeć. Jeżeli jednak się tak stało, to pomimo mej woli, a nawet poniekąd przeciw mojej woli.

*

*

*

Gdy po stracie rodziców zostałam się sama jedna, towarzystwo warszawskie okazało mi niezmierną, nadspodziewaną życzliwość. Jeszcze nie wyszłam z pierwszych miesięcy mojej drugiej żałoby, a już się u mnie drzwi nie zamykały. Duchowni i świeccy, magnaci i literaci, matrony i panienki, dygnitarze i młodzież, wszyscy mię nawiedzali z oświadczeniami przychylności, z ofiarowaniem usług.

Ach, i to jeszcze zawdzięczałam rodzicom, których szanowna pamięć i dobroczynne wpływy jednały teraz córce tę serdeczną wypłatę. I nie był to wybuch jednorazowy, ale nastrój ciągły, coraz to gorętszy. Mijały tygodnie i miesiące, a dzwonek u drzwi nie odpoczywał. Czy w dzień czy wieczór, zawsze miałam dom pełen gości. Dla serca mego ten objaw ogólnej życzliwości był nadzwyczaj słodkim. Z innych względów jednakże był on i nieco uciążliwym, bo zabierając mi wszystkie niemal godziny, nie zostawiał mi czasu wolnego do pracy.

A do tej pracy już powoli wracałam. Ach, cóż było robić? Pan Bóg nie chciał mnie przepuścić za furkę doczesnego żywota.

Przeciwnie, częściowo przywracał mi zdrowie. Były to znaki aż nadto wymowne. Jeśli jeszcze cierpiał mnie na ziemi, to zaprawdę nie po to, abym, założywszy ręce, wyczekiwała śmierci, ani po to, abym od rana do nocy przyjmowała gości. Jeśli mi żyć kazał, to była wskazówka, że mam jeszcze do spełnienia jakiś obowiązek. Jaki?—nietrudno było zgadnąć. Cała przeszłość mówiła mi najwyraźniej, że nie żaden inny, jak tylko ów jasny, prosto w oczy bijący, obowiązek zużytkowania danych mi zdolnostek i wywiązania się z długu, zaciągniętego względem społeczeństwa.

Wszystko to sobie dobitnie powiedziałam i, jak więzień, który, zamiast uwolnienia, słyszy wyrok, skazujący go na nowe roboty, z ciężkiem westchnieniem zabrałam się do pracy. Ale—jak wyżej natraçałam — do tej pracy potrzeba mi było dużo wolnego czasu, zwłaszcza godzin wieczornych, w których zawsze Muza jest mi najpowniejszą.

Czyniąc zatem ofiarę z przyjemności dla obowiązku, postanowiłam sobie, jeden tylko wieczór w tygodniu poświęcać przyjaciołom, a wszystkie inne spędzać samotnie z piórem i książkami. Taki był początek moich tygodniowych przyjęć.

Jak się pokazuje z tej szczerej opowieści, nie myślałam wcale o zakładaniu żadnego *salonu*, przeciwnie, przez długi czas wypierałam się solennie podobnego zamiaru, aby nie przypuszczano, że chcę naśladować nieporównane poniedziałki, lub dotwarzać jakiś ich „ciąg dalszy.“ Nie, tak hardą, ni tak zarozumiałą nie byłam. Wskazując najbliższym jeden dzień w tygodniu, sądziłam, że będą to ciche, skromniuchne „herbatki,“ na które przyjdą dwie lub trzy osoby. Tymczasem, nie upłynęło kilka tygodni, a już przychodziło ich po kilkadziesiąt. Jedni przyprowadzali drugich. Wszystko wrzało życzliwością, przeciw której trudno było zgryźliwie się bronić. Znów artyści napełnili moje pokoje mnóstwem portretów i popiersi, znów moje szkatułki zakwieciły się odezwaniami łaskawych poetów i przeróżnych pisarzy.

Dla zajęcia tak licznych gości, nie wystarczała rozmowa, która w dużem zgromadzeniu źle się nawiązuje. Poszukałam pomocy w muzyce i ta przez lat kilka rżęsiła mój dom ożywiła. Szukałam jej skwapliwie i w kole piszących, ale tutaj mało spotkałam współdziałania. I nie tylko wówczas, ale i przez wszystkie następujące lata, zawsze mi było ciężko namówić kogo z literatów albo literatek do czytania w moim salonie. Żądano wprawdzie, ażebym ja ich zastąpiła. Otóż wyznaję, że z początku czyniłam to niechętnie; we własnym domu wysuwać zawsze na przód

swoją własną osobę, to mi się zdawało rzeczą niewłaściwą. Wszelako, wiele ten robi, co musi. W braku innych czytań, musiałam uciec się do własnych i zaczęłam częstować gości owocami tej mojej pracy, która przez inne dni tygodnia po cichu dojrzewała.

Kierunek jej znalazł się już w duszy gotowy; był to ten sam, który na kilka lat pierwej poruszyłam w Wandzie, a którego drganie jeszcze nie ustało, bo jeszcze go do dna nie wyczerpałam. Zawierał on dwa pierwiastki: pogląd na tak zwaną dziś „kwestyę kobiecą“ i odwiecznie z nią związany pogląd na miłość w jej romansowem znaczeniu.

Tej ostatniej struny mogłam śmiało dotykać teraz, kiedy już weszłam w moją drugą młodość. Więc przyglądałam się sercom ciekawie, podpatrywałam ich grę w pół zakrytą. Z tych to studyów idealno-artystycznych powstały w ciągu lat kilku różne poemaciki i wiersze ulotne, jak np.: „Noc Świętojańska,“ „Ty pójdziesz górą, ja pójdę doliną,“ „Objawienie się Muzy,“ „Śpiew na dwa głosy,“ „Wyznanie,“ „Oczekiwanie,“ „Pożegnanie,“ „Biała róża,“ „Oda do miłości,“ „Powrót gołębia,“ a nieco później i „Trzy róże.“ Streszczeniem zaś poglądów na „kwestyę kobiecą“ był wiersz p. t. „Stanowisko kobiety.“

Powstawały też i poezye osnute na innych wątkach, jak „Sen,“ „Pieśń błękitna,“ „Królestwo ideału,“ „Symfonia życia.“ Ta ostatnia została pięknie odegrana w Wielkim teatrze w Warszawie na setną rocznicę urodzin Beethovena. W tych wszystkich utworach zauważyłam niezaprzeczony postęp. Miały one pewną miękkość zarysów, a zarazem i jędrność kształtów, na którą przed laty kilkunastu nie byłabym umiała się zdobyć. Pozbyłam się też nakoniec owej zbytecznej obfitości, co zwykle wybuja na młodocianym gruncie; dawniej wpadałam ciągle w epizody, schodziłam co chwila na jakieś boczne ścieżki, co mnie kusiły i odciągały od głównej prostej drogi, tak, że po spokojnem odczytaniu całości musiałam odcinać tu sto, tam dwieście wierszy, które same z siebie były dobre, ale niezupełnie potrzebne, a zatem najzupełniej niepotrzebne. Teraz tym fałszywym pędem nie pozwałam się rozrastać i mój ogródek zaczął wyglądać porządniej.

Trudno jednak było na kaźden tydzień upiec nową poezyę, a moi goście wciąż się dopominali nowych i skarżyli się, że ich głodzę. Wśród jednego z takich ogłodzeń przypomniałam sobie rękopisn „Wandy,“ której nikt jeszcze nie znał i, powiązawszy niedokończone sceny, zaczęłam ją czytać na moich zebraniach. Prawda, że „Wanda“ kosztowała mnie dziesięć lat rozmyślenia i kilka lat wielkiej pracy, nigdy jednak nie przypuszczałam, aby

mi się miała tak sownie opłacić. Co to za cudne były tygodnie owych czytań! Goście moi nie chcieli wierzyć, aby rzeczy równie „ogniste“ mogły wyjść z pod pióra owej niby *chłodnej* autorki. Przyjmowali je też ognście, i wtedy to po raz pierwszy uczułam ów prąd elektryczny, który nawiązuje się niekiedy między mówcą a słuchaczami. Co tydzień on wzrastał, aż nakoniec roztopił się w rzewnem rozczuleniu, gdy mi podano dary, mające upamiętnić te drogie dla mnie chwile. Było to wspaniałe *album* do fotografii, z wyrzniętymi na srebrze scenami z dramatu, pyszny *świecznik*, przy którego symbolicznych płomieniach odbywają się odtąd wszystkie moje czytania, i, wykonany przez Syrewicza, prześliczny *posążek Wandy*, który od tej chwili stale zdobi kolumnę mego biurka. Na domiar uroków, urządzono w Wielkim teatrze *Obrazy z żywych osób*, przedstawiające różne sceny z „Wandy.“ Wchodziło do nich aż osiemdziesiąt osób, samych amatorów i amaterek z naszego towarzystwa. Stroną artystyczną kierował bardzo biegle wielki mój przyjaciel, Aleksander Lesser, i wszystko udało się przedziwnie. Przedstawienie zostało powtórzone dwukrotnie, raz na cele dobroczynne, drugi raz na młodzież uniwersytecką. Ile tam doznałam chlubnych wrażeń, tego i nie śmiem opisywać.

Po tylu zachętach czułam się gwałtownie zobowiązana do stworzenia czegoś nowego i rzeczywiście przez jedną zimę 1872 roku napisałam cały dramat, „Narzeczoną z Ogródzieńca.“ Rzecz ta, osnuta na podaniu z dwunastego wieku, dawno mnie już nęciła i stała się dla „Polski w pieśni“ szerokim nabytkiem. Czytanie jej zapełniło kilka wieczorów, które wypadaly coraz świetniej.

Jednym z najświetniejszych był wieczór, urządzony dnia 1 marca 1873 r. Cały kraj wtedy obchodził czterechsetną rocznicę urodzin Kopernika i ja też chciałam uczcić go w moim domu, a przy tej sposobności mogłam uczcić i pamięć mojej matki, co było dla mnie równie chlubnem jak słodkiem.

„Słoneczna Kantata“ (którą na żądanie Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, napisałam do „Albumu Jubileuszowego“) została wtedy u mnie wykonana z bardzo strojnym „uscenizowaniem.“ W głębi salonu, wśród zagajenia, unosił się wysoko posąg Kopernika (dzieło Ludwika Kucharzewskiego), pod posągiem na ukwieconych stalugach jaśniał portret mojej matki, a poniżej leżała księga z polskim przekładem dzieł Kopernika, rozwarta na dedykacyjnej karcie. Wszystkie te przedmioty były połączone wieńcami z powoju.

W takim otoczeniu „Słoneczna Kantata“ została wypowiedziana przez autorkę przy towarzyszeniu muzyki, z cicha wspiera-

jącej deklamacyę i przy grzmiących śpiewach, które odzywały się trzykrotnie, jako trzy chóry: *Rodaków*, *Narodów* i *Światów*.

Napływ gości był tego dnia ogromny, a nastrój bardzo uroczysty.

Jeszcze w tym samym 1873 roku przystąpiłam do nowej pracy. Drżącem sercem a zuchwałą ręką sięgnęłam do Bolesława Chrobrego i w przeciągu dwóch lat powstały „Rapsody o Chrobrym Królu.“ Jest to poemat zupełnie odmienny od wszystkich innych, jakie napisałam, tkwiła mi bowiem zawsze w pamięci owa przestroga Mickiewicza, co zapytany: „Jak uniknąć *manier*“? — odpowiedział: „Zmieniając często styl.“

Wprawdzie rada to tak trudna do spełnienia, jak ta, co mówi, że „aby złapać ptaszka, trzeba mu nasypać soli na ogonek.“ Trudna jest, ale w doświadczeniu cudowna. To też całe życie pracowałam nad wyrobieniem sobie coraz nowych gatunków i podgatunków stylu.

Zapędziwszy się raz w owe odległe wieki, chętnie się w nich rozgościłam i zaraz po „Chrobrym,“ w końcu 1875 roku, napisałam rzecz ściśle z nim związaną, scenę dramatyczną p. t. „Biesiada u Ziemomyśla.“ Tu po raz pierwszy w moim stylu zaświtała *prostota*. Słuchacze natychmiast ją dostrzegli, a ja się z niej niewymownie ucieszyłam, bo to jest jedna z właściwości najcenniejszych a najtrudniejszych do zdobycia. I tak, „Polsce w pieśni“ coraz to nowe przyrastały gałązki.

*

*

*

Jednak w tychże samych latach snuł się i drugi szereg robot, zupełnie odmiennych. Zaczęłam je w roku 1874, na który czekałam z niejaką niecierpliwością, a to z następnego powodu:

Jeszcze w roku 1865, zaraz po powrocie z Czembaru, zaczęłam powieść p. t. „Kassandra Fedele.“ Miała ona opowiedzieć losy słynnej włoskiej improwizatorce tego nazwiska, której żywot przesuwa się, jakby gwiazda, na dziejach Wenecyi z XV wieku.

Podczas podróży po Włoszech rozlubowałam się w tym przeslicznym przedmiocie i zdawało mi się, że robota łatwo mi z nim pójdzie. Tymczasem, po napisaniu kilku luźnych rozdziałów, zatrzymałam się, przestraszona rojem nieprzewidzianych trudności,

tak pod względem studyów historycznych i obyczajowych, jak z powodu budowy, która mi się ciągle, niby domek z kart, rozlatywała. Moi rodzice osądzili, że do takiej pracy jestem jeszcze za młoda, niedość znająca życie, i wszyscy troje postanowiliśmy zgodnie, że dopiero po skończonych czterdziestu latach życia wezmę się do pisania powieści.

Owóż w roku 1874 skończyłam właśnie owe lat czterdzieści. I znów mi się wydało, że już co teraz, to przecie uporam się z tym odmiennym kształtem tworzenia i było mi do niego dosyć pilno, bo zdawna już nosiłam w duszy pewne plany, pewne idee, które tylko w tym kształcie mogłam wypowiedzieć, a które gwałtem prosiły się o życie. Na początek jednak, nie wybrałam owych *ważnych* planów; chciałam pierwej zaprawić się na podrzędnych. Od roku 1874 do końca 1877 napisałam dwie powieści: „Na rozdrożu“ i „Krzyż nad otchłanią.“ Obie kosztowały mnie dużo pracy, dużo borykania się z nowemi dla mnie trudnościami. Że je napisałam, to nic nie szkodzi; były one dla mnie twardą i owocną szkołą. Szkoda tylko, że je wydrukowałam. Trzeba mi było pomnieć na przysłowie: „Pierwsze koty za płoty“ i złożyć te rzeczy w Mauzoleum, obok „Piasta“ i dawnego „Sobieskiego.“

Krytyka obeszła się z niemi surowo i bardzo sprawiedliwie uczyniła. Mnie jednak jej sądy wcale nie odjęły fantazyi. Że próbne balony poleciały złą stroną, to jeszcze nie wielkie nieszczęście. Dobra nauka, jak i którądy puszczać je na przyszłość. To też nie zaniechałam tego rodzaju pracy i zaraz w następnym roku 1878 napisałam „Zwierciadlaną zagadkę.“ Tu już spostrzegłam, że balon idzie dobrą stroną. Ta powiastka przyniosła mi sto pocięch autorskich.

Teraz, czując się panią położenia, mogłam już przystąpić do owej ważnej, marzonej roboty. Przystąpiłam też do niej natychmiast, jeszcze w końcu tegoż samego 1878 r. Zaczęłam „Branki w Jassyrze.“

Geneza tej pracy sięga bardzo daleko. Jeszcze przed jakimiś dwudziestu pięciu laty, w dniach najpierwszej mojej młodości, gdy wczytywałam się w „Historję Literatury“ Wiszniewskiego, zastanowił mnie zamieszczony tam wyjątek z „Pamiętników Braciszka Benedykta, Polaka,“ malujący z niesłychaną prawdą i oryginalnością państwo władców mongolskich. Nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem nikt jeszcze nie wyzyskał tych obrazów, tak mocno i tak straszliwie związanych z dziejami naszego kraju, i wtedy już przeczuwałam, że tam leży cała żyła złota, jeszcze przez nikogo nie tknięta.

Pobył nad Wołgą, gdzie mogłam przyjrzeć się Tatarom, odżywił we mnie te wrażenia. Jednak obrazy mongolskie byłyby pewnie pozostały w tłumie czczych, nieziszczonych planów, gdyby nie inny bodziec, który mnie pchnął do pracy.

Właśnie pod owe czasy nastąpił w mojej duszy wypadek cichy, nikomu niewiadomy, a który dla mnie był niesłychanej doniosłości. Od lat dwudziestu, może i więcej, myśl moja toczyła głuche walki z przeróżnymi duchami Zwątpienia i Przeczenia. O walkach tych świat nie wiedział, bo prawie z nikim o nich nie mówiłam, a już co w moich pismach, to nigdy się z nimi nie zdradzałam, bo czułam, że jeśli człowiek ma prawo pasować się z własnym zwątpieniem, to nie ma prawa zaszczebiać go w innych duszach.

Może jako nagroda za tę wstrzeźliwość słowa, może jako dar, wymodlony na lepszym świecie przez mojego ojca, około roku 1875 nastąpiło w mojej duszy zupełne zwycięstwo wiary, i to nie tej wiary pacholęcej, która za lada tknięciem przewraca się i kruszy, ale wiary wyrozumowanej, wypróbowanej, nieledwie niepokonalnej, gdyby godziło się przed śmiercią człowieka nazwać go w czemkolwiek niepokonalnym.

Jakimi drogami doszłam do zdobycia napowrót owego „raju utraconego,“ to byłaby opowieść za długa i nieużyteczna, bo też same środki, co jednym duszom pomagają, dla drugich na nic się nie zdadzą. Cała ta moja straszna Odyseja wewnętrzna dałaby się streścić w takim czterowierszu:

Ból nas osłabia, dopóki dźga w miarę.
Gdy ją przebierze, dodaje nam siły.
Wielkie cierpienia odjęły mi wiarę,
A jeszcze większe mi ją przywróciły.

Trzeba też wiedzieć, że podobne zwycięstwo przynosi taką radość, takie upojenie, o jakich żadne inne zachwyty nie mogą dać pojęcia. I co najpiękniejsze, to że daje nie tylko radość, ale i niezwalczoną chęć podzielenia się tem szczęściem z drugimi duszami. Człowiek chciałby z dachów ogłaszać swoje wielkie odkrycie, chciałby na placach otrąbywać, że to, co poddawał wątpieniu, lub przeczeniu, to jednak jest! Naprawdę jest! Niezawodnie jest!

Taką to chęcią powodowana, chciałam ludziom wypowiedzieć moje ostateczne przekonania, a wypowiedzieć nie wierszami, które wielu odstrasza, ale pod kształtem przystępnym i wabiącym.

Z tego to powodu rwałam się do pisania powieści, z tej to przyczyny nie dałam się odstręczyć ich niewdzięcznymi początkami, aż przyszła chwila spełnienia moich marzeń.

Ale do utworzenia zupełnego gmachu niedosyć było mongolskich podwalin i chrześcijańskiej kopuły, brakowało jeszcze samych cegieł bajki, a w bajce jakiegoś uczucia, któreby jak cement spoiło całą budowę. Otóż nie! Niczego nie brakowało.

Dawno już dziwiłam się i gniewałam, czemu pisarze przeznaczają w swoich utworach tak przesadzenie szerokie miejsce dla ziemskiej Miłości, a po macoszemu się obchodzą z jej niebiańską siostrą Przyjaźnią, która jednak w życiu tyle znaczy, nierównie więcej niż w książkach?

Jest wprawdzie w Szyllerze kilka boskich kartek, poświęconych owej niebiance, są i w dziełach Bulwera mistrzowskie jej wizerunki, ale dla mnie tego wszystkiego było jeszcze za mało, i od lat młodocianych obiecywałam sobie, że napiszę w tym przedmiocie rzecz wyczerpującą.

Pod naporem tej chęci, już w „Narzeczonej z Ogrodzieńca“ przedstawiłam przyjaźń dwóch rycerzy, ale te postacie, jako podporządne, nie mogły mnie zadowolnić, zresztą, była to przyjaźń męzka, mnie zaś chodziło głównie o przyjaźń kobiecą, która posiada pewne cechy odrębne, i słodczye sobie tylko właściwe.

Tutaj, w obrazach niewoli tatarskiej, której najliczniejszymi ofiarami zostawały kobiety, otworzyło mi się nakoniec ogromne pole do pokazania takiej Przyjaźni, w całej potędze jej poświęceń, uroków i świętości.

To też mylą się grubo ci krytycy, którzy w „Brankach“ szukają *głównego bohatera*. Nie ma go tam wcale. Jest wprawdzie *para* pierwszorzędna, ale to nie *bohater i bohaterka*, tylko *dwie bohaterki*, w koło których dopiero ustawiają się różne postacie męzkie, wszystkie drugorzędne.

Pisanie „Branek“ poszło mi posuwiście; zużyłam na nie tylko dwie zimy, co jest bardzo mało, zwłaszcza gdy się wspomni, że potrzebne do nich a zmusne studia, robiłam przeważnie w czasie samego pisania. Rzecz cała była już tak przemyślana i odczuta, że uląka się łatwo. Przytem trzeba jeszcze pamiętać, że nałożyłam na siebie pewien dobrowolny przymus, który się przyczynił do szybszej roboty, miałam bowiem ledwie kilka pierwszych rozdziałów gotowych, kiedy już zaczęłam „Branki“ czytać moim gościom, co sprawiło, że dalej musiałam z czwartku na czwartek co sił się dopędzać. Słodkie wspomnienie zostało mi z owych wieczorów. Goście słuchali mnie z łaskawą myślą i go-

rącem sercem, a w końcu obdarzyli mnie zbiorową pamiątką, tą cudną *Złotą Różą*, która wespół z posążkiem Wandy zdobi moje biurko, i ciągle kwitnie mi w oczach jak wesoła wróżba.

Jest jednakże w wydaniu „Branek“ pewna niedokładność, która mi mocno dolega. Dzieło napisane pod natchnieniem Przyjaźni, należało się z prawa mojej przyjaciółce. To też chciałam przypisać jej ten utwór i już wytrysła mi z pod pióra Dedykacya wierszem, której nawet byłam dość rada. Cóż, kiedy druga stro-
na położyła swe przemocne veto... Moja przyjaciółka przyjęła rękopism Dedykacyjny z rozczuleniem, schowała go na pamiątkę, ale — powodowana tą skromnością, która u niej dochodzi do zakonnej pokory, nie pozwoliła na jego wydrukowanie w książce. I tak, „Branki“ ukazały się bez Dedykacyi... A szkoda! Żal mi tych kilku strofek wyjętych z pod serca, które brzmiały temi słowy:

W zacisznej komnacie, gdzie leżą me księgi,
Przy stole, unoszącym kałamarz i pióro,
Kazałam wykuć wnękę. Muszlowe jej kręgi
Pieściwie przyoblekłam złotem i purpurą,
I zarys drogich liców zwiesiłam u ściany.
Godna czci, Eugenio! Twój to wizerunek.
Tak, czy dumam, czy piszę, obraz ukochany
Tkwi nademną, jak srebrny gwiazdy pocałunek.

Co rano go w samotnej pozdrawiam świątyńce.
Jest i czarka na kwiaty u jego podnóża.
Nie ogrodnik tam wonne przynosi gościńce,
Kwiatek w niej tylko jeden: Jerychońska róża.
Dziwna róża! Pod rąbkiem surowym ukryta.
Centyfolia w jaskrawe stroi się przynęty,
Lecz jutro więdnie. Tamta bez końca odkwita.
Prawdziwy kwiat przyjaźni, wytrwały i święty.

W ten to kwiat niewiędnący, w ten to wizerunek
Wpatrzona, malowałam tło mojej powieści.
Barwy jej, z trzynastego stulecia. Rysunek,
Ze wszystkich wieków: przykład przyjaźni niewieściej.
Czyżęż imię w gotyckim jej szczycie wyślubię,
Jeśli nie tej, najdroższej, co mi jest i będzie
Przyjaciółką jedyną? Poświęcam ją Tobie.
Twem imieniem koronna, niech śpiewa je wszędzie.

Nie lękaj się, o skromna! aby przez odbicie,
Z tej księgi nasze własne dzieje podpatrzono.
Tłumom je rzucić? Nigdy! Wszak niewieście życie
Powinno stać jak arka, za wieczną zasłoną.

Ciebie malować w księdze? O to się nie kuszę.
 Kto miłuje, ten widzi w bezchmurnem przezroczu
 Skarby, przepelniające miłowaną duszę,
 Lecz nie zdoła w nie cudzych wtajemniczyć oczu.

Tak w górach, kiedy słońca zachód płomienisty
 Lodowce poprzestrzela żyłami z opalu,
 Po kaskadach roztrzęsie drżące ametysty,
 I w obłokach wyciosa pałace z koralu,
 Malarz odrzuca pędzel, skarży się na czary:
 „Jakże oddam ich blaski? Farby mam za blade.
 A chociażbym i oddał, nikt mi nie da wiary.“
 Więc nie lękaj się, skromna! I ja pędzel kładę.

Nie przejrzyś się w tych kartach, jako w szybie wody.
 Elżbieta ni Ludmiła, duszą ni obliczem,
 Nie są do nas podobne. Krwawe ich przygody
 Z osnową naszych losów nie wiążą się niczem.
 Lecz serca? Ach, tu znajdziesz zwierciadło. Zwróć oczy
 W pęknięte, rubinowe serca ich rozłamy,
 Dojrzyś rys, co je z nami na zawsze jednoczy:
 One tak się kochały, jak my się Kochamy.

*

*

*

Wypowiedziawszy się w „Brankach,” porzuciłam kształt powieściowy, i co prędzej wróciłam do „Polski w pieśni.” Ach, co prędzej, bo lata uciekały, powiew jesienny już niekiedy mnie dołatywał, a z moich wiosennych zamiarów tak mało jeszcze się spełniło! Poczucie tej ucieczki czasu, tej marności ludzkich przedsięwzięć objawia się w tęsknej nucie niektórych ówczesnych wierszyków, jak np. „Nieśmiertelnik,” „Dwa pokolenia,” a zwłaszcza „Pieśń wieczorna.”

Gdybyż przynajmniej do pary z „Wandą” mogła była jeszcze stanąć „Jadwiga,” ta „Jadwiga” najwcześniej przezemnie próbowana, tak rzewnie i gorąco ukochana!

Zatem, wszystko na bok usunęłam, nawet poprawienie i przepisanie „Branek” i niemieszkając zasiadłam do „Jadwigi.” Sądziłam, że w jaki rok z niej wybrnę. Gdzie tam! Napisałam tylko część pierwszą. Wprawdzie, poszła mi dosyć gładko, włożyłam w nią dużo moich uczuć i przekonań i gdybym była mogła skoń-

czyć ją za jednym zamachem, wielką miałabym stąd uciechę, cóż, kiedy jak na przekorę, musiałam zawiesić tę pracę, a to dla bardzo licznych i różnorodnych powodów.

Nastały dla mnie lata niezmiernie ruchliwe.

Już w r. 1880 zgodziłam się na wygłoszenie odczytu i skorzystałam z tej sposobności, ażeby wedle moich sił, naprawić pewną niesprawiedliwość, co mnie już dawno bolała, mianowicie, aby uczcić Klementynę Hoffmanową, tę znakomitą naszą przodowniczkę, której pamięć jest w nowszych czasach za mało uznana i opacznymi sądami skrzywiona. Sam odczyt zamknął się z konieczności w niewielkich rozmiarach, ale wymagał długich i sumiennych studyów.

W roku 1881 w moim domu był obchodzony jubileusz A. E. Odyńca. Wkrótce potem jeździłam do Krakowa, gdzie zaproszono mnie jako jedną z gospodyń balu Mickiewiczowskiego. Tam podjęłam się zbierania składek na pomnik Mickiewicza w Krakowie.

W r. 1882 jeździłam znów do Lwowa, zaproszona tam dla odczytów, a w jesieni widziałam w Częstochowie pięćsetletni jubileusz, z którego zrodził się zaraz poemat: „Na Jasnej Górze.“

W r. 1883 nowe zaprosiny do Poznania i nowe tam odczyty.

Wszystkie te wycieczki, uroczystości, składki pochłaniały mi dużo czasu, wymagały bardzo wiele zabiegów i dawały pochop do pisania różnych rzeczy ubocznych. Prawda, że też niesłychanie uświetniały mi salon. Nigdy jeszcze nie miewałam równie tłumnych czwartków, z których nieraz przyszło mi zapisywać już nietylko po sto i dwieście, ale czasem i do trzystu osób.

Najgłówniejszym jednak powodem zawieszenia „Jadwigi“ było zbliżanie się roku 1883, tej dwóchsetnej rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem.

*

*

*

Już prawie od lat trzydziestu ciągle zbierałam i wyławiałam wszystko, cokolwiek się tyczyło wyprawy pod Wiedeń: książki, ryciny, wzmianki gazeciarskie. Przewidywałam, że dopiero na dwóchsetną rocznicę zjawi się największe bogactwo materiałów, i przewidywanie to nie omyliło. Już na rok pierwszej zaczął się

sypać, tak u nas jak w Niemczech, cały nawał ciekawych ksiąg, map i albumów.

Teraz już nie miałam na co czekać. Nie chciałam też, aby rok tak wielki przeszedł bez uczczenia w moim domu. Wyjęłam więc z Mauzoleum zaklęty rękopism i zaczęłam się w nim rozglądać. Jeżeli przed ćwierć wiekiem był niegodzien druku, to ten niegodniejszy był dzisiaj, po tyloletnich postępach. Jednak niektóre ustępy mogły być zużytkowane, a co plan ogólny, to przedstawiał się bardzo dobrze. Postanowiłam więc zachować plan dawny, tylko rozszerzony przez nabytek nowych wiadomości, poczem wzięłam się już nie żartem do pisania różnych oderwanych części „Sobieskiego,“ z których kilka czytałam na zebraniach 1883 roku.

Z tych robót próbnych wyniosłam niewesołe przeświadczenie. Póki pisałam obrazy nadziemskie, a nawet niektóre wschodnie, rzecz szła wcale dobrze. Ale ilekroć przyszło mi malować sceny rycerskie, staropolskie, a zwłaszcza ówczesne rozmowy, ani sposób! Nie wiedziałam jak ci ludzie mają się ruszać, ani jak mają gadać. A raczej, nie! Wiedziałam, ale nie umiałam tych rzeczy wypowiedzieć. Brakowało mi właściwego *tonu*. Czułam doskonale, jak on powinien brzmieć, ale nie mogłam go wygrać na moich skrzypeczkach, które wydawały ciągle tony albo za niskie, albo za wysokie.

Był to ten sam brak, co stanowił zawsze największą dla mnie trudność i wywoływał w mojem autorskiem sumieniu wieczne niezadowolenie, był to brak równowagi między dwoma biegunami twórczości, między *idealizmem* a *realizmem*, z których pierwszy zawsze u mnie zanadto wybujał, zawsze rwał mię do góry, jak balon nieopatrzony dostatecznym balastem i nie chciał iść postuszenie we wskazanej strefie.

Wybierając między dwojgiem złego, zaprawdę dla poety lepszą jest przewaga idealizmu, niżeli realizmu, najlepszą jednak jest niezaprzeczenie *równowaga*, rzecz nadzwyczajnie rzadka, nawet u największych.

Z tej to przyczyny dotąd cofałam się zazwyczaj w czasy dawne, zamierzchłe, gdzie realizm jest mniej nieodzowny, gdzie trudniej *sprawdzić* poetę. Ale ile razy chciałam dotknąć czasów nowszych (już licząc od szesnastego wieku), zawsze spostrzegałam z przerażeniem, że moi bohaterowie nie są dziećmi swojego czasu i mówią kosmopolitycznie.

Jednak, nie traciłam nadziei. Doświadczenie mi pokazało, że przy ciągłej pracy zdobyłam już wiele tonów, długo niepo-

chwytnych dla mojego pióra. Oto i w bieżących wtedy czasach powstawały różne utwory, jak: „Głos Izajaszowy,“ „Pod niebieską chorągwią,“ „Pieśń na cześć Wiary,“ których nastrój był zupełnie dla mnie nowy, a forma rznięta pod kątami dawniej mi nieznanymi. Czemużbym więc nie miała kiedyś natrafić i na tamten ton zaczarowany?

Tak. Ale póki nie natrafiłam, póty nie mogłam porządnie pisać „Sobieskiego.“ Znow go więc odsunęłam na stronę, a tymczasem widząc, że moje zdrowie coraz mocniej upada, powiedziałam sobie z westchnieniem:

— Jeśli niemam napisać tego wielkiego dzieła, niechże przynajmniej te rzeczy, co już są napisane, zostaną po mnie w skończonym i wykończonym kształcie.

To powiedziawszy, zabrałam się do rachunków z przeszłością.

*

*

*

A naprzód zaczęłam gromadzić i gatunkować wszystkie mniejsze utwory z całego mego życia i uczyniwszy między nimi wybór, starałam się doprowadzić te rzeczy wybrane do jednolitego ducha i jednolitego wyrobienia. Praca ta zajęła mi lat kilka i była może najcięższą ze wszystkich, jakie podjęłam kiedykolwiek. Ale jakże ją błogosławię! Była to niby „tresura,“ w której konik słowa stał mi się tak powolnym i zwrotnym, jakim nigdy przedtem nie był.

W tychże czasach skończyłam ostatecznie i „Wandę,“ która też wyszła w książce w 1887 r.

Tegoż roku w moim domu obchodzono jubileusz Adama Pługa, którego zasługom i wielkiemu sercu należało się od nas wszystkich gorące uznanie. Była to ostatnia uroczystość, na którą mogłam wystąpić w ozdobnym stroju. Później, coraz gorszy stan zdrowia nie pozwolił mi już nigdy na wdzianie szat świątecznych.

Po wyjściu „Wandy“ poprawiłam i przepisałam „Branki,“ które ukazały się w tomach w 1889 r. i przyniosły mi wiele duchowych słodyczy.

*

*

*

W tymże roku 1889 zaszedł wielki dla mnie wypadek: choroba, dręcząca mnie od lat wielu, a której doktorzy dotąd nie mogli zrozumieć, wybuchnęła z niezmierną gwałtownością i okazała się nieuleczalnem cierpieniem sercowem.

Odkrycie to przejęło mnie bezgraniczną radością. A więc było to nakoniec pierwsze zadzwonienie na ów odjazd, za którym tęskniłam już od lat przeszło dwudziestu, na odjazd do moich dwóch ojców—niebieskiego i ziemskiego!

Przedwczesna radość...

Między dzwonekami tamtego świata dłuższe są przerwy, niż między ludzkimi. Bieg choroby okazał się bardzo bolesnym, ale bardzo powolnym, zaczęłam przekonałam się, że jeszcze nie wolno mi próżnować i zaczęłam wracać do pracy, ile tylko razy cierpienia na nią pozwalały.

Szukałam ciągle owej niepochwytnej *równowagi*. W tym celu czyniłam najróżnorodniejsze studia, pisywałam całe powiastki (jak np. „Panienkę z okienka“), jedynie dla wprawienia się w pewne rodzaje stylu, wczytywałam się w pisarzy różnych wieków, ciągle zaś i nieodmiennie wracałam do „Pana Tadeusza“, w którym brodziłam po kilka razy rocznie i to nie dla rozkoszy, ale dla podchwycenia zamkniętych w nim pisarskich tajemnic.

Aż nakoniec...

Ach, niepróżno Piśmo Święte mówi: „Szukajcie a znajdziecie.“

*

*

*

Przyszedł taki dzień, przyszła taka godzina, w której mój smyczek trafił na ów ton szukany!

Było to w r. 1892, okrążyło we czterdzieści lat po rozpoczęciu mego pisarskiego zawodu. Od tej chwili i dopiero od tej chwili uczułam się umysłowo *dojrzałą*. Zwycięstwo to ucieszyło mię niewymownie. Teraz, mogę już wygrywać co mi się spodoba i jak mi się spodoba, na wszystkich strunach mojego narzędzia. (Nie mówię: na wszystkich strunach poezyi, bo takie twierdzenie byłoby równie śmieszne, jak pyszne, ale na wszystkich strunach *mojego* narzędzia).

Przez lat czterdzieści pisanie było dla mnie męką i postrachem. Brałam się do niego tylko z obowiązku. Teraz, od lat

pięciu jest mi bardzo miłym. Nie powiem, aby miało być łatwym, bynajmniej! Im człowiek lepiej co umie, tem więcej od siebie wymaga. Nie jest więc łatwiejsze, ale przyjemniejsze, bo mi już daje owoce takiego smaku i gatunku, jakiego sobie życzę, podczas kiedy pierwiej wychodziło mi często co innego, niż chciałam, i zawsze trąciło goryczką niedojrzałości.

Szkoda tylko, że ta dojrzałość przyszła tak późno, w chwili kiedy miałam już lat pięćdziesiąt osiem i kiedy ciało już zaczęło na dobre wypowiadać służbę! Nowy to dowód, że człowiek składa się z dwóch istot, nierównomiernych sobie nietylko pierwiastkami, lecz i wiekiem. Oto ze mnie jest jeden przykład więcej, że istota materyalna już się starzeje i już w pył się kruszy, podczas kiedy istota duchowa dochodzi dopiero do swej pełnoletności.

*

*

*

Z chwilą tej pełnoletności umysłowej, to jest w 1892 roku, zabrałam się natychmiast do „Sobieskiego,“ a zabrałam się, jak słusznie mówi krakowski recenzent, „z całej duszy, z całego serca i ze wszystkich sił moich.“ Odtąd idzie on mi już ciągle, bardzo pracowicie, ale i bardzo żwawo. Obiecywałam też sobie wielokrotnie, że już nic mię od niego nie oderwie. Ale czas pokazał raz jeszcze, jak znikomemi są ludzkie postanowienia.

Rok obecny (1897) skusił mię do innej pracy i to jeszcze takiej, której się sto razy odrzekałam. A pokusa przyszła z następnej okoliczności.

*

*

*

Najlepsi moi przyjaciele upatrzyli sobie rok bieżący, 1897, aby w nim obchodzić 45-cio lecie mojej pracy piśmiennej i już w końcu roku przeszłego ze wszęch stron zaczęto żądać odemnie materyałów do rozmaitych życiorysów i studyów. Żądanie było równie chlubne jak uczciwe, boć lepiej postarać się o źródła

prawdy, niż pisać na lekko i na domysł. A było też i różnorodne. Jedni chcieli poznać salon moich rodziców, drudzy systemat mego wychowania, innych zaciekawiał rozwój moich prac literackich i moich stosunków towarzyskich.

Ażeby wszystkich zadowolić, musiałam opisywać to i owo i z tych różnych obrazków złożył się ten oto „Pamiętnik,“ bardzo wprawdzie jeszcze niezupełny, ale w każdym razie użyteczny, bo prostujący wiele fałszów, ratujący wiele rzeczy od zapomnienia, słowem, dobry dla mnie nabytek, a który nigdyby nie istniał, gdyby nie ów przepyszny i rzewny Jubileusz.

*

*

*

Jak on się odbył, to nie moja rzecz opisywać. Powiem tylko, że był dla mnie zaszczytny aż do upokorzenia, bo społeczeństwo nasze, kierując się zasadą samego Pana Boga, osądziło mnie, nie według tego co zrobiłam, ale według tego co pragnęłam zrobić i wynagrodziło mnie tak, jakgdybym była całą „Polskę w pieśni“ najpiękniej wyśpiewała. Ciężar tej dobroci mnie przygnębia.

O, jakże chciałabym choć w części wywiązać się z tak ogromnego długu!

O napisaniu całej „Polski w pieśni,“ nawet myśleć nie mogę... Żaden żywot ludzki nie starczy na podobne przedsięwzięcie. Ale żebyż można choć „Sobieskiego“ skończyć! Choć taki upominek w testamencie przekazać! Oplakany stan zdrowia czyni wątpliwym i ten ostatni zamiar...

A jednak, po co się troskać? Trzeba dalej pisać, a resztę zostawić Panu Bogu. Jeśli moja praca jest Mu do czegokolwiek potrzebną, to pozwoli na jej ukończenie,—a jeśli nie jest Mu potrzebna, to mała jej szkoda.

AUSTRYA A ROSYA

w początkach panowania Mikołaja I.

Wiadomość o śmierci cesarza Aleksandra, wysłana 9 grudnia 1825 r. z Warszawy przez austriackiego agenta konsularnego, Loretza, przybyła do Wiednia o pierwszej godzinie w nocy z 13 na 14 t. m., a jej niespodziewane zupełnie zjawienie wobec ciszy, panującej w Królestwie Polskiem i braku wszelkich oficjalnych wiadomości, spowodowało, że jeszcze przez następnych cztery dni nie dawano jej wiary. Wreszcie 18 grudnia stwierdzono jej prawdziwość, a 22-go zarządzo pięcioletnią żałobę dworską, pozamykano teatry; tegoż dnia kanclerz austriacki, Metternich, wręczył w imieniu cesarza Franciszka posłowi rosyjskiemu, umocowanemu przy dworze wiedeńskim, Tatiszczewowi, dwa pisma kondolencyjne dla cesarzowej matki i cesarzowej wdowy, oraz ogłosił w urzędowej „Wiener Zeitung,“ iż podług oficjalnych wiadomości nastąpiła w Petersburgu proklamacya o wstąpieniu na tron rosyjski Konstantego I, następne zaś numery tego pisma doniosły o bliższych szczegółach śmierci Aleksandra i o złożeniu przysięgi przez Mikołaja na rzecz nowego władcy. ¹⁾

Należało wreszcie pomyśleć o wysłaniu odpowiedniej osoby i pisma do nowego cesarza. Co do osoby, zgodzono się na wybór arcyksięcia Ferdynanda d'Este, kuzyna cesarskiego, niefor-

¹⁾ Aus Metternich's nachgelassenen Papieren Wien, 1881. Bd. IV, str. 197, 250; „Wiener Zeitung,“ 1825, № 291—292. Metternich do Lebzelterna 22 grudnia 1825. Przytaczane dokumenty są wszystkie w Haus Hof u. Staats Archiv w Wiedniu.

tunego zdobywcy w r. 1809 Księstwa Warszawskiego, a dowódcy w r. 1815 armii rezerwowej, wkraczającej do Francji, skąd też datowała się jego bliższa znajomość osobista z W. Ks. Konstantym. Lecz sęk był w tem, do kogo pismo notyfikacyjne adresować. Wkrótce bowiem w Wiedniu dowiedziano się, że następstwo tronu jest jeszcze niepewne wobec t. zw. „wielkodusznego sporu“ obu braci, W. Ks. Konstantego i Mikołaja. Postanowiono więc zaczekać z wysłaniem arcyksięcia Ferdynanda, aż sprawa następstwa całkowicie się wyklaruje. ¹⁾

A była to rzecz pierwszorzędnej dla Austrii wagi, kto po Aleksandrze obejmie tron, bo nie chodziło tym razem o takie kwestye formalne tylko, jak stylizacja pisma kondolencyjnego, ale o rzecz zasadniczej wagi: o przyszły kierunek polityki austriackiej.

Pod koniec bowiem panowania Aleksandra I dwie kwestye wpływały na wzajemne kształtowanie się stosunków austriacko-rosyjskich. Główną rolę mianowicie odgrywała kwestya wschodnia, a uboczną—sprawa wspólnej walki z duchem rewolucyjnym. Pierwsza była czynnikiem dzielącym oba państwa, gdyż Rosya dążyła do rozbioru Turcyi, a Austrya przeciwnie pragnęła w myśl traktatu bukareskiego utrzymania całości Porty Otomańskiej. Sprawa druga była znowu czynnikiem, obydwu państwa łączącym, zwłaszcza od czasu kongresu opawskiego, kiedy to Metternich potrafił ostatecznie przekonać Aleksandra o konieczności walki z duchem rewolucyjnym. Lecz nie wycisnęła ona zbyt silnego piętna na obustronnych stosunkach — przeważała tamta pierwsza i omal nie doprowadziła do otwartego konfliktu między Rosją i Austryą, gdy w ostatnich przed swą śmiercią czasach, Aleksander postanowił załatwić kwestę wschodnią na własną rękę, już bez oglądania się na inne mocarstwa.

Metternich niejednokrotnie nie taił swego niezadowolenia z powodu postępowania Rosyi, a gdy nadeszła wiadomość o śmierci Aleksandra, przyjął ją z pewnem nawet uczuciem ulgi i, mimo oficjalnych wyrazów żalu, do pewnego stopnia z zadowoleniem, zwłaszcza wobec tego faktu, że na tron miał obecnie wstąpić W. Ks. Konstanty, co do którego był przekonany, iż będzie kierował się polityką pokojową, iż nie ujmie się za Grecją, a co najważniejsza, iż jest w zupełności oddany Austrii. Nadzieje te

¹⁾ Metternich do Lebzelterna 2 stycznia 1826. № 2. Stern A.: Geschichte Europas seit den Verträgen 1815. Berlin, 1901. Bd. III, str. 81, 89.

jednak mocno osłabiły wersye, którym zrazu w Wiedniu nie dawano wiary, o zrzeczeniu się przez Konstantego tronu, aż wreszcie zniweczyła je w zupełności całkiem już pewna wiadomość, przybyła do Wiednia 6 stycznia 1826 r. za pośrednictwem Tatiszczewa, o wstąpieniu na tron Mikołaja I. ¹⁾

Z chwilą tą trzeba już było wyekspedyować poselstwo do nowego cesarza. Jednym z czynników decydujących o pierwotnem powierzeniu tej misji arcyks. Ferdynandowi była ta okoliczność, że łączyły go bliskie stosunki przyjaźni z W. Ks. Konstantym. Teraz, gdy na tron wstępował Mikołaj, trudno już było, bez narobienia niepotrzebnego rozgłosu, zmieniać osobę posła, zwłaszcza, że sam fakt wysłania tego arcyksięcia był wiadomy w Petersburgu i przez Tatiszczewa i przez tamtejszego posła austryackiego, Lebzelterna. Chodziło więc obecnie tylko o ułożenie odpowiedniej dla niego instrukcyi.

Owóż arcyksiążę miał złożyć przedewszystkiem Mikołajowi kondolencyę z powodu zgonu brata, a zarazem powinszować mu wstąpienia na tron. Lecz poza tą czysto oficjalną stroną jego misyi, kryła się funkcyja o wiele ważniejsza, bo nawiązanie przyjacielskich stosunków z nowym władcą i ułożenie o ile możliwości wspólnego postępowania w obu tańtych otwartych kwestyach. Mikołaj wprowadził sam uprzedził ten krok Austrii, polecając Tatiszczewowi oprócz zawiadomienia o swoim wstąpieniu na tron także oświadczyć w jego imieniu gabinetowi wiedeńskiemu, że i on trzymać się będzie polityki Aleksandra, że kierować się będzie temi samemi zasadami, poszanowaniem wszystkich praw, zawarowanych traktatami i przywiązaniem do pokoju²⁾, lecz Metternich, niezbyt zadowolony z dotychczasowego kierunku gabinetu petersburskiego, postanowił młodego władcę przecieżyć zjednać w daleko pełniejszym sposobie, niżeli zmarłego Aleksandra, dla

¹⁾ Schiemann Th.: „Geschichte Russlands unter Kaiser Nikolaus I.“ Berlin, 1904. Bd. I, 277, passim. A. Beer: „Die orientalische Politik Oesterreichs.“ Prag 1883, str. 321, passim. Metternich, Papiere, 261, 299 sq. „Dépêches inédites du Chevalier de Gentz aux Hospodars de Valachie.“ Paris, 1877, t. III, str. 58. Askenazy: „Łukasiński.“ Warszawa, 1908, t. I, str. 152. Jednostronny opis zachowania się Austrii u Ringhofera: „Ein Dezennium preussischer Orientpolitik zur Zeit des Zaren Nikolaus.“ Berlin, 1897, str. 43. Tatiszczew również był zdania, że cesarzem zostanie Konstanty, w tym też duchu informował on Metternicha, jak na to wskazuje jego list bez daty do kanclerza, donoszący o złożeniu przysięgi przez Mikołaja na rzecz Konstantego I.

²⁾ Tatiszczew do Metternicha 6 stycznia 1826 r.

swoich zapatrywań. Nie było to jednak rzeczą łatwą, z tego obociażby powodu, że dotąd wogóle zbyt mało uwagi poświęcano ze strony austriackiej W. Ks. Mikołajowi, a obecnie nowemu monarsze. W Wiedniu wiedziano tylko, że był wielkim rygorystą w służbie wojskowej, lecz poza tem, zgoła prawie nie znano jego sposobu myślenia i poglądu na politykę.

Na wszelki więc wypadek polecał Metternich Ferdynandowi trzymać się bliższych wskazówek obytego z gruntem petersburskim tamtejszego przedstawiciela Austrii, Lebzelterna, nadto zaś wręczył mu dwa pisma, odnoszące się do obu najważniejszych podówczas kwestyj, t. j., wschodniej i rewolucjonizmu, mające stanowić dla niego rodzaj instrukcyi, któreby mógł w stosownej chwili, gdy cesarz o nie zawadzi, jemu odczytać.

W pierwszym obszernym elaboracie przedstawiał kanclerz kwestyę wschodnią od wybuchu powstania greckiego, kreślił pełne taktu zachowanie się Austrii i wytykał błędne stanowisko Rosyi, dla której jedynem obecnie wyjściem jest załatwienie całej sprawy na drodze pokojowej przez wysłanie z powrotem swego przedstawiciela do Konstantynopola. Drugie pismo zawierało zapatrywania gabinetu austriackiego na sprawy ogólne, a zwracało się przeciw liberalizmowi i powstałemu stąd duchowi rewolucyjnemu. Metternich wskazywał w niem na trzy główne powody panującego podówczas zła; wszystkie trzy miały swe źródło we Francyi, a były niemi: 1-o) tryunf, odniesiony w r. 1789 fałszywego systemu filozoficznego; 2-o) wprowadzenie ustroju reprezentacyjnego w roku 1814; 3-o) rewolucyjna reakcja, wprowadzona przez Napoleona po jego powrocie z wyspy Elby. W dalszym ciągu wskazywał Metternich na połączenie się monarchów, jako na jedyny środek, mogący skutecznie przeciwdziałać propagandzie rewolucyjnej, która musi zginąć, zamknięta w ciasnych granicach i pozbawiona wszelkich środków do dalszego rozwoju.¹⁾

O misyi arcyks. Ferdynanda zawiadomił Franciszek urzędownie cesarzową matkę, Maryę Teodorównę, a nadto osobnem pismem Mikołaja, obdarowanego równocześnie orderem św. Stefana, którego insygnia miał mu wręczyć Lebzelter. W liście tym, prócz wyrażen żalu po zmarłym Aleksandrze, polecał cesarz oso-

¹⁾ Pierwszy operat wydrukowany w „Metternicha Papierach,” 288 sq. Drugi nieogłoszony nosi tytuł: „Point de vue du Cabinet Autrichien sur la situation générale des choses, dans le moment actuel”; Instrukcja dla Ferdynanda z 11 stycznia 1826 r.

bę arcyksięcia szczególnym względem i opiece Mikołaja, ponieważ chce za jego pośrednictwem jawnie okazać światu przyjaźń i zaufanie, jakie żywi dla Mikołaja. Odwoływał się przytem na swoje rzekomo wyborne stosunki przyjacielskie z Aleksandrem. „Przebyliśmy wspólnie najokropniejsze czasy historyi nowożytnej,“ pisał Franciszek, a przypominając wspólne starania, które ocaliły Europę, nawoływał Mikołaja, by, jako następcę Aleksandra, kroczył tą samą co i on drogą i podtrzymywał wspólne stosunki przyjaźni, trwającej już od 25 lat.

Opatrzony temi instrukcyami i listami, wyjechał arcyksiążę w towarzystwie ochmistrza dworu hr. Desfours, pułkownika Clam-Martinitza, hr. Fürstenberga, ks. Karola Lichtensteina i podkomorzego hr. Waldersdorffa 12 stycznia 1826 r. do Petersburga.

Teraz nowa, a wielce delikatna nasuwała się kwestya, którądy mianowicie wybrać drogę, czy przez Królestwo Polskie i Rosyę czy przez Prusy. Zdecydowano się na tę ostatnią, a to, by uniknąć przejazdu przez Warszawę i zetknięcia się z W. Ks. Konstantym, ponieważ obawiano się, by to nie było niemile widziane w Petersburgu. Niezawisłe od tych względów politycznej natury mogło też nie być przyjemnem dla arcyks. Ferdynanda przejeżdżać przez Warszawę, skąd musiał uchodzić w r. 1809.

Mimo więc, że ks. Wilhelm pruski, późniejszy cesarz Wilhelm I, również jadący w podobnej misyi, i inni obrali drogę na Warszawę, arcyksiążę pojechał na Ołuniec, Wrocław i Poznań, gdzie stanął 16 stycznia i gdzie dowiedział się od namiestnika, ks. Antoniego Radziwiłła, że W. Ks. Konstanty nie zamierza opuszczać Warszawy — stąd dalej odbywał swą podróż na Królewiec, Tylżę, Rygę, Dorpat do Petersburga, dokąd miał przybyć 31 stycznia. Po drodze nie obeszło się jednak bez nieznacznych choćby nieporozumień, bo dwór petersburski, chociaż był zawiadomiony o misyi arcyksięcia i dacie jego wyjazdu, nie wiedząc jednak, że on skierował w tamtą stronę swą podróż, poczynił odpowiednie zarządzenia na drodze warszawskiej. Dopiero później robiono na jego przyjęcie dorywcze przygotowania, które parokrotnie nie dopisały, bo jużto przychodziły spóźnione, jużto wyprzedzał je arcyksiążę, który w końcu nawet o jeden dzień wcześniej, aniżeli było ułożone, przybył do Petersburga. Stanął on tam 30 stycznia o 4 godzinie po południu. Podejmowany wszędzie po drodze z należnymi mu honorami i w stolicy również, od pierwszej chwili swego przybycia, doznał miłego przyjęcia. Ledwo też znalazł się w swych apartamentach, gdy już odwiedził go sam cesarz, ucieszony jego przybyciem, a choć bolał nad stra-

tą brata, zaraz na wstępie wypowiedział swój zamiar wstępowania w jego ślady i wyrażał gorącą chęć pozyskania przyjaźni i zaufania cesarza Franciszka, czem odrazu ujął Ferdynanda. ¹⁾

Lecz poza temi oficjalnemi czułościami skrywały się już dość poważne zatargi. Wogóle Austria niezbyt korzystnie zapisała się w umyśle młodego władcy niemal od pierwszego dnia jego rządów. I tak, zaraz na wstępie skompromitowany został ambasador austriacki w Petersburgu, Lebzeltern, ponieważ dał schronienie swemu szwagrowi, Trubeckiemu, który odgrywał jedną z pierwszych ról między Dekabrystami, w ambasadzie, gdzie go 27 grudnia 1825 r. rano o godzinie 4 aresztowali w obecności ministra spraw zagranicznych, Nesselrodego, ks. Golicyn i Gurjew Trochę też skompromitowany był i drugi członek poselstwa, ks. Feliks Schwarzenberg, późniejszy minister, przeciw któremu wprawdzie nie było żadnego dowodu, lecz na którego padało ogólnie podejrzenie z racji jego ciągłego przebywania wśród osób teraz przeważnie aresztowanych. ²⁾

Dalej Mikołaj czuł się urażonym zachowaniem się Wiednia w czasie bezkrólewia i jawnem niemal sprzyjaniem Konstantemu. Lecz dopełnił miary nieufności ostatni krok Austrii. Było nim wysłanie specjalnej misji do W. Ks. Konstantego. Austrii głównie chodziło o pokojowe załatwienie przez nowego cesarza kwestyi wschodniej. Metternich więc, nie znając dokładnie zapatrywań w tej mierze Mikołaja, wpadł na niefortunny koncept, wpływając na niego za pośrednictwem Konstantego, spodziewając się, iż cesarzewicz, będąc tego samego co i kanclerz na tę sprawę zapatrywania, nie omieszka pójść w tym względzie na rękę Austrii i wywrzeć odpowiedni nacisk na młodszego i zawdzięczającego mu koronę brata.

Wysłano tedy do Warszawy, w osiem dni po wyjeździe arcyksięcia, szambelana Henryka hr. Bombelles, syna enigranta francuskiego, byłego wojskowego, adjutanta arcyksięcia Ferdynanda z r. 1815, poświęcającego się wówczas karierze dyplomatycznej, naprzód w Londynie, a ostatnio w Lizbonie, by wreszcie

¹⁾ Raporty arcyks. Ferdynanda: I, z Poznania 16 stycznia; II, z Kłajpedy 22 stycznia; III, z Petersburga 31 stycznia. Wykłady prof. Askenazego z 1905 r. Zaraz też na wstępie otrzymał arcyks. Ferdynand od Mikołaja order św. Andrzeja.

²⁾ Lebzeltern do Metternicha 27 grudnia 1825, № 147 B. Secr. i z 3/IV 1826 r., № 176 H. Ks. Schwarzenberg został przeniesiony z Petersburga pod pozorem złego stanu zdrowia, depesza z 7 września 1826 r.

zakończyć swą karierę, jako wychowawca obecnego cesarza austriackiego, Franciszka Józefa. ¹⁾

Na pozór misya ta była zwykłym aktem kurtuazyi wobec brata cesarskiego, gdyż Bombelles otrzymał polecenie zawiezienia Konstantemu listu kondolencyjnego Franciszka i kopie obu depesz, wysłanych za pośrednictwem Ferdynanda do Petersburga, a to w tym celu jedynie, by, jak mówiła wręczona mu instrukcyja, przekonać W. Księcia o tożsamości polityki, prowadzonej przez Austryę i w Warszawie i w Petersburgu. Miał nadto wysłaniec austriacki zaproponować Konstantemu, celem nawiązania bliższych stosunków, utworzenie dyplomatycznego konsulatu w Warszawie, zależnego bezpośrednio od Metternicha, w miejsce dotychczasowego handlowego, podlegającego władzy ministeryum spraw wewnętrznych. „Poza tem, Pańska misya nie ma żadnego celu politycznego.“ „Pan nie masz traktować,“ jak mu to na innem miejscu przekazywał kanclerz, „ani jednego przedmiotu politycznego.“ Mimo te zastrzeżenia jednak w gruncie rzeczy Bombelles musiał otrzymać od Metternicha jakąś dodatkową ustną instrukcyę, tyczącą się sprawy wschodniej.

Bombelles przybył do Warszawy 23 stycznia 1826 r. wieczorem, oddał zaraz naczelnikowi biura dyplomatycznego W. Księcia, Mohrenheimowi, depeszę Tatiszczewa, a na drugi dzień rano otrzymał posłuchanie u cesarzewicza, z którym się odtąd widywał codziennie przez cały czas swego pobytu w Warszawie.

W. Książę, urażony zrazu, że arcyks. Ferdynand ominął Warszawę w swej podróży do Petersburga, lecz z kolei pochlebiony tą specjalną misją, przyjął Bombelles'a bardzo serdecznie. W wyrazach, wdzięczności pełnych, składał on podziękowanie osobnem pismem cesarzowi za wyrażone mu współczucie i przypominał swą służbę we Włoszech w roku 1799 przy Suworowie a w obronie Franciszka i stąd datującą się dawną przyjaźń dla domu Habsburskiego, której dotąd wiernym pozostał. To samo też powtarzał i do hr. Bombelles'a, z którym stosunki stanęły odrazu na stopie tak pełnej do siebie ufności, że nawet Bombelles dawał do przeglądania i poprawiania W. Księciu swoje raporty, wysyłane do Wiednia, o ile naturalnie one nie były tajne.

Gdy następnie przyszło do odczytywania kopii jednej z depesz, zawiezionych przez arcyks. Ferdynanda do Petersburga, a traktującej

¹⁾ Wurzbach: Biographisches Lexikon II. — Correspondance du M-is et de la M-ise de Raigecourt avec le M-is de Bombelles. Paris, 1892, passim.

o wspólnem niebezpieczeństwie, grożącym ze strony rewolucjonizmu, cesarzewicz niejednokrotnie przerywał czytanie szambelanowi, wyrażając głośno swe zadowolenie z myśli w nich zawartych i dawał swą zgodę na środki zapobiegawcze, przez Metternicha proponowane. Potem zaczął szeroko opowiadać o ostatnich zajściach w Rosyi, a swoje w tym względzie wywody zakończył Konstancy interesującym żądaniem, by się władze austriackie dowiedziały od więzionego przez nie Ypsilantiego, coby mógł oznaczać ten ustęp jego listu, wysłanego do Aleksandra, bawiacego podówczas w Lublanie, w którym on się usprawiedliwiał ze swych postępów i twierdził, że nie byłby w ten sposób działał, gdyby nie otrzymał odpowiednich rozkazów. Owoż W. Książę był ciekawy, kto to mógł właściwie wydawać rozkazy rewolucjonście greckiemu, czyli wskazywał na to, że nie był wtajemniczony w intencje Aleksandra.

W dalszym ciągu godził się w zupełności na proponowanego przez Metternicha agenta dyplomatycznego w Warszawie, zwłaszcza, że precedens w tym względzie stanowił pobyt konsula pruskiego, Schmidta, kładł tylko jako warunek, by wprzód porozumiały się władze austriackie w tej sprawie z ministerjum spraw zagranicznych w Petersburgu. Dotąd więc było wszystko w porządku. Rezultat misyi był jak najlepszy. Lecz zmieniło się położenie, gdy przyszła kolej na omawianie depeszy drugiej, traktującej o kwestyi wschodniej i gdy Bombelles przedstawił propozycje austriackie co do pozyskania dla Austrii wpływu W. Księcia na cesarza. W tej kapitalnej kwestyi całego poselstwa spotkał Metternicha przykry a niespodziewany zgoła zawód. Gdy bowiem Bombelles naprowadził na nią rozmowę, Konstancy począł się wymawiać jej nieznaną, ponieważ od swej ostatniej podróży do Niemiec, t. j. od sześciu do siedmiu miesięcy, Aleksander udzielał mu bardzo mało co do niej objaśnień, ograniczył się tylko do wyrzekania na Greków, których uważał za rewolucjonistów, nie zasługujących na poparcie, krytykował dawne pomysły Katarzyny, jej zamiary na Konstantynopol, którym i on zawdzięcza swoje imię (Konstantyna) i przywiązywane do tego imienia nieszczęsne nadzieje, z których powodu z chęciąby to imię zmienił; lecz na prośbę Bombelles'a, by przy nadarzającej się sposobności zechciał wpływać na Mikołaja w duchu pokojowym i w widokach dla Austrii korzystnych, odpowiedział odmownie, tłumacząc się raz po raz nieznaną sprawą i pokojowymi tendencjami młodego cesarza.

Wobec takiego stanowiska W. Księcia, nawiązano z nim wprawdzie bliższe stosunki, lecz celu właściwego nie osiągnięto,

co więcej, krokiem tym niemal do reszty popsuto sobie i tak już nietęgą sytuację w Petersburgu.

Kompromitacja Lebzelterna była faktem odosobnionym, dotyczyła się jego samego i spowodowała poniekąd, za radą Nesselrodego, a nie bez wyraźnej woli samego Mikołaja, jego podanie się o przeniesienie z Petersburga, lecz nie wpłynęła decydująco na wzajemne stosunki obu dworów. Natomiast położenie pogorszyło się, gdy w Petersburgu dowiedziano się o jawnem sprzyjaniu Austrii W. Ks. Konstantemu. Z powodu wiadomości o tem, nadeszłych do Petersburga, w czasie gdy arcyksiążę został przeznaczony do tej misji, a nie wyjechał jeszcze z Wiednia, przybył Nesselrode do Lebzelterna i wręcz mu oświadczył, iż wie o sprzyjaniu Austrii W. Ks. Konstantemu z powodu jego zapatrywań na sprawę wschodnią, zaznaczył, że dwór wiedeński unyślnie powierzył tę misję arcyksięciu Ferdynadowi, jako przyjacielowi W. Księcia — a zaś z niechęcią odnosi się do Mikołaja. Lebzelter jak mógł tak bronił swego dworu, okazywał listy Metternicha, w których kanclerz odzywał się z całym uznaniem dla postępowania Mikołaja. Lecz to tłumaczenie nie mogło usunąć coraz bardziej wzrastającej nieufności do postępowania Austrii. Tutaj jeszcze dodać należy, że równocześnie i stanowisko Tatiszczewa w Wiedniu było mocno zachwiane. Nesselrode kilkakrotnie z dużą natarciwością nawet dopytywał się Lebzelterna, któremu z obu braci Tatiszczew życzył tronu, i jego także musiał brać w obronę ambasador austriacki.

Duże niezadowolenie w dalszym ciągu wywołała podróż arcyksięcia z ominięciem Warszawy, gdzie wszystkie poczyniono przygotowania na jego przyjęcie. Krok ten musiał Lebzeltern osobnym listem tłumaczyć, usprawiedliwiając go zaspami śnieżnymi i dyplomatycznym kłamstwem, że w Poznaniu dowiedział się arcyksiążę od Radziwiłła o wyjeździe W. Księcia z Warszawy, co było niezgodne z prawdą. Niezależnie zaś od tego, sam arcyksiążę musiał wysłać list z podobnem usprawiedliwieniem do Konstantego i obiecał mu, że w podróży powrotnej już niezawodnie wstąpi do Warszawy.

Misja warszawska wreszcie dopełniła miary nieufności cesarskiej. Wszelkich o niej szczegółów dostarczył Mikołajowi sam W. Książę Konstanty w obszernym liście, który przybył 3 lutego do Petersburga. Nie wpłynął on, co prawda, w niczem na stosunki towarzyskie arcyks. Ferdynanda, które były dotąd i pozostały nadal bardzo dobre. „Nie mógł mi cesarz uczynić piękniejszego podarku, jak pozwalając mi ocenić wszystkie przynioły

arcyksięcia“ — wyrażał się Mikołaj do Lebzelterna w dwa dni po otrzymaniu tego listu, gdy ambasador wręczał mu insygnia świeżo nadanego orderu św. Stefana. Cesarz nadał arcyksięciu pułk huzarów, a gdy ten, jadąc na plac Aleksandra Newskiego, odmroził uszy, darował mu wspaniałe futro. Lecz faktycznie wywołała wiadomość o tych ubocznych zabiegach Austrii duże wrażenie, które, nawet poza temi formalnemi grzecznościami, objawiało się dojmującym chłodem, zauważonym także przez samego Ferdynanda.

Zresztą Mikołaj postąpił w tym wypadku z dużą otwartością, dając mu zaraz na drugi dzień do poznania powód oziębienia się stosunków przez wręczenie mu całego pisma W. Księcia do przejrzenia. Przy tej też sposobności wyraził cesarz uczucie żalu, że arcyksiążę nie miał do niego tyle zaufania, by wprost z nim kwestyę wschodnią omówić i głęboko czuł się dotkniętym, że dopiero drogą okólną przez Warszawę starano się na niego w tej mierze wpływ wyrzucić.

Arcyksiążę, wobec takiego niespodzianego obrotu i postawienia kwestyi tej przez cesarza, znalazł się w arcytrudnem położeniu. Mając przez Metternicha przekazane nietykanie kwestyi wschodniej bez poprzedniego poruszenia jej przez cesarza, co dotąd jeszcze nie nastąpiło, a będąc obecnie zaskoczony tym wyrzutem, dla zmniejszenia i wogóle uniknięcia zarzutu nieufności, żywionej do Mikołaja, musiał, w braku innego wyjścia, za jedynym zamachem wyrzec się samego istotnego celu swej misyi. Odpowiedział więc cesarzowi, że kwestya wschodnia jest sprawą polityczną, która nie jest przedmiotem jego czysto przyjacielskiej misyi, a jako taka, jest oddana rokowaniom dyplomatycznym. Jeżeli cesarz zechce z nim w tej sprawie mówić, to on wypowie o niej swe zdanie tylko jako wojskowy. Krok ten był bardzo wątpliwej wartości, bo przyznaniem tem nie usunął nieufności cesarskiej do Austrii, a sobie zamknął na przyszłość możność jej dalszego z cesarzem omówienia, w duchu przez Metternicha wskazanym.

Cesarz bowiem zaraz dalszą rozmowę z nim przerwał, prowadząc go na pokoje cesarzowej matki. Na drugi dzień wprawdzie do niej wrócił, w czasie przeprowadzania Ferdynanda do suli jadalnej, lecz sprawił się dość krótko. Zaznaczył jeszcze raz tę nieufność, okazaną mu przez misyę Bombelles'a. „Przypisują mi — skarżył się cesarz w dalszym ciągu — znyślony sposób patrzenia i sądzenia w tym celu, by mniemano, że zupełnie nie jestem w zgodzie ze zmarłym cesarzem. Pomogły w tem i oddalenie od spraw bieżących i sposób, w jaki ja się musiałem zachowywać,

jako w książkę. Lecz wierz mi, że moje położenie jako w. księcia było może o wiele trudniejsze, aniżeli moja obecna rola, jako monarchy.“

Na te tak znamienne wynurzenia cesarskie odpowiedział Ferdynand wręczeniem mu memoriału o obecnej sytuacji Europy. Cesarz wziął go do przeczytania, nadmienając, że pomówi z nim o sprawie greckiej nieco później, bo dotąd jej dokładnie nie miał czasu poznać, zajęty ustawicznie wewnętrznymi sprawami państwa i konspiracją Dekabrystów. Na zakończenie tylko dodał, że ma zamiar działać w tej sprawie, jako też i innych większej politycznej wagi, w zupełnej harmonii ze wszystkimi państwami sprzymierzonymi.

Mimo tamtej obietnicy, do sprawy greckiej Mikołaj już nie powrócił. Dziękował wprawdzie na drugi dzień przy obiedzie arcyksięciu za wręczenie mu tego memoriału, lecz uczynił przytem cierpką uwagę, że pismo to w zupełności zgadza się z tem, które poprzednio zostało poufnie zakomunikowane Konstantemu. Potem zaś sposobność w tym względzie się już nie nadarzyła, bo widzenia z cesarzem były teraz rzadsze, zresztą uwagę cesarską pochłaniały obecnie w zupełności śledztwa Dekabrystów, którym poświęcał niemal wszystkie swe wieczory.¹⁾

O ile więc, co do sprawy wschodniej, nastąpiło nawet jeszcze większe nieporozumienie, o tyle ta druga sprawa, walki z duchem rewolucyjnym, znalazła w Petersburgu i podatny grunt i odpowiednią chwilę.

Zeznania Dekabrystów wykazywały istnienie tajnych związków we Włoszech, na Węgrzech i w Galicyi. Wspólność niebezpieczeństwa nawoływała oba zagrożone państwa do współdziałania i obrony. Dlatego to cesarz wręczył Ferdynandowi 9 lutego wyciąg zeznań Jabłonowskiego, o ile one tyczyły się Galicyi, a następnego dnia Mikołaj sam zgłosił się do arcyksięcia na konferencyą celem omówienia tej sprawy. W rozmowie tej cesarz kładł nacisk na konieczność, by oba rządy szły ręką w rękę dla ścigania nieprzyjaciół porządku; w tym celu polecił on W. Księciu dostarczać władzom austriackim ciekawych zeznań, dotyczących się Galicyi. Następnie zaś wyraził życzenie utrzymania z Austryą nietylko przyjacielskich stosunków. „Pragnę, by związki nasze

¹⁾ Wiadomość o pierwszej rozmowie Ferdynanda z Mikołajem o kwestyi wschodniej zawiera raport arcyksięcia z 5 lutego (№ 4 B), w całości wydrukowany u Schiemanna, II, str. 425 sq.

były tak ściśle, jak w rodzinie... Armia moja—dodał Mikołaj—jest zawsze gotowa iść na rozkazy moich sprzymierzeńców, w razie gdyby jej potrzebowali. Sądzę, że można być zupełnie spokojnym, jeżeli—i tu zrobił aluzję do barwy mundurów trzech państw sprzymierzonych—biały, niebieski i zielony będą trzymały się razem.“ Na środki, proponowane przez Metternicha celem zwalczania prądów radykalnych, Mikołaj godził się w zupełności, w dodatku jeszcze ze swej strony roztrząsał plany urządzenia wychowania publicznego na prastarych, zdrowych zasadach, opartych tylko na religii.

Wynurzenia te były ostatnim dodatnim wynikiem misyi arcyksięcia Ferdynanda. Czas wyjazdu skracany paradami wojskowymi i przyjęciami w gronie rodziny cesarskiej, szybko schodził, a tymczasem Mikołaj ledwo mimochodem wspomniął czasem o kwestyi wschodniej. Ferdynand, poprzednio dobrowolnie zrzuciwszy z siebie tę misję, nie mógł już o tę sprawę sam pierwszy zaczepiać, pozostawało mu więc tylko notować parokrotne krótkie wyrażenia cesarskie i na ich podstawie snuć dalsze wnioski. Lecz nawet i te luźne fragmenty myśli cesarskich nie wypadły dla Austrii zbyt korzystnie, bo cesarz mimo swych pokojowych oświadczeń, mimo wyraźnych pragnień zgodnego ze sprzymierzeńcami postępowania, wypowiedział w końcu lapidarne i ciężkie w następstwa zdanie: „Trzeba koniecznie tę sprawę ukończyć, a jeżeli się nie wszyscy co do niej zgodzą, niech mi już samemu pozostawiają, a ja już mam na to dość środków i będę umiał dobrze skończyć z tymi łotrami.“ Pośród takich to smutnych horoskopów opuszczał arcyksiążę Petersburg 2 marca. Na odjeźdźnym tylko wręczył mu Mikołaj papiery znalezione u generała Kniaziewicz w Dreźnie, z tem by je oddał Franciszkowi.¹⁾

Arcyksiążę Ferdynand opuszczał Petersburg, wprawdzie spełniwszy swój formalny obowiązek, lecz wyjeżdżał bez osiągnięcia jakiegokolwiek dodatniego rezultatu, co do właściwego tej misyi celu, co do sprawy wschodniej, co gorsza wyjeżdżał faktycznie z rezultatem ujemnym, bo ze zwiększoną nieufnością Rosyi ku

¹⁾ Ferdynand do cesarza Franciszka, 2 marca 1826 r. № 9 D. Kniaziewicza aresztowano w Dreźnie na rekwizycję władz rosyjskich. Przeprowadzona rewizya znalazła u niego ledwo dwa pisma, nie będące jednak ani autorstwa Kniaziewicza, ani nawet nie opatrzone podpisem generała. Z treści możnaby sądzić, że oba są pochodzenia greckiego, albo przynajmniej wyszły z pod pióra jakiegoś filhela. Jedno z nich zawierało ciekawy plan, by Aleksander urzeczywistniał swe zamierzenia pokojowe.

Austrii. Arcyksiążę może sam tego stanu tak dokładnie nie odczuwał, otaczany grzecznościami dworskimi, mógł też donosić, że Mikołaj już zapomina powoli o aferze z hr. Bombelles. Tak jednak naprawdę nie było. Cesarz i jego minister spraw zagranicznych, Nesselrode, pamiętali o niej wybornie, a ostatni miał wcale nawet ostrą rozprawę w tym względzie z Lebzelterem, w czasie której minister rosyjski nie szczędził wymówek ambasadorowi austriackiemu. „Wśród rozgłośnych oświadczeń przyjaźni i zaufania—mówił Nesselrode—jaki dawał dwór wiedeński cesarzowi Mikołajowi, wśród najlepszych wrażeń, jakie sprawiły one na umysł monarchy, krok tego rodzaju jest pozałowania godny. Wskazuje on dużo względem cesarza nieufności i zamiar wpływania na jego sposób postępowania za pomocą środków ubocznych. Wysłanie któregokolwiek z waszych generałów do Wielkiego Księcia w celu złożenia mu swych wynurzeń, wysłanie nawet hr. Bombelles'a, przeznaczonego specjalnie do tego celu, byłby cesarz należycie ocenił, lecz cała wartość tej delikatnej grzeczności została zniweczona przez cel, który w sobie kryła.“ Nesselrode zaznaczył w dalszym ciągu, że misya ta w zupełności się nie udała, gdyż Wielki Książę żywi inne zapatrywania na sprawę wschodnią, jak to w Wiedniu powszechnie mniemają, zresztą cesarzewicz o całej rozmowie z hr. Bombelles'em wysłał do cesarza jak najpoddańszy raport, w którym szczegółowo zdał sprawę z rozmów mianych z wysłannikiem austriackim i tłumaczył, że ograniczył się tylko do wysłuchania Bombelles'a, sam jednak, jak ma to przykazane, nic o tej sprawie od siebie nie powiedział.

W odpowiedzi na te zarzuty Lebzelter usiłował wprawdzie bronić swego dworu, twierdząc, że stanowisko jego w tej sprawie nie wiele się różni od rosyjskiego, że w tym specjalnym wypadku Bombelles, choć nie miał pod tym względem żadnych poleceń, z gorliwości tylko rozpoczął na ten temat rozmowę, co W. Książę wziął za chęć wybadania go w tej materii,—tłumaczenie to jednakże nie wielki odniosło skutek.

Stwierdził to jeszcze w miesiąc później Lebzelter, gdy pisał, że cesarz dotąd nie poruszył w rozmowie z arcyksięciem ani razu kwestyi wschodniej. Położenie stawało się tem przykrzejsze także i z tego powodu, że wszyscy byli przekonani na dworze petersburskim, iż wysłanie takiej znakomitej osoby, jak arcyksiążę, nie miało na celu tylko zwykłej formalności dworskiej, lecz kryło jakąś ważną misję.

Do tego w końcu doszło, że Lebzelter, by kres położyć tym nieporozumieniom, widział się zmuszonym do napisania uniewin-

niającej zapiski w sprawie misyi hr. Bombelles'a, a choć ją przyjął Mikołaj z zadowoleniem, nie na wiele i to się przydało do wzmocnienia stanowiska Austrii w Petersburgu. Przyznawał to otwarcie ambasador austriacki, a stwierdzał ten stan rzeczy świeżo do Petersburga przybyły z powinszowaniami poseł angielski, zwycięzca z pod Waterloo, generał Wellington, oświadczając w rozmowie z Lebzeltternem: „Muszę panu wyznać, że gabinet pański już nie cieszy się dziś tymi samymi względami, co dawniej, zmarły cesarz was znał, obecny was nie zna i zdaje mi się, że jest względem was nieufny.“

Na takim to podłożu wzajemnej obu państw nieufności wschodziła sprawa tajnych związków. Metternich, który zrazu nie bez zadowolenia widział trudności, z jakimi było złączone wstąpienie na tron Mikołaja, nietylko dlatego, że Konstantemu pozostawały jeszcze pewne szanse, ale choćby dlatego, że niebezpieczeństwo, grożące młodemu władcy, uczyni go podatniejszym do rokowań z Austryą, sam został zaskoczony niemiałą wiadomością o niebezpieczeństwie, grożącym i monarchii habsburskiej ze strony tajnych związków. Pierwsze w tym względzie informacje otrzymał on za pośrednictwem hr. Bombelles'a z Warszawy, któremu W. Książę, odwdzięczając się za zaufanie żywione ku niemu przez dwór wiedeński, udzielił bliższych wiadomości o zeznaniach Pestela, stwierdzających istnienie tajnych związków we Włoszech, Węgrzech i Galicyi. Na razie jednak kanclerz austriacki nie mógł z nich szerszego użytku uczynić wobec braku jakichś bliższych szczegółów, po które natychmiast też zwrócił się za pośrednictwem Lebzeltterna do władz petersburskich.¹⁾

W rzeczy samej interweniował w tej sprawie u Mikołaja arcyksiążę Ferdynand, lecz bezskutecznie, bo i tu nie znano jeszcze bliższych szczegółów, ograniczono się tylko do dania mu obietnic, że w razie powzięcia jakichś pewnych wiadomości, niezwłocznie zawiadomi się o tem władze austriackie.²⁾

Mimo jednak, że narazie nie znany był bliżej wynik dochodzeń rosyjskich, rozpoczęto w Austrii również śledztwo i to pozostawiając na uboczu wiadomości o związkach włoskich i węgierskich, co do których niejednokrotnie władze austriackie już wprzód stwierdziły prowokatorską robotę rosyjską, całą swą

¹⁾ Raport hr. Bombelles, 27 stycznia 1826 r., lit. A; Metternich do Lebzeltterna, 3 lutego 1826 r. № 6. *Sécrite*.

²⁾ Lebzelttern do Metternicha, 2 marca 1826 r. № 165. E.

uwagę zwrócono na Galicyę, jako że był to grunt najniebezpieczniejszy i najpodatniejszy dla rewindykacyjnych robót związkowych, a zarazem co ważniejsza i dla prowokatorskiej zachęty ze strony sąsiada rosyjskiego.

To też skoro tylko arcyksiążę Ferdynand otrzymał wyciąg zeznań Jabłonowskiego, w których była mowa i o związku, mającym się wrzekomo szerzyć w Galicyi, natychmiast pchnął wiadomość o tem, osobną sztafetą, do galicyjskiego gubernium, polecając zwrócić uwagę na trzech mieszkańców Galicyi, posądzonych o należenie do związku, a to pułkownika Strzelbickiego, Stadnickiego i Piotrowskiego.¹⁾

Aresztowano tylko dwu, Ludwika Strzelbickiego i Jana hr. Stadnickiego. Śledztwo jednak, prowadzone we Lwowie, mimo informacyj, dostarczanych w tym względzie przez W. Księcia z Warszawy, nie odkryło w Galicyi żadnego związku tajnego. Wobec takiego wyniku dochodzeń obu uwięzionych w czerwcu tegoż roku wypuszczono na wolną stopę, a o ujemnym rezultacie śledztwa zawiadomił Metternich i Cesarza Mikołaja i W. Księcia Konstantego.²⁾

Tak więc sprawa wspólnej walki z duchem rewolucyjnym, mimo drobne usługi, wyświadczone przez rząd austriacki śledztwu w Królestwie Polskiem, jak wydanie Oborskiego i Karwickiego, podanie bliższych szczegółów o pobycie zbiegłego zagranicę hr. Romana Sołtyka, nie naprawiło zepsutych stosunków między obu państwami.

*

*

*

Na lato 1826 r. zapowiedziana została koronacja Mikołaja na cesarza w Moskwie. Konieczną było rzeczą wysłać z Wiednia specjalną misję, któraby uczestniczyła w tym akcie. Lebzelter, który już w marcu czynił w Petersburgu w tym względzie wywiady, otrzymał od Nesselrodego zapewnienie jak najlepszego wrażenia,

¹⁾ Arcyksiążę Ferdynand do wicegubernatora Galicyi, ks. Lobkowitza, Petersburg, 11 lutego 1826 r.

²⁾ Metternich do Lebzeltera i do W. Księcia Konstantego, obie depe-sze z 17 czerwca 1826 r. Co do zachowania się Austrii w sprawie śledztw warszawskich por. Askenazy „Łukasiński.“ Warszawa, 1908. T. II, str. 387.

wywołanego u cesarza przez arcyksięcia Ferdynanda, które czyniło zbędnem wysłanie specjalnego poselstwa na tę uroczystość.

W Wiedniu długo deliberowano nad tem, kogoby obecnie wysłać. Wreszcie, niemal w ostatniej chwili, wybór padł na Filipa ks. Heskiego z linii Homburskiej. Był on jednym z tych licznych książąt niemieckich, którzy nie mając w swoim państewku odpowiedniej dla siebie pozycyi, bo ktoś starszy z rodziny sprawował rządy, szukali służby u obcych. I on też rozpoczął karierę wojskową w armii holenderskiej, walczącej z rewolucyjną Francją. Dostał się następnie do niewoli francuskiej, z której z trudem jeno uniknął gilotyny. Potem wymieniony za jeńców francuskich przeszedł w służbę austriacką. W tej odznaczył się parokrotnie, walcząc przeciw Napoleonowi i doszedł do stopnia feldmarszałka-porucznika i generała komenderującego w Austrii i Tyrolu.

Teren petersburski poznał już poprzednio, wysłany tamże w r. 1818 w misyi dyplomatycznej i przyjmowany z wyróżnieniem przez zmarłego cesarza. Metternich, nie chcąc ponawiać smutnych a ryzykownych doświadczeń, poczynionych z poselstwem arcyksięcia Ferdynanda, powierzył obecnie ks. Filipowi misję czysto już oficjalną. Miał on udać się do Moskwy (jak o tem kanclerz austriacki donosił Tatiszczewowi) tylko jako „voyageur de distinction.“ Nawet pod względem wydatków reprezentacyjnych musiał się ograniczać do minimum, według przykazań znanego z przesadnej oszczędności cesarza.

Dnia 14 lipca 1826 r. zebrali się jej uczestnicy, wogóle podrzędne osobistości, w Bernie, a 19 t. m. stanęli w Warszawie. Tu W. Księcia nie zastali, ponieważ bawił on podówczas na inspekcyi swej armii, na nic więc przydał się list Franciszka do cesarzewicza, polecający jego opiece ks. Heskiego. Wysłaucy austriaccy odbyli tylko przegląd pierwszej dywizyi pieszej, dowodzonej przez generała Stan. Potockiego, która ich zachwyciła pod względem postawy i precyzji wykonania ruchów, a następnie przez Słonim, Mińsk i Smoleńsk udali się w dalszą podróż do Moskwy, gdzie stanęli 30 lipca. Odtąd cały czas swego pobytu w tem mieście, przedstawivszy się trzeciego sierpnia cesarzowi, spędzali na przyjęciach a przede wszystkim na rewiach wojskowych. Wyczekiwano aktu koronacyjnego, który wyznaczony pierwotnie na 18 sierpnia, obecnie ustawicznie był przesuwany pod pozorem złego stanu zdrowia cesarzowej, a właściwie z powodu dotąd jeszcze niepewnego zachowania się wojska. Sensacyę ogólną wywołało zjawienie się w Moskwie 26 sierpnia W. Ks. Konstantego, ono też wpłynęło decydująco na samą uroczystość, którą

teraz można było przeprowadzić 3 września bez obawy jakichś smutnych następstw.

W czasie pobytu swego w Moskwie, poczynił ks. Heski ciekawe zapiski, odnoszące się do zachowania W. Ks. Konstantego. Owóż cesarzewicz z radością przez cesarza i cesarżową witany, czuł się wśród tej nowej sytuacji życiowej nieswojsko, z czasem jednak przyzwyczał się do tego. Chętnie przebywał w towarzystwie generałów, których traktował nie tylko bardzo uprzejmie, ale starszych zwłaszcza z wylaniem i serdecznością. Wreszcie tak się zżył z tą nową sytuacją, iż począł czynić dowcipy. I tak jednego dnia wyraził się do matki swej, Maryi Teodorówny, cesarzowej wdowy, że tu, w Moskwie, ma to wrażenie, jakby był dożą geneueńskim w Paryżu za Ludwika XIV. Innym razem znowu narzekał, że przed wyjazdem do Moskwy nie mógł znaleźć dla siebie w Warszawie rosyjskiego mundur. Zaledwo z trudem wyszukano mu jeden adjutancki i to już wytarty. W nim też tu przybył twierdząc, że na tę uroczystość jest zupełnie dobry. Gdy mu zaś na to cesarzowa matka proponowała sprawienie nowego mundur, odpowiedział jej, że to jest zbędne, bo i tak to wszystko skończy się we wrześniu, potem zaś ma zamiar zrzucić ubranie wojskowe, a nosić tylko cywilne.

Przedstawiciele obcych mocarstw przebywali w Moskwie cały jeszcze miesiąc po koronacji. Austriacy odjechali 8 października do Petersburga, gdzie znowu ich oczekiwały do czasu ich odjazdu, t. j. do 2 grudnia, różne uroczystości i popisy wojskowe. W drodze powrotnej zatrzymał się ks. Heski 11 grudnia w Warszawie, gdzie go przyjmował bardzo mile Konstanty. W czasie obiadu wiele rozprawiał cesarzewicz o swej służbie pod Suworowem, przypominając tem swoje dawne służby w obronie Austrii, a gdy zeszła rozmowa na wypadki ostatniej doby i na zrzeczenie się tronu przez Konstantego, księżna Łowicka odezwała się, iż ofiarę tę uczynił tylko dla niej i dla swego szczęścia domowego.

Gdyby sądzić z listów, jakie do siebie wzajem obaj cesarze od chwili wstąpienia Mikołaja na tron wysłali, możnaby mniemać, jakoby między nimi nie było i cienia niezgody. Mikołaj tylko od czasu do czasu nie krył swojej niechęci żywionej do osób otaczających cesarza Franciszka, a przede wszystkim do Metternicha, któremu nie bez słuszności przypisywał skierowane przeciw Rosji zakulisowe intrygi.¹⁾

¹⁾ Korespondencya cesarska. Franciszek do Mikołaja 1 i 12 lutego, 18 i 30 maja i 12 lipca 1826 r., zaś ze strony Mikołaja specjalne poselstwo

Ze sprawa niefortunnej misji warszawskiej poszła w zapomnienie i stosunki układają się rzekomo coraz lepiej, a nowy cesarz nie myśli o wojnie, donosili zgodnie i ks. Filip Heski i nowy, na miejsce Lebzelterna wysłany, ambasador, którym był znowu hr. Bombelles. Ten ostatni stwierdzał, że Mikołaj nosi się z pokojowymi zamiarami na przyszłość, mimo nawet, że partya wojenna prze do wypowiedzenia Turcyi wojny, a jako dowód pokojowego usposobienia cesarza przytaczał jego projekt koronowania się w Warszawie na króla polskiego, po odbyciu koronacyi w Moskwie.¹⁾

W rzeczy samej wzajemne różnice między obu państwami, wynikłe z powodu misji hr. Bombelles'a i później z powodu protokółu kwietniowego, pozornie zaczęły się zacierać. Lecz już wkrótce Rosya swem agresywnem zachowaniem się w sprawie wschodniej poczęła w wysokim stopniu niepokoić Austryę. Październikowa ugoda akkermańska, godząca w całość posiadania tureckiego, a następnie zabiegi rosyjskie na rzecz Grecyi, uwieńczony trójprzymierzem angielsko-francusko-rosyjskiem, nastrecały Austryi aż nadto wiele powodów do obaw, mimo, że Mikołaj, ukrywając tante zabiegi, zdążające do wojny z Turcyą, wciąż przekonywał Franciszka o swych zamiarach pokojowych.

Austrya stale utrzymywała się przy zasadzie pokojowej załatwienia sprawy wschodniej i stąd nie godziła się na akcyę, proponowaną przez Mikołaja. To jej stanowisko, jakoteż namacalne dowody niechęci jej do Mikołaja i jego planów, jakie się właśnie dostały do rąk cesarskich za pośrednictwem hospodara wołoskiego, który wydał wszystkie do niego pisane listy Gentza, powiernika Metternicha, wywołały znowu naprężone stosunki między obydwojma dworami. Przedstawiciela Austryi poczęto nad Newą znowu przyjmować z dawnym chłodem, znowu starannie unikano wszystkiego, co by miało jakiś związek ze sprawą wschodnią, a cesarz nawet, który już porzucił był swój projekt koronowania się w Warszawie, nosił się, jak ogólnie mówiono, z zamiarem odwołania z Wiednia Tatiszczewa, jako zbyt pokojowo usposobionego.

Niewiele tę naprężoną sytuacyę zmieniło odwołanie hr. Bombellesa z Petersburga, a przysłanie na jego miejsce hr. Stefana Zi-

Ribeaupierre'a z listem z 18 grudnia 1825 r., w którym ofiarowuje dla pułku, noszącego imię Aleksandra, mundur zmarłego cesarza, dalej dwa listy z 16 lutego, 16 i 27 marca, 20 listopada 1826 r. Za order św. Stefana, nadany mu przez Franciszka, obdarza go wzamian orderem św. Andrzeja.

¹⁾ Bombelles do Metternicha, 22 Juillet 1826. № 192. E.

chy'ego. Nowy ten przedstawiciel Austrii przybył do Petersburga dnia 10 lipca 1827 r. Opuścił on dla tej misyi swój dotychczasowy posterunek w Berlinie, gdzie od 17-tu lat przebywając, miał wybornie wyrobione stanowisko i gdzie nawet umiał pozyskać szczególne zaufanie samego króla. Lecz i on, choć mile przez Mikołaja przyjęty, wnet zauważył, podobnie jak jego poprzednik, rezerwę dworu petersburskiego i zupełny brak ufnosci w słowach Nesselrodego, ilekroć była mowa o sprawie wschodniej. ¹⁾

Zniszczenie pod Nawarynem 20 października 1827 r. floty tureckiej przez zjednoczone siły angielsko-francusko-rosyjskie wywarło w Wiedniu jaknajgorsze wrażenie. Na skutek tego z gabinetem petersburskim zerwano niemal zupełnie stosunki dyplomatyczne, a choć ambasador austriacki pozostawał i nadal nad Nawa, nie otrzymywał on z Wiednia przez całych pięć miesięcy żadnych depeusz i instrukcyj. W dodatku Zichy był chory, więc Nesselrode był pozbawiony na miejscu niemal zupełnie komunikacji z Wiedniem.

Tymczasem do Petersburga poczęły coraz gęściej nadchodzić z początkiem r. 1828 wiadomości z Berlina, Warszawy i Wiednia o uzupełnianiu kadrów wojskowych i zbrojeniach w Austrii, a zwłaszcza o powiększeniu siły rozłożonej w Galicyi, na której czele miał stanąć powołany w tym celu do Wiednia, niedawny poseł na uroczystości koronacyjne, ks. Filip Heski. Wobec takiego stanu rzeczy Mikołaj postanowił wywiedzieć się listownie o stanowisku w tej sprawie Franciszka. Napisał więc 19 stycznia 1828 r. długi list, w którym tłumaczył swoje postępowanie z Turcyą koniecznością i obowiązkami, jakie na niego nałożył traktat lipcowy zawarty z Francją i Anglią. A dalej zaręczał, że nie nastąpi żaden przewrót w stosunkach międzynarodowych i w równowadze mocarstw, datującej się od aktów sprzymierzeńczych r. 1814, 1815 i 1818. „Naszym jedynym celem jest — pisał Mikołaj — przyprowadzić do skutku traktat londyński, otworzyć dla wschodu pokojową przyszłość, zgnieść wszelkie zarodki rewolucyi, a stworzyć porządek i stosunki handlowe, z którychby korzystały zarówno wszystkie rządy, jak i wszystkie narody.“

Lecz cesarz Franciszek nie poddał się złudzie tych uspakaających słów, widział, że z poza nich wygląda groźba wojny tureckiej. Przez przeszło dwa miesiące zwlekał z odpowiedzią, a gdy wreszcie ją wystosował 5 kwietnia 1828 r. nadał jej cha-

¹⁾ Zichy do Metternicha 15 Juillet 1829 № 1 A. № 2 A bez daty.

rakter ojcowskich rad, siłąc się na wykazanie smutnych i groźnych skutków wojny i przedstawiając, jako jedyne załatwienie przesilenia wschodniego, wspólne porozumienie dworów sprzymierzonych.

List ten miał poprzeć odpowiedniami ustnemi przedstawieniami hr. Zichy. W tym względzie otrzymał on obecnie pierwszą od tyłu miesiący instrukcyę z Wiednia, w której, między innemi, Metternich proponował dla pokojowego załatwienia konfliktu rosyjsko-tureckiego nadanie samorządu Morei i wyspom.

Lecz ta odpowiedź cesarska, jakoteż instrukcye przysłyły już po wypowiedzeniu przez Mikołaja wojny Turcyi. Wobec tego Mikołaj, który z ogromną niecierpliwością pisma z Wiednia oczekiwał, nie dał się już odwieść od raz powziętych postanowień, a na pokojowe oświadczenia Zichego, odpowiadał, wykazując konieczność tej wojny, podejmowanej nie dla podboju, lecz dla dobra swego narodu i dla utrwalenia pokoju. W tym też duchu napisał zaraz list do Franciszka z tym szczególniejszym frazesem, że na wypadek, gdyby wojna ta, czego się właśnie cesarz austriacki obawiał, miała wywołać jakieś niepokojące objawy i skutki groźne dla wewnętrznego spokoju Europy, on gotów jest oddać swe siły do dyspozycyi Franciszka. List ten wręczył cesarzowi austriackiemu Tatiszczew na posłuchaniu 13 maja. Franciszek przyjął rosyjskiego posła zimno. Pisma Mikołaja narazie nie czytał, odpowiedzi na pytania Tatiszczewa dawał niechętnie, a na usprawiedliwiania posła, że wojnę tę wypowiedział cesarz z konieczności, zauważył Franciszek, że nie byłoby do tego przyszło, gdyby Mikołaj od pierwszej chwili odrzucił projekty pacyfikacyjne Anglii.

Wobec jednak konkretnego faktu wybuchu wojny, postanowiono w Wiedniu nieco zmienić względem Rosyi taktykę. Ostatecznie zdobyto się na odpowiedź. Franciszek w liście do Mikołaja z 24 maja oświadczał, że w wojnie tej zajmie stanowisko neutralne, przyczem wyrażał życzenie rychłego jej zakończenia, ponieważ dotyka ona też interesów austriackich. W końcu dziękował Mikołajowi za ofiarowaną pomoc zbrojną, dodawał jednak, że na nic się ona nie przyda wobec niebezpieczeństw zagrażających moralnie.

Tymczasem Mikołaj wyjechał do armii, a ponieważ Zichy prosił o urlop z powodu złego stanu zdrowia, jak się zaś zdaje prawdopodobnie też i z powodu trudnego położenia na dworze petersburskim, a w lipcu opuścił stolicę, więc Metternich zapyty-

wał Petersburg kogoby mógł wysłać do cesarskiego obozu w celach wojskowo-dyplomatycznych.

Z całego szeregu proponowanych na tę misję generałów, jak Haugwitz, Ficquelemont, Alfred Windischgrätz, Teodor Büllet de Latour, wybór padł znowu na ks. Filipa Heskiego. Wysłał go Metternich nietylko dlatego, że generał ten poznał już nowego cesarza i dobrze był u niego zapisany, ale prawdopodobnie i z tego powodu, że Metternich chciał w ten sposób stwierdzić bezpodstawność tych wersyj, które tego księcia stawiały na czele armii skierowanej przeciw Rosyi.

Misya, jaka obecnie na niego przypadała, była wcale trudna. Według danej mu instrukcyi, miał służyć celom t. zw. wyższej polityki—miał utrzymywać przyjacielskie stosunki z cesarzem i dokładnie śledzić cały przebieg operacyj wojennych, ducha armii i jej kierownictwo. Do pomocy w załatwianiu korespondencyi dyplomatycznej dodano mu ks. Franciszka Lobkowitza, brata gubernatora galicyjskiego, a do służby wywiadowczej w sprawach wojskowych, dwu wyższych oficerów sztabowych, którym jednak polecono dla niezwracania na siebie uwagi, przywdziać zwykłe mundury adjutanckie.

Ks. Heski, zawiadomiony o tej misyi przez Metternicha 9-go czerwca 1828 r., już 31 lipca stanął w Szumli, gdzie mieściła się podówczas kwatera cesarska.

I oto pozornie znowu zaczęły się wytwarzać między Rosyą i Austryą zgodniejsze stosunki. Odwzajemniając się niejako za misję ks. Heskiego, W. Ks. Konstanty wysłał we wrześniu czterech polskich oficerów, mianowicie generała brygady Trembickiego, pułkownika I pułku strzelców P. Szembeka, podpułkownika strzelców konnych gwardyi Millera i kapitana Najmanowskiego do Wiednia, by uczestniczyli w manewrach austriackich, wyznaczonych na ten miesiąc w okolicy Badenu i Luksenburga. Lecz pod tą powłoką pozornej grzeczności kryły się wzajemne niedowierzania. Podobnie, jak ks. Heski z przebranymi adjutantami miał dokładnie baczyć na działania rosyjskie, tak znowu ci czterej oficerowie mieli prawdopodobnie na celu wywiedzieć się o ile i w jakim stopniu są prawdziwe pogłoski o nadzwyczajnych zbrojeniach w Austrii. To też Metternich, przeczuwając ten drugi, skryty cel ich misyi, poufnie wyrażał się o nich, że są szpiegami.

Metternich pracował podówczas tajemnie nad przeprowadzeniem do skutku wielkiej akcyi dyplomatycznej, mającej stanowić *contre coup* akcyi wojennej rosyjskiej przez wspólne wystąpienie Anglii, Francyi, Prus i Austrii z interwencją na rzecz Turcyi.

W Rosyi zrazu nic nie wiedziano o tej działalności kanclerza austriackiego. Lecz i tak panowało tam duże rozgorzyczenie przeciw Austrii. Mikołaj, choć z wyróżnieniem traktował ks. Filipa Heskiego, przecież w rozmowie z nim nie ukrywał swego niezadowolenia ze stanowiska Austrii, czego winę składał przeważnie na Metternicha i z wyrzutem wspominał zbrojenia się Austrii, które są skierowane albo przeciw Turcyi, albo przeciw niemu. Natomiast austriackie obawy starał się usunąć, powołując się na istnienie św. Przymierza i powtarzając dziwaczny frazes, że armia W. Ks. Konstantego jest przeznaczoną do tego, by w ciągu jednego miesiąca była gotową do marszu tam, gdzie jej to poleci cesarz Franciszek. Tymczasem podejrzenia co do postępowania Austrii przedostawały się chyba nie bez rozmysłu w coraz szersze warstwy. Nawet winę niepowodzeń wojennych starano się w części zwać na Austryę, rozgłaszając, że ona to informowała Turcyę o stanie sił rosyjskich, że austriacy oficerowie ćwiczyli poprzednio wojsko tureckie, wykonywali roboty fortyfikacyjne, przygotowali plany wojenne, a nawet jeszcze i obecnie kilku ich znajduje się w obozie tureckim.

Do punktu kulminacyjnego jednak doszło oburzenie na Austryę skoro w styczniu 1829 r., dzięki sprytowi pani Lievenowej, żony rosyjskiego ambasadora w Londynie, i wskutek odkryć przedajnego na wszystkie strony i suto nawet przez Austryę opłacanego posła rosyjskiego w Paryżu Pozza di Borgo, dowiedziano się w Petersburgu o ostatniej akcji Metternicha przeciw Rosyi. Z powodu tych odkryć Mikołaj począł się szykować do walki z Austryą i w tym celu polecił Wojciechowi Chrzanowskiemu, świeżo w ostatniej kampanii odznaczającemu się polskiemu podpułkownikowi kwatremistrzostwa, wykonać plan ataku na Austryę trzema kolumnami, mierząc rdzennym korpusem wprost na Wiedeń. Do uderzenia tego przeznaczał cesarz właśnie tę armię, którą ledwo przed paru miesiącami tak wspaniałomyślnie oddawał do dyspozycji Franciszka.

Równocześnie i Nesselrode zażądał od Metternicha za pośrednictwem Tatiszczewa kategorycznych wyjaśnień co do ostatniego zachowania się Austrii. Dodał od siebie jeszcze przyjacielskie uwagi, że po pierwsze przez takie postępowanie obustronne stosunki stawałyby się z dnia na dzień bardziej niezadawalające, że powtórę skutkiem tej interwencji, wymierzonej przeciw Rosyi, Metternich zamiast pokoju zapaliłby wojnę europejską, że wreszcie po trzecie: taka interwencya odebrałaby Mikołajowi możność jakichkolwiek ograniczeń swych żądań tureckich.

Metternich, przyciśnięty obcesowo do muru przez rosyjskiego ambasadora, zaprzeczył prawdziwości tych doniesień i wyparł się wszelkich w tym kierunku rokowań. Zadaniem zaś naprawienia popsutych stosunków i załagodzenia tego w najwyższym stopniu niezręcznego kroku Metternicha miał się zająć, właśnie przed paru dniami przed tą rozmową z Tatiszczewem, wysłany do Petersburga nowy poseł, generał hr. Karol Ficquelmont.

Rosya, mając przed sobą niezafatwioną jeszcze sprawę wschodnią i przygotowując się do drugiej kampanii tureckiej, z konieczności nie wchodziła w szczerotę zgody austriackiej i przyjęła wynurzenia przyjaźni przywiezione przez Ficquelmonta za dobrą monetę. Znowu więc nawiązana została korespondencya między cesarzami, a nowy poseł, który usiłował wytlómaczyć cesarzowi i Nesselrodemu ostatnie zabiegi interwencyjne Austrii dążeniem Franciszka do pokoju, znowu powoli zaczął, napozór przynajmniej, odzyskiwać zaufanie na dworze cesarskim.

Wobec tego, ks. Filip Heski, przebywający dotąd nad Newą, został na wiosnę odwołany do Wiednia. Lecz już wkrótce otworzyło się dla niego nowe pole działalności. Mikołaj udawał się do Warszawy celem dopełnienia tu koronacyi na króla polskiego. Owóz, na wniosek Metternicha, w uroczystości tej miał znowu uczestniczyć, jako przedstawiciel Austrii, ks. Heski, któremu dodano ks. Franciszka Lobkowitza i ks. Feliksa Schwarzenberga. Celem tej misyi było złożenie powinszowań Franciszka z powodu koronacyi Mikołaja na króla polskiego. Lecz poza tą funkcją oficjalną, kryła się prawdopodobnie druga tajna: dokładnego wywiedzenia się przy tej sposobności o nastroju ludności polskiej.

Jużto nie da się zaprzeczyć, że poza tą wielką walką dyplomatyczną, staczaną przez Rosyę i Austryę, a dotyczącą Wschodu, istniała jeszcze inna, na swój sposób również doniosła, kampania toczona między obydwoma państwami na gruncie polskim. Rywalizując ze sobą na tem polu, oba rządy, jak z jednej strony chciały pozyskać ufność swoich poddanych, tak znowu z drugiej strony starały się wszelkimi możliwymi środkami zniewolić dla siebie poddanych polskich drugiego mocarstwa i podkopać ufność w ich własny rząd.

Mikołaj więc mienił się być następcą Władysława Warneńczyka, obdarowywał Warszawę arnatami i sztandarami, zdobytymi na Turkach pod Warną, budował własnym sumptem u Kapucynów kaplicę dla przechowania serca Jana III i wreszcie zjechał do Warszawy na koronację. W Galicyi znowu gubernator Lobkowitz, czeski magnat, wychowany wśród budzącego się w Cze-

chach ducha narodowościowego, chętnie wywodził swój ród od Lecha, pokazywał się publicznie w kontuszku, przemawiał przy otwarciu sejmów stanowych po polsku i w ten sposób zaskarbiał sobie ufność mieszkańców Galicyi. On też niejednokrotnie wskazywał tajną robotę Rosyi na terenie galicyjskim. „Rosya—pisał Lobkowitz już w r. 1826—posługuje się piórem pisarzy, gazetami i sceną, by wpływać w swoim interesie na ducha galicyjskich mieszkańców i ich życzenia zjednoczyć z dążeniami Polaków w Królestwie Polskiem.“

Metternich miał w swych rękach zawsze jeszcze groźne narzędzie, mogące wywołać ferment w Królestwie Polskiem, a był nim syn Napoleona, ex-król Rzymu, zdegradowany na zwykłego ks. Reichstadtu. Z kolei Tatiszczew podniósł wielki alarm z powodu faworyzowania Polaków w Austrii, gdy Lobkowitz ukazał się w kontuszku, równocześnie zaś tenże sam ambasador donosił w raportach do Petersburga, jak to dziś jeszcze mieszkańcy Tarnopolskiego i Zaleszczyckiego obwodu wspominają z błogosławieństwem czasy spędzone pod panowaniem rosyjskiem.¹⁾ Owóż z dużym prawdopodobieństwem można przypuścić, że wysłannicy austriaccy, jadąc do Warszawy na uroczystość, której ostrze skierowane było właśnie przeciw Austrii, mieli się porozumieć z wybitniejszymi jednostkami Królestwa Polskiego co do ich sympatyj dla Austrii. Pufna ta misya przypadła nie ks. Filipowi w udziale, na którego uwaga wszystkich zanadto była skupiona, ale prawdopodobnie osobie mniej wybitnej, a bardziej się do tego nadającej, ks. Lobkowitzowi, którego właśnie brat, galicyjski gubernator, miał równocześnie nosić się z tajnymi zamiarami utworzenia z Galicyi i Królestwa Polskiego oddzielnego państwa polskiego pod panowaniem Habsburgów.²⁾

Ks. Heski przybył do Warszawy wraz z towarzyszącymi mu oficerami 21 maja i wręczył Mikołajowi pismo Franciszka. Cesarz znówu mile go przyjmował, zapewniał go o swej dla cesarza austriackiego przyjaźni, przyczem powtarzał swój sakramentalny frazes o armii pod dowództwem W. Ks. Konstantego, która

¹⁾ Askenazy, „Zabiegi“ 266. Tenże, „Nowe wczasy: Galicya a Węgry,“ Warszawa 1910, str. 266. Tatiszczew do Nesselrodego 29. Juni 1828. Portfolio II, 50, sq.

²⁾ Prądzyński w swym pamiętniku, Kraków 1909, t. I, str. 199, mylnie podaje jakoby rola ta przypadła ks. Lichtensteinowi, bawił on wówczas, przydzielony Ficquelmontowi, w Petersburgu.

jest zawsze do dyspozycji Franciszka, gdy mu zagrożą Włochy lub Francya. Część druga poselstwa, tajna, nie udała się. Wysłannicy austriacy, jak również stale tam rezydujący konsul Oechsner, śledzili tylko z dużą dokładnością sam przebieg koronacyi i efekt jej na ludność, a zwłaszcza wszystkie objawy ujemne, ale do nawiązania jakiegoś zbliżenia austriacko-polskiego nie przyszło.

Równocześnie do Wiednia został wysłany z podziękowaniem Mikołaja za austriackie życzenia generał-adjutant Wincenty hr. Krasiński, przedstawiany niezbyt korzystnie w austriackich relacjach z Warszawy. Ten, opatrzony listem Mikołaja i dość chłodnymi poleceniami ks. Heskiego, otrzymał 3 czerwca 1829 r. posłuchanie u Franciszka, które przeszło na opowiadaniu niemal entuzjastycznym generała o obrzędzie koronacyjnym (co do którego wszak w parę dni później cesarz otrzymał wręcz odmienną relację ks. Heskiego i Oechsnera) i pogadance o wojnach napoleońskich.

Główny efekt jego misyi polegał jednakże na trzech rozmowach, jakie miał generał z Metternichem, 4, 5 i 8 czerwca. Krasiński zażądał wyjaśnienia z powodu ostatnich zajęć i zachowania się podczas nich Austrii. Kanclerz bronił stanowiska, jakie zajęła Austria w ostatnich wypadkach, wykazywał jeszcze raz pragnienie pokoju i rychłego zakończenia wojny rosyjsko-tureckiej. W końcu na szczegółowe zarzuty, przedstawione na piśmie przez gen. Krasińskiego w sprawie ostatnich zbrojeń Austrii, dał mu Metternich obszerne wyjaśnienie również na piśmie, zredagowane przez referenta Rady Nadwornej Wojennej, pułkownika Kavanagh, w którym zbity został każdy zarzut w poprzednim piśmie ze strony Rosyi poczyniony Austrii.

Na tem narazie stanęło. Kilkoletnie przesilenie pomiędzy Austryą a Rosyą zakończyło się pokojowo bez wojennego zatargu i bez krwi rozlewu. Ale to przesilenie same przez się było nadzwyczajnego znaczenia, zarówno w niektórych ostrych swoich momentach nieraz bardzo już blizkich takiego zbrojnego rozwiązania, jakoteż w głębszych swoich czynnikach przyczynowych, spoczywających na podwójnym terenie powikłania rosyjsko-tureckiego, a zarazem styczności i tarcia interesów polsko-rosyjskich, t. j. na terenie wschodnim i polskim.

W obu tych dziedzinach narazie wyszła górą Rosya, z jednej strony czyniąc znaczny krok naprzód w swojej polityce wschodniej przez świeże zwycięstwo w wojnie z Turcyą, z drugiej zaś strony niebawem utwierdzając swoje panowanie nieograniczone

w Królestwie Polskiem przez stłumienie rewolucyi listopadowej. Austria w obu tych wypadkach zachowując z przymusu neutralność, skutkiem słabości swojej dyplomatycznej i co główna woj-skowej, uniknęła wprawdzie tym razem wojennej rozprawy z Rosyą, lecz głębszą istotę rywalizacyjnego swego względem Rosyi stosunku, a tem samem płynących stąd przyrodzonych zatargów i przesileń, do późniejszych tylko odroczyła czasów.

BRONISŁAW PAWŁOWSKI.

DROGI DO METAFIZYKI.

Wiadomą jest rzeczą, że ruch metafizyczny począł w ostatnich dziesiątkach lat zyskiwać na znaczeniu. Mimo to byłoby przedwczesnem, nadawać chwili bieżącej miano metafizycznej. Łudzić się bowiem nie można, że ruch metafizyczny jest na razie wielce powściągliwy, ograniczający się do prób wykazywania możliwości i poniekąd konieczności metafizyki i pozostawiający samo urzeczywistnienie czasom przyszłym. Nauka naogół jeszcze stroni urzędowo od metafizyki, lecz mimo to przyznaje się półurzędowo do sympatyj metafizycznych. Choć sympatyje dzieli dość daleka przestrzeń od samego urzeczywistnienia, to jednak sam fakt sympatyj jest wielce znamienity. Dowodzi on bowiem, że chwila obecna łaknie metafizyki. I choćbyśmy nawet tęsknoty metafizycznej nie poczytali za dostateczny argument racji istnienia metafizyki, to bądź co bądź faktu tego ignorować nie można, tem więcej, że jest on tradycyjnie uświęconym, towarzyszącym myśli filozoficznej krok w krok od samej jej kolebki, poprostu z duszy ludzkiej niewytępialnym.

Pragnienie metafizyczne chwili obecnej ujawnia się także na zewnątrz. Ponieważ jeszcze nie stać doby współczesnej na własną metafizykę, przeto zwraca się ona z impetem do metafizyki przeszłości. Na półkach księgarskich zjawiają się nowe wydania dzieł metafizyków nie tylko dawno zapomnianych, lecz nawet przez naukę bezwzględnie wyklinanych i wydrwiwanych — jak Plotyn, Schelling i Hegel. Jeśli więc na tej podstawie wolno stawiać horoskop dla metafizyki przyszłości, wtedy musi on wypaść niezwykle korzystnie. Zwrot właśnie do tych co dopiero potępianych i z państwa nauki wyłączanych, dowodzi chyba, że chwili obecnej mądrości ich z głębi duszy potrzeba.

Sprawy metafizyki mają się więc naogół tak: nauka ścisła, która unie już być cierpliwa, możliwości metafizyki nie przesądza. Zaś umysły gorętsze i niecierpliwsze, łaknące prawdy teraz za jakąbądź cenę, zaspakajają swe pragnienie metafizyką przeszłości, szczególnie metafizyką idealistyczną.

Mimo niezaprzeczonej tendencji ku idealizmowi, nieostrożnym byłby wniosek, że metafizyka przyszłości właśnie w kierunku idealizmu podąży. Należy bowiem mieć na uwadze jeszcze drugi, ni mniej znamienny fakt. Otóż surowa szkoła empiryzmu, którą przebył umysł ludzki w drugiej połowie XIX wieku, wycisnęła na nim piętno trwałe i głębokie. Olbrzymie zdobycze nauk ścisłych stały się nietylko faktyczną tamą przeciwnie metafizyczną. Ugruntowały one nadto przeświadczenie, że przyrodnicza ścisłość jest warunkiem wszelkiej naukowości, więc także filozoficznej. Z tego postulatu ścisłości chwila obecna najzupełniej zrezygnować nie myśli i nie powinna. A ponieważ klasyczny idealizm w interpretacji takich jak Platon, Plotyn, Schelling i Hegel najzupełniej postulatu ścisłości nie wypełnia, jeno go w zasadzie wprost ignoruje, przeto słusznie wątpić należy, czy metafizyka przyszłości pod jego sztandarem popłynie. Obecny zwrot ku idealizmowi nie jest więc bynajmniej *wyrównanym* wyrazem metafizycznych dążeń czasów współczesnych. Raczej należy go poczytywać za chwilowy surogat, zaspakajający dorywczo potrzeby tych, którzy bez metafizyki obyć się nie chcą i nie mogą.

Rzeczywistych poszlak, zwiastujących prawdziwe metafizyczne jutro, należy więc szukać gdzieindziej. Jasnym jest, że grawitować one muszą około problemu doświadczenia. Jakie znaczenie przysługuje doświadczeniu w obrębie metafizyki? Na pierwsze wejrzenie zdaje się pytanie to nie zawierać niczego nowego, gdyż przecież każdy system metafizyczny zajmował jakąkolwiek postawę wobec doświadczenia. Mimo to byłby zarzut ten tylko częściowo słusznym. Rozejrzawszy się bowiem w przeszłości, dostrzedz nie trudno, że problem doświadczenia w obrębie metafizyki, ściśle wzięwszy jako problem, właściwie nie istniał. Prostu dlatego, że rozwiązywano go *a priori* od jednego rozmachu. Albo proklamowano aprioryczną autonomię metafizyki, nie uwłaczając doświadczeniu, o ile się w niej mieściło, zaś pacząc i naginając je, o ile się nie mieściło. Ale też zakładano aprioryczną autonomię doświadczenia, poczytując metafizykę za dopełnianie go tylko o tyle, o ile ono łaskawie na to zezwolić zechce. Stosunek dotychczasowy charakteryzuje więc podporządkowanie metafizyki pod doświadczenie, lub naodwrot. Sprawa ta nie zmienia

się, choć istnieją także systemy, w których podporządkowanie poniekąd się zaciera pod wpływem widocznej tendencji do przyporządkowania, jak np. u Fechnera i Lotzego. W rzeczywistości bowiem jest tendencja ta tylko pozorną, gdyż ani Fechner ani Lotze ani na chwilę nie rezygnują z absolutnego aprioryzmu doświadczenia, kształtując swe metafizyczne spekulacje ściśle na modłę tegoż doświadczenia. Systemu, któryby bacznie przestrzegął autonomii metafizyki obok autonomii doświadczenia, któryby nie dokonywał, umyślnie czy nieumyślnie, transpozycji z jednej dziedziny w drugą, dotąd niema. A wzniesienie takiego systemu jest właśnie zadaniem filozofii przyszłości.

Dzieje myśli, szczególnie w wieku XIX, nauczyły nas, że ani sama autonomia metafizyki, ani sama autonomia doświadczenia nie jest w stanie dostarczyć tych odpowiedzi, których domagać się nigdy nie poprzestaniemy. Wyniesienie autonomii jednej z tych sfer do godności *jedynej*, paczy i pogwałca z natury rzeczy drugą. My zaś pragniemy, by nie została uszczuplona ani o odrobinę autonomia doświadczenia, by doświadczenie wolnem było od wpływów metafizyki — a obok tego pożądamy w całej pełni zaspokojenia naszych potrzeb metafizycznych. Przeto nie pozostaje nic innego, jak uznanie samodzielności jednej sfery obok drugiej. A z rozpoznania konieczności tej samodzielności wypływa zarazem konieczność uznania jakościowej odrębności czyli niewspólnierności dwóch tych sfer. Z uświęconem przez tradycję założeniem możliwości wzajemnego oddziaływania na siebie metafizyki i doświadczenia, gdzie raz przeważa jedna, raz druga strona, należy wziąć stanowczy rozbrat.

Faktyczne ukształtowanie właściwego stosunku metafizyki do empiryi oprzeć się musi zrazu przedewszystkiem na tem, że się metafizyce wywalczy uprawnienie naukowe w tym samym stopniu, w jakim je już posiadała empirya. Empiryi bowiem tego już dzisiaj nie potrzeba. Trywialna ta uwaga nabiera znaczenia, gdy się zważy, że sprawa miałaby się właśnie naodwrot, gdyby ten sam problem był się zjawił np. za czasów Hegła. Wówczas trzeba by było właśnie empiryę wyzwolić z pod władztwa metafizyki, czyli wywalczyć jej autonomiczną rację bytu.

Jak tedy osiąść dla metafizyki cechy naukowości, nadto takiej naukowości, któraby ją postawiła od razu godnie obok empiryi? Osią tego zagadnienia jest z natury rzeczy problem *metody*. Postępowaniem naukowem nazywamy bowiem takie, które podpada ściśle pewnej metodzie, za naukową uznanej. Metafizyka musi tedy zdobyć sobie własną, autonomiczną metodę, gwarantu-

jąca z jednej strony jej naukowość, a wyodrębniającą z drugiej strony postawę metafizyczną od empirycznej. I w rzeczy samej krok ten w myśli współczesnej już się dokonywa. Mianowicie w Niemczech wykazali Rickert, Windelband i Simel błędność stosowania metody przyrodniczej w naukach humanistycznych, usiłując ugruntować nową metodę historyczną lub idiograficzną, w przeciwieństwie do przyrodniczej czyli nomotetycznej. Zaś we Francji poddał Henryk Bergson rewizji metodę przyrodniczą w metafizyce, dowodząc, że niepowodzenia metafizyki przeszłości właśnie temu metodologicznemu nieporozumieniu przypisać należy, i wypracował dla metafizyki swoistą metodę mianowicie intuicyjną.

Nie wchodząc w tem miejscu w to, czy wyniki metodologicznych badań tych myślicieli są już ustalone, winniśmy podkreślić bądź co bądź *san* fakt. Sama dążność bowiem do wyswobodzenia metafizyki z pod panowania metody przyrodniczej jest chyba niedwuznaczną oznaką, że myśl filozoficzna zmierza ku wywalczeniu metafizyce nowej, swoistej naukowości—niezależnej od naukowości, opartej na metodzie przyrodniczej, a dotąd za jedynie „naukową“ powszechnie uznawanej.

Na pierwszy rzut oka może się takie postawienie kwestyi wydać wprost niedorzecznem. Jakim sposobem bowiem—słyszemy zarzut—można postulować dwie naukowości? Toć celem nauki jest zdobycie prawdy—przeto musiałyby istnieć dwie prawdy. Mimo to jest niedorzeczność ta tylko pozorną i wszelka trudność znika odrazu, gdy się zważy, że właśnie cel obu podstaw: metafizycznej i przyrodniczo empirycznej jest odmienny. Zagadnienia metafizyczne empiryi, jako takiej, nie dotyczą—i na odwrót. Metafizyka rozpoczyna się tam, gdzie się kończy empirya. A choć metafizyka posługuje się naturalnie wynikami empiryi, to jednak posługuje się nimi *samowładnie*. I właśnie z tej jej autonomii płynie uprawnienie jej autonomicznej metody. Posługując się bowiem tylko metodami empiryi, z natury rzeczy nie zdołałaby przekroczyć sfery empiryi.

Konieczność wykreślenia dwóch zasadniczo różnych sfer, napotykamy przedewszystkiem w zagadnieniu *jakości* i *ilości*. Naukowe badanie, oparte na metodzie przyrodniczej, rozstrzyga zagadnienie to radykalnie, od jednego zamachu; mianowicie poświęca jakości na ołtarzu ilości. Jakości wyjaśnia przez szczególne ustosunkowanie ilości. Poglądy na naturę tego ustosunkowania nie są wprawdzie jednoznaczne. Jakości uważa się bowiem albo za algebraiczną sumę, albo za dynamiczną wypadkową czynników ilościowych. Lecz rdzeń sprawy jest w obu razach jednaki: każ-

da jakość mieści się doszczętnie w czynnikach ilościowych, tak czy owak ustosunkowanych. Tem samem jakość, *jako taka*, nie istnieje. Że taka postawa empiryi jest najslusniejsza, nikt w wątpliwość podawać nie będzie, gdyż właśnie ona stanowi duszę metody przyrodniczej, i właśnie dzięki jej osiągnęła nauka tak wybitne rezultaty w sferze empirycznej.

Natomiast rzecz zmienia się od razu w sferze metafizycznej. Otóż to samo przetapianie jakości na ilości stosowała także metafizyka od Platona aż do dni dzisiejszych—i do celu nie dotarła. Dobitnie wskazuje na to Bergson. Idee Platona, substancja Spinozy, absolut Schellinga i duch Hegla zawdzięczają swe istnienie zaprzeczeniu jakościowej różnorodności zjawisk, a wysunięciu na ich miejsce ilościowej jednorodności. Przeprowadzając ten proces niwelowania jakości konsekwentnie coraz dalej, musieli myśliciele wreszcie dotrzeć do tak pustych, beztreściowych i jałowych, bo bezjakościowych, wyznażeń, jakimi są właśnie idee, substancja lub absolut. Oczywista ta niesprawiedliwość wobec jakości spowodowała niepowodzenia metafizyki. Metafizyka przyszłości musi więc błąd ten naprawić i jakościom oddać, co im się przynależy.

Jakości napotyamy w naszych przeżyciach. Stwierdza je nieuprzedzone, bezpośrednie doświadczenie. Każde poszczególne nasze przeżycie różni się jakościowo od poprzedniego. Spostrzegamy to nawet wówczas, gdy usiłujemy stworzyć warunki jaknajkorzystniejsze, by spowodować dwa jaknajwięcej sobie równe przeżycia, np. poddając się wrażeniu tej samej barwy widmowej w drobnych odstępach czasu zupełnie biernie i wyłączając, wedle możności, wszelkie czynniki heterenomiczne, zjawiające się nieustannie w świadomości. A najdobitniej ujawnia się to w sferze *uczuciowej*. Zakładanie tożsamości dwóch przeżyć uczuciowych jest dowolnością tem wyraźniejszą, gdy się zważy, że wszelkie nasze przeżycia są niesłychanie skomplikowane. Czystej przyjemności lub przykrości nie doświadczamy nigdy. Natomiast bezpośrednio spostrzegamy różnorodność dwóch przeżyć przyjemnych lub nieprzyjemnych, choćby najprostszych.

Współczesna psychologia zdaje sobie naturalnie z tej dowolności, jak wiadomo, doskonale sprawę. Lecz mimo to sankcjonuje ją w całej pełni i upatruje właśnie w niej niezbędną warunek naukowości psychologii, założywszy, że bez takiego sztucznego i dowolnego rozkładania jakościowej różnorodności na jednorodne czynniki ilościowe, żadna nauka o zjawiskach psychicznych obyć się nie może. Przeświadczenie o konieczności takiej postawy jest we współczesnej psychologii tak silne, że predes-

tynuje wprost z góry sposób badania. Miał od rzeczywistych przeżyć, danych w doświadczeniu, wychodzi się tedy od abstrakcyjnych pierwiastków psychicznych, jak np. czuć, uczuć i wyobrażeń, i z nich konstruuje się dopiero rzeczywiste przeżycia. Naturalnie, nic dziwnego, że konstrukcye takie, o ile są pomyślane i wykonane zręcznie, sprawiają złudzenie prawdziwej nauki o zjawiskach psychicznych. Założywszy, że ze skojarzenia czynników *a, b, c, d* powstaje nowe jakościowe przeżycie *e*, nie trudno całe życie duszy w schemacie tym pomieścić. Lecz mimo tak oczywistego ułatwienia pozostaje sprawa nierozstrzygniętą, czy nowe jakości rzeczywiste z takiego skojarzenia takich czynników powstają. Na to pytanie psychologia współczesna odpowiedzi nie daje, bo jej dać nie może, gdyż procesu rzeczywistego kojarzenia się ilościowych czynników, celem wytworzenia nowej jakości, nikt dotąd nie przeżył. Przeżycia przedstawiają nam się raczej bezpośrednio, jako przebogata różnorodność, wciąż inna, wciąż w ruchu. Ruch ten posiada charakter ciągłego płynu, którego czynniki się nietylko kojarzą, lecz nadto wzajemnie przenikają.

Choć więc konstruowanie przeżyć psychicznych z kojarzenia się hypotetycznych pierwiastków posiada niezwykłą siłę pociągającą, bo wysoce ułatwia orientowanie się w życiu duszy, to jednak należy się wystrzegać przed wyniesieniem go do godności jedynej prawdziwej i możliwej zasady badań psychologicznych. Natomiast należy mieć na uwadze, że rzeczywiste korzyści tej hipotezy osiągnęło się wyłącznie za cenę pogwałcenia rzeczywistego stanu rzeczy, gdyż w przeżyciach naszych napotykamy tylko jakości, które, *jako takie*, nie dadzą się sprowadzić do szczególnego ugrupowania czynników ilościowych. Raczej zdajemy sobie doskonale sprawę, że choćbyśmy z jakiegokolwiek przeżycia wyluskali najskrupulatniej jego składniki, to jednak jakość tego przeżycia pozostanie zawsze czemś zupełnie nowem, wobec składników swych obcem i autonomicznem. I zresztą nie może być wcale inaczej, gdyż metoda, polegająca na niwelowaniu jakości, celem wygodniejszego orientowania się w życiu duszy, nie może być chyba użyteczną do odbudowania ex post tych jakości, które co dopiero zniszczyła. Mechanizacya duszy, panująca we współczesnej psychologii, rozświetla wprawdzie tajniki życia psychicznego, lecz tajniki jakiegoś hypotetycznego życia, które ona za prawdę zakłada, nie zaś tego życia, które rzeczywście przeżywamy. Jakości psychiczne nigdy nie zejda w schematach asocjacyjnych doszczętnie bez reszty. Zawsze będziemy bezpośrednio

zdawali sobie sprawę z jakiegoś pozostałego, nie mieszczącego się w schematach tych i do niczego niesprowadzalnego *X*, stanowiącego właśnie swoistą cechę jakości.

Najwyraźniej ujawnia się taki stan rzeczy, jak już wspominaliśmy, w sferze uczuciowej. Terminu uczucia w dzisiejszym znaczeniu używa się w psychologii, jak wiadomo, dopiero od czasów Kanta i Tetensa. Dwaj ci myśliciele wskazali pierwsi na jakościową odrębność uczuć w przeciwstawieniu do czuć i wyobrażeń. Przedtem rozumiano przez uczucie na ogół to, co dzisiaj nazywamy wzruszeniami (afektami) i namiętnościami. Uczucia zaś uważano za objawy drugorzędne, towarzyszące pożądaniom i aktom woli. Platon i Arystoteles określali uczucia, jako stany zadowolenia i niezadowolenia, powstające wskutek osiągnięcia lub nieosiągnięcia przedmiotu pożądania. Podobne poglądy wygłaszali św. Augustyn i wybitniejsi scholastycy, jak Albertus Magnus i Tomasz z Aquinu. W epoce Odrodzenia zjawily się pierwsze przebłyki fizyologicznej teorii uczuć, mianowicie u Telezyusza i Vivesa. Podobne próby napotykamy u Kartezjusza, Malebranche'a, de la Mettrie i Hobbesa. Zasadniczy zwrot wykonał dopiero Kant, poczytujący uczucia przyjemności i przykrości (Lust, Unlust) za objaw szczególnej autonomicznej władzy duszy, pośredniczącej między intelektem a wolą. W epoce spekulacji po Kancie tracą uczucia znów swą autonomię. Hegel, Herbart i także Lotze uważają je za rodzaj niejasnych wyobrażeń, wywołanych szczególnymi procesami wzajemnego wspierania i zwalczania się wyobrażeń, a Schopenhauer wywodzi istotę uczuć z procesów wolontarystycznych.

W nowej psychologii wkroczyła teoria uczuć na nowe tory za sprawą psychologii fizyologicznej. Decydujący krok wykonali James i Duńczyk Lange. Zbadali oni cielesne objawy towarzyszące wzruszeniom i przysli do wniosku, że treści świadomości, zwane wzruszeniami, nie są niczem innym, jak tylko sumą czuć cielesnych, rozgrywających się szczególnie w organach obwodowych. Za ogólne źródło odnośnych czuć cielesnych poczytuje Lange zwięzanie i rozszerzanie się naczyń krwionośnych. Taka teoria wzruszeń wpłynęła z natury rzeczy na teorie uczuć wogóle. Uczucia straciły swą autonomię i spadły do poziomu objawów drugorzędnych, do szczególnego rodzaju czuć. Niejasnemi i zagmatwanemi czuciami ogólnemi nazywa je też James. Upatrując więc istotę uczuć w procesach cielesnych, jest teoria ta zniewoloną do wniosku, że uczucia powstają w nas dopiero wówczas, gdy poprzedzają je odnośne procesy cielesne. James nie za-

wahał się też konsekwencyi tej ująć w słynny paradoks: jesteśmy smutni, ponieważ płacemy, lub: nie wiadomość wesoła rozwesela nas, jeno uczucie wesołości powstaje w nas z powodu pewnych procesów fizyologicznych, które dana wiadomość odruchowo w naszym organizmie wywołuje.

Teorya ta opiera się głównie na dwóch spostrzeżeniach. Po pierwsze jest faktem, że gdzie brak charakterystycznych objawów cielesnych, tam brak także wzruszeń. Np.: gniew nie wstrząsa nami, gdy swobodnie usiądziemy na krześle i uśmiechamy się mile, jak dowcipnie zauważa Ebbinghaus. Zaś na odwrót: możemy bez trudu wzbudzić w sobie uczucie gniewu, gdy pochylamy się naprzód, zaciskamy pięście, zacinaemy zęby i t. d., wogóle gdy wykonujemy charakterystyczne ruchy, które czyni człowiek rzeczywiście zagniewany—z czego, nawiasem powiedziawszy, skwapliwie korzysta sztuka aktorska. Po drugie, również faktem jest, że silne wzruszenia powstają w nas pod wpływem licznych środków chemicznych, narkotyzujących i t. d. i wskutek zaburzeń w organizmie. Np. już drobne usterki w funkcjonowaniu oddechu lub serca wywołują w nas potężne uczucie strachu. I na odwrót, w pewnych wypadkach patologicznych ustaje możność wzruszenia się, mimo że wrażliwość na wszelkie podniety zmysłowe pozostaje prawie normalną. Pewna chora, którą opisuje R. d'Almones, mogła jeść bez końca, nie odczuwając ani głodu, ani nasyceń. Zdawała sobie sprawę, że należy kochać osoby najbliższe, a mimo to nie odczuwała żadnej miłości. Intellekt jej funkcjonował prawidłowo — tylko uczucia znikły bez śladu.

Mimo tak silnych argumentów teorya Jamesa i Langedo nie wytrzymuje krytyki. Najpierw wykazuje obserwacya, że nieraz dzieje się inaczej, niż teorya wymaga. Mianowicie często płacemy, ponieważ jesteśmy smutni, wogóle stan uczuciowy poprzedza charakterystyczne objawy cielesne, jak eksperymentalnie stwierdzili Lehmann i Binet. Powtóre przemawiają przeciw niej motywy zasadnicze. Otóż teorya ta popełnia zwykły błąd fizyologicznej psychologii wogóle, mianowicie usiłuje zastąpić psychologię fizyologią.

Mniema, że opisawszy objawy fizyologiczne, wyjaśni tem samem naturę przeżyć psychicznych. Tymczasem wątpliwem chyba nie jest, że psychologia takim stanem rzeczy zadowolić się nie może. Psychologia musi obstawać przy czysto psychologicznem wytlómaczeniu objawów psychicznych i wprost bronić się od napływu łądzących surogatów fizyologicznych. Naturalnie nikt nie zaprzecza, że wszelkie zjawiska psychiczne stoją w jakimkolwiek

związku, czy przyczynowym, czy parallelistycznym, z procesami fizyologicznymi i że poznanie tego związku jest rzeczą wielce ciekawą. Lecz również zaprzeczyć nie można, że mieszanie ze sobą dwóch tych różnorodnych sfer, jest conajmniej dowolnością. Badania całego zastępu uczonych, jak: Richet, Ribot, Sergi, Münsterberg, Sollier, popierających w zasadzie teorię Jamesa i Langego, posiadają niewątpliwie wybitne znaczenie dla poznania procesów fizyologicznych, będących w związku z uczuciami. Lecz o psychicznej naturze uczuć powiedziały nam one bardzo niewiele. Przeto ludzić się nie można, że mamy tu do czynienia z psychologiczną *fizyologią*, a nie z psychologią. Rozpoznanie właściwego stosunku fizjologii do psychologii zyskuje wogóle coraz więcej zwolenników w kołach współczesnych psychologów, mianowicie między tymi, którym sprawy psychologii leżą przedewszystkiem na sercu. Wnioski z objawów fizyologicznych o naturze procesów psychicznych stają się coraz powściągliwsze. Na konieczność takiego rozgraniczenia w interesie obu nauk kładzie szczególnie nacisk Wundt, jeden z twórców i głównych filarów psychologii fizyologicznej.

Czysto psychologiczne teorie uczuć można podzielić na dwa kierunki: dualistyczny i pluralistyczny. Dualiści, jak Ebbinghaus, Jodl, Külpe i Władysław Heinrich, sprowadzają całe bogactwo uczuć do dwóch jakościowo odrębnych rodzajów, mianowicie do uczuć przyjemnych i przykrych. Wszelkie uczucia przyjemne różnią się między sobą tylko ilościowo—tak samo przykre. Uczucie przyjemne przy spożywaniu doskonałej potrawy jest więc, zdaniem ich, jakościowo identyczne z przyjemnem uczuciem powstającym np. podczas słuchania symfonii Beethovena. Że zaś dwa te uczucia rzeczywiście między sobą się różnią—przyjawszy naturalnie jednaką ich intensywność — polegać ma wyłącznie na różnorodności czuć i wyobrażeń, im towarzyszących. Na zasadzie tej różnią się uczucia zmysłowe, emocjonalne i intelektualne, i pośredniczące pomiędzy nimi rodzaje uczuć zmysłowo-intelektualnych, zmysłowo-emocjonalnych, intelektualno-emocjonalnych i zmysłowo-intelektualno-emocjonalnych — według klasyfikacji wypracowanej szczegółowo przez Heinricha.¹⁾ Zaznaczyć należy, że Heinrich nazywa czynniki przyjemności i przykrości nastrojami. Zaś uczuciami nazywa dopiero całe rzeczywiste przeżycie uczuciowe, a więc wrażenie zmysłowe lub cielesne i t. d. plus nastrój.

¹⁾ Por. „Psychologia uczuć.“ Kraków, 1907, str. 198.

Pluraliści natomiast, jak Volkelt, Lipps i Wundt przyjmują znaczną liczbę jakościowo odrębnych uczuć, czyli nastrojów według terminologii Heinricha, uważając określenia przyjemności i przykrości tylko za zbiorowe nazwy, zawierające w sobie przebogata jakościową różnorodność uczuć przyjemnych względnie przykrych. Dualistów i pluralistów łączy zaś wspólny pogląd, że czyste uczucia, nastroje, jako takie, w duszy nie zachodzą, jeno że każde uczucie jest nierozzerwalnie złączonym z jakimś bądź czuciem lub wyobrażeniem lub obu — mimo że uczucia są prawdziwymi pierwiastkami, ostatecznymi, niepodzielnymi i niesprowadzalnymi czynnikami psychicznymi.

Oparwszy się na bezpośredniej obserwacji, wątpliwem być nie może, że tylko pogląd pluralistyczny odzwierciedla rzeczywisty stan rzeczy. Zdajemy sobie bowiem najpierw sprawę bezpośrednio, że uczucie przyjemności kulinarnej różni się fundamentalnie od uczucia przyjemności artystycznej, nawet wówczas, gdy eliminujemy złączone z niemi czynniki czuciowe i wyobrażeniowe. Powtórę spostrzegamy również bezpośrednio, że uczucia przyjemne różnią się także w jednej i tej samej sferze jakościowo między sobą. Uczucia, wywołane przez obraz, innemi są, niż uczucia, wywołane przez rzeźbę, założywszy w obu razach tę samą treść, sprawność techniczną i ten sam poziom artystyczny. Marmur wywołuje zupełnie odmienne napięcie uczuciowe, niż barwa.

Dowolność teorii dualistycznej jest oczywistą. Zaprzeczyć nie można, że dualizm uczuć jest teorią niezmiernie wygodną, że ułatwia niesłychanie interpretację najzawilszych przeżyć uczuciowych. Lecz z drugiej strony wątpić wypada, czy psychologia na takiej „dogodności“ prawdziwie zyskuje. Miast nauki o przeżyciach naszych, takich, jakimi one są w rzeczywistości, otrzymujemy tylko hipotezę o rzekomem rzeczywistem łączeniu się pierwiastków nierzeczywistych, bo jako takich w stanie czystym w duszy nienapotykanym.

Teoria dualistyczna jest klasycznym przykładem metody przyrodniczej w psychologii. Jakościowe odrębności w naszych przeżyciach sprowadza ona do czynników ilościowych, całą przebogata różnorodność uczuć przyjemnych i przykrych redukuje do różnic ilościowych dwóch hypotetycznych pierwiastków i wymaga od nas wiary, że jakości, które znamy, rodzą się rzeczywiście z ugrupowania się czynników ilościowych, których jako takich w stanie czystym zupełnie nie znamy. Z tych powodów jest też polemika z dualizmem wielce utrudnioną. Sam mechanizm lub dynamizm assocjacyjny niedostępny jest naszej kontroli — przeto

na argumentach pro lub contra nie zbywa. Jedyną opoką, o którą się tutaj oprzeć można, jest bezpośrednia obserwacja naszych przeżyć. Ta zaś mówi nam, że przeżycia nasze cechuje ciągłość, w której wszelkie czynniki wzajemnie się *przenikają*, a nie tylko ze sobą kojarzą—jak już wspominaliśmy. Gdybyśmy więc poznali nawet zasady kojarzenia, jak tego usiłuje dokonać psychologia od czasów Hume'a, to jeszcze nie będziemy niczego wiedzieli o istocie rzekomego produktu kojarzeniowego, bo przenikanie się wzajemne czynników zmienia je doszczętnie—tak jak przeniknięcie się wzajemne wodoru i tlenu, przy pewnej temperaturze, zmienia je w wodę. Choć więc hipoteza assocyacyjna jest wielce wygodną i przeto pociągającą, to nie można bądź co bądź od niej więcej wymagać, niż to, co w niej jest zawarte. Stąd wynika, że wszędzie gdzie napotykamy coś więcej niż same skojarzenia, należy wznieść się ponad teorię assocyacyjną. A tak się ma właśnie przy zjawianiu się w naszej duszy wciąż *nowych* uczuciowych jakości, które w ugrupowaniu swych rzekomych składników ilościowych nie schodzą bez reszty.

Psychologia uczuć musi tedy oprzeć się na fakcie, że w duszy naszej zachodzi szereg wciąż nowych przeżyć uczuciowych, jakościowo między sobą się różniących. Okoliczność ta sprawia na pierwszy rzut oka wrażenie wielce zniechęcające. Wydawać się bowiem może, jakoby psychologia była wówczas skazaną wyłącznie na opis i wyliczanie tych przeżyć bez końca. Tymczasem tak nie jest. Najpierw bowiem sam fakt stwierdzania coraz nowych jakości uczuciowych nie powinien zniechęcać, raczej winien zachęcać do coraz szerszego obejmowania nieprzebranego bogactwa duszy ludzkiej—podobnie jak astronomia nie przeraża odkrywanie coraz nowych konstelacyj, i historyka nie zniechęca wykrywanie coraz nowych motywów w czynach przeszłości. Potwóre psychologia na samej statystyce przeżyć uczuciowych poprzestać nie potrzebuje. W interesie pogłębienia i łatwiejszej orientacji wolno jej zaprowadzać klasyfikacje, z pomocą grupowania przeżyć *podobnych*. Podobieństwa między przeżyciami uczuciowymi mogą być rozmaite. Najpierw, jak wiadomo, towarzyszą uczuciom często te same czynniki wrażeniowe i wyobrażeniowe. Lecz podobieństwo stąd wypływające, jest naturalnie czysto zewnętrzne. Dotyczy ono tylko czynników towarzyszących uczuciom, nie zaś uczuć samych. Więc z takimi podobieństwami naturalnie, psychologia uczuć samych niczego począć nie może. Raczej musi ona wkroczyć właśnie na odwrotną drogę jak dualizm, gatunkujący uczucia wedle związanych z nimi wrażeń

i wyobrażeń—musi wyzwolić się z pod sugestyi tych czynników zewnętrznych i szukać podobieństw między uczuciami samemi. Drogię ku temu celowi wskazał Wundt, rozróżniając uczucia przyjemne i przykre, podniecające i uspokajające, napinające i zwalające. Lecz klasyfikacją taką naturalnie zadowolić się nie można, gdyż daje ona tylko ogólnikowe sumaryczne określenia, i nie wyczerpuje rzeczywistego bogactwa przeżyć uczuciowych — z czego zresztą zdaje sobie sprawę sam Wundt. By więc podjąć zadaniu, musi się psychologia zwrócić do dziedzin, w których uczucia panują wszechwładnie. A dziedzinami temi są przede wszystkim sztuka, szczególnie egotyczna i częściowo także historia. Dziedziny te przedstawiają nadto tę korzyść, że napotykamy w nich niejako obiektywne krystalizacye uczuciowych przeżyć. Dzieła sztuki, począwszy od nieudolnych prób prymitywnych aż do arcydzieł mistrzów, są bowiem niczem innym, tylko wysiłkami umysłowienia przeżyć uczuciowych swych twórców. To samo dotyczy także historii. I ona dostarcza nam obiektywnego materiału uczuciowego, zakłętego w czynach przeszłości. Z łatwością odnaleźć w niej można skrystalizowaną całą skalę uczuć od najwznioślejszych aż do najnikczemniejszych. Zaś doniosłą zaletą obu dziedzin jest to, że uczucia w nich zakłęte nie mogą już podlegać zmianom, że są one niejako wyrwane z ciągłej płynności i zmienności uczuć w duszy, że możemy im się swobodnie przyjrzeć, bez obawy, że każdej chwili mogą przestoczyć się i prysnąć. Pod *tym* kątem widzenia jest materiał, dostarczany przez sztukę i przez historię, cenniejszy, aniżeli materiał samoobserwacyjny psychologa, który naturalnie także w całej pełni uwzględnić należy. Lecz postępując tak, nie powinno się ani chwili zapominać, że chodzi tu tylko o stwierdzenie przeżyć uczuciowych, właśnie tylko podobnych, a bynajmniej nie identycznych. Gdyż inaczej, upatrując tutaj coś więcej niż podobieństwo, łatwo możemy uleść niebezpieczeństwu przetapiania jakości na ilości. Że uczucia są do siebie podobne, jest faktem empirycznym, gdyż zresztą inaczej nie moglibyśmy wogóle objąć tych przeżyć zbiorowem mianem uczuciowych.

A rozejrzenie się w tej empirycznej różnorodności uczuć, w tem zjawianiu się wciąż nowych jakości, tylko do siebie podobnych, lecz zawsze wyraźnie czemśkolwiek między sobą się różniących, wiedzie z koniecznością — po trzecie—do wniosku, że akty uczuciowe duszy są aktami prawdziwie twórczymi, wciąż nowymi, coraz innymi, raz jedyne tylko dokonywanymi i nigdy w tej samej jakości nie powtarzanymi. Rozpoznanie to, będące

niczem innym, tylko wynikiem z konsekwentnego pluralizmu uczuć, winno być chlubą, a nie straszakiem psychologii. Nawiasem powiedziawszy, prawdziwie pluralistyczna psychologia uczuć ma do przewyciężenia szczególne trudności, mianowicie lingwistyczną. Mowa ludzka jest niezmiernie ubogą w wyrazy, określające jakość uczuć. Zniewoleni jesteśmy największą liczbę uczuć określać pośrednio, z pomocą oznaczeń czuć i wyobrażeń, z uczuciami złączonych. Na trudność tę wskazuje dobitnie Wundt, gdyż jako pluralista odczuwa on ją szczególnie dotkliwie. Ale czysto zewnętrzna ta okoliczność sprawy nie zmienia. Z takim stanem rzeczy należy się poprostu liczyć i autonomiczne przeżycie uczuciowe określać jak dotąd heteronomicznie. Nieprzyjazna ta okoliczność lingwistyczna przyczynia się zapewne mimowoli pośrednio do utwierdzenia błędnych założeń dualistycznych. Ubóstwo swoistych wyrażen sprawia bowiem z łatwością złudzenie ubóstwa swoistych czynników psychicznych.

Całość przeżyć uczuciowych charakteryzuje szczególna cecha, w przeciwieństwie do przeżyć wrażeńiowych i wyobrażeńiowych. Spostrzegamy bezpośrednio, że z momentem zjawienia się w jakimkolwiek przeżyciu cechy uczuciowej, traci to przeżycie znamię obiektywności. Zdajemy sobie sprawę, że czynnik uczuciowy jest zależny tylko od naszej jaźni, że gdyby jaźń nasza była inną, wtedy przeżycie byłoby także odmienne. Jakość czynników wrażeńiowych i wyobrażeńiowych jest naturalnie także zależną od naszej jaźni — lecz mimo to nie posiada ona cechy tej bezwzględnej subiektywności. Raczej odczuwany czynniki te jako coś w części od naszej jaźni niezależnego, jej wprost narzucanego. Utwierdza nas w tem spostrzeżenie, że te same wrażenia i wyobrażenia złączone są u rozmaitych osobników z różnaitemi przeżyciami uczuciowemi. Jesteśmy o tem do tego stopnia przeświadczeni, że trudno nam wyobrazić sobie, by jednakie wrażenia i wyobrażenia miały być u różnych osób podłożem jednakiich uczuć. Poczucie indywidualności podnosi tutaj energiczny protest.

Prawdziwie sami sobą jesteśmy przeto wyłącznie w sferze uczuciowej — i z niej wyrastają korzenie naszej indywidualności. Bez trudu obdarzamy byle osobnika wrażeniami i wyobrażeniami, identycznymi z naszymi. Natomiast jakość naszych uczuć rezerwujemy bezwzględnie dla nas samych.

Znany doskonale ten subiektywizm uczuć nabiera szczególnego znaczenia pod powyższym kątem widzenia. Mianowicie

wskazuje dobitnie na dwoistą naturę naszych przeżyć. Zdając sobie sprawę, że zależność wrażeń i wyobrażeń od naszej jaźni *inną* jest, aniżeli zależność uczuć, zniewoleni jesteśmy do nadania wrażeniom i wyobrażeniom cechy względnej stałości i niezmienności, która uczuciom najzupełniej nie przysługuje. Nie mogąc dla tej względnej stałości wrażeń i wyobrażeń znaleźć żadnych punktów oparcia w ciągłej płynności naszych przeżyć, czyli w nas samych, zmuszeni jesteśmy wrażenia i wyobrażenia nasze odnieść do czegoś stałego i niezmiennego poza nami. Natomiast dla uczuć naszych nie szukamy wogóle podobnych punktów oparcia, upatrując właśnie w ciągłej ich zmienności i wciąż nowej ich jakości, istotną swoistą ich cechę.

Dwoistość naszych przeżyć warunkuje naturalnie naszą postawę wobec ich treści. Będąc zniewoleni do uniezależnienia od nas naszych wrażeń i wyobrażeń, nie zrzekamy się bynajmniej władzy nad nimi. A najdoskonalszym wyrazem ich opanowania, jaki dotąd znaleźliśmy, jest sprowadzenie ich nieprzebranej różnorodności jakościowej do jaknajmniejszej liczby jednorodnych czynników ilościowych. Z łatwością konstruujemy sobie wówczas z nich cały świat — boć panujemy nad nimi, jako nad naszymi tworcami, niepodzielnie. Zbytecznym byłoby wskazywać na odniesione w tej sferze tryumfy, które zawdzięczamy więc naszej postawie ilościowej. Lecz, jak już szczegółowo mówiliśmy, tryumfy te mieszczą w sobie niebezpieczeństwo. Zapatrzeni w nie ulegamy zbyt łatwo pokusie zajęcia tej postawy w sferze, w której traci ona wszelki sens — mianowicie w sferze naszych przeżyć uczuciowych. Boć właśnie psychologia uczuć wykazuje, że życiu uczuciowemu naszej duszy możemy tylko wtedy naukowo sprostać, gdy napotkanym tam jakościom pozostawimy ich charakter jakościowy — gdy więc zajmiemy wobec nich postawę jakościową.

A zajęcie tej postawy jakościowej stawia nas odrazu wobec zupełnie nowych zadań i otwiera zupełnie nowe widnokreśli. Otóż stwierdziwszy, że indywidualne nasze przeżycia uczuciowe, są jednorazowymi, nigdy się niepowtarzającymi, czyli, że dusza nasza stwarza nieustannie nowe jakości, poczynamy się z natury rzeczy domagać wyjaśnienia tego zjawiska, które empirya psychologiczna tylko jako istniejące stwierdza. Psychologię opisującą musimy tedy od chwili tej uzupełnić psychologią wyjaśniającą. Postulat taki chyba zadziwić nie może. W świecie ilościowym nie zadawaliśmy się przecież także samym opisem zjawisk, jeno zakładamy celem ich wyjaśnienia rozmaite hypotetyczne

istności jak atomy, siły, energie i t. d. Więc psychologii chyba również wolno unikać pod powierzchnią zjawisk psychicznych. A ponieważ kompetencya empiryi psychologicznej z chwilą tą się kończy — tak samo jak się kończy kompetencya empiryi z chwilą, gdy poczynamy konstruować teorię atomistyczną lub energetyczną — przeto rozpoczyna się tutaj, tak jak i nieraz tam, metafizyka. Lecz, jak widzieliśmy, jedynie metafizyka, wypływająca z postawy jakościowej może liczyć na powodzenie. Dlatego są wszelkie systemy metafizyczne, opierające się wyłącznie na ilościach, poprostu zbyteczne i ciągłe wznawianie ich, szczególnie przez przyrodników, gmatwa tylko swoiste cele postawy ilościowej.

Metafizyka może się opierać wyłącznie na jakościach, a drogę do nich wskazała nam właśnie psychologia uczuć. Pierwszym faktem metafizycznym będzie tedy ostatni fakt empiryczny, który uzyskała psychologia uczuć — mianowicie fakt twórczości naszej duszy. Wyłanianie się wciąż nowych, wciąż innych jakości uczuciowych wykazuje dobitnie, że dusza nasza nie jest ani biernym zbiornikiem czuć i wyobrażeń, pochodzących bez wyjątku z zewnątrz, ani też maszyneryą, spajającą jakości z hypotetycznych jednorodnych pierwiastków. Dusza nasza tworzy prawdziwie, bo powołuje do jednorazowego istnienia jakości uczuciowe, które jako zupełnie identyczne nie powtarzają się i powtórzyć nie mogą — empiryczny fakt indywidualności poręcza to dostatecznie. A z tego materiału metafizyka może i musi skorzystać. *Może* skorzystać — bo twórczość indywidualna naprowadza samorzutnie na drogę zmierzającą ku wykryciu wszechtwórczości, władającej całą sferą jakości. Zaś *musi* skorzystać — bo inaczej fakt twórczości, stwierdzony empirycznie tylko jako istniejący, pozostałby istnym cudem. Fakt twórczości domaga się wykazania zasady twórczej. A ponieważ zasady indywidualnej twórczości nie można szukać w sferze fizycznej, boć tutaj jedynie z pomocą niwelacyi indywidualności cośkolwiek osiągnąć można — przeto nie pozostaje nic innego, tylko poszukanie jej w sferze metafizycznej.

Że taka metafizyka posiadać będzie wszelkie cechy naukowości — wątpliwem chyba być nie może. Choć bowiem naukowa jej metoda będzie naturalnie inną od metody przyrodniczej i choć do niej tej miary, dotąd za jedynie uprawnioną uznanej, przykładać nie można — to jednak kryterjum jej naukowości będzie, tak jak i tam, prawda. Metafizyka, która zdoła sprostać faktowi indywidualnej twórczości i która nie uszczupli ani o odrobinę fak-

tów jakości, światła prawdy obawiać się nie potrzebuje. A innej naukowości jej nie potrzeba.

Pragnąc wskazać tylko *drogę* do metafizyki przyszłości, zatrzymujemy się w tem miejscu i nie przesadzamy o niej samej, póki jej jeszcze niema. Natomiast niechaj nam będzie wolno wyrazić przekonanie, że pełne uwzględnienie faktów jakości i faktów indywidualnej twórczości, winno metafizykę powieść ostatecznie w kierunku *indywidualistycznego pluralizmu*—a więc w kierunku właśnie odwrotnym do popularnego dziś monizmu.

MICHAŁ SOBESKI.

BRUNO LILJEFORS

(ZE SZWEDZKIEJ SZTUKI).

Godzinę drogi od Sztokholmu, w kierunku zachodnio-południowym, stoi nad zatoką morza Bałtyckiego duży dom drewniany w ciszy i odosobnieniu. Wczesnym rankiem lub o zachodzie słońca staje często przed tym domem na progu krzepka postać mężczyzny w sile wieku. Przysłania ręką oczy małe, siwe, oczy niedźwiedzie, dziwnie ostre i przenikliwe — i wpatruje się w niebo, w chmury, wsłuchuje się w szmery, idące od morza i od czarnej przepaści borów. Na nieładnej twarzy wyraz spokojny, uważny, skupiony. Wąsy jasne, prawie białe, już lekko siwiejące. Odzienie proste, ogromnie proste: wysokie buty, torba myśliwska i fuzya na ramieniu. Coś w nim z chłopca-myśliwego, coś z niedbałej pańskości. Popatrzył, posłuchał i ruszył w stronę lasu sprężystym, żwawym krokiem lat dwudziestu.

Dwór drewniany drzemał jeszcze chwilę. Ale gdy słońce podniosło się na niebie, zaszumiło jak w ulu i wysypała się gromadka dzieci różnego wieku. Na podwórku podniosły się głosy zwierząt i ptaków domowych i niedomowych. „Co robi nasza dzika gęś?“ „A daliście jeść orlętom?“ Ale nie wszystkie dzieci Brunona Liljeforsa mają czas na te zajęcia gospodarcze. To i owo wymyka się na polowanie w pojedynkę, we dwoje, z zupełnem równouprawnieniem rodzajów. Wprawdzie żadne gazety o tem nie pisały, ale niemniej prawdą jest, że onegdaj jedna z dziewczynek, dziesięciolatka może, ubiła zajacę—pierwszego zajacę—ze swej lekkiej fuzyjki. Czasem i „mama“ tej gromadki, porwana ogólnym zapałem, chwyta za strzelbę i idzie na polowanie. Dziwny dom, dziwna rodzina. Bywają dni, że dom stoi pustką. Wszystko na łowach, po lasach, kniejach, nadmorskich szuwarach. Wracają

wieczorem zmęczeni, podrapani, zabłoceni—ale szczęśliwi, z bogatym łupem wrażeń i przygód. Wraca też gospodarz. Jeżeli w dobrym humorze, jeżeli dzień był pomyślny, może nas zaprosi do swego „wigwamu“ na kieliszek benedyktyнки—i na dziką kaczkę. A jeżeli mu bardzo umiejętnie do serca przemówimy, zaprowadzi nas do swojej „pracowni“ na poufną pogawędkę.

Bo ten strzelec nadmorski, ten samotnik leśny, to jeden z najpierwszych malarzy europejskich, jeden z największych pejzażystów i malarzy zwierząt, jacy byli i będą. Ale pracownia jego... żal się Boże! Przypomina wielką szopę rybacką do przechowania łodzi i sieci. Coby powiedzieli modni artyści paryscy, monachijscy, a nawet krakowscy, na taką pracownię! Atelier malarskie, które nigdy nie widziało modelu kobiecego. Ale ściany tej szopy świadczą o wielkiej, natężonej pracy. Co za bogactwo i różnaitość studyów, szkiców, rysunków. Na jednej ścianie rozpięte płótno ogromne—rozpoczęta praca. Nie może się tam całe pomieścić, trzeba je rozwijać po kawałku. Wielki sznur łabędzi ciągnie nad błękitnem, spienionem morzem!

Liljefors nie pracuje nigdy nad kilku obrazami równocześnie. Jednemu dziełu oddaje się zupełnie, całą myśl, całą pieczołowitość. Jest on właściwie samoukiem. „Szkole,“ akademii zawdzięcza bardzo mało. W Upsali,¹⁾ mieście rodzinnem, chodził do gimnazyum, bo mu kazano, ale każdą wolną chwilę spędzał w lesie, na polu. Opowiada, jakiego doznał dziwnego uczucia, gdy poraz pierwszy w życiu zajrzał w lesie do gniazda jakichś ptaków i gdy pierwszy raz zobaczył leśne zwierzę, — dzikie, prawdziwe zwierzę. Jako mały chłopiec, dosyć warty wtenczas i drobny, nie znosił huku prochu, więc strzelał do ptaków tylko z łuku, albo rzucał kamieniem. Nabrał w tem takiej wprawy, że pewnego dnia ubił kamieniem sześć ptaków. Nie widział wtedy jeszcze morza, ale uczył się czytać na książce o wojnie trojańskiej i greckich wyprawach. Były tam obrazki — morze, łodzie, okręty. To morze nie dawało mu spokoju; rysował je i malował i śnił o niem ciągle.

Wyszedłszy z gimnazyum, zapisał się do Akademii sztuk pięknych w Sztokholmie. Był jej uczniem przez trzy lata, od roku 1879—82. Potem rok wędrówki po Europie: Bawaryi, Włoszech, Francyi, kilka miesięcy spędzonych w Düsseldorfie i powrót do ojczyzny, do tej Szwecyi, w której Liljefors pragnie żyć i umie-

¹⁾ Liljefors urodził się w roku 1860.

rać. Zamieszkał najpierw na wsi w okolicach Upsali, potem powędrował ku południowi, między wyspy, w okolice Västerviku, a od trzynastu lat mieszka w Södermanlandyi. Nad morzem ciągną się tam ogromne błota i szuwary z całym światem ptasim. Od strony lądu szumią lasy; świerki, sosny, brzozy i dęby stare wołają do siebie.

Do tej przyrody przytulił się Liljefors jak dziecko do matki. Ona przygarnęła go miłościwie i stała mu się najlepszą mistrzynią i przyjaciółką. Szepce ulubionemu synowi do ucha tajemnice swoje, wieszczy i tłumaczy dziwy ukryte. Śpiewa morze swoją wielką pieśń burzy i ciszy, uczą go ciemne bory, uczą szuwary błotne i rozhowy ptasie, uczy niebo, ziemia i woda i wszystko, co wśród nich żyje. Oto „Myśliwy,“ jeden z jego pierwszych obrazów. Smukłe pnie sosen, czuje się zapach żywicy i wilgotne tchnienie mroków leśnych, a strzelec stoi za drzewem i czeka. Mówią, że Liljefors jest sam strzelcem niezrównanym. Okoliczni hrabiowie i baroni poczytują sobie za zaszczyt, jeżeli Liljefors zechce z nimi polować. Naprzykład na lisa. Natępił go Liljefors w życiu niemało, ale dużo też z jego historii pędzłem opowiedział. W galerii drezdeńskiej oglądać można jego „Lisa z zajęcem,“ w Muzeum narodowym w Sztokholmie całą „Rodzinę lisów“ (1886), w galerii Fürstenberga, w Göteborgu, „Polowanie na lisa“ (1889). Wyżyna pokryta śniegiem miękkim, puszystym. Wspaniały lis rozciągnięty na śniegu. W głębi krzewina, z poza niej wybiega pies dyszący, zadowolony, z podniesionym ogonem. Jest jeszcze w galerii Thiela, w Sztokholmie, „Lis“ w lesie wśród głębokiej zimy. Śnieżne okiście smerku czy sosny wiszą nisko tuż nad śnieżną ziemią, a on stoi pod niemi, jakby pod białym baldachimem, stoi i patrzy, jakby się namyślał, dokąd pójść, co począć?

— Ale polowanie — mówi Liljefors — nie znaczy dla mnie przedewszystkiem, żeby ubić zwierza. Mnie chodzi o to, aby się do niego zbliżyć i je zrozumieć, a tego powinien pragnąć każdy prawdziwy strzelec. I jeszcze inna uwaga: Zwykle patrzymy na zwierzęta tak, jakby naprzykład mieszkaniec Marsa, przeniesiony na naszą ziemię, patrzył na ludzi. Widziałby tylko rasy, typy, klasy, ale nie indywidua. Ja w moich obrazach zwierząt pragnę przedstawiać osobniki. Maluję portrety zwierzęce.

Takim portretem jest „Kot na łowach“ i tem są „Wrony“ — oba obrazy w galerii Fürstenberga, w muzeum w Göteborgu. „Kot na łowach“ wśród liściastego lasu, ozłoczonego jesienią, z bogatym podłożem traw i wrzosów. Kot biegnie... cicho... lekko...

coś ma już upatrzonego i spieszy się bardzo. A „Wrony,” to jesień, ale późna, już prawie zima, dżdżysta, posępna. W sośninie siedzą wrony, jedna odwrócona tyłem, zagniewana na świat cały, ogromna, stara wrona, napuszczona, nastrzępiona; druga, raczej optymistka, ale nie bezmyślna, jedno oko zwróciła do przechodnia, błyszczące, mądre oko. Z ptaków leśnych upodobał sobie Liljefors cietrzewie. Malował je kilkakrotnie. Za „Polowanie na cietrzewie” zdobył w r. 1889 wielki złoty medal w Monachium i w tym samym roku za „Tokowanie cietrzewi” srebrny medal na wielkiej wystawie w Paryżu. Obraz kupiła monachijska Pinakoteka. Były to prawdziwie u Liljeforsa lata „zacietrzewione,” bo rok przedtem pokazał inne „Tokowanie cietrzewi.” Dzisiaj oglądać je można w muzeum göteborgskim. Nęciła go ta odwieczna, pierwotna epopea miłości i walki, epopea, tchnąca mocną wonią sielanki leśnej, a tak bardzo dramatyczna, czasem nawet tragiczna. Jest jeszcze na innym obrazie bohaterka tych rycersko-miłosnych zapasów, śliczna „Cietrzewica,” pełna wykwintnego wdzięku, siedząca sobie w chłodzie, wśród gałęzi, jakby w jakim zielonym, zaczarowanym dworze.

Czasem Liljefors przepadnie wśród lasów. Wraca dopiero nazajutrz, nad ranem. Taka noc spędzona w lesie, to wielkie objawienie. Kwitną o księżycu cudowne paprocie, kwitną jeszcze inne czary i dziwy. Raz Liljefors zaszedł w nocy na leśne uroczysko i zobaczył siedzącego na skałce puszczyka. Ptak utkwił w nim żółte oczy z niemym wyrzutem: Po coś tu przyszedł, człowieku? Czemu mi mącisz moją ciszę? Ten puhacz i to uroczysko przesładowało Liljeforsa długo i nie dawało mu spać po nocach. Aż odegnał zmoreę i rzucił na płótno. Jest w muzeum göteborgskim to zjawisko: „Puhacz w leśnej głuszy.” Poprostu robi się smutno na ten widok. Nie można przejść koło tego obrazu obojętnie. Bije w oczy cała niedola i cała wielkość tego ptasiego życia. Głusza okropna a piękna, nic nie drgnie w około, ptak nieruchomy jak ten głaz, na którym siedzi. Tylko oczy żyją i mówią, te dziwne, straszne oczy. Może to jakaś dusza pokutująca. Przypominają się stare baśni... może to jaki wielki duch zaklęty. Bo jest w ptaku majestat samotności i ciszy; zdaje się mówić: „Wolę ja moje odosobnienie, niż wasze zgiełki i śmiechy.”

Lecz niebezpiecznie długo przestawać z takimi pustelnikami. Zdrowa dusza pragnie zdrowszych, jaśniejszych wrażeń i widoków. Jest blisko „wigwamu” malarza całe królestwo błotne, pełne gwarów, grzechotów, bulgotów, nawoływań. Stawki zarosłe rzęsą, ciche wody, gdzie trzcina się kołysze i białą się nenufary. Lilje-

fors spędził tam nie jedną godzinę. Oto obrazek „Dzikie kaczki na moczarze“ (1901)—ogromnie tam zaciszenie i miło. Zrozumieć łatwo, że kaczkom tam dobrze być musi—i przychodzi ochota odezwać się razem z nimi: „kwak, kwak!“ Oto Liljefors spojrzął na świat pod kątem kaczego patrzenia. Pływa z nimi po tym stawku, wczuł się w to życie, jak mało kto przed nim lub po nim. Albo te poważne, dostojne „Łabędzie“ w trzcinie na stawie, albo te wspaniałe „Dzikie gęsi,“ opuszczające się na moczary. Cudowne! Liljefors zwykle przedstawia ptaki w ruchu, w locie i jest tu mistrzem nad mistrze. Bezwiednie może uczył się od Japończyków. Jego kaczka, jego łabędź płyną rzeczywiście, choćby ruch był ledwo dostrzegalny. Liljefors jest świetnym zoologiem, uczonym, znawcą przyrody, ale jest przede wszystkim artystą o przedziwnej mocy odczucia i wczucia się, zupełnego oddania się. Malarze i krytycy fachowi niech analizują i podziwiają doskonałość jego techniki, rysunek i koloryt, lecz najprostszy człowiek widzi, że jest w tych obrazach coś wielkiego: bezpośrednie, żarliwe, szczere połączenie się z przyrodą.

— Ludzie nie wiedzą—mówił Liljefors w ostatnim czasie do jakiegoś gościa—jak łatwo zdobyć przyjaźń i ufność dzikich ptaków. Oto tam, na podwórzu, mamy dziką gęś. Pewnego dnia przywędrowała do nas zupełnie niespodzianie, znalazła pożywienie i widocznie spodobało jej się u nas, bo nikt jej się tu nie sprzeciwia i może robić co chce. Czasem tylko kot ją spłoszy; wtedy ucieka, ale zawsze wraca. Były też u nas czas jakiś w gościnie dwa młode sokoły-wędrowce. Należą one, jak wiadomo, do najpłochliwszych ptaków. Ale odkryły coś w śpiżarni nad schodami, przyleciały raz, drugi i trzeci, a potem przylatywały już stale, co jakiś czas. Wcale im to nie przeszkadzało, żeśmy stali wokoło i im się przypatrywali. Czasem stare sokoły, jak błyskawica, wpadały za nimi z krzykiem i szumem skrzydeł próbowały lekkomyślników pociągnąć za sobą. Jakby do nich mówiły: Co za szaleństwo! Nie widzicie, że tutaj są ludzie blisko! Ale sokoleta nie zważały na te przestrogi. Były u nas też kiedyś orlęta młode i gnieździły się tu swobodnie, i były bardzo grzeczne i łaskliwe. Ale oczywiście, w miarę jak podrastają, ta łaskliwość może się stać niebezpieczna, zwłaszcza dla dzieci. W każdym razie warto się przekonać, ile czasu potrzeba, aby dzikie zwierzę zapomniało o swoich dzikich instynktach. Można by myśleć, że potrzeba do tego kilku generacji. Gdzież tam. Każde zwierzę można z łatwością oswoić, jeżeli od małego przyzwyczai się do ludzi. Trzeba tylko unikać tresury i wszelkich

ruchów gwałtownych. Zwierzę ceni zwłaszcza spokój w człowieku, tego żąda przedewszystkiem.

Zdarza się, że Liljefors ucieka na kilka tygodni na północ, między reny i niedźwiedzie, w głęboką, zimną Laponię. Zwykle radzą ludziom przespać czas podróży między Boden a Gellivare, bo tam tylko puste, wilgotne rozłogi. Ale właśnie do tych rozłogów, do tych mokrych stepów północnych, ciągnie coś Liljeforsa. Niejedno zwierzę można tam podpatrzeć. Stamtąd też pewno pochodzi ów „Orzeł chwytający zająca”—w galerii Thiela, w Sztokholmie.

Orzeł, ptak królewski, orzeł-drapieżnik, to jego ptak ulubiony. Przedstawia go z różnych stron, w różnych chwilach: „Orle gniazdo,“ „Orleża morskie“ i najwspanialsze ze wszystkich „Orły morskie“ w Muzeum narodowym w Sztokholmie. Na wzburzone fale spadają dwa olbrzymie ptaki, jeden już dziób utopił w ofierze, w jakimś mniejszym ptaku. Taka potęga w tym locie, taka siła w ogromnych skrzydłach i szponach, taka dzikość a zarazem wspaniałość, że aż dreszcz chwyta. Coś żywiołowego! Uważają ten obraz za arcydzieło Liljeforsa i tak jest w Szwecyi ulubiony i rozpowszechniony, że stał się prawie jakimś pomnikiem narodowym. A inni rozbójnicy morscy? Jest jeszcze „Gniazdo jastrzębi,“ są „Sokoły-wędrowce“ w gnieździe, stara sokolica i sokoleta w szczelinie stromej, nagiej skały nad morzem, wysoko.

W roku 1901 urządzono w Sztokholmie wystawę dzieł Liljeforsa i te obrazy odbyły potem wędrowkę po Europie. Było tam świeżo wykończone płótno „Mewy.“ Jak te mewy lecą! Jakby naśladowały ruch fali morskiej, do niej lgnęły, z nią razem podnosiły się i zniżały.

Liljefors mieszka nad morzem. Ale na obu szwedzkich wybrzeżach, wschodniem i zachodniem, morze dochodzi do lądu tylko zatokami. Jest jeszcze cały świat wysp i wysepek, „skärgård,“ który trzeba przebyć, zanim się wypłynie na szerokie, prawdziwe morze. Malarz tęsknił do tych przestworów. Kupił sobie niedawno o kilka mil od brzegu całą wyspę, Bullerö, z otaczającemi ją wysepkami. I tam żyje przez lato w szałasie, a raczej w dużej łodzi motorowej. Pomysł doskonały. Zupełna swoboda, zupełna niezależność. Tu można odetchnąć szeroko. Tu można o niejednem podumać i o niejednem zapomnieć.

Liljefors jest wielkim poetą morza. Ono na jego obrazach surowe, pospelne, jak bywa na północy, lecz tajemnicze i nieskończone. Oto „Wir morski,“ ciemne, wzburzone morze, skały i woda wrząca, jak w kotle. Nieustanna praca żywiołu, ciągły trud

morza, dziki, nieuciszony. Nad tym zamętem przelatuje ptak i nie więcej. Na innym obrazie znowu niebo, morze, skały, jak zawsze, były i będą, niezmiennie, wieczyste. Tylko dwa ptaki, „Dudki,“ unoszą się nad wodami. A najpiękniejszy z nich to „Nury-lodowce.“ Jesteśmy daleko od brzegu. Głębiny morskie i bezmiar nieba, samotność ogromna, zupełne milczenie. Nie zupełne! Odezwały się jakieś żałosne głosy. Nury-lodowce zakołysały się na fali; duże, dziwne, tajemnicze ptaki. Prawdziwe dzieci morza! Wszystkie barwy wody mieniają się w ich piórach. Zdaje się, że na takim morzu tylko takie ptaki żyć mogą.

Jest jeszcze jeden obraz, o którym trudno zapomnieć. Wywołuje wrażenie czegoś odrębnego w tej wielkiej galerii. Nie motywem, bo motyw często u Liljeforsa spotykany, ale uczuciem, które wyraża i które budzi. To najrzewniejsza nuta w tej potężnej pieśni, tak nawskroś męskiej, jędrnej i zdrowej, jakby zwrotka liryczna, tem piękniejsza, że niespodziana. Obraz nazywa się „Noc wiosenna“ (1896) i miasto Bremena jest jego właścicielem. Oto w noc majową trzy łabędzie lecą gdzieś z wyciągniętymi szyjami. Lecą nad łąkami, nad błotami. W powietrzu wilgoć świeża, woń ziół młodych i przyciszone głosy nocy. A łabędzie lecą, lecą w tęsknem, żarliwym zapamiętaniu, jakby je gnała ogromna tęsknota.

Zapewne Liljeforsowi wyśnił się ten obraz podczas jednej z jego krótkich wycieczek zagranicę, kiedy tęsknił do Szwecyi i pragnął czemprędzej wracać do kraju. Bo w całości ducha swego, życia i pracy jest on sam żywą częścią tej Szwecyi i jej szlachetnem a wiernem odbiciem. Jak dąb stary wrósł w ojczyznę swoją stokrotnymi korzeniami myśli i uczucia. Każdym obrazem, każdym ruchem pędzla mówi do niej: „Gdzieindziej może piękniej, bujniej, weselej. Twoje zimy długie, a wiosny krótkie. Tyś chłodna, smętna, skalista. Tyś niebogata i mieludna. Jednak Tyś dla mnie z wszystkich najmilsza, najpiękniejsza. Kocham Cię, ziemio moja!“

Jeden z pisarzy szwedzkich mówi, że, gdyby miał pieniądze i władzę odpowiednią, to, nie czekając śmierci Liljeforsa, wykupiłby wszystkie jego obrazy i otworzyłby wielkie muzeum dla młodzieży. Do owej świątynicy prowadziłyby tych, co w życie wstępują. Niechby patrzyli na te obrazy i uczyli się z nich dwóch rzeczy, które rzucają na życie strugę światła: miłości przyrody i miłości sztuki.

MARYA ZIELEWICZÓWNA.

„NOWA HELOIZA“ RUSSA

NA TLE EPOKI.

I.

Punktualny, jak zegarek, docent filozofii na uniwersytecie w Królewcu, Emanuel Kant, zaniechał raz jedyny swej poobiedniej przechadzki, a powodem tego było zaczytanie się w „Nowej Heloizie“, jak nam powiada nie bez pewnej melancholii jego znakomity biograf i komentator, Kuno Fischer.

Łatwo się domyśleć, z jaką ciekawością i gorączką pochłaniano wówczas książkę Russa, skoro jej czarowi nie oparł się umysł tak poważny, jakim był niewątpliwie autor „Krytyki czystego rozumu“ w czterdziestym roku życia. Dziś, przerzucając kartki „Nowej Heloizy“, wzruszamy nieraz ramionami. Zaloty i miłosne tyrady Saint-Preux'a czy Julii poczytujemy za nierozsądne wybryki, o jego uniesieniach i gorących wykrzyknikach mówimy z pobłażliwym uśmiechem na ustach. Wydaje nam się to wszystko zimne, retoryczne, konwencyjonalne. A jednak musiało w tem dziele być coś niezwykłego, czarującego i nowego dla współczesnych, skoro przyjęli je z takim entuzjazmem, skoro wchłaniali je i naśladowali z takim zapałem. Musiało w tej historii miłości dwojga serc być coś, co odbijało się od przeciętnego poziomu, od szablonowego życia i od ustalonych pojęć, skoro wywarło tak wielkie wrażenie i wywołało takie gorączkowe, namiętne poruszenie umysłów.

Niektórzy krytycy, nieprzyjaźnie usposobieni dla myśliciela genewskiego, utrzymują, że każde dzieło Russa było dziełem... przypadku. Mogło powstać, mogło i nie powstać. Treść i tendencya były także wynikiem raczej kaprysu, niż stałego systemu.

Zdaje mi się jednak, że ich twierdzenie niema żadnej podstawy i że raczej przypuszczać należy, iż kierunek, który przedstawia autor „Kontraktu społecznego“ był koniecznością chwili, był upragniony i z tęsknotą oczekiwany. Tylko na grunt przygotowany zasiew pada ze skutkiem. Tylko wtedy przyjmują się rychło nowe hasła, gdy stare wyczerpały swą siłę żywotną, gdy strupieszale i pod starości ciężarem rozpadające się zasady z konieczności miejsce zrobić muszą nowym. Ówczesna epoka dostarcza nam świetnych przykładów na uzasadnienie powyższego twierdzenia.

Przypatrzeć się stosunkom społecznym i literackim we Francji w pierwszej połowie XVIII-go wieku, wśród których powstaje dzieło Russa, powiązać je ze współczesną i poprzedzającą literaturą, zaznaczyć, co nowego do niej wnosi, wskazać w najogólniejszym zarysie jej treść, jej pierwiastki, jej wpływ i znaczenie—oto zadanie niniejszego szkicu przygotowawczego do monografii o myślicielu genewskim, którego dwóchsetną rocznicę obchodzić będzie Francya za dwa lata, gdy my święcić będziemy setną rocznicę urodzin nieśmiertelnego twórcy „Irydiona“ i „Nieboskiej Komedyi.“

II.¹⁾

Stulecie osiemnaste nie bez słuszności, obok innych określeń, nosi miano wieku panowania rozumu. Odnosi się to przedewszystkiem do pierwszej jego połowy, która jest epoką wszechwładnego rozpanoszenia się kierunku racjonalistycznego nie tylko w filozofii i literaturze, ale i w religii, obyczajach, konwersacyi. Chłodny rozum jest głównym, można powiedzieć, jedynym czynnikiem, który wszystkim kieruje i rządzi, który wszędzie wyciska swoje piętno. Opierając się na nim, występuje filozofia kontynentalna, w jego imię burzy się podstawy religii objawionej i lekceważy się zasady moralne, jako szczytki barbarzyństwa i zabobonów średniowiecza. Argumentami, które podaje zdrowy rozum, encyklopedyści wykazują powszechną samowolę i niesprawiedliwość klas rządzących, krytykują rząd i urzędnia społeczne i przygotowują grunt pod rewolucyę oraz materyał dowodowy, którym

¹⁾ Porów. Taine'a: „L'ancien régime“ Livre II; Hettnera: „Geschichte der französischen Literatur im achtzehnten Jahrhundert“; Brandesa: „Główne prądy literatury XIX stulecia“ t. I.

ona posługiwać się będzie, aby usprawiedliwić swoje rzezie i mordy, gilotynę i kata. Równocześnie zaś „Wielki“ Fryderyk kładzie podwaliny pod despotyzm oświecony i w imię tych samych zasad, które rzekomo podawał rozum, utwierdza monarchię absolutną, opartą na wszechwładzy „światłego“ króla. I w imię tych samych „zasad filantropijnych“ knuje piekielne intrygi i zamachy na Polskę, ażeby uszczęśliwić kraje, pogrążone w barbarzyństwie, swoją „świątłą“ opieką.

Panowanie rozumu nieogranicza się jednak do literatury i filozofii. Jego władza obejmuje także życie salonowe, obyczaje. Zdobywa sobie niepodzielne rządy w towarzystwie, w konwersacyi, w konwenansach i... w uczuciach. W społeczeństwie francuskim pierwszej połowy XVIII-go wieku chłodna elegancja, na zimno popisująca się galanterya i wymuszona etykieta osiągają swój szczyt, zrazu na dworze królewskim, a stamtąd się rozchodząc po dworach i zamkach wielkich panów. Prześlicznie opisuje Taine w swej historii dawnego rządu to życie wersalskiego dworu. „Z rzeźbionego sklepienia, zaludnionego figlarnymi amorkami, w girlandach kwiatów, których blask potęgują wysokie zwierciadła, światło tryska promieniami po złoceniach, po diamentach, po dowcipnych i wesołych czołach, po wysmukłych kibiciach, po sutych, różnobarwnych strojach, zdobnych w girlandy. Robrony dam, ustawionych wkoło lub spoczywających na ławkach, tworzą bogaty szpaler, pokryty perłami, złotem, srebrem, kamieniami, kwiatami, owocami sztucznymi, jest to olbrzymi bukiet żyjący, którego blask zaledwie oko znieść zdola. Panowie utrefieni i upudrowani, w puklach i zwojach, w koronkowych krawatach i mankietach, w jedwabnych sukniach i kaftanach blade-zielonych, różowych i niebieskich, zdobnych w hafty i złote galony—są wystrojeni niemniej od dam. Panowie i panie, jakby dobrani co do jednego, są to wszystko światowcy doskonali, ozdobieni we wszystkie wdzięki, jakie dać może rasa, wychowanie, fortuna, wygodą i przyzwyczajenie. Nie masz tu toalety, sposobu trzymania głowy, dźwięku głosu, frazesu, któryby nie był arcydziełem światowej ogłady, przedystylowaną kwintesencją wszystkiego tego, co kunszt towarzyski wytworzyć może najbardziej wyszukanego. Nawet tak oglądzone towarzystwo paryskie ani się nie zbliża do wersalskiego, porównane z dworem, wydaje się prowincjonalnem. Potrzeba stu tysięcy róż—jak powiadają—żeby przygotować uncyę owej jedynej esencji, którą się posługują królowie perscy; takim jest ten salon: mały flakonik ze złota i kryształu; zawiera się w nim treść wegetacyi ludzkiej. Dla napełnienia go potrze-

ba było najprzód, aby wielka, rycerska arystokracja, przesadzona do cieplarni, przestała rodzić owoce, a wydawała tylko kwiaty; następnie, aby wszystkie soki, oczyszczone w alembiku królewskim, skoncentrowały się w kilka kropli aromatu. Koszt to niezmierny, lecz tylko za tę cenę dają się wyrabiać arcy-delikatne pachnidła.“¹⁾

W tak sztucznej atmosferze uczucia nie mogły rościć sobie pretensyi do współdziałania i należnego im miejsca w życiu. Rozum opanował wszystko i wytworzył utartą, szablonową elegancję. Co wykaczało przeciw ustalonej galanterii, ściągało na siebie powszechnie potępienie. Każde słowo, każdy frazes musiał być odmierzony, obliczony; największą znie wagę ściągał ten na siebie, czyje zdanie uznano za wykaczające przeciw dobremu tonowi. „To niepodobne do niczego,“ „to niema nazwy,“ były najostrzejszą przyganą, śmiertelnym ciosem dla śmiałka, strącającym go odrazu z miejsca, zajmowanego w towarzystwie. Natomiast serce nie gra żadnej roli i nie miało się po co odzywać wśród tej cieplarnianej, wydelikaczonej atmosfery. Wszelkie wybuchy uczucia tłumiono, wszelkie namiętności przykrywano szatą dobrego tonu. Uczucia głębokie wydawałyby się czemś dziwnem, nieprzyzwoitem. Słowa prawdziwej miłości były najsurowiej wzbронione. W chwilach najwyższego uniesienia nie wyrwa się nikomu niepowściągliwsze, gorętsze słowo. Wszelkie było wykwintne, dobrane. Ale pod formą tych najwyszukańszych i najbardziej wykwintnych frazesów kryła się nie zdrowa namiętność, lecz lubieżność i rozpusta, która toczyła, jak rak, zgangrenowane społeczeństwo owej epoki. Jak pod koniec greckich państw był czas panowania heter, tak wiek XVIII we Francji, to czas wszechwładzy kochanek królewskich. Rzeczywistość przedstawiała dziwny kontrast z wypolerowaną mową; najbrutalniejsze instynkta i najbardziej rozpasane orgie święciły swój tryumf. Najwyższy upadek moralności, poniżenie praw małżeńskich, oto co grasowało wśród społeczeństwa najwyższych sfer. Kobieta, którą się mężczyzna najmniej zajmował, była jego własna żona. Powiedział ktoś dowcipnie, że we Francji „złamanie wiary małżeńskiej za Ludwika XIII było przepędzeniem czasu, za Ludwika XIV prawidłem, a za czasów regencji stało się obowiązkiem.“²⁾ Lecz to wszystko nie objawiało się nigdy w słowach. Zdawało się, że

1) „Francja przed rewolucją“ str. 112.

2) Brandes: „Główne prądy“ t. I, str. 49.

hasłem tych ludzi jest: popełniamy wszelki występki, lecz zachowujemy pozory.

Ta nienaturalność, panująca wszechwładnie w salonie, występowała w każdym objawie życia codziennego z jaskrawą siłą, a szczyt swój osiągnęła w wychowaniu dzieci. Te biedne istoty, zaniedbane przez rodziców, nie żyjących ani razem, ani z niemi, zdane na łaskę guwernerów, ochmistrzów, nauczycieli i metrów od tańca, pozbawione troskliwości i ciepła rodzinnego, wyrastały na wątłe i sztuczne rośliny. Od lat najmłodszych zmuszane do naśladowania starszych w chodzie, mowie, gestach, ubraniu i galanteryi, nigdy właściwie nie zaznały prawdziwej młodości, nigdy nie mogły odczuć jej powabów, będąc dorosłemi od pierwszego kroku. Ciekawy to widok tych chłopców i dziewcząt z owego czasu. „Jedni z harcapem, puklami, zwojami upomadowanymi i pudrem na twarzach aż do białości, ze szpadą przy boku, kapeluszem pod pachą, żabotem i sukniami o złożonych wyłogach, całujący ręce młodych panien z wdziękiem fircyków, a drugie sznurowane w tęgie fiszbiny, w sukniach, pokrytych girlandami, z misternym na głowie stosem fałszywych włosów, złożonych z podkładek i więzów przypiętych szpilkami, stosem, który uwieńczony jest piórami i tak wysoki, że często podbródek znajduje się w połowie całej postaci.“¹⁾ Oto obraz ośmioletniego chłopca i sześciolatniej dziewczynki.

Taka nienaturalność w obyczajach i wychowaniu, sztuczność w rozmowie, oschłość w uczuciach panowała w atmosferze salonów i dworu. Obojętność serca, jak podnosi Taine, była w modzie, prawdziwym wzruszeniem wstydzonoby się ulegać. Rozprawiano o uczuciach głęboko i uczenie, rozstrząsano wszelkie kwestye z zakresu galanteryi, jak rozprawiano o nich wśród trubadurów i dam w wieku XII i XIII, ale nie umiano ani kochać, ani przejąć się prawdziwem uczuciem. Trafnie charakteryzuje St. Preux, bohater „Nowej Heloizy“, w jednym ze swoich listów paryskich do Julii tę wyrefinowaną kulturę ówczesnego towarzystwa. „Un des sujets favoris de ces paisibles entretiens, c'est le sentiment; mot par lequel il ne faut pas entendre un épanchement affectueux dans le sein de l'amour ou de l'amitié, cela serait d'une fadeur à mourir; c'est le sentiment mis en grandes maximes générales, et quintessencié par tout ce que la métaphysique a de plus subtil... on ne saurait croire à quel point tout est compassé,

¹⁾ Taine, Op. cit. str. 141.

mesuré, pesé, dans ce qu'ils appellent des procédés; tout ce qui n'est plus dans les sentiments, ils l'ont mis en règle et tout est règle parmi eux. Ce peuple imitateur serait plein de d'originaux, qu'il serait impossible d'en rien savoir; car nul homme n'ose être lui-même. *Il faut faire comme les autres: c'est la première maxime de la sagesse du pays. Cela se fait, cela ne se fait pas: voilà la décision suprême.*¹⁾

Z biegiem czasu wyczerpała się pojęta takiego życia, które, jakkolwiek przyjemne i wygodne, musiało się wydawać w końcu czcze, próżne, zbyt jednostajne i bez żywszego polotu. Na ową chwilę przypada początek wpływu powieści angielskiej. Wolter zwrócił był uwagę na społeczeństwo albiońskie, na jego ustawodawstwo, konstytucję, literaturę i filozofię. Interesowanie rośnie i osiąga stopień dość znaczny, gdy ukazał się romans Richardsona. O nim więc pomówić należy.

III. 2)

Najznamienszym płodem literatury angielskiej pierwszej połowy XVIII wieku jest niewątpliwie jej powieść. Nagły rozwój, a raczej zupełny przewrót, jaki się wówczas dokonał pod piórem takich pisarzy, jak Foe, Richardson, Fielding, ma niewiele równego w historii powieści europejskiej, która do dnia dzisiejszego kontynuuje kierunki wtedy zapoczątkowane.

Romansom o ekliwej galanteryi, pełnym niezwykłych wypadków i awanturnicznych przygód, romansom t. zw. romantyczno-rycerskim przeciwstawili angielscy pisarze powieść społeczną, malującą obyczaje i wady, dążności i zachcianki, przywary i występki ówczesnego społeczeństwa. Nie dziw, że powieść ta obiegła całą Europę, wywołując wszędzie zachwyty i naśladowanie. Była ona czemś nowem, niepodobnem do całej współczesnej produkcji literackiej we Francyi, zarówno swoją moralizatorską tendencją, wyodrębniającą się z pośród innych utworów, jak szczerością uczucia i gwałtownością konfliktów, tam odmalowanych. Współcześni, którym przejadła się mitologia grecko-rzymska i którzy już dość

¹⁾ „La Nouvelle Héloïse.“ Cz. II, list XVII.

²⁾ E. Schmidt, „Richardson, Rousseau und Goethe“; J. Texte, „J. J. Rousseau“ II ed. 1909.

mieli królów i książąt, pasterzy i pasterek, powitali z radością zmiany, wprowadzone przez romans mieszczański o silnie patetycznym nastroju.

Tym, który najwięcej przyczynił się do nadania rozgłosu powieści angielskiej, był Richardson, księgarz i nakładca londyński, a zarazem bardzo utalentowany pisarz, bezpośredni poprzednik Jana Jakóba Russa. Jego wpływ uwidocznił się szczególnie w „Nowej Heloizie“, zarówno w formie zewnętrznej (forma listów), jak w kompozycji i technice. Dygresye w powieści genewskiego myśliciela mają niejedną paralełę w utworach londyńskiego księgarza.

Wybitną cechą powieści Richardsona, która narzuca się od pierwszej kartki, od tytułu niemal, jest chęć zbudowania czytelników, pragnienie, aby książką sprowadzić go na drogę moralności. Są to zatem, jakbyśmy dziś powiedzieli, utwory *à thèse*, mające tendencję z góry powziętą, coprawda najuczciwszą w świecie, ale która obecnie robi te powieści niemożliwie nudne w czytaniu. Przez kilkanaście, czasem kilkadziesiąt kartek przeciąga się nieraz opracowanie tej lub owej kwestyi moralnej. Pełno tu dygresyj i epizodów, dysput o najrozmaitszych zagadnieniach społecznych, obyczajowych.

Nieraz rzecz najbłaższą rozstrząsa się przez pół tomu, jak np. przy odjeździe jednej z bohaterek, Pameli. A więc: „czy pojedzie, czy nie? Czy pojedzie powozem, czy konno? Czy wynajmą jej powóz, czy też pożyczą? A wypada, aby młoda dziewczyna jechała konno? Czy weźmie ze sobą jeden pakunek czy też dwa? A jaką suknię włoży—święteczną czy codzienną? A ile dostanie wynagrodzenia, 25 gwinejów, czy też 20 tylko?“ Oto pytania, rozbierane z gorliwością lepszej sprawy.¹⁾ Wszystko opisuje się z drobiazgową dokładnością. Autor nie zaniedbuje niczego; odnosi się wrażenie, że ma władzę dostania się wszędzie, choćby przez dziurkę od klucza, aby podpatrzeć panów, podsłuchać służących: o wszystkim bowiem wie, wszystko zna i rozwija w długich listach bohatera, bohaterki lub innych osób. Jest to kierunek nowy niewątpliwie, kierunek realistyczny, ale jeszcze w najprostszej formie, realizm prymitywny, często trywialny.

Niekiedy jednak udają się autorowi sceny wcale wzruszające, prawdziwie patetyczne, choć jaskrawe, sceny, pełne głębokiej prawdy życiowej. Oto np. śmierć starej, wynędzniałej, a niemo-

¹⁾ Texte, Op. cit. str. 212.

ralnem życiem wyniszczonej kobiety, która dręczyła przez dłuższy czas Klarysę. Goniąc za nią, upadła i złamała nogę. Przez wszystkich opuszczona, w podejrzanym domu, czeka z trwogą na wyrok lekarzy czy chirurgów, którzy stoją nad jej łóżem i naradzają się. Snać usłyszała podczas narady, że ją mają za straconą i bolesnym zawodzi głosem: „Umrzeć—powiadasz pan—umrzeć, ja nie chcę, ja nie mogę, ja nie wiem, jak umrzeć, umrzeć panie! Czyż muszę nieodwołalnie umrzeć, opuścić ten świat, ach, wzdrygam się przed tą myślą. I któż pana tu przyniósł—tu jej oczy ciskają błyskawice nienawiści—któż przywiódł tutaj pana, aby mi oznajmić, że muszę umrzeć. Ja nie chcę, ja nie mogę rozstać się z tym światem. Niechaj inni umierają, inni, którzy pragną lepszego świata, którzy tęsknią za innym. Miałam swój krzyż boleści na tym tutaj padole, ale wolałabym wyrzec się wszelkiej nadziei, by nie istnieć na drugim. Wszak chirurg mnie zapewnił, że się wyleczę.“ A kiedy chirurg oznajmił jej ostateczny i nieodwołalny los, który ją czeka, wówczas biedna grzesznica wydała jakiś ryk nieludzki, chrapliwy, okrzyk beznadziejnej rozpacz, jakby ją już furje piekielne pochwytyły w swoje szpony i wściekły szal ogarnął całą jej istotę.¹⁾

Sceny takie są rzadkie u Richardsona, to prawda, ale znaleźć ich można więcej w jego utworach. U niego również kiełkuje już w zarodku melancholia, która zachwycała później u Ossyana, Goethego, Chateaubrianda. Już Richardson wprowadza w modę owe dusze słabe, wijące się w swych boleściach i lubiące je rozpamiętywać. On może pierwszy maluje nam ową miękkość duszy, rzewność uczucia, owe roztkliwianie się nad przedmiotem ukochanym i przygotowuje umysły do przyjęcia „niezmiernego morza łez“, jak się wyraża dowcipnie francuski krytyk, które wylewa Hervey, Ossyan, Russo. Kiedy np. kreśli obraz omdlelej, a raczej już umierającej Klaryssy, obok której znajduje się jej uwodziciel i sprawca wszystkich nieszczęść, Lovelace, rozpaczający nad skutkami swego postępu, to obraz ten jest naprawdę wzruszający, a słowa Lovelace'a tchną jakąś rzewną miękkością, której się dotąd nigdzie nie czytało w powieści: „Przeszedłem wzdłuż jej pokój w zamyśleniu, brałem po kolei do ręki każdy przedmiot, którego ona dotykała się kiedyś, wołałem ją w słowach już to tkliwych, już to pełnych wyrzutów, jak gdyby mogła mnie słyszeć. Jakżeż czuję jej brak, to dusza, której mi brak.

¹⁾ Texte, Op. cit. str. 216.

Co za przerażająca pustka w mem sercu, co za lodowy chłód, jak gdyby krew ścięła się w mych żyłach, a ustało krążenie. Wszędzie ją widzę, obraz jej ściga mnie wszędzie, gdziekolwiek zwrócę wzrok, jej obraz staje przedemną.“ Jak trafnie zauważa Texte, Russo, a zwłaszcza Goethe, byłby silniej zabarwił ten obraz liryzmem, byłby mu dał więcej miękkich tonów, więcej melancholijnego wdzięku, ale początków tej melancholii szukać należy u angielskiego pisarza.

Przedewszystkiem jednak łączy go z tymi pisarzami to, że miłość znajduje u niego pełny, a trzeba dodać, godny wyraz. To „nie jest jakaś mdła galanterya,“ lecz fatalna niemal konieczność duszy, która ugina się pod jej ciężarem. Miłość—to nieodzowny objaw duszy, to niejako jej zmanifestowanie się nazewnątrz, lecz zarazem jest to miłość bolesna, tragiczna, straszna w swych następstwach, miłość, w której chodzi o życie i honor.“ Pamela kocha, mimo wszystko, swego niegodnego pana, mimo że ją upokarza, więzi, mimo że ją chce uwieść, oszukać, Klaryssa nie może oderwać się od Lovelace'a, który jest istnym potworem, Klementyna popada w obłąkanie, gdy nie może wyjść za ukochanego Sir Grandisona. „Miłość zatem i to miłość namiętna jest prawie wszystkim u Richardsona,“ ona wypełnia całe jestestwo człowieka i stanowi niezbędny warunek jego szczęścia, co więcej, jest kwestyą życia i śmierci. Nie trzeba jednak zapominać, że powieściopisarz angielski jest moralistą, że nie uświetnienie namiętności, lecz tryumf nad nią jest jego celem. Stąd pewna jednostajność w jego utworach; miłość w walce, czasem wynagrodzona, a czasem nie, bohaterka w ustawicznej rozterce między obowiązkiem a popędem, nieustanna kolizya uczuć, gdzie nigdy skłonność nie bierze góry nad obowiązkiem, oto temat, który się powtarza we wszystkich jego powieściach. Lecz osoby, w których sercach odbywała się ta walka, były czemś nowem, rodzaj kolizyi, czemś odmiennem, a wyprowadzenie jej na scenę czemś śmiałem i dotąd niewidzianem.

Czy to będzie konflikt między miłością a obowiązkiem córki dla rodziców (*Clarisse*), czy między miłością a czcią dziewczycy (*Pamela*), czy wreszcie między miłością a wiarą, która stoi na przeszkodzie do połączenia się z ukochanym (*Sir Grandison*), zawsze temat, a zwłaszcza ujęcie i sposób przedstawienia, był nowy. Nikt może w powieści przed Richardsonem nie odmalował z taką siłą owych walk wewnętrznych, szarpań i mąk duszy, które stały się później chlebem powszednim dla czytelnika. „Któż pomyślał przed nim o tem — pyta się słusznie krytyk francuski—

aby wskazać straszną walkę w duszy kobiecej między miłością a religią.“ Walka ta w duszy Klementyny, kiedy się dowiaduje, że Grandison nie chce się nawrócić, jest wysoce tragiczną, a list, który do niego pisze, pełen uczucia i prawdy. Z niego łatwo widzieć można, jak dalece Richardson w pojмовaniu wszechpotęgi uczucia zbliża się już do późniejszych wielkich pisarzy. Bohaterki jego znoszą chętnie męki i cierpienia, a swej miłości wyrzec się nie mogą. Jeżeli jednak mimo to opierają się pokusom, to wypływa to z niewidzianej dotąd godności osobistej, z głębokiej wiary i poczucia obowiązku, które raczej prowadzą na stos męczeński, niżby dozwoliły ugiąć się i upaść.

Nigdzie może przedtem w powieści—pisze cytowany już kilkakrotnie krytyk—nie zajaśniało uczucie religijne takim blaskiem, nie zatryumfowało sumienie z taką potęgą, jak w tych sercach kobiecych, skołatanych nieszczęściem, dręczonych namiętnością i miotanych burzą życia, a tak twardo stojących przy swoim prawie, przy swej godności i czci niewieściej. Żaden patos nie odda tych mąk i mało znajdzie się scen w literaturze powieściowej, któreby przewyższyły końcowe części Klaryssy, opowiadające ostatnie chwile jej życia, pełnego bólów, zawodów i rozczarowań. A ona pozostaje do ostatniej chwili panią swych pragnień i swych uczuć, które popychają ją do zguby. Żaden cios nie zdołał ją zachwiać, żadne nieszczęście ani cierpienie nie ugnie jej duszy. Swoją cichą boleścią, swoim biernym bohaterstwem robi imponujące wrażenie. A tego właśnie pragnął autor. „Cała moralność utworu leży w tem uświetnianiu boleści,“ która oczyszcza duszę, a poprzez mękę i cierpienie prowadzi na szczytne wyżyny ideału.

I to było właśnie niezwykłą nowością. Żadna powieść przedtem nie wzruszyła tak głęboko umysłów ludzi, bo żadna nie pochwyciła współczesnego życia tak dobrze, jak utwory tego pisarza. Żadna nie odważyła się traktować rzeczy tak blizkich, a tak zasadniczo ważnych. Bujano po szerokim i przestronnym świecie, lecz zapominano o swoim społeczeństwie. Przenoszono się chętnie w błogosławiony wiek arkadyjskich pasterzy lub w pełne fantastycznych wybryków czasy romantyczno-rycerskie, lecz zamykano oczy na potrzeby i dążenia współczesne.

Richardson zerwał zupełnie z tą tradycją¹⁾ i ugruntował nowy rodzaj romansu: powieść mieszczańską. Pod względem formy

¹⁾ We Francji miał poprzedników, a zwłaszcza wzory realistycznego romansu, w utworach Lesage'a („Gil Blas“) i Marivaux'a („La vie de Marianne“).

jest także do pewnego stopnia nowatorem: pierwszy używa „powieści w listach“ do analizowania uczucia z różnego punktu widzenia¹⁾ i znajduje szereg naśladowców. Przytem umiał swoje postacie dobrze charakteryzować. Nie są one bynajmniej manekinami, które wprawia w ruch ręka pisarza. Postacie jego żyją swoim własnym, indywidualnym życiem. Najlepszym tego dowodem jest przecież fakt, że jeden z jego bohaterów stał się typowym reprezentantem pewnej kategorii młodych ludzi, a imię jego synonimem takiego człowieka. Obok wrzącego namiętnością i nadmiarem energii życiowej syna Hiszpanii, Don Juana, w którym gorąca i rozpasana zmysłowość znalazła najpotężniejsze uosobienie, stanął elegancki panicz, wykwintny uwodziciel Lovelace, typ bulwarów miejskich, spotykany potem tak często w literaturze powieściowej.

Wpływ angielskiej umysłowości, który we Francji rozpoczął się z „Listami“ Woltera, wzmógł się bardzo, gdy przedostały się na kontynent powieści Richardsona. Imiona bohaterów angielskich były na ustach wszystkich, rozprawiano o nich, jak o swoich znajomych i krewnych. Nie trzeba jednak sądzić, że to był oryginał angielski w całej swej szorstkości i jaskrawym realizmie, który tak się podobał Francuzom. To byłby za ogromny przeskok. Czytano je w misternym tłumaczeniu księdza Prévosta, przykrojonym do francuskiego smaku, z opuszczeniem tego wszystkiego, co mogłoby razić lub wydawać się zbyt jaskrawem. Zawsze jednak przynosiły te powieści wiele nowego i przygotowały niejako umysły do przyjęcia „Nowej Heloizy.“ Wskutek czytania romansów Richardsona wytworzyło się we Francji szczególnego rodzaju napięcie atmosfery uczuciowej, niespokojne a tęskne oczekiwanie czegoś, co by silniej przemówiło do serca, do wyobraźni, do uczuć, niż bądź co bądź obce poniekąd postacie angielskiej powieści.

I wtedy to zjawia się Russo ze swoim grzmiącym okrzykiem: *retournons à la nature*. Jest on spadkobiercą wieku oświecenia, a zarazem jego przeciwnikiem. Narówni z innymi burzy podwaliny ówczesnej budowli społecznej, głosi szczytne hasła wol-

ne, „Le Paysan parvenu“). Stosunek angielskiego powieściopisarza do Francuzów nie jest dotychczas dokładnie wysświetlony.

1) „Listy Perskie“ Montesquiusza nie są powieścią, lecz zbiorem satyr. „Listy portugalskie“ (tł. na jęz. fran. w r. 1657) są zbiorem listów miłosnych, ale nie romansem, tak samo, jak „Listy“ Abelarda i Heloizy.

ności i równości, zarazem jednak kładzie fundament pod budowę nowego gmachu. Myśliciel genewski w porównaniu z patriarchą fernejskim stanowi znaczny krok naprzód w pochodzie ku Rewolucji i odrodzeniu na początku XIX wieku. Encyklopedyści przeczą istnieniu Boga, nieśmiertelności duszy. Russo głosi je całą siłą swej duszy. Istnienie Boga jest u niego nie tylko potrzebne lub rozumem dowiedzione, ale wypływa z głębi czującego serca. Widzi je w przepotężnych objawach przyrody, w jej nieraz groźnym majestacie.

Nie rozum, ale serce powinno decydować, gdy w grę wchodzi uczucie. Wybuchy i namiętności serca, jego porywy i uniesienia są jednym z najważniejszych czynników w życiu człowieka. Z nieprzepartą siłą i porywającą wymową występuje autor w obronie sponiewieranego serca i podeptanych dotychczas uczuć, przywracając im pełnię znaczenia. W „Emilu“ poddaje druzgocącej krytyce ówczesny system wychowania. Płomiennym głosem prawdy nawoływa do usunięcia istniejącego stanu, najgorszego, jego zdaniem, i słusznie, bo zabijającego wszelką samodzielność w dziecku od kołyski począwszy; a umie tak wymownie bronić swoich poglądów, że niejedna matka, po przeczytaniu tej książki, rozbrała żyjące swe lalki lub upudrowanego fircyka, a jeśli miała młodsze dzieci, powzięła zamiar karmienia ich własną piersią.

IV. 1)

Po wydaniu swego dzieła „Discours sur l'inégalité,“ które tyle narobiło wrzawy i tyle sprzecznych wywołało opinii, jak to obszernie opisuje sam autor w swych „Wyznaniach,“ Russo postanowił opuścić raz na zawsze stolicę Francji. Pobyt w Paryżu dał mu się dobrze we znaki z powodu ustawicznych waśni, intryg przeciwnej mu koteryi pisarzy i zatargów z ówczesnym areopagiem uczonych. Zresztą życie tamtejsze sprzykrzyło się człowiekowi, który czuł się swobodnym tylko na łonie przyrody, w samotnych wędrowkach wśród pól i lasów. Russo zatęsknił znowu za naturą i wiejską swobodą i postanowił przesiedlić się do Genewy, miejsca rodzinnego, aby odetchnąć powietrzem alpej-

¹⁾ „Confessions“ IX livre; Jules Lemaitre, „J. J. Rousseau“ (Paris 1907); P. Henzel, „Rousseau“ (Leipzig 1907).

skiem. Wtedy to jedna z jego przyjaciółek, pani d'Epinaÿ, aby go powstrzymać od wyjazdu, ofiaruje mu piękny, na ustroniu stojący domek wiejski, w pobliżu lasów w Montmorency, sławny potem pod nazwą „Ermitażu Russa.“

Russo przyjął ten dar tem chętniej, że w pobliżu jego ojczystego miasta, w Ferney, osiadł naówczas Wolter, od którego dzieliła go cała przepaść przekonań, a którego uważał za głównego reprezentanta konwenansów i fałszu, oraz za swego zaciętego nieprzyjaciela. Dnia 10 kwietnia r. 1756 osiada tedy w swoim schronisku wiejskiem i od tej chwili zaczyna pracować nad „Nową Heloizą.“ Pierwszą pobudkę do niej daje mu odradzająca się na wiosnę natura, na której wdzięki był zawsze niezmiernie wrażliwy i na której łonie czuł się jakby odmłodzonym. Prześlicznie opisuje nam w swych „Wyznaniach“ te pierwsze wrażenia, jak nieodparty urok wywierała na niego leśna cisza, z jaką rozkoszą przyglądał się pierwszym fiołkom i wchłaniał ich woń odurzającą. Pozbawiony od lat piętnastu, które spędził w Paryżu, takiego widoku, rzuca się na to wszystko, jak zgłodniały, i z chciwością, ledwie dającą się opisać, pograża się w kontemplacji cudów przyrody. Oddycha pełną piersią wonią lasów i pól, a radość jego niema granic. Oddaje się z całą namiętnością zadumie i wśród niej snuje złotą przedzę myśli i marzeń. Dawne pragnienia zaczynają nurtować pierś jego i odzywać się coraz silniejszym echem. W sercu czuł zawsze tęsknotę za miłością gorącą, pełną wybuchów i wulkanicznych uczuć, lecz nigdy nie było mu danem zakosztować tego szczęścia. „Byłem już u schyłku życia — pisze w swych „Wyznaniach“ — nie wychyliwszy żadnej czary do dna, nie dotknąwszy się nawet zlekka owej upajającej rozkoszy, którą czułem w swej duszy, a która, w braku istoty realnej, objawiała się tylko westchnieniem i łzą. Jakżeż to stać się mogło, że z duszą nawskroś wrażliwą, dla której żyć, znaczyło kochać, nie znalazłem nigdy przyjaciela, oddanego mi całkiem, prawdziwego przyjaciela; ja, który zdawałem się na to być stworzonym. Jakżeż to się stać mogło, że z popędami tak łatwo zapalnymi, z sercem, rozpłomienionem od żaru miłosnego, nie uczułem ani razu prawdziwej namiętności dla żadnej osoby. Trawiony pragnieniem kochania, bez możności zadość uczynienia temu uczuciu, widziałem się wkrótce u wrót starości i śmierci, nie rozpoczynawszy nawet żyć.“

Wśród wspomnień z lat dawnych, które wynurzały się coraz silniej z prochu niepamięci, jedna szczególnie przygoda wywarła niezatarte wrażenie na umyśle autora „Nowej Heloizy.“ Szeroko o niej mówi Russo w swych „Wyznaniach“ (Księga IV). Pewne-

go wiosennego poranku Russo, jako 19-letni młodzieniec, spotkał nad wzburzonym potokiem dwie panny konno, które go prosiły, aby spłoszone konie, wzbraniające się wejść do wody, przeprowadził przez rzeczkę. Jedna z nich była córką właściciela w pobliżu leżącego zamku. Russo spełnił prośbę, a jedna z nich wzięła go ze sobą na koń i obie zawiodły do zamku, gdzie przepędził cały dzień na wesołych zabawach i żartach. Więcej się z niemi nie widział. Przygoda jednak tak silnie utkwiła mu w pamięci, że w lat kilkanaście potem, kreśląc charaktery swoich bohaterów, minowoli dał im pewne cechy, jakimi się odznaczały jego przygodkowe przyjaciółki młodości. Julia bardziej poważna, choć mniej samodzielna, Klara zato bardziej energiczna, żywa, swawolna ze skłonnością do sarkazmu, to postaci, którym odpowiadały do pewnego stopnia owe dwie amazonki, choć z drugiej strony Russo, niewątpliwie pod wpływem bohaterów swej własnej powieści, przystrajał w „Wyznaniach“ owe modele i idealizował je, aby upodobnić do Julii i Klary.

Dlatego też należy brać z pewnem zastrzeżeniem zdanie krytyków (Schmidta, Texte'a), że charaktery te zapożyczył z angielskiej powieści „Clarisse,“ która wpłynęła niewątpliwie na ostateczne ujęcie obu postaci, na niektóre rysy stamtąd przeniesione do utworu, ale pomysł do nich powstał niezależnie od Richardsona, pod wpływem wzbudzonych wspomnień, zaczerpniętych z krynicy własnego życia.

Ale nie tylko ta przygoda żywo mu stała przed oczyma, kiedy znalazł się w swoim ulubionem otoczeniu. Wszystko, co kiedykolwiek przeżył, raz jeszcze odżyło; wszystkie osoby, do których zapłonął żywszem uczuciem, przesunęły mu się w wyobraźni. A więc, panna de Breil, piękna kupcowa Basile, pani de Larnage, uczennice muzyki, pikantna Julietta, wkrótce widział się, jak powiada, „otoczonym serajem hurrysek.“ To wszystko rozkołysało jego imaginację, napełniło ją ponętymi obrazami miłości, rozżarzało jego uczucia, lecz przedmiotu, na któryby przelał te uczucia, nie widział przed sobą, a wtedy „niemożność zdobycia istot realnych rzuciła go w krainę chimery, a nie widząc nic istniejącego, coby było godne jego marzenia, żywił je w świecie idealnym, który jego wyobraźnia twórcza wkrótce zaludniła istotami odpowiadającemi jego sercu. Nigdy to źródło nie otworzyło się bardziej na czas i nie okazało się tak żyznem... Wyobraził sobie dwie przyjaciółki... Obdarzył je charakterami podobnymi, a zarazem różnymi... Jedną z nich zrobił brunetką, drugą blondynką, jedną żywą, a drugą słodką, jedną roztropną, a drugą sła-

ba, ale o słabości tak wzruszającej, że cnota zdawała się na tem zyskiwać. Jednej z nich dał kochanka, dla którego druga była czułą przyjaciółką i nawet czemś więcej; lecz niedopuscił ani współzawodnictwa, ani sporów, ani zazdrości... gdyż nie chciał zaciemnić jasnego obrazu... Zakochany w swych dwóch zachwycających wzorach, utożsamiał się z kochankiem i przyjacielem jak mógł najbardziej, ale zrobił go miłym i młodym, dawszy mu nadto cnoty i błędy, które czuł w sobie.“

Powszechnie przypuszcza się, że gwałtowna, choć w późnym wieku miłość, jaką twórca „Nowej Heloizy“ zapłonął do pani d'Houdetôt, natchnęła go do napisania romansu dwojga zakochanych a nieszczęśliwych osób. Zdaje mi się, że krytycy zanadto zwracają uwagę na ten epizod z życia autora przy genezie dzieła i że znaczenie jego przeceniają. Jest rzeczą niemal pewną, że dwie pierwsze części „Nowej Heloizy,“ choć jeszcze nie ułożone jak dziś, ale w każdym razie luźnie na papier rzucone listy, najpiękniejsze z całej powieści, wyróżniające się głębią tonu, namietnością uczucia, niebezpiecznym wirtuozostwem w kreśleniu powabów miłości, jej zwodniczego czaru, jej potęgi, uroku i siły przyciągającej, powstały zanim Russo pomyślał o pani d'Houdetôt. Trzeba podkreślić z całym naciskiem, że pisarz ten żył więcej imaginacją, niż sercem, więcej kochał w swej wyobraźni, niż w rzeczywistości, i silniejszą pałał miłością do istot urojonych, niż do rzeczywistych, wobec których czuł się nieśmiałym i zimnym (Por. w „Wyznaniach“ epizod z Juliettą w Wenecyi). Natomiast przez ustawiczne rozpaniętywanie swoich niedoszłych przygód umiał rozgrzewać swoją wyobraźnię i przenosić się w stan erotycznego podniecenia, a wówczas miał tę sensację, jakoby naprawdę przebywał w gorączkowej atmosferze zmysłowego czaru i doznawał tych samych rozkosznych upojen i dreszczów i rzeczywiście pieścił się w miłosnym uścisku. Ta silna władza auto-sugestyi tłómaczy nam niejedną zagadkę w dziwnym życiu Jana Jakóba. Warto tu przypomnieć, że Chateaubriand był do pewnego stopnia podobnym do niego. Autor Attali i Reného także wyobraźnię swoją rozkołysał urojonymi postaciami, do których pałał miłością. Jeden ustęp z jego „Pamiętników z za grobu“ jest bardzo charakterystyczny pod tym względem i nie od rzeczy będzie przypomnieć go tutaj.

„Ogień mej wyobraźni, lęklivość moja, samotność sprawiły to, że zamiast rzucić się na zewnątrz, skupiłem się w sobie samym. W braku rzeczywistego przedmiotu, wywoływałem potęgą niewyraźnych mych żądz widmo, które nie odstępowało mnie wię-

cej. Nie wiem czy historia serca ludzkiego przedstawia drugi przykład takiego rodzaju. ¹⁾ Utworzyłem sobie kobietę ze wszystkich kobiet, jakie widziałem: miała kibić, włosy i uśmiech nieznanym, co mię przycisnęła do swego łona, dałem jej oczy dziewczynny wiejskiej, świeżość cery innej. Portrety znakomitych dam z czasów Franciszka I, Henryka IV i Ludwika XIV, którymi salon był ozdobiony, dostarczały mi innych rysów. Pochwytałem wdzięki nawet z obrazów Madonn, wiszących po kościołach.

„Ta czarodziejka towarzyszyła mi wszędzie niewidzialna, rozmawiałem z nią, jak z istotą rzeczywistą; zmieniała się podług woli mojego szafu. Afrodyta bez zastony, Dyana w lazuruwej i różowej szacie, Talia w śmiejącej się masce, Hebe z pucharem młodości, często stawiała się wieszczką, która mi naturę ujarzmiła... Otóż przychodzi do mnie młoda królowa (była to zawsze moja sylfida), strojna w brylanty i kwiaty, szuka mnie o północy przez gaje pomarańczowe, w galeryach pałacu, oblanego falami morza, na wonnem brzegu Neapolu albo Messyny, pod niebem, które gwiazda Eudymiona przenika swoim światłem. Zbliża się ożywiony posąg Praksytelesa, wśród nieruchomych posągów, białych obrazów i milczących fresków, zbielonych promieniami księżyca: lekki szelest jej kroków po marmurowych mozaikach miesza się z niedosłyszczanym szmerem fali... Upadam na kolana przed władczynią pól Enny. Jedwabiste fale z pod rozpiętego dyademu głaszczą moje czoło, gdy schyla ku mojej twarzy szesnastoletnią głowę, a ręce jej opierają się o mą pierś, drgającą uszanowaniem i rozkoszą... Moje słowa do niej przywróciłyby zmysły zgrzybiałemu wiekowi, rozgrzałyby marmur grobów. Nieświadoma niczego, wiedząca o wszystkim, równocześnie dziewica i kochanka, Ewa niewinna, Ewa upadła, czarnoksiężniczka, od której pochodziło moje szaleństwo, była mieszaniną tajemnic i namiętności: stawiałem ją na ołtarzu i cześć jej oddawałem. Duma, że jestem przez nią kochany, jeszcze bardziej powiększała moją miłość. Jeżeli szła, padałem na twarz, żeby być zdeptanym jej stopami lub zatrzeć ich ślady. Mieszałem się na jej uśmiech, dreszcz mnie przebiegał na dźwięk jej głosu, drżałem od żądz, ilekroć dotykałem się tego, co było w jej rękach. Tchnienie jej wilgotnych ust przenikało w szpik moich kości i płynęło w moich żyłach za-

¹⁾ Chateaubriand zapomina tutaj o swoim wielkim poprzedniku, na którym się kształcił, o autorze „Wyznań“, które stanowiły jedną z jego lektur, choć się do tego nie przyznaje chętnie.

miast krwi... Z tym szalem łączyło się bałwochwalstwo moralne: przez inną grę wyobraźni ta Phryne, która mnie obejmowała swojemi ramionami, była także dla mnie sławą i przede wszystkim honorem. Cnota, gdy wypełnia najszlachetniejsze swe ofiary, geniusz, gdy rodzi najzradszy pomysł, zaledwie dałyby wyobrażenie o tym drugim rodzaju mego szczęścia. Znajdowałem w swoim cudnym tworze równocześnie wszystkie ponęty zmysłowe i wszystkie rozkosze duszy. Przywalony i niejako zanurzony w tej podwójnej rozkoszy, nie wiedziałem, który byt mój był rzeczywisty. Byłem człowiekiem i nie byłem człowiekiem. Stawałem się obłokiem, wiatrem, szelestem. Byłem czystym duchem,¹⁾ istotą nadpowietrzną, opiewającą najwyższą szczęśliwość. Wyzułem się z własnej natury, ażeby zlać się w jedno z córą moich żądz, przekształcić się w nią i tem bliżej dotknąć się piękności...“ („Pamiętniki“ Ks. I).

Przytoczyłem powyższy ustęp, który jest wyborną ilustracją stanu, w jakim znajdował się Russo na wiosnę r. 1756, zabierając się do pisania „Nowej Heloizy.“ To też wierzyć mu można, gdy kreśląc sam genezę swojego utworu i wrażenie, jakie wówczas sprawił, daje w następujących słowach, niby odpowiedź na natrętnie pytania, kto była tajemnicza muza, opiewana przez niego: „Wszyscy byli przekonani, że nie można wyrazić tak żywo uczuć, których się nie doznaje, ani malować uniesień miłości, chyba wedle własnego serca. Co się tego tyczy, miano słuszność, jest bowiem pewną rzeczą, że pisałem ten utwór w namiętnej ekstazie erotycznej, lecz mylono się, sądząc, że potrzeba było konkretnego przedmiotu, aby stan taki wywołać. Nie miano wyobrażenia, do jakiego stopnia umiem się zapalić do istot urojonych. Bez kilku wspomnień młodości i pani d'Houdetôt, miłość, którą odczuwałem i skreśliłem, odnosiłaby się do *sylfid*“²⁾ (Ks. XI).

Wobec tych jasnych i stanowczych twierdzeń Russa, hipotezy krytyków nie mają wielkiego znaczenia. Akcja romansu byłaby miała inny przebieg, gdyby nieodwzajemniona miłość pani d'Houdetôt była poprzedziła zrodzenie się jego pomysłu w gło-

¹⁾ Przybyszewski powiedziałby „nagą duszą.“ Wogóle uderza tutaj nadzwyczajne pokrewieństwo ideowe z pomysłami naszego pisarza. Wszak powyższy ustęp, to zarys jednego z najpiękniejszych i najczystszych jego utworów: „Nad morzem,“ które jest symfonią miłosną dla wymagowanej postaci i trudno wierzyć własnym oczom, że się taki ultra-modernistyczny wybrzyk znajduje u pisarza z przed stu laty, nawpół jeszcze klasyka.

²⁾ Identyczne wyrażenie u Chateaubrianda.

wie autora. Tak, jak ona nie przychyła się do próśb przyjaciela i jego namiętnej miłości nie ulega, chociaż przyznaje, że nikt tak gorąco kochać nie umie, tak samo byłaby Julia, tworzona na wzór pani d'Houdetôt, oparła się zabiegom St. Preux'a. Przeszkodą w ich miłości nie byłaby może różnica społeczna, lecz obowiązki Julii, jako kobiety (np. zamężnej już lub zaręczonej), tak, jak nam to przedstawia druga część „Nowej Heloizy.“ Przebieg akcji i zakończenie byłyby inne, bardziej zbliżone może do historii Wertera.

Jeżeli jednak w genezie „Nowej Heloizy“ odrzucić należy miłość Russa do pani d'Houdetôt, to nieda się zaprzeczyć, że ta nieodwzajemniona i dręcząca autora namiętność wywarła znaczny wpływ na dalsze części utworu. Niektóre momenty z życia Russa z przyjaciółką i jej kochankiem St. Lambertem odzywają się w powieści; co więcej, ona pozwala twórcy „Nowej Heloizy“ utrzymywać się przez dłuższy czas na wysokości, że tak powiem, erotycznego podniecenia i jest karmią dla jego „dreszczów i marzeń miłosnych“ podczas następnej wiosny, gdy pisze część czwartą, między innymi, listy o Elizeum i przechadzce nad jeziorem.

Długo zastanawiał się Russo, gdzie umieścić swoją parę zakochanych. Myślał o Tesalii, ale cóż—nieznał wcale tego kraju, myślał o wyspach Boromeusza, ale tam widział „zanadto ozdób i sztuki dla swoich osób.“ Koniecznem wydawało mu się jezioro, nad którego brzegami mogliby błędzić kochankowie. Najlepiej znał okolice jeziora genewskiego, miejsce urodzenia matki, dla której twórca „Nowej Heloizy“ czuł najgłębszą cześć. To też tam, na tle niezrównanych krajobrazów alpejskich, nad cudną falą błękitnego jeziora umieścił część akcji. Uroczę te miejsca, jak pełna powabów dolina Vevey lub obfitujące w czarowne zakątki jezioro genewskie, otrzymały wdzięk nieporównany pod piórem Russa i pod wpływem jego wspomnień, zarówno młodości, jak również siedmiodniowej wycieczki, którą autor odbył z przyjacielem Deluc'em i kilkoma paniami. Wrażenie było silne: przeczyszcza toń, odbijająca lazurową niebios kopułę, budziła w nim podziw i zdumienie, upajał się widokiem poblizkich gór i zacisznych wybrzeży. Kreśląc potem te okolice, czerpał ze skarbcza swoich wspomnień i wzruszeń, a pamięć miał doskonałą.

V. 1)

Od wrażeń osobistych i pomysłów, zaczerpniętych z życia bądź autora, bądź osób, przebywających w jego otoczeniu, które były dalekiem echem rzeczywistych wypadków, odróżnić należy w „Nowej Heloizie“ wspomnienia z czytanych utworów, pod których wpływem kształtował się romans Russa. Już sam tytuł wskazuje, że gdzieś istnieje w literaturze inna Heloiza, mająca pewne podobieństwo z naszą bohaterką. Z mrocznych czasów średnio-wieczna wychyla się zagadkowa postać Abelarda, słynnego zarówno ze swej wiedzy, jak z romantycznej i nieszczęśliwie zakończonej miłości dla swej uczennicy Heloizy. Wyobraźnia poetów osnuła ten stosunek piękną szatą poezyi i przetworzyła go na swój sposób. Z wersyi łacińskiej lub francuskiej, którą znał Russo, bo nieraz o niej mówi w swych „Wyznaniach“, a którą z upodobaniem czyta jego bohaterka „druga Heloiza“, choć autor wcale tego nie pochwała, mógł zaczerpnąć ogólny pomysł przedstawienia nauczyciela, zakochanego w swej uczennicy, odwzajemniającej mu się równem uczuciem. Zarówno tytuł, jak i przebieg pierwszych dwóch części „Nowej Heloizy“ zawierają szereg podobieństw z „Listami“ średniowiecznych kochanków. Wykroczenie przeciw zasadom, uświęconym przez moralność, pociągają za sobą fatalne następstwa w obu opowieściach. Rozdział kochanków jest koniecznym zadośćuczynieniem za ten krok fałszywy. Saint-Preux, jak Abelard za nadużycie zaufania, które do nich miano, ponoszą dotkliwe kary, ale odtąd zaczynają się różnice w obu opowiadaniach. Russo dodał do swego utworu dalsze części, które miały wykazać jego tendencję umoralniającą i miały być uświetnieniem cnoty nad namiętnościami. W tej dążności zbliża się do Richardsona i pisząc swój utwór, układając jego poszczególne części, był autor „Nowej Heloizy“ pod wpływem modnego naówczas powieściopisarza angielskiego. Już sama zewnętrzna forma, zbiór listów, zamiast ciągłego romansu, wskazuje na naśladownictwo. Następnie, owe dygresye, rozprawy o najrozmaitszych kwestyach moralnych, dyskusye o sztuce, muzyce i obyczajach etc., są pisane na wzór analogicznych epizodów u Richardsona. Niektóre pomysły i sytuacje zawdzięcza Russo przedewszystkiem „Klaryssie.“ Na podobieństwo to zwrócili już uwagę współcześni od chwili ukaza-

1) E. Schmidt, op. cit.; Texte, op. cit.

nia się utworu. Sam autor, którego drażniło i upokarżało (nie-słusznie zresztą), że dopatrywano się u niego wpływu angielskiego pisarza, poświęca tej sprawie słów kilka w swych „Wyznaniach.“ „Diderot—pisze Russo—obsypał komplementami Richardsona z powodu cudownej różnorodności jego obrazów, z powodu mnóstwa dobrze nakreślonych postaci. Richardson rzeczywiście ma tę zasługę, że je dobrze scharakteryzował. Co się zaś tyczy ich wielkiej liczby, to ma to wspólnego z wielu pisarzami romansów, którzy ubóstwo swych idei i niedołążność fantazyi pokrywają mnogością osób i przygód. Łatwo bowiem utrzymać w napięciu uwagę czytelnika, kiedy mu się przedstawia co chwilę nową twarz, nowy charakter, które przechodzą i znikają jak w latarce magicznej, lecz utrzymać tę uwagę na tym samym przedmiocie i bez cudownych awantur, jest rzeczą o wiele trudniejszą...“ („Wyznania,“ ks. XI).

W ten sposób wyraża się Russo nie bez pewnego rodzaju obawy, niezadowolenia, zazdrości. Kto ma jakie takie wyobrażenie o utworach angielskiego powieściopisarza, wie, że sąd Russa grzeszy przesadą i że należałoby zastosować do niego przysłowie nasze: „przyganiał kocioł garnkowi.“ W „Nowej Heloizie“ bowiem znaleźć można nie mniejszą ilość epizodów i dygresyj, niż w romansach Richardsona, a mnogością osób romans Russa przewyższa „Pamełę.“ Pewnem jest więc, że Russo czytał utwory swego głośnego poprzednika. Wprawdzie przyznaje się, że nie umie po angielsku, ale francuskie tłumaczenie „Klaryssy“ wyszło już w roku 1751, to jest 5 lat zanim autor „Nowej Heloizy“ pomyślał o swoim dziele. Że pisał swój utwór pod wpływem powieści angielskiej, tego dowodzi podobieństwo przebiegu akcji i fabuły.

Klaryssa kocha Lovelace'a i nie mogąc uzyskać pozwolenia swojego ojca, ucieka z domu, tak samo Julia, pod wpływem miłości de St.-Preux'a, wiedząc, że ojciec nie zgodzi się nigdy na tak nierówny związek, chce opuścić dom rodzinny. Zarówno ojciec Klaryssy, jak baron d'Etanges, przekonawszy się, że przemocą nie zdołają zmusić swoich córek do wyrzeczenia się nierozsądnej miłości, zniżają się do próśb i zaklęć. W „Klaryssie“ dzieje się to, niestety, za późno. Bohaterki obu powieści korespondują za pośrednictwem przyjaciółek, a to właśnie staje się powodem odkrycia ich stosunków i pociąga za sobą jak najgorsze skutki. Wreszcie ich usposobienia są podobne. Klaryssa jak Julia lubią filozofować, rezonować, jednym słowem, urozmaicać ziemski żywot kazaniami na temat powinności ludzi i obowiązków względem społeczeństwa. Dziwnym także zbiegiem okoliczności Julia jest

protestantką jak Klaryssa, tem dziwniejszym, że Russo był wówczas katolikiem. I charaktery innych osób, występujących w tych dwóch powieściach, są również podobne. Ojciec Klaryssy, nieugięty, szorstki, głuchy na prośby przyjaciół, podczas gdy matka jest łagodna, wyrozumiała i sprzyja po cichu zamiarom córki, te same różnice znajdujemy u rodziców Julii. Temperament Klary, przyjaciółki Julii, przypomina kroplę w kroplę temperament Miss Howe. Jedna i druga jest żywa, zręczna, energiczna, pełna pomysłowości, czasem złośliwa, podczas gdy bohaterki są cokolwiek bierne. Jak w utworze Richardsona pułkownik Morden pomaga Klaryssie, staje się jej opiekunem, protektorem, tak u Russa m-lord Bomston zaszczyca swoją opieką St.-Preux'a. Charaktery i usposobienia obu tych ludzi są również podobne do siebie. Przyjaciółki w obu powieściach są gotowe towarzyszyć bohaterkom w ucieczce, a obaj protektorowie użyć im schronienia.

Oto garść podobieństw w ogólnym przebiegu akcji. Są inne, o wiele liczniejsze, w epizodach, w wyrażeniach, w sposobie malowania pewnych sytuacji, w zapatrywaniach i zabarwianiu utworu sentymentalizmem. Wogóle mnóstwo listów, tyjących się ogólnych kwestyj moralnych, np. pojedynku, samobójstwa i t. d. przedstawiają wdzięczne pole niewyzyskane jeszcze dla porównania opinii obu pisarzy. Ale taka drobiazgowa analiza odciągnęłaby nas zbyt daleko od zadania popularnego szkicu.

VI.¹⁾

Przypatrzmy się z kolei treści „Nowej Heloizy“ i jej znaczeniu.

Przebieg akcji mało skomplikowany da się opowiedzieć w kilku zdaniach. Jak już wspomniałem, mamy tutaj drugą edycję sławnej historii Abelarda i Heloizy: miłość nauczyciela Saint-Preux'a ku swej pięknej a młodej uczennicy Julii d'Etanges, pochodzącej z bogatej, arystokratycznej rodziny. Mimo przestróg roztropnej przyjaciółki Klary, Julia zapomina się do tego stopnia, że deprecze cześć i honor dziewicy i oddaje się zupełnie swemu uwodzicielowi. Następuje zerwanie stosunków z powodu śmierci

¹⁾ Spasowicz: „Byron i niektórzy jego poprzednicy“ (Pisma, t. II, str. 71 i n.), P. Henzel: „Rousseau.“

matki, którą zabija wieść o poufaleści, w jakiej żyła jej córka z St.-Preux'em; przelotna myśl o samobójstwie, ustępująca pod wpływem rozsądnych napomnień przyjaciela lorda Edwarda i odjazd St.-Preux'a, który udaje się w podróż naokoło świata.

Oto pierwsza połowa romansu, a raczej cały romans pierwotny. To, co następuje, mogłoby być opuszczone z pożytkiem, a utwór zyskałby niewątpliwie jeśli nie na wartości moralnej, to na wartości estetycznej i na poczytności.

Po kilku latach wraca St.-Preux z dalekiej podróży. Julia wyszła za mąż za niejakiego Wolmara, który jest sobie najuczciwszym poczciwiną na świecie, człowiekiem tak mało podejrzliwym, a raczej wcale nie podejrzliwym, że zaprasza St.-Preux'a do siebie, choć wie o dawnym jego stosunku do Julii. Lecz autorni chodziło tym razem o uświetnienie małżeństwa, o tryumf i zwycięstwo cnoty nad popędami. Każę więc dawnej miłości odżyć ze zdwojoną potęgą. Następują rozpaczliwe wysiłki z obu stron, aby nie wyjść z równowagi, rzecz snuje się z przerwami dość monotennie. Wreszcie przypadkowa śmierć Julii, która chcąc ratować dziecko, wpada do wody i umiera z powodu przeziębienia się, śmierć, która przychodzi w sam raz na zawołanie autora, bo kto wie, czy bohaterka nie uległaby po raz drugi namiętności, kładzie koniec niekończącej się historii dwojga kochanków. Jeśli dodamy do tego szereg listów o muzyce, teatrze, operze, ogrodach i ulicach paryskich i o nie budującym wcale życiu paryżanek oraz kilka rozprawek o cnocie, wierności, świętości sakramentu małżeńskiego, pojedynku i samobójstwie i t. p. i wyznanie umierającej Julii o wierze, rzeczy niewątpliwie ciekawych, ze względu na kulturalną i unysłową walkę, toczącą się naówczas we Francji, ale nie mających nic wspólnego z poematem miłosnym, to mamy całą treść „Nowej Heloizy“, którą przyjęto wówczas z takim entuzjazmem, a która dziś nie wywiera na nas tego wrażenia, bo wydaje nam się często zanadto retoryczną i sztuczną, a charaktery osób zanadto szablonowe i nieprawdopodobne.

St.-Preux pod wieloma względami przypomina samego autora. Jak u Russa znajdujemy w dziwnem poniekąd złączeniu obok wyobraźni ognistej, temperamentu namiętnego i zmysłowego, jakąś subtelną delikatność wobec kobiety, nieśmiałość i wstydlivość, tak bohater jego przedstawia człowieka, w którym kipi i wrze życie, człowieka pełnego namiętnych popędów, który zarazem odznacza się jakąś nieokreśloną czcią i czułościowością wobec ukochanej. Charakter jednak słaby. Jak Russo nie szczędzi czarnych barw w malowaniu swej młodości, tak i u St.-Preux'a nie wszyst-

ko jest zgodne z poczuciem honoru lub godności własnej. I tak po krótkim wahaniu przyjmuje zasiłek od Julii, aby móżdż wyjechać. Cechuje go także zupełny brak hartu duszy, zdania swego niema wcale, wyrobionego sądu nie okazuje nigdy. Kieruje nim przyjaciel, kochanka czy przypadek. Zbyt silnie poddaje się zachciankom, niezdolny hamować się zarówno w szczęściu, jak w nieszczęściu. Ciosów, które nań spadają, nie umie znosić po męsku, gotów zawsze płakać, narzekać, miłość swoją zebrać u ukochanej; zupełne przeciwieństwo tego, co widzimy u naszego Gustawa, a co wyróżnia go tak korzystnie z całej plejady podobnych mu zawiedzionych czy nieszczęśliwych kochanków.

St.-Preux takim nie jest i takim być nie mógł. Miłość jego, to nie miłość Gustawa. Zmysłowość gra zbyt wielką, jeszcze rolę w jego uczuciu. „Zaledwie jej ręka spoczęła na mojej, gdy ogarnęło mnie drżenie,“ pisze bohater w pierwszym liście, a od tej chwili pierwiastek zmysłowy coraz bardziej wzrasta. Russo w swych pismach odznacza się świetną dyalektyką, to samo znajdujemy u St.-Preux'a. Listy jego—to szereg sofizmatów i tyrad, działających na nieuprzedzone serce, olśniewających na pierwszy rzut oka niezwykłym blaskiem. Którykolwiek list weźmiemy, wszędzie uderza nas to samo, ten górny, płomienny nastrój, choć nie brak często retorycznego patosu i częściej deklamacyi. Oto wyjątek z listu bohatera, gdy dowiaduje się, że jest kochany:

„Potęgi niebieskie! miałem dotychczas jedną duszę dla cierpienia, dajcie mi drugą dla szczęścia. Miłości, życie duszy, przybądź podtrzymać moją blizką omdlenia. Niewypowiedziany wdzięku cnoty, niezwalczona siła głosu tego, co się kocha, szczęście, radości, uniesienie, jakże ciosy wasze są dojmujące! O, jakżeż wydołać strumieniowi rozkosznemu, co zalał me serce? jak odpokutować za niepokoje trwożliwej kochanki? Ta, której wszechświat hołdy składaćby powinien, błaga człowieka uwielbiającego ją, by sam się nie bezcześcił. Osądź lepiej piękności czysta i niebiańska naturę twej władzy. Ach, jeśli uwielbiam wdzięki osoby twojej, to czyż nie przedewszystkiem za to znamię duszy niepokalanej, jakie ją ożywia, a której wszystkie rysy noszą boską tę cechę? Lękasz się, byś nie uległa moim zabiegom; lecz jakichże zabiegów obawiać się może ta, co powleka szacunkiem i uczciwością wszystkie uczucia, jakie wzbudza? Czyż jest na ziemi jaki człowiek dość podły, by się ośmielił uzuchwalić względem ciebie? Pozwól, pozwól, niech się rozsmakuję w niespodziewanem szczęściu, że jestem kochany—kochany przez tę... Tronie świata, o ileż niżej od siebie cię widzę! Niech odczytam po tysiąc razy ten

list cudowny, w którym miłość twoja i twoje uczucia wyrażone są ognistymi głoskami, z którego, pomimo całego uniesienia serca wzburzonego, widzę z przejęciem, jak dalece w duszy uczciwej najżywsze nawet namiętności zachowują przecież święty charakter cnoty! Jakiż potwór, przeczytawszy ten list wzruszający, mógłby korzystać z twego stanu i czynem najdosadniejszym zaświadczyć swoją głęboką pogardę dla siebie samego. Nie, droga kochanko, miej ufność w wiernym przyjacielu, który niezdolnym jest oszukiwać ciebie. Choć raz rozum utraciłem na zawsze, chociaż zamęt zmysłów moich rośnie z każdą chwilą, osoba twoja jest odtąd dla mnie najbardziej uroczym ale i najświętszym skarbem, jakim śmiertelnik był kiedykolwiek uczczony. Płomień mój i jego przedmiot zachowają razem czystość nienaruszoną. Przed targnięciem się na twoje wdzięki dziewicze wzdrygnąłbym się bardziej, niż przed podłym gwałtem, nie więcej miałabyś niezłomnego bezpieczeństwa ze swoim ojcem, jak ze swoim kochankiem. O! jeśliby ten szczęśliwy kochanek zapomniał się na chwilę wobec ciebie... Kochanek miałby duszę wstrętną! Nie, kiedy przestanę kochać cnotę, już cię kochać nie będę; za pierwszą moją nikczemnością nie chcę, żebyś mię dłużej kochała. Nabierz więc pewności, zaklinam cię w imię tej czułej i czystej miłości, jaka nas łączy; ona powinna ci zaręczyć za moją wstrzemięźliwość i za mój szacunek; ona ci powinna odpowiadać za samą siebie...¹⁾

Na czym skończyły się te zapewnienia i uroczyste zaklęcia, to już wiemy z treści, lecz niepodobna nie uznać czarującego powabu słowa i zwodniczego patosu, który bije od tych peryodów retorycznych i pełnych harmonijnego brzmienia. Porównajmy np. styl Woltera pod tym względem z mową Russa. Co za chłód i zgrzybiałość wieje od zjadliwego, sardonicznego uśmiechu i bladości stylu madrygałów fernejskiego patriarchy, co za świeżość i młodzieńczość z romansu geneńskiego myśliciela. „Nowa Heloiza“ jest właśnie takim namiętnym, żywiołowym protestem przeciw konwencyonalności i pruderyi wyższych klas 18-go wieku. Poraz pierwszy występuje miłość bez osłonek, namiętność i popęd zmysłów w swej nagości i prawdzie.²⁾ Dotychczas czy w powie-

¹⁾ „Nowa Heloiza,“ cz. I, list V. (Zob. „Obraz lit. powszechnej,“ Chmielewskiego i Grabowskiego, t. I, str. 181).

²⁾ Wyjątek stanowi utwór Prevost'a „Histoire du chevalier Desgrieux et de Manon Lescaut,“ wcielony jako epizod do jego „Pamiętników“ (Mémoires d'un homme de qualité retiré du monde (1728—32, t. 8), który można uważać

ści,¹⁾ czy w teatrze²⁾ panował dobry ton i wykwintny sposób przemawiania, nie pozwalający na wypowiedzenie tego, co się czuje i myśli, czego się pragnie i pożąda. Były aluzje, pół-słówka, napomknienia, ale nigdy stanowcze wyznanie.

W „Nowej Heloizie“ namiętność silna, łamiąca konwenansy i zapory towarzyskie, zyskała pełny swój wyraz. Jeśli przedtem autor schłostał społeczeństwo ostrym biczem nagany i smagał jego złe nawyki gorzką ironią, to teraz przemówił do serc, apelował do uczuć, bawił, wzruszał i zachwycił.

„Ludzie słuchają moralisty, co ich łaje, ale tłumami się garną do czarodzieja, co ich ma miłą, kobietę zwłaszcza i młodzież lgną ku temu, kto im pokazuje ziemię obiecaną. Wszystkie oddawna nagromadzone niezadowolenia, kłopoty obecne, nudy, niepewna siebie odraza, tłum pragnień powstrzymanych, wytryskują z gwałtowną siłą, jakby wody podziemne, za uderzeniem sondy, która po raz pierwszy wydobywa je na jaw. Tego uderzenia sondą dokonał Russo trafnie i głęboko. Wśród społeczeństwa całkiem sztucznego, w którym ludzie są marynetkami salonowymi, a życie zasadza się na paradowaniu z wdziękiem według umówionego modelu, Russo ogłasza powrót do natury, niepodległość, prawdę, namiętność, wybuchy uczuć, życie męskie, czynne, gorące, szczęśliwe i wolne wśród świeżej atmosfery i przy blasku słońca.“³⁾

„Nowa Heloiza“ podziała jak strumień świeżej, ożywczej wody, rzucony na zaschnięte i pyłem pokryte kwiaty. Był to powiew wiosennego wiatru z umajonych łąk wśród dusznej atmosfery cieplarni i salonów. Wybuch ten, pełen żaru i namiętności, usuwa raz na zawsze zbiór komunałów i ogólników z żargonu miłosnego, usuwa, „ośmiesza i unicestwia sztuczną galanterię“ i wyrafinowaną elegancję. Lecz ujemnym jego następstwem jest skrajny, egzaltowany sentymentalizm, który znowu wpada z czasem w pozę i czułośćkowość. Przez chwilę jednak „wstrząsnął, jak silne uderzenie prądu elektrycznego“ i jeśli wpływ jego na obyczaje był widoczny, to większym jeszcze okazał się na polu literatury europejskiej.

za ważny wzór dla Russa i którego wpływ jest miejscami widoczny w „Nowej Heloizie.“

¹⁾ Nawet w „La Princesse de Clèves,“ gdzie miłość przedstawiona jest jako siła fatalna, ten wymuskany ton panuje w całej pełni.

²⁾ Np. teatr Marivaux'a.

³⁾ Taine, op. cit., str. 269.

Russo, jak wiemy, wyrzucał cały ten potok rozpłomienionej lawy z własnego serca. On sam doznawał wówczas „rozkosznych upojeń i erotycznych dreszczów,“ pod wpływem pięknej przyrody, budzącej się na wiosnę do nowego życia, pod wpływem odżytych wspomnień i gorączkowych marzeń, a w części także pod wpływem nieodwzajemnionej miłości do pani d'Houdedôt, a chociaż niepodobna twierdzić, jak to czyni Spasowicz, aby szał miłosny, który ogarnia St.-Preux'a, zawrót głowy i płomienne drgnienie duszy, kiedy usta jego po raz pierwszy zwały się w pocałunku z ukochaną, były tylko umiejętnie odtworzoną chwilą własnego życia autora, bo Russo mówi w swoich „Wyznaniach“ o pocałunku, który go czeka dopiero i który go z góry już przejmował rozkosznym dreszczem, tak że na samą myśl o nim drżał na całym ciele, to jednak słowa tam wyrzeczone dobrze malują ówczesny stan duszy pisarza i jego nadzwyczajną wrażliwość autosugestywną: „Ten jedyny pocałunek, ten pocałunek nieszczęsny *przed otrzymaniem go*, rozpałał we mnie krew, moja myśl maciła się, me kolana drżące nie mogły mnie utrzymać, całe moje jestestwo było w niepojętym zawichrzeniu; byłem blizkim omdlenia.“ („Wyznania,“ ks. IX). Nie jedna z czytelniczek „Nowej Heloizy“ znalazła się w podobnym stanie podczas lektury tego romansu.

Drugą epokową zdobyczą „Nowej Heloizy“ jest wprowadzenie przyrody. Dla klasyków krajobraz miał jedną stałą barwę i jeden kształt: drzewa były zielone, niwy śmiejące się, niebo błękitne, powierzchnia jeziora gładka, ale jakie to były drzewa, jaka ich barwa na tle otoczenia, o tem nie miano pojęcia. Russo pierwszy daje poznać przyrodę, nie ową konwencyonalną ogólnikową przyrodę, która nadaje się do wszystkich krajów i klimatów, ale przyrodę miejscową, wybrzeże genewskiego jeziora a nie sielską Arkadyę. Posłuchajmy go, jak nam opisuje krajobraz przy wiosce Meillerie, leżącą nad jeziorem.

„Strumyk, utworzony przez topnienie śniegów, toczył o dwadzieścia kroków od nas *wodę błotnistą* i unosił z łoskotem muł, piasek i kamienie. Poza nami łańcuch skał niedostępnych oddzielał polankę od części Alp, które nazywają się lodowcami... *Bory czarnych jodeł* po prawej stronie smutnie nas ocieniały. *Wielki las dębowy* ciągnął się na lewo po drugim brzegu strumyka; a pod nami ta olbrzymia płaszczyna wodna, jaką tworzy jezioro w łonie Alp, oddzielała nas od bogatych wybrzeży kraju Vaud, w którym wierzchołkiem majestatycznej Jury uwieńczył się ten obraz. Wśród tych wielkich i wspaniałych przedmiotów, mały kawałek

gruntu, na którym byliśmy, roztaczał powaby zacisza wesołego i wiejskiego; kilka strumyków spływało po przez skały i rozlewało się *po zieleni kryształowymi sznurkami*, kilka dzikich drzew owocowych schylało swe głowy nad naszymi; *ziemia wilgotna i chłodna* pokryta była ziołami i kwiatami.“ („N. H.“ część IV, list XVII.)¹⁾

Prawda, że niema jeszcze tutaj ani majestatycznej wielkości niebotycznych gór, ani wspaniałej grozy wzburzonych odmętów wodnych, to zjawia się później dopiero, ale kto wie czy i Russo nie potrafiłby tego odmalować. Sądzę, że brak takich opisów tłumaczyć należy tem, że Russo był krótkowidzem i miał wzrok słaby. Dalekiej przestrzeni wzrok jego nie ogarniał, z podnóża Alp okiem nie sięgał po lodowe szczyty, ani nie obejmował wspaniałej powierzchni wodnej. Stąd jego opisy są raczej spokojniejszej natury, ale to, co opisuje, odznacza się niepospolitym wdziękiem. Umie on odtworzyć ów czar zacisznych miejsc, urok sielskich obrazów i spokojnej wsi, a przecieź nie wpaść w manierę gesnerowskiej sielanki. Wszystko ma u niego jakiś urok prostoty i naiwności, którego brak u współczesnych pisarzy idyll. Jego kraj, jego wioska nie jest pseudo-Arkadyą, lecz krajem szwajcarskim, widzianym zblizka, wioską nad jeziorem Genewskiem i niedaleko górskich łańcuchów alpejskich. Przez niego Alpy ze swoimi strumieniami, huczącymi po skałach, ze swoimi groźnymi lodowcami i szmaragdowymi stokami wchodzą do poezji. Słusznie też pisze Hensel:

„Nie jest przypadkiem, że «odkrycie Szwajcaryi» bierze początek przy Genewskiem jeziorze, że Montblanc jest wielbiony w „Manfredzie“ Byrona, jako król duchów i że do dnia dzisiejszego uchodzi za władcę olbrzymów górskich. Tego nie zawdzięcza okoliczności, że o parę stóp jest wyższy od swoich rówieśników, bo to naukowa notatka bez jakiegokolwiek wartości estetycznej; nie, to pierwszeństwo zawdzięcza on okoliczności, że z Genewy oko chłopca spoczywało często na jego stokach, że panuje nad okolicą, którą lubiał przerywać włóczący się młodzian, że do niego nieustannie zwracał się tęskny wzrok starca z wielkiej pustyni ludzkiej w Paryżu. My wszyscy, którzy dziś umiemy oceniać piękno gór, jesteśmy wszyscy uczniami i następcami Russa“ (str. 18).

D-R J. H. REINHOLD.

¹⁾ „Obraz literatury powszechnej“, t. II, str. 182-3.

PIŚMIENNICTWO.

F. DE BOJANI. *Innocent XI. Sa correspondance avec ses nonces* (21 septembre 1676 — 31 décembre 1679). T. I: „Affaires politiques“; t. II: „Affaires ecclésiastiques et le gouvernement de Rome.“ Rzym, Desclée i Sp. 1910.

Autor podjął się trudnej i godnej uznania pracy, ogłoszenia w kilku tomach korespondencji dyplomatycznej papieża Innocentego XI Odescalchi'ego z nuncyuszami. Dotychczas wyszło dwa tomy. Potrzeba takiego wydawnictwa dawała się bardzo odczuwać zarówno z uwagi na znaczenie epoki, w której pontyfikat Innocentego XI przypada, jak i na wyjątkową indywidualność samego papieża, któremu w szczególności w dziejach Polski wybitny przypadek udział. Zanim nauka nasza zdobędzie się na wszechstronną tego pontyfikatu w stosunku do Polski ocenę, zyskuje w powyższem wydawnictwie sporo materiału do roztrząśnienia.

Istnieje kilka ułamkowych prób ujęcia działalności politycznej Innocentego XI, jego stosunku do niektórych państw i współczesnych mu monarchów europejskich, przedewszystkiem Ludwika XIV, ale wszystkie te próby pozostały usiłowaniami połowicznymi i nie mogły dać pełnego obrazu wpływowej polityki papieża i wszystkich jej faz, gdyż brakło im źródłowej podstawy. Publikacja ściśle źródłowa, przeprowadzona podług dzisiejszych surowych wymagań krytyki i metody wydawniczej, mogła być oddać niepospolite usługi nauce i stworzyć podwalinę, na której synteza historyczna oprzeć się i zrównoważony sąd swój o Innocentym XI ugruntować była powołana. Niestety, praca pomieniona przedstawia pod względem wydawniczym i metodycznym znaczne braki i wady, w które bliżej wchodzić w ramach niniejszego sprawo-

zdania niepodobna. Uczynimy to przy innej sposobności, ograniczając się na razie do zwrócenia na nią uwagi czytelnika polskiego, (gdyż na to niewątpliwie zasługuje) i kompetentnych kół naukowych, które mimo powyższego zastrzeżenia liczyć się z nią muszą.

Pontyfikat Innocentego XI przypada, jak wiadomo, na czas panowania Jana III w Polsce, tudzież na okres największego napięcia antyhabsburskiej polityki Ludwika XIV. Papież stanął po stronie Habsburgów, nie tylko dlatego, że sam prowadził zacieklą walkę z Ludwikiem XIV na terenie kościelnym we Francji, gdzie „arcychrześcijański“ król pragnął wpływ kurii ograniczyć do minimum a poniekąd wyeliminować zupełnie i w tym celu gallikanizm kościoła francuskiego podnosił do wszechwładnego systemu, ale także dla głębokich różnic politycznych, które od pierwszej chwili objęcia Stolicy Piotrowej przez Innocentego XI jaskrawo wystąpiły na jaw między głową Kościoła a jego „najstarszym synem.“

Nie było środka, którego by Ludwik XIV nie zawahał się zastosować w dążeniu do celu swego życia i rządów: złamania potęgi Habsburgów. Koalizuje szeregujące się przy nim państwa północno-europejskie, inspiruje i podtrzymuje przeciw cesarzowi powstanie na Węgrzech, a przedewszystkiem ściąga Habsburgom na głowę nawałnicę turecką. Ten ostatni krok musiał wywołać reakcję ze strony papieżstwa, ktokolwiek byłby je wówczas reprezentował, a tembardziej, gdy na Stolicy apostolskiej zasiadał taki energiczny i śmiały polityk, jakim niezaprzeczenie był Innocenty XI, marzący o podjęciu i wykonaniu zadania, o jakie papieżstwo napróżno się kusilo za dni największej swej chwały i potęgi w dobie odrodzenia—o wypędzeniu Turków z Europy. Tym sposobem dążności dwu najwpływowszych w ówczesnym świecie chrześcijańskim władców, Innocentego XI i Ludwika XIV, stały w zasadniczej sprzeczności. Po ciosach, zadanych Rzymowi przez reformację i złamaniu politycznego wpływu papieżstwa, po raz ostatni zjawia się ono w osobie Innocentego XI na arenie politycznej Europy, jako czynnik decydujący i dochodzi do takiego znaczenia i przewagi, jakiej w dziejach nowożytnych więcej nie uzyska. Podniesiony wówczas przez papieża sztandar walki z mużułmaństwem znalazł tym razem nie tylko idealny drogowskaz w tradycjach zaczepnej wojny chrześcijańskiego zachodu z mużułmańskim wschodem, ale odpowiadał realnemu niebezpieczeństwu i konieczności obronnej walki z Turkami, do której Europa była zmuszoną. Idea była więc istotnie na czasie, mogła stać się popularną i miała szanse powodzenia tem więcej, że znalazła boha-

terskiego wykonawcę w Janie III. Myśl ta nie była mu obcą, zarówno on, jak cały naród, zdawna ją w sobie nosił, ale droga, którą Sobieski do niej dojść pragnął, była inna, a w każdym razie dla Polski bezpieczniejsza, niż ta, którą wyznaczał Innocenty XI. Tymczasem Rzplita, dostawszy się w rywalizacyjne tryby z jednej strony antyhabsburskich ambicij Ludwika XIV, z drugiej strony filohabsburskiej a zarazem antytyreckiej polityki Innocentego XI, pociągnięta ku tej ostatniej w imię interesów chrześcijaństwa i katolicyzmu a wbrew własnym, skrępowana nadto przez papieża w samodzielnej akcji wobec grożącej jej od wschodu Moskwy, która dla niej podówczas równie, a jak się w niedługiej miało okazać przyszłości, daleko więcej nawet była groźniejszą od napierającej od południa Porty, nie zdobywszy się, dzięki opłakanym okolicznościom wewnętrznym, na własny samozachowawczy kierunek, padła w rezultacie ofiarą tamtych ambicij i widoków. Z wiekowych walk z muzułmaństwem, których wspinałym, ale ułudnym finałem była odsiecz wiedeńska, nie wyniosła wycieńczona w nich i pozbawiona sił Polska niczego krom tytułu przedmurza chrześcijaństwa, zgasiła wprawdzie i unieruchomiła niebezpieczeństwo tureckie dla Europy, ale u granicy wschodniej pozwoliła wzrosć i wzmocnić się na własną zgubę sąsiedniej potędze.

W pierwszym tomie pomieścił autor korespondencyę z nuncyuszami za okres od września 1676 do grudnia 1679 r. W rozdziale VIII i IX znalazły się tam relacye nuncyusza Martellego z Warszawy i instrukcyje, które Martelli otrzymywał z Rzymu od sekretarza stanu Innocentego XI, kardynała Cybo. Korespondencyę tę podaje autor bądź w całości, bądź też w streszczeniu.

Jesień 1676 r. była dla Polski i Sobieskiego przełomową. Z ciężkiej potrzeby żórawińskiej wyszła ona zwycięsko. Interymistycznie zawarty w Żórawnie traktat, dość korzystny jak na ówczesne położenie dla Rzplitej, miał być ostatecznie ratyfikowany w Konstantynopolu. Rzplita zyskiwała na lat 7 spokój od ściany południowej, a zarazem swobodę ruchów wobec Austrii i Moskwy. Taki stan rzeczy dla niej pomyślny, był dla Wiednia niepożądany. Polska nosząca dotąd na swych barkach cały ciężar wojny tureckiej, tworząca wygodną dla Austrii tamę od Turcyi, zyskiwała wolną rękę. Naturalny pęd Turcyi, odbity od brzegu polskiego i podburzony przez Ludwika XIV, nie gdzieindziej tylko w Austryę miał uderzyć. Natychmiast odczuła Austrya następstwa żórawińskiego traktatu. Rozpaliło się powstanie na Węgrzech przeciw cesarzowi, podsycane z Wersalu i wspomagane

zaciągami z Polski, na które Sobieski patrzył przez szpary. W interesie Wiednia leżało więc, by po pierwsze niedopuszczyć do ratyfikacji traktatu zórawińskiego a tem samem zmusić Polskę do dalszej wojny i do dalszego podtrzymywania nacisku tureckiego, powtóre zaś nakłonić Sobieskiego, by zakazał rozpuszczonym chorągwiom polskim udziału w powstaniu węgierskiem. Wtedy, jako medyator, występuje papież i w myśl swoich widoków rozwija gorączkową działalność w Warszawie na rzecz cesarza a w dalszym ciągu przymierza cesarsko-polsko-moskiewskiego. Nuncyuszowi warszawskiemu zalecono jak najusilniej pracować nad przeprowadzeniem do skutku dobrych stosunków między Janem III a dworem cesarskim i Moskwą i wpływać w tym duchu na króla i królową,—równocześnie zaś nuncyuszowi wiedeńskiemu, Bonvisi'emu, łagodzić cesarza, który nie przestawał skarżyć się na intrygi polskie na Węgrzech. Bonvisi, oddany ciałem i duszą Austrii, krytykuje przy każdej sposobności politykę Sobieskiego i radzi niedowierzać jego oświadczeniom. Cesarz, uważając akcyę nuncyusza warszawskiego za niewystarczającą, zażądał, by papież wysłał do Sobieskiego specyalne breve z napomnieniem. W istocie, po pewnem wahaniu, posyła je Innocenty XI Sobieskiemu 18 września 1677 r. z wezwaniem (*Maiestatem tuam hortamur et obsecramus...*), by powstrzymał dalszy napływ Polaków do Węgier. Ten krok papieża zrobił na Sobieskim jak najgorsze wrażenie. Król jednak wezwaniu uległ, lecz dał uczuć nuncyuszowi swe niezadowolnienie. Nuncyusz donosi o tem nie bez zakłopotania i żalu, tembardziej, że już na ostatnim Sejnie za zbytne patronowanie sprawom moskiewskim i cesarskim spotkał go afront ze strony króla, który przez 4 tygodnie kazał mu czekać na audyencyę—rzec w Polsce niesłychana. Charakterystycznym jest szczegóły, że główne biuro zaciągów węgierskich, kierowane przez posła francuskiego w Polskę, miało swą siedzibę u o. o. Teatynów we Lwowie, którzy niegorsze na tem robili interesa. Nie dziw więc, że nuncyusz, dowiedziawszy się o tem, wpadł w furję i prefekta i wiceprefekta pociągnął do odpowiedzialności i w największej tajemnicy doniósł do Rzymu Kongregacyi de propaganda fide, której collegium Teatynów bezpośrednio podlegało, z prośbą natychmiastowego odwołania winnych.

W nakreślonym powyżej kierunku pracowała wytrwale dyplomacya papieska, dopóki jej usiłowań nie uwieńczył pomyślny skutek. Z pomocą przyszły jej zakulisowe wpływy na dworze polskim, głównie zaś królowa Marya Kazimiera. Zadraśnięta głęboko w swych ambicyach przez Ludwika XIV, ona to sprowadziła

Jana III ze szlaku polityki francuskiej, po którym po Zórawnie zdawał się kroczyć niezachwianie. Najbardziej interesujące są depesze nuncjusza z kwietnia 1678 r. z Lublina, gdzie się odbywała decydująca rada Senatu. Sobieski, stojąc wówczas na rozdrożu, niezdecydowany jeszcze między prądem francuskim a wprost przeciwnym papieskim, z całą świadomością bronił się przed naleganiem papieża zawarcia pokoju z Moskwą, wykazywał niebezpieczeństwo stąd płynące dla Polski, uważając słusznie pokój „wymuszony“ (Moskwa wiedziała, że na nim szczególnie papieżowi zależy) za fikcję. W czerwcu zażądał papież zerwania układów z Turcyą, gdy zaś Sobieski przekładał, że nie może bez powodu zrywać zobowiązań zórawińskich, oświadczone mu, że nie powinien czekać chwili, w której Turcyą dostarczy mu sposobności do zerwania, ale sam powinien taką sposobność stworzyć. Potrzebę wojny z Turkami tłumaczył nuncjusz między innymi argumentem, że w czasie wojny Rzplita jest więcej zgodna i złączona i ustają przeciwne królowi niesnaski. Niestety, dużo w tem było prawdy, ale dodać tu zaraz należy, że o to, by owe niesnaski nie ustawały, miał przedewszystkiem staranie cesarz, który dysponując silnym stronnictwem w Polsce, obracał je stale przeciw Sobieskiemu. Jeśli więc Sobieski patrzył przez szpary na zaciągi węgierskie w Rzplitej, to tylko odpłacał się cesarzowi za przyjacielskie usługi. Papież dobrze o tej robocie Leopolda był poinformowany, dlatego na ponowne jego żale, że Sobieski nie zmienił swego postępowania, odpowiedział, iż nie mniej od cesarza boleje z powodu zachowania się króla polskiego w sprawach węgierskich, radzi przecież cesarzowi przymknąć oczu i nie tylko udawać, że nic o tem nie wie, „ale nawet wspierać tego monarchę w sprawach wewnętrznych Rzplitej,“ zarówno z uwagi na Pismo św., które każe oddawać dobre za złe, jak nie mniej w interesie Niemiec, którym grozi ruina. Mieściła się w tych słowach wcale przejrzysta rada, by Leopold zaniechał nasamprzód podkopów pod Sobieskim, bo sam na tem najgorzej wyjść może. W samej rzeczy obawiał się papież, by przez wytaczanie ciągłych grawaminów pod adresem Sobieskiego nie zrazić go gruntownie do przymierza z cesarzem i nie popsuć w ten sposób całego planu. Ta zręczna, kojąca obustronne nieufności, polityka papieża święciła też w rezultacie tryumf na Sejmie grodzieńskim 1679 r., na którym autor zamyka na razie sprawy polskie.

W drugim tomie zebrał autor materiały do historii wewnętrznej Kościoła w pomienionem trzyleciu pontyfikatu Innocentego XI. Do dziejów wewnętrznych Kościoła w Polsce znalazł

się tam w szczególności materiał zbyt urywkowy i niepełny, by tu mógł poważniej wchodzić w rachubę. Zobaczmy, co dalsze przyniosą nam tomy.

Publikacya p. de Bojani'ego nie jest ani wydawnictwem źródeł w ścisłym znaczeniu, ani też monografią pontyfikatu Innocentego XI; usiłuje być czemś pośredniem i w następstwie tego traca charakter wydawnictwa źródeł a nie zawsze dorasta do formy monograficznej, tembardziej, że nad literaturą drukowaną przedmiotu stale przechodzi do porządku dziennego. Autor wpłata tu i owdzie subiektywne uwagi w tekst streszczanych lub też podawanych *in extenso* depesz, zresztą zaś posługuje się materiałem surowym, nie przetrawionym i nie opanowanym równomiernie. Krytyka będzie miała pod względem formalnym i metodycznym niejedno do zarzucenia temu przedsięwzięciu, jednakowoż nie może nie uznać wielkiej pracowitości i zapału, z jakim sędziwy autor prowadzi swe poszukiwania w archiwum watykańskim, skąd czerpał materiał podstawowy do niniejszego na dużą skalę zakrojonego dzieła i gdzie też pośród swych współtowarzyszy pracy budzi zasłużony w tym względzie podziw.

MACIEJ LORET.

LUDWIK WŁODEK. *Polskie kolonie rolnicze w Paranie*. Wydawnictwo Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem. Warszawa, skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł), 1910.

Centralne Towarzystwo Rolnicze w porozumieniu z organizacjami rolniczemi w Galicyi wysłało znanego publicystę p. Ludwika Włodka do Brazylii w celu zbadania nowych terenów kolonizacyjnych, jak również położenia ekonomicznego kolonij polskich w stanach Parana, Rio Grande do Sul, S-ta Catharina i Sao Paulo. Pan Włodek bawił w Brazylii 4½ miesiąca, zwiedzając osobiście kolonie polskie. Niniejsza książka jest rezultatem dokonanych przez niego badań i spostrzeżeń.

Kolonizacyą w Brazylii zajmuje się z jednej strony rząd związkowy, z drugiej poszczególne stany, z trzeciej wreszcie przedsiębiorstwa i osoby prywatne. Stan Parana posiada wszystkie trzy typy kolonizacyi: kolonię związkową w Bom Jardine, kolonię stanową na Prudentopolis, kolonizować ma wreszcie i towarzystwo kolejowe Sao Paulo—Rio Grande do Sul.

Rozmieszczenie imigrantów odbywa się w ten sposób, że skoro tylko do portu Rio de Janeiro zawita statek, wielkie łodzie rządowe transportują ich na wyspę kwiatów (Ilha dos Flores), gdzie znajduje się dom emigracyjny. Dom ten jest bardzo porządnie zbudowany i może pomieścić 500 osób; urządzenie jego przewyższa o wiele to, jakie istnieje w New-Yorku. Jest tylko ta niedogodność, że rozmiary domu są za szczupłe na wypadek masowej emigracji. Z wyspy kwiatów emigranci przewożeni są w miarę możliwości na urządzone dla nich grunta kolonizacyjne.

Terytorium Parany obejmuje 240 tys. klm. kw., z czego blisko połowa przypada na ziemie nieznane i niezbadane. Powierzchnia kraju przedstawia trzy płaskowzgórza, wznoszące się stopniami jeden nad drugim, przy morzu zaś ciągnie się wązki pas nizinny. Wszystkie grunta są tam zdatne do uprawy. W zbadanych i zaludnionych okolicach przeważają tereny leśne, niesłusznie jednak okolice bezleśne, tak zwane campos, uważane są za mniej urodzajne.

Klimat Parany jest różny, w zależności od miejsca. Pas nadmorski posiada klimat gorący i roślinność podzwrotnikową. Dalej wszędzie mamy klimat ciepły, ale raczej umiarkowany. W klimacie tym wszystkie właściwie zboża i płody mogą się udawać. Wilgoci jest sporo, rosy obfite, ilość deszczów znaczna. Grunt jednak przepuszczalny i duże spadki przeszkadzają zgromadzeniu się nadmiaru wilgoci. Klimat jest zdrowy. Polacy przystosowują się doń znakomicie, śmiertelność, zwłaszcza wśród bardzo licznych dzieci, jest niesłychanie mała.

Parana jest dotąd krajem wyłącznie rolniczym. Przemysł reprezentują tartaki, garbarnie, gorzelnie, fabryki zapalek, browary, dwie fabryki wyrobów bawełnianych, wszystko to jest jednak w stanie zaczątkowym i zatrudnia bardzo niewielką ilość robotników. Rolnictwo polega przedewszystkiem na plantacjach herwy mate (herbata paragwajska), chowie bydła i eksploatacji lasów.

Na przeszkodzie rozwojowi rolnictwa i przemysłu stoi brak komunikacji zarówno rzecznej, jak kolejowej i kołowej. System rzek parańskich jest bardzo niedogodny. Wszystkie większe rzeki są dopływami Parany, to znaczy, że łączą się z drogą wodną, której ujście do oceanu znajduje się na terytorium obcym, w Argentynie.

Na całej przestrzeni Parany mamy zaledwie kilkaset kilometrów kolei żelaznych. Co do dróg kołowych, to i te nie są liczne, i posiada je tylko najbardziej zaludniona część Parany. Dalej są tylko ścieżki, albo i las dziewiczy, w którym wyrąbywać sobie

trzeba drogę. Na koloniach używają wozów tylko wychodźcy z Europy, miejscowej ludności nie są one znane.

Co do zaludnienia trudno dokładnie określić liczbę mieszkańców Parany, statystyka bowiem miejscowa nieposiada cyfr ścisłych. Spis dokonany w roku 1900 podaje liczbę 330,878. Z miast na uwagę zasługują właściwie tylko trzy: stołeczne Kurytyba, liczące 50,124 mieszkańców, Ponta Grossa — 12 tys. i Paranagua (port Kurytyby). Reszta, to nędzne mieściny.

Ludność dzieli się: na Indyan, coraz bardziej usuwanych w głąb gór i lasów, Kabokłów—miejscową ludność białą i kolonistów z Europy. Wśród tych ostatnich Polacy i Rusini są najliczniejsi i mają znaczenie przeważne w rolnictwie. Niemcy mają przewagę w handlu i to hurtowym, gdyż drobne sklepiki, t. zw. wendy, znajdują się w rękach Polaków i Brazylian. Nieliczni Włosi i Francuzi uprawiają tu i owdzie winnice. Kabokli nie mogą wytrzymać konkurencji ekonomicznej z kolonistami europejskimi, do nich natomiast należy wyłącznie dziedzina polityczna. Oni dzierżą władzę, dostarczają urzędników, posłów i t. p.

Parana podlega konstytucji związkowej i stanowej, bardzo demokratycznej, ściśle wzorowanej na konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wolnościowe formy nieodpowiadają jednak tutaj treści istotnej. Rządzą zawsze różne oligarchie partyjne czy rodzinne i wolność jest ich tylko udziałem.

Stan ekonomiczny Polaków w Paranie jest bezwarunkowo dobry. Wiele tu jednak pozostaje jeszcze do zrobienia. Stopień kultury rolnej i gospodarstw jest niesłychanie niski, szybka wszakże zmiana na lepsze jest niemożliwa, kultura bowiem ziemi zawsze i wszędzie stoi w odwrotnym stosunku do ilości ziemi, a tej w Paranie niebraknie i gospodarze mają duże szabry czyli działki.

Jedną z przeszkód na drodze większej zamożności Polaków jest brak racjonalnej organizacji handlu. Wskutek złych środków komunikacji, koloniści są zdani na łaskę i niełaskę drobnego kupca-wendysty. Ceny są też najzupełniej dowolne i nieraz przypadkowe. Ma to tylko tę dobrą stronę, że coraz więcej Polaków garnie się do drobnego kupiectwa, dającego pokaźne zyski i w ten sposób tworzy się klasa średnia, niezbędna w tem społeczeństwie, dotąd czysto ludowem.

Ogromnie niekorzystnym dla naszych kolonistów jest system podatkowy parański. Ziemia nie płaci żadnego podatku, natomiast wszelki wyrób, wszelki handel jest obciążony nader dotkliwie. Na takim systemie podatkowym korzystają Brazylianie, którzy są właścicielami ziemi i w razie konieczności opłacania podatków

musieliby wystawić na sprzedaż należące do nich olbrzymie a nieuprawne obszary. Tymczasem kulturalna praca kolonistów musi składać haracz podatkowy.

Produkt rolniczy, wywożony na sprzedaż z jednej miejscowości do drugiej, płaci podatek wwozowy. Jeżeli kolonista go nie sprzeda i powraca do domu, płaci drugi raz podatek wwozowy w swojej miejscowości. Do tego dodać trzeba jeszcze opłaty drogowe. Bezpośrednio przeciw naszym kolonistom skierowany jest podatek od wozów, Brazylianie bowiem jeżdżą prawie wyłącznie konno.

Najważniejszą jednak przeszkodą na drodze dalszego postępu ekonomicznego Polaków jest ich niski stan kulturalny. Szkół polskich w Paranie jest 41, uczy się w nich 1973 dzieci, czyli że przeciętnie na cztery rodziny polskie jedna tylko posyła dziecko do szkoły. Słowem położenie szkolnictwa polskiego jest opłakane. Przyczynami, wywołującymi nieliczne uczęszczanie dzieci do szkół są: brak odczucia potrzeby oświaty u rodziców, wielkie odległości oddzielnych gospodarstw od szkoły, wreszcie używanie dzieci do pracy w gospodarstwie.

Pod względem swej wartości szkoły też pozostawiają dużo do życzenia. Dziela się one na trzy grupy: szkoły prywatne, szkoły miejscowego T. S. L., wreszcie szkoły Sióstr. Pierwsze przedstawiają się zupełnie marnie. Tow. Szkoły Ludowej również utyskuje na brak uzdolnionych sił nauczycielskich, ale posiada inteligentnych kierowników, płaci nauczycielom dobrze i może pewien wybór czynić. To też szkoły, należące do grupy drugiej są naogół dobre. Zupełnie dobre są również szkoły Sióstr, posiadające tę zaletę, iż zapewniona w nich jest bezwzględna ciągłość systemu, gdyż Siostry osiedliły się na stałe w Paranie.

Ważnym czynnikiem zachowania narodowości jest kościół. Parana stanowi jedną diecezję, księży polskich ma 18, co jest zupełnie niewystarczającym. Wobec braku księży z rdzennie polskich dzielnic, biskup uciekł się do pomocy zgromadzenia Verbum Divinum. Jest to zakon międzynarodowy, ale przeważają w nim Niemcy i generałem jest Niemiec. W zakładach tego zgromadzenia kształcą się dużo dzieci, pochodzących z bardziej zniemczonych części dawnej Polski. Otóż takich księży, nieraz źle mówiących po polsku, ten zakon dostarcza do polskich parafij. Zarzuty jednak germanizacyi, skierowane do tych księży, nie są słuszne, gdyż uważają się oni za Polaków.

W Brazylii kościół jest oddzielony od państwa, ale prawo, które ten rozdział przeprowadzało, posiada jedną ważną lukę: nie

narzuciło katolikom przymusowej organizacyi gmin wyznaniowych i za przedstawicieli katolicyzmu uważa jedynie biskupów. Niedokładność ta prawna wywołała zatargi o majątki kościelne pomiędzy biskupem a stowarzyszeniami wiernych, które wybudowały kościoły. Biskup rości sobie też prawo mianowania członków dozoru kościelnego. Stąd powstały długotrwałe spory, które ostatecznie załatwiono w ostatnich czasach kompromisowo.

Działalność społeczna księży nie była wielka. Cały bilans czynny działalności kulturalnej duchowieństwa polega na kilku szkołach Sióstr. W kierunku organizowania Polaków w stowarzyszenia księży nic nie zdziałali. Skutecznie walczyli tylko przeciw pijaństwu i małżeństwu mieszanym.

Pod względem rozwoju stowarzyszeń Polacy w Paranie stoją bardzo nisko. Istnieje tam 30 towarzystw polskich, które wszystkie razem liczą zaledwie 1250 członków. Rzucą się tu w oczy różnica pomiędzy tutejszą emigracją a emigracją w Stanach Zjednoczonych, która jest skupiona w szeregu związków. Z jednej strony gra tu rolę skupienie Polaków amerykańskich w miastach, z drugiej—duże znaczenie ma kulturalny wpływ rasy anglosaskiej.

W Paranie świeżo został założony, wzorem Ameryki Północnej, Związek Narodowy, przed którym otwiera się wielkie zadanie zjednoczenia Polonii brazylijskiej. Okres walk wewnętrznych wśród niej przeszedł już, świadczy o tem szybkie i liczne zapisywanie się na członków Związku przedstawicieli różnych grup przekonaniowych.

Dwa kierunki ścierają się z sobą w Paranie: na różnych polach przeciwstawia się tu kościół społeczeństwu świeckiemu i na tem tle występują różnice. Pierwszy kierunek przedstawia „Gazeta Polska,” która jest organem części przynajmniej duchowieństwa. Drugie pismo „Polak” reprezentuje interesy społeczeństwa świeckiego.

O wynarodowieniu żywiołu polskiego w Paranie mowy być nie może; tam szczerych polskich kolonij nie spotka los Kurytyby, gdzie czasem drugie już pokolenie nie zna ziemi dziadów. Życie natomiast wysuwa w Paranie inną kwestyę, mianowicie: czy Polacy nie wynaradawiając się, pozostaną nadal obywatelami drugiej klasy, czy też ze wzrostem kultury i politycznej świadomości pozyskają wpływ na losy stanu.

To ostatecznie nie spełni się dopóty, dopóki ludność polska nie wytworzy własnej inteligencji, z której mogliby wyjść kierownicy polityczni i jednocześnie przedstawiciele w kongresach, ciałach samorządnych i na urzędach. Warunków jednak na wytwo-

rzenie się inteligencji polskiej niema, z miejscowej ludności dotychczas się nie wyrabia, gdyż koloniści dzieci swych nie kształcą wyżej. Na dopływ inteligencji z kraju również liczyć nie można, gdyż ta nie znalazłaby tam dla siebie utrzymania.

W rezultacie swych badań autor dochodzi do wniosku, że Parana jest gruntem dla naszej kolonizacji odpowiednim. Pod względem ekonomicznym ludność polska ma tam wszelkie dane do rozwoju, ze stanowiska zaś narodowego Parana jest najwłaściwszą ze wszystkich krajów, dokąd się kieruje nasza emigracja.

Parana jest terenem emigracyjnym dogodnym jedynie dla ludności rolniczej i przytem bezrolnej, sprzedawać jednak gospodarstwo w kraju i przyjeżdżać tam z gotówką nie warto. Rzemieślnicy i robotnicy, o ile nie zechcą pracować na roli, skazani są na nieuchronną biedę. Dla inteligencji i ludzi niezdolnych do pracy fizycznej Parana nie nadaje się wcale.

Na przyjęcie stopniowych dopływów emigracji Parana jest przygotowana.

WACŁAW DUNIN.

BRONISŁAWA OSTROWSKA. *Chusty ofiarne*. Pod znakiem poetów. Warszawa, 1910, J. Mortkowicz.

Wśród wydawnictw J. Mortkowicza jest osobna serya zatytułowana „Pod znakiem poetów.“ Pomijając wybór poezyj lirycznych Słowackiego, z rzeczy oryginalnych mamy tu dwa tomiki Korab-Brzozowskich i Br. Ostrowskiej „Chusty ofiarne.“ Jeżeli te, czy inne względy nie wpłyną na obniżenie skali przy doborze autorów i utworów, z pewnością każdy nowy tomik wydawnictwa będącni witali mile i skwapliwie otwierali. To pewna, że niełatwo się nam rozstać ze zbiorkiem Br. Ostrowskiej. Treść jego dostarczyć może wyrafinowanej rozkoszy i budzi różnorodne refleksje...

Przed kilku laty poetka wystąpiła z pierwszym swym zbiorkiem: „Opale.“ Wydało się nam, iż wzorzystej szacie poezji polskiej, klejnotami osypanej, brakło właśnie połysku opali. I zostało nam wrażenie jakiegoś poranku majowego, jakiejś błękitnej mgły, przetykanej złotem skier słonecznych, pełnej leciuchnego, białawego pyłu kwietnego... Zostało wrażenie jakiegoś uctowania pogodnego a weselnego, oczu kwietnych, otwierających się do uśmiechów słonecznych, do radości i życia... Po wiośnie tej nie było lata. Osypały nas naraz melancholijne, woń tęsknoty rozsiewające „jesienne liście“... a oto teraz, w noc cichą, gdy na

chmurach się pali jedyna kędyś gwiazda, kiedy po rowach krążą świetliki i puszczyk leci do gniazda, teraz na rozdroźnym krzyżu zawisły „chusty ofiarne”—bólu i tęsknoty. Duszo sieroto, śniesz?

Twojeż to chusty?
Przyłgnęłaś do nich usta
I łowisz okiem rozpaczy
Przelotne blaski
.....
Czekasz łaski?

Zapowiedź, w pierwszym tomiku zawarta, nie spełniła się i spełniła się zarazem. Spełniła się, gdyż i dziś, jak niegdyś, jakkolwiek poezya polska nie zubożała, Br. Ostrowska w chórze śpiewaków nie zajmuje pośledniego miejsca. Mistrzowska rozmaitość i głębia tonów, bogactwo, nieledwie nadmierny przepych słowa, wirtuozowskie opanowanie formy—wszystko to są cechy, sprawiające, iż słuchacz lubieżnie wprost rozkoszować się może wierszem poetki. Rzecz prosta stać się tak może dlatego tylko, iż szata poezyi przylega ściśle do jej ciała, iż naśladuje w sposób swobodny wszelkie poruszenia uczucia i myśli i posłusznie za nimi się ugina. Uczucie zawsze jest szczere i bezpośrednie, fantazya dość bogata, by zarówno rozwinać przed nami obraz szeroki o perspektywie dobrej, jak zabawić wzrok nasz koronkową, filigranową robotą... Ale zarazem zapowiedź nie spełniła się... Nie lśni już rosa brylantowa na majowych kwiatach... I jabłoń nie osypuje już różowo-białymi płatkami swego kwiecica. Spójrzmy w jaką wizję się przemienił „majowy sen na puchach drzew owocowych...”

„Oto przez niezmierny step śniegowy pędzi mój koń. Nie pędzi—położył się na wicherze i wicher nas niesie... Tylko po bokach mignie czasem topola przydrożna, albo rozstajny krzyż zaskrzypi i jak upiór wyciągnie za nami ramiona...” („Majowy sen“ w zbiorze „Jesienne liście“). Więc oto słodycz i ciepło i blaski łagodne, i rozmarzenie senne przeobraża się w pustkę śniegową i smaganie wichru... I gęsto opadają, szeleszcząc, liście jesienne, wieszcząc smutek, samotność, rezygnację i śmierć... Wyznań pełno, rozsianych na każdej niemal kartce... Echa Wiosny przypominają, że

Mogilne darnie kwitną
Pod szumem smętnych tuj.

I Lato ma swą wymowę i niesie „ukojnej ciszy wieść,”

Że duch pod śmierci snem
Na łono matki wraca.

Nie potrzeba zresztą wyznań zgoła, żeby stwierdzić, iż pieśń poetki nie stała się radosnym peanem życia. I więcej jeszcze. Dość wsłuchać się w melodyę, wpatrzeć się w ten czy ów obraz... Oto dolina, mgłą zalana, pod mgłami „dzwon śpiewa i omdlewa, i ginie... Oto dziwne baśnie rycersko-romantyczne, wymarzone w świetle księżyca, przesłonięte „nieszczańskiego pokoju szablonowemi firankami...” Oto samotnie konające w blasku śmierci złotą drzewa...

Skryte śród mrących drzew marmury
W przepychu złota i purpury
O wiekuistym pięknie marzą...

Gdziekolwiek się zawrócimy, ogarnia nas zawsze niemal ta sama atmosfera pięknej, smutnie uśmiechniętej, rezygnującej z życia złudy... Z życia i jego kipiącej, zwycięskiej, bujnej radości. Są dwie melancholie, powiada wieszcz, jedna jest z mocy, druga ze słabości. Ta—nie jest z mocy. Nie dlatego, by śpiewne narzędzie odmówiło swych usług. Nie, posłuszne jest na najłżejsze skinienie pieśniarki. I posłuszne jest dlatego, że poetka nie sprzeniewierza się nigdy swym wewnętrznym nakazom. Ale jakież to jest nakaz naczelny?

O duszo ludzka w męce,
Wrzeczono złudy chwyć,
I snuj pajęczę nicie
Po sennych nieb błękicie
I prześnij ból i życie.

Czemu to tak jest u poetki — nie wiem. Lecz pod pewnym względem jej pieśń można uznać za symbol jeżeli nie całej polskiej poezji, to przynajmniej jednego z jej najszerszych nurtów. Piękna złuda, ukochanie piękna i świadomość jakby swej bierności względem głębokiego, prawdziwego życia.

Nowy dzień nowym żywotom się iści
Przez ciebie gna!
A ty — idź!
Po borach szukać ech,
Po bagnach gonić ogniki...
Idź! Idź!

Poezya Ostrowskiej nie wyczerpuje się kolorowym snem po za „mieszczkańskiego pokoju szablonowemi firankami.“ Nie. Nieraz ma ona w sobie „szeroki, słony oddech morza.“ Nieraz ukaże przestrzeń okiem nieobjętą, kołyszącą się złotym łanem, „falującą dreszczami ciężkimi pod nagrzanem, zapiekłem echem ziemi.“ W atmosferze, przesiąkniętej pocałunkami miłosnej, słonecznej spiekoty, unosi się i ton zawodzi

Złotogłowa zbóż pani, pralilio,
Pól gospodarz, słoneczna Dziedzilio...

Ale jest to coś, co przychodzi z zewnątrz, co wsiąka w samotnię i tchem swym porywa... na chwilę... Chwila taka—przelotna —niezdolna stwierdzić jedności między duchem człowieka a istnością wiecznie młodej, wiecznie odradzającej się, zwycięskiej przyrody. Nie. Duch ludzki jest wciąż tylko odbiciem, zwierciadłem... A istotę swą odzyskuje dopiero w samotni, kędy przemożne dzieło swe spełnia — snem. I nigdy nieposiada duch ten świadomości mocy własnej... I łan słoneczny, z którego się rodzi krasopani słowiańska, to pole kłosów, rozkoszą mdlejących, czy to pole mówi nam o krwawym wysiłku człowieka, o jego woli, o jego potędze zwycięskiej, co nowe życie płodzi? O nie! minie dobra chwila, przesłoni się mgłą wizya złota i znów usłyszymy dyalog wewnętrzny duszy z sobą:

Cóż, że twe gromy złote
Nie miały siły bić?
.....
Że chlebem twym i solą
I wodą twego źródła
Nie pał się niczyj głód?
.....

Poezya Br. Ostrowskiej — powiedzieliśmy na wstępie — może dostarczyć wyrafinowanej rozkoszy i budzić różnorodne refleksje. Refleksyj tych nie należy traktować, jakoby miały być pewnego rodzaju ujemnym sądem o pieśni poetki. Autorka, zwracając się do śmierci, woła:

Tych, co na pięknem kłamstwie sparli życia chwałę
Rozgrzesz, o śmierci...

I dla życia potrzebne jest piękne kłamstwo, autorka rozgrzeszenia nie potrzebuje. Co więcej, nie odważa się zgółą układać

jakiegoś horoskopu co do tych szlaków, jakimi w przyszłości będą dążyły jej natchnienia. Ale czy dla poezji polskiej nie brzmi *memento* w tych smutnych słowach:

Pozostaje pożoga złota
 Nowego dnia:
 Nowy dzień *nowym* żywotom się iści;
 Przez *ciebie* gna!

A. DROGOSZEWSKI.

MICHAŁ JANIK. *Z dziejów wymowy w wieku XVII i XVIII*. Lwów, 1910.
 Nakł. Tow. lit. im. A. Mickiewicza. Odbitka z „Pam. Liter.,”
 1908/9.

W pierwszym rozdziale swej pracy o wymowie w w. XVII i XVIII, autor uzasadnia swą tezę, iż książka Konarskiego („*De emendandis eloquentiae vitiis*,” 1741) stała się punktem przełomowym w poglądach polskich na wymowę. Wobec tego drugi rozdział studium poświęcony jest zobrazowaniu tego stanu wymowy, który panował u nas przed reformą Konarskiego, następny rozwija główne rysy poglądów znakomitego pijara i walke, która natychmiast wybuchła między zwolennikami Konarskiego a wielbicielami dotychczasowego stanu. Kreśląc dzieje wymowy przed Konarskim, autor streszcza obszernie zasady, rozwijane w podręcznikach szkolnych lub w odpowiednich kompendyach i następnie ilustruje wpływ teorii przez odpowiednie przykłady krasomówstwa, z praktyki zaczerpnięte. Wreszcie treścią ostatniego rozdziału jest omówienie podręcznika retoryki Konarskiego („*De arte bene cogitandi*...” 1767 r.).

Autor nie odczytał wprawdzie i nie odsłonił przed nami jakiejś nieznaney karty z dziejów naszej oświaty lub literatury, lecz bądź co bądź obraz, w ogólnych zarysach znany, rozszerzył i pogłębił nieco na podstawie źródłowych a dość znuudnych badań. Z pracy swej uczynił w pewnej mierze zwierciadło naszej umysłowości i obyczajowości w niezbyt szczęśliwym okresie naszych dziejów, daje nam pojęcie, jaką była w epoce szkoła, w której się kształciły jedne za drugimi pokolenia szlacheckie, broniące złotej wolności, lękające się *absolutum dominium* i dające się używać za narzędzie egoizmowi możnowładców. A że środki wychowawcze szkoły zmierzały, jakkolwiek różnemi drogami, do tego samego

celu — usypiania ducha, więc nic chyba dziwnego, że studyum, którego zadaniem było owe środki snotwórcze w możliwie obiektywny sposób nam przedstawić — więc, powtórzę, nic może dziwnego, że studyum takie, ze względu na treść swoją, zbyt ponętne być nie może.

Trzeba wszakże zaznaczyć, że autor nie zawsze uwydatnia dostatecznie tło historyczne zarówno w tym wypadku, gdy chodzi o trwanie badanego stanu rzeczy, jak i w tym, gdy mamy do czynienia z siłami, wywołującymi zmianę. Najzupełniej słuszne wnioski ukazują się w postaci uwag przygodnych, gdy tymczasem usilnie podkreśla momenty małego znaczenia. Mówiąc o skażeniu wymowy i jej nadmiernem wybijaniu, potrafi dojrzeć związek tego zjawiska z brakiem kultury estetycznej (skutek zerwania z cywilizacyjnymi wysiłkami Zachodu) i wypaczeniem zdrowego ducha obywatelskiego, lecz niebawem podaje za przyczynę, przedstawiając rzeczy w taki sposób, iż jakoby *niezrozumienie* celu, do którego ma służyć wymowa, pociąga za sobą najróżnorodniejsze smutne dla ducha narodowego następstwa. Oto np. fatalne gadulstwa skutki: „Sejm trwał zaledwie kilka tygodni, jeżeli doszedł; ponieważ zaś każdy z posłów starał się o popis na chwałę swego powiatu, nie trudno zrozumieć, dlaczego prace doszłych nawet sejmów były przeważnie jałowe“ (str. 24). „Gadulstwo *zabiło* treść rzeczy i *stworzono położenie bez wyjścia*“ (str. 27). „Wymowa świecka i kościelna stanęły... na równi; życie publiczne i domowe stały się czczem widowiskiem, na którym zabrakło treści, a zostały tylko słowa i pozory“ (str. 40) i t. p. Albo o panegiryzmie: „Jeżeli makaronizm zachwaszczał język narodowy i skażywał go na zagładę, jeżeli napuszystość i gadulstwo podawały w poniewierkę rozum narodowy, to *panegiryzm godził na dobro najwyższe: zohydzał i znieprawiał charakter narodowy, wiódł nieuniknienie do śmierci moralnej i politycznej*.“ „Słabość ludzką i słabość narodową *doprowadzili panegiryci do najstraszniejszego zwyrodnienia*; podbijając bębienka szarej pysze, wypaczyli to, co w młodym kulturalnie narodzie mogło stać się podniętą do dobrych uczynków; *panegirystów to wina nieprzebaczona, że zabili cnotę narodową (!), a pochlebstwo i dzierżenie się kłamki pańskiej uczynili przykazaniem*. Ogół narodowy był słaby, ale pocziwy.“ „Największą winę grzechów przeszłości ponoszą ci, co obrawszy się na nauczycieli narodu stali się nauczycielami zgorszenia.“ Według autora oni to byli *przyczyną*, że niektórzy statyści upatrywać zaczęli w losach nierządnej Polski objawy szczególnej opieki boskiej nad Polakami... (str. 52).

Jest to, co się zowie, kazać chodzić rzeczom i ludziom na głowie. Skazona, niezrozumiała, beztreściwa wymowa była patologicznym objawem zwolnionego tętna życia umysłowego wśród ogółu narodowego, co znowu miało swe głębsze, społeczne przyczyny; była następstwem anarchii, nie jej przyczyną. Panegiryzm zaś był wyrazem tego podwójnego faktu, że z jednej strony złota wolność szlachecka w realnych stosunkach stała się fikcją wobec bardzo pozytywnej przewagi oligarchii możnowładczej, z drugiej strony, iż wszystkie pierwiastki społeczności, oprócz szlachty, zostały przytłumione i nie stanowiły jakiegś obliczalnej siły politycznej... A że panegiryki były niedorzeczne i w najwyższym stopniu niesmaczne, to już było rzeczą naturalną wobec zupełnego braku bardziej nowoczesnej kultury umysłowej i estetycznej.

Wina szkół przeważnie, acz bynajmniej nie wyłącznie, jezuickich, była z pewnością wielka, lecz czyż tu znowu przyczyna i skutek nie spływa w jedną całość? Czyż każde wolne społeczeństwo nie miało takich właśnie szkół, na jakie zasługuje? Bo czemuż w połowie wieku XVIII w ciągu lat kilku czy kilkunastu stan rzeczy się zmienił, jakby za skinieniem różdżki czarodziejskiej? O panegirykach w dalszym ciągu mówi autor, iż „obok książek pobożnych, fraszek i kalendarzy stanowią one w tym czasie główne skarby umysłowe... narodu...“ „I dla kogóż—woła—może być jeszcze zagadką, jakie czynniki spowodowały pogrom bez sławy z końcem wieku XVIII?“ (54—5). Będzie miał słuszność, mając na myśli upokarzające nasze ubóstwo umysłowe w omawianej dobie. Lecz wkładanie winy na nauczycieli wymowy i panegirystów —i skąd oni się brali w pośród ogółu acz słabego lecz poczciwego?—jest to zacieranie perspektywy historycznej. Powróćmy jednak do pytania: jakie przyczyny sprawiły zmianę stanu rzeczy tak rozpaczliwego i będącego przyczyną zguby narodowej? Autor widzi tę siłę przeobrażającą w osobistej inicjatywie Konarskiego. Jeżeli to prawda, że „błaga powszechna stała się wszechwładną królową,“ i że „dlatego ...Rzeczpospolita karleje i popełnia sama na sobie powolne samobójstwo“ (str. 62), nie dziwnego, iż *na takim tle* „postać Stan. Konarskiego, jako odnowiciela ducha narodowego, *wyrasta do niezwyčajnych rozmiarów*“ (str. 64). Otóż Konarski „odniósł zwycięstwo na całej linii *dzięki jasnemu wykładowi nowych zasad i nieprzepartej sile rozumowania*“ (str. 65).

Zapewne, jeżeli błędy wymowy były skutkiem zapomnienia o jej istocie, jasny wykład i konsekwencja logiczna starczyły, by złe naprawić. Sądzę wszelako, że historyk literatury zdań

podobnych wygłaszać nie powinien. Autor zrzeka się dochodzenia, „o ile wielki reformator stylu samoistnym był myślicielem, co zaczerpnął od drugich, a co podał od siebie.“ Szkoda, gdyż w ten sposób zaciera tło historyczne, co jest w tym wypadku rzeczą o wiele ważniejszą od „jasnego wykładu“ i „nieprzepartej siły rozumowania.“ Ustalając zależność Konarskiego od wzorów zagranicznych, nie uwzględniłby wprawdzie warunków społecznych, jak nie uwzględnił ich w poprzednich częściach pracy, ale wskazałby mógł ściśły związek reformatorskich dążeń Konarskiego i jego następców z ruchem ogólnouropejskim. Zasada, na której się oparł Konarski: „Wymowa powinna być... z naturą i rozsądkiem zgodna“—była tą podstawą, na którą się oprzeć usiłował cały gmach teorii pseudoklasycznej; wpływała ona z *racjonalistycznych tendencji wieku*; była konsekwencyą myśli humanistycznej, pozostając jednocześnie w związku z nauką stoików i epikurejczyków, według których działalność ludzka winna była zgadzać się z naturą człowieka, a ta znowu miała się zasadzać na stosowaniu się do wymagań rozsądku i umiarkowania. Echa tego poglądu uwidoczniają się wyraźnie w Kochanowskiego *Trenach* i *Fraszkach*... Gdyby autor te wszystkie względy i stosunki ustalił, włożyłby konkretniejszą treść we własne twierdzenia, które zresztą zgoła się nie zgadzają z tezą osobistej inicjatywy, jasnego wykładu i rozproszenia nieporozumień, wskutek których wymowa miała uleść skażeniu. Więc kreśląc dzieje walki „około Konarskiego,“ zaznacza np., że nawet zwolennicy reformatora pozostawali niekiedy na błędnej drodze, przypuszczając, że chodziło mu *tylko* o naprawę wymowy; że „Konarski ostatecznie zwyciężył, bo wpływ francuski stawał się na szczęście *coraz bardziej wszechmożny*...“ (71); że przeciwnicy Konarskiego „nie dotrzymali jednak kroku *wobec prądu wieku*“ (89); że „zwycięzcą został Konarski, a zwycięstwo przyniosła mu nie polemika, ale *nowy duch czasu i odradzające się życie narodowe, które szukało nowej dla siebie formy*...“ (96). Więc „nie polemika...“ nie znamiona jasnego wykładu i siły rozumowania... Czyż nie doznajemy wrażenia, że w miarę tego, jak praca posuwała się ku końcowi, autor opuścił pierwotny punkt widzenia? Wobec działania „ducha czasu“ nie będzie już nas dziwić, iż polemicy jezuitcy, broniąc oczywiście monopolu szkolnego i wpływu swego na masy szlacheckie, z taką zaciętością i namiętnością powstali przeciw autorowi „*De emendandis eloquentiae vitis*.“ Ale ciosy ich spadały nie tylko na reformatora *stylu*, ale i na ducha nowej myśli, na filozofię Kartezjusza lub zwolenników Epikura, a nie wyłącz-

nie w obronie napuszystych, niedorzecznych panegiryków, ale również w obronie Tomasza z Akwinu i Arystotelesa w scholastycznym oświeceniu. A przecież o tem wszystkiem bardzo dokładnie poinformował nas p. Janik, zaniedbawszy jedynie zharmonizowania tych wyników, do których prowadzi jego studjum.

A. D.

FELIKS BOGACKI. *Zagadnienia etyki*. Kraków, 1909. Drukarnia ludowa. Str. 106, 16 o.

Nie jest to praca w rodzaju „Die etischen Grundfragen“ Lippsa lub innych podobnych, obejmujących wszystkie ważniejsze zagadnienia etyczne, lecz znacznie skromniejsza, albowiem zawiera tylko dwa rozdziały i dodatek o „możliwości odrodzenia komunalnych urzędzeń.“

Rozdział pierwszy traktuje o „rozumie i uczuciu, jako czynnikach w życiu ludzkim.“ Działalność ludzka dąży do zaspokajania potrzeb, które dadzą się podzielić na sześć grup: 1) zabezpieczenie istnienia przez zdobywanie pokarmu, 2) samozachowanie, 3) odradzanie się (miłość), 4) potrzeby towarzyskiego życia, 5) umysłowe i 6) estetyczne. Z przeglądu tych grup są wyprowadzone następujące wnioski:

1) „że wszystkie potrzeby człowieka mają fizyologiczny charakter;

2) że zaspokojenie ich dzieje się w drodze reakcy na stany uczuciowe, zależne od wrażeń;

3) że ma ono charakter odruchowy, zależny od uczuć, jakie powstają w nas na skutek tych wrażeń

i 4) że przeto działalność ludzka we wszystkich kierunkach czy bezpośrednia, czy pośrednia, zależy od uczuć, bo zależy od potrzeb naszych, które się uczuwają, jako stany fizyologiczne.“

Rola rozumu zostaje zredukowana do czynnika pomocniczego o tymczasowym działaniu, dzięki któremu okres bezrozumnej praktyki przechodzi w okres celowego instynktu, skoro tylko pierwszemu towarzyszy „świadomość otrzymanych rezultatów, a więc fizyologiczne doświadczenie, polegające na wytworzeniu się zgodnych z celem refleksów“ (str. 23). Należyte zrozumienie intencji autora jest utrudnione przez brak definicyi i określenia wzajemnego stosunku pojęć „fizyologiczny“ i „rozumowy“. Za

pierwszorzędny i niezbędny czynnik w życiu ludzkim uważa autor uczucie. „Rozumowania, t. j. zastanawianie się i rozważanie, paraliżują tylko działalność, jeżeli zaczynają niekiedy brać w niej udział. Napomnienia: zastanów się, pomyśl, co robisz — są, jak powszechnie wiadomo, wezwaniem do zawieszenia, do zaprzestania, do zaniechania działalności“ (str. 5). „Uczucia zaś zawsze są konsekwentniejsze od rozumu, bo posiadają wyraźny swój cel; cel stanowczy i w porządku rzeczy tego świata konieczny“ (str. 23). Rozumowanie możemy wyłączyć z życia „życie nie na tem nie straci, pozostanie ono jako fakt; zniknie tylko wiedza o niem, to jest zniknie ocena jego wartości i znaczenia“ (str. 25). Koniecznymi elementami mają być zatem uczucia i wrażenia, rozum — niejako registratorom naszych czynów, powiadającym o nich bezsilną, bierną wyobraźnię. „Pierwej wykonywujemy (? chyba wykonywamy) ruchy, później dopiero, po ich wykonaniu, spostrzegamy, żeśmy je wykonali, czyli uświadamiamy sobie, co zaszło“ (str. 5).

Poglądy takie były już nieraz wypowiedane w filozofii i to — pomimo swej jednostronności — w przejrzystszej, doskonalszej i więcej przekonującej formie, niż to uczynił autor; przyznać mu jednak należy, iż pomimo pewnych sprzeczności w wykładzie, trzymał się konsekwentnie raz zajętego stanowiska.

Przypuśćmy, że fałszywe wyobrażenia zostały rozwiane i rzecz przedstawiona w prawdziwej postaci — ale etyka nosi miano także *filozofii praktycznej*; bardzo poważni myśliciele twierdzą, że jej racyą bytu jest przekonywanie nie o tem, co jest, lecz co być powinno; co myśli autor o tej sprawie, z którą się łączy jak najściślej omawiane zagadnienie, niewiadomo, bo wnioski pośrednie, jakie wysnuć można, nie są zgodne z takimi zdaniem, jak na str. 6: „Bezpośrednia, naturalna odruchowość jest zjawiskiem naturalnem i koniecznem, a przeto praktycznie użytecznem,“ lub na str. 12: „Przyroda ma swoje wymagania, którym musi się stać zadość i z któremi walczyć niepodobna i niema żadnego sensu, bo walka ta nie prowadzi do rezultatu, ale tylko do zbroczeń umysłowych i fizycznych.“

Tytuł książki daje nam prawo, abyśmy przykładali do niej skalę wymagań nie tylko psychologii, lecz i etyki; z tego więc stanowiska jesteśmy upoważnieni do zrobienia autorowi zarzutu, iż nie zwrócił należycie uwagi na powyższe zagadnienie i nie określił jasno swego stosunku.

Rozdział drugi „Prawa natury i prawa moralne“ nie spełnia oczekiwań czytelnika, bo dzięki równorzędnemu traktowaniu in-

nych spraw, nie przynosi głębszego rozważania na zapowiedziany temat i nie daje wyraźnej, ściśle zdefiniowanej odpowiedzi.

Raz autor jest zupełnym deterministą, niemal fatalistą: „Wszystko, co człowiek czyni—czyni dlatego, że *musi* tak czynić, że inaczej czynić nie może, *przynajmniej w każdej danej chwili...*“ Czy działalność ludzka „jest racjonalną, czy nedorzeczną, w obu wypadkach jest ona konieczną i nieuniknioną“ (str. 52); nie jest to zresztą dla niego sprawa skomplikowana: „Zagadnienie determinizmu nie budzi w umyśle naszym żadnych wątpliwości i można je uważać za postawione i rozwiązane zupełnie dobrze (w formie przyczynowej). Żadne fakty mu nie przeczą, wszystkie przemawiają na jego korzyść.“ Nawet wspomniany w książce Schopenhauer, znany jako „modyfikator prawdy“ nie posunął się tak daleko w ignorowaniu literatury filozoficznej—tem mniej wypada to czynić p. Bogackiemu, skoro na tej samej 30 stronie pisze, iż wszystkimi zjawiskami rządzi przyczynowość, „my to tylko sami, dzięki psychicznemu złudzeniu, wyosabniani samych siebie w drodze analizy z pomiędzy reszty rzeczy.“

W innym miejscu czytamy: „Prawa przyrody, jakkolwiek obowiązują i ludzką istotę, to wszakże nie bezwzględnie, ale o tyle i dopóty, o ile i póki nie stają w sprzeczności z prawem moralnem“ (str. 45, także 44, 57). W sprzeczności z tym poglądem wypowiada autor inny, że prawa moralne, aczkolwiek są „świadomym pomysłem i utworem“ ludzkim, to jednak zawsze zgodne z prawami natury; od mechanicznych, chemicznych, fizycznych i biologicznych różnią się tylko tem, że działają w świecie ludzkim, lecz to bynajmniej nie odbiera im charakteru praw naturalnych (str. 33).

Praktyczne konsekwencye przedstawiają się dość skromnie „bieg rzeczy ludzkich ma własny swój naturalny los, któremu ludzkość chcąc nie chcąc ulega. Chodzić więc powinno tylko o poznanie tego losu, ażeby się doń można było—bo widzimy, że nie może być inaczej—stosować“ (str. 67). „Nie powinno to jednakże prowadzić nas do zniechęcenia i do opuszczania rąk, lecz tylko *do pewnej filozoficznej rezygnacji*, która jest jedynie możliwą dla każdego mądrością życiową. Nie możemy nie działać, unikając zawodów, a chociaż rozumiemy, co warta jest nasza działalność, działać musimy“ (str. 52).

Pozostawiając bez polemiki inne drobniejsze sprawy, poruszone w tym rozdziale, zwracamy uwagę na te momenty, które zbyt mocno rzucają się w oczy, by je można było zbyć milczeniem:

Str. 46: „Praktyka jest umiejętnością stosowania do rzeczywistości pewnych prawd teoretycznych... Pierwej powstaje teoria, później dopiero staje się możliwem jej stosowanie;“ „praktyka“ została pomieszana z „praktycznem stosowaniem teorii,“ co nie jest bynajmniej identycznym.

Str. 48: Pospolite pomieszenie pojęć „prawo-lex“ z „prawem-ius“: „z przeniesieniem władzy prawodawczej na przedstawicieli ludu, gdzie prawo jest rezultatem głosowania, idzie znowu w zapomnienie, że prawa stanowione, obowiązujące, nie mogą być i nie powinny być wcale improwizacją, ale są rezultatem pracy myśli, konstatającej fakty rzeczywistego życia i stosunków społecznych i wreszcie oceniającej te fakty według ich wartości ze względu na interesy społeczne. Praw nikt nigdy nie tworzy, chociaż to sobie wyobraża, ale tylko odkrywa i ujawnia istnienie ich działania, chociaż się tego nie domyśla.“

Str. 50: „Wszystkich prawie dotychczasowych twórczych usiłowań moralnych i prawnych nie można uważać za co innego, jak za realizację ludzkiego nieuctwa i ciemnoty, jak za próby realizacji ludzkiego głupstwa i niewiedomości...“; autor bez wahania posługuje się zanieczyszczonym językiem potocznym, głupstwo identyfikuje z błędem i dlatego to zapewne głosi tak śmiało, iż „głupota stanowi cechę ogromnej większości ludzi“ (str. 53 i 73).

Str. 63: „Każde dobro ma to do siebie, że każdyby je chciał posiadać dla siebie wyłącznie...“ Oczywiście fałsz, gdyż istotą dóbr umysłowych i moralnych jest to, że kto je rzeczywiście posiada, ten pragnie ich dla swych bliźnich lub ziomków. Nawet do dóbr materialnych nie nadaje się zdanie autora, skoro dana jednostka w ich posiadaniu nie będzie widzała środka do wywyższania się lub panowania nad innymi, lecz jedynie do zapewnienia sobie pewnej egzystencji.

Str. 64: Autor wiernie zacytował, lecz fałszywie interpretował Arystotelesa, który przyczyn niewolnictwa dopatrywał się w rodzaju ludzkim, a nie w pewnych, konkretnych warunkach socyalnych.

Str. 70: „Powrót do idealnej równowagi“ (w stosunkach ekonomicznych) — powrót do czegoś, co nigdy nie istniało, jest niemożliwy.

Str. 72: „Uważać siebie samego za istotę podrzędnej wartości, za przeciętną wielkość ludzką, przewyższa to nasze siły; dlatego każdy, dzięki optycznemu złudzeniu, ma się za główną, najważniejszą figurę na widowni życia.“ Tak osobiste doświadcze-

nie, jak i historia, wyraźnie przeczy temu; nawet megalomania rzadko osiąga takiego stopnia.

Uznając równowagę w stosunkach całkiem słuszną za stan pożądaný, autor wypowiada, chociaż niezupełnie wyraźnie, także zdanie, iż równość jest celem, do którego dążyć należy i do którego rozwój stosunków zmierza. „Że dążność przyrody do sprowadzania wszystkiego do jednego poziomu istnieje niewątpliwie, mamy na to mnóstwo dowodów.“ „Przyroda... zgładza i usuwa różnice pomiędzy ludźmi, trzymając ich na jednym poziomie“ (str. 70, 76 i 77).

Wytknąwszy błędy, przyznajemy, że są w pracy także i bardzo trafne myśli, o których nigdy zapominać nie należy, np. że postulaty etyki nie powinny żądać tego, co jest niezgodne lub sprzeczne z naturą ludzką; że etyka stanie się nauką, skoro się oprze na życiu i nauce w całej swej rozciągłości i przestanie być systemem nakazów i pojęć, wysnuwanych z pewnych doktryn, dowolnie przyjętych; że hasło „wszystko dla innych“ konsekwentnie stosowane, wytworzyłoby nieznośne i niemoralne stosunki i in. Ilość ich jest jednak niewielka; przytem konstrukcja pracy chybiona, wewnętrzne sprzeczności, fałszywe ujmowanie pewnych spraw i wykład daleki od ścisłości naukowej, chociaż język z literackiego punktu widzenia zupełnie poprawny. W zakończeniu autor pisze: „Jak mi się zdaje, nikt nigdy jeszcze nie traktował praw moralnych, jako praw przyrody, z zajętego przezemnie w tej kwestyi stanowiska, pracy mojej nie mogę uważać za zbyteczną; przeciwnie, uważam ją za potrzebną... Jeżeli krytyka naukowa nie znajdzie nic do zarzucenia mojej teorii moralności, nauka etyczna postąpi o krok naprzód w swoim rozwoju, ale krok ten będzie stanowczy i ważny, bo zamknie nieskończenie długi okres prac umysłu ludzkiego nad poszukiwaniem praw, rządzących zjawiskami moralnymi i nad ścisłym określeniem moralności.“

„Zagadnienia etyki“ poruszają ważne sprawy i pobudzają do myślenia, nie mogą więc być w naszej ubogiej literaturze filozoficznej rzeczą zbyteczną, lecz nie są—jak się spodziewał autor—dziełem epokowym lub chociażby wybitnem, bo ani rozwiązanie, ani postawienie zagadnienia nie jest w stanie zadowolić krytycznego czytelnika.

Kronika miesięczna.

Zbrodnia na Jasnej Górze. — Stan obecny herezyi maryawickiej. — Rozprawy na temat „odżydzania postępu“ polskiego. — Sesya sejmii galicyjskiego. — Stanowisko sejmii finlandzkiego. — Z wystaw sezonowych.

Zamieszczamy tę kronikę w chwili, kiedy całe społeczeństwo polskie do głębi przejęte jest straszną zbrodnią, spełnioną w klasztorze Jasnogórskim. Naród nasz tak jest przywiązany do katolicyzmu, że sam fakt popełnienia mordu przez zakonnika, więc przez przedstawiciela tego odłamu duchowieństwa, które w założeniu swoim ma przyświecać wzorem cnót chrześcijańskich, może już serca nasze przepęlić zgrozą. Nie dość na tem. Zbrodnia spełniona została na tej Jasnej Górze, która od wieków jest przedmiotem szczególnego kultu, nietylko religijnego ale i narodowego, jako wyraz odrodzenia Ojczyzny, oparcia się potężnemu wrogowi za czasów najazdu szwedzkiego. Mury, obficie zraszane krwią najeźdźców i bohaterskich obrońców świętego miejsca, po raz pierwszy skalane zostały krwią, przelaną zbrodniczą ręką.

Trudno dziś przewidzieć następstwa tego wypadku. Wiemy wszakże wszyscy, że przez czas długi, ze wszystkich stron, gdzie naród nasz ma czyhających na jego zagładę wrogów, słyszeć będziemy głosy tryumfu i obłudnych nawoływań do naprawy z zewnątrz rzekomo wewnątrznie zepsutego organizmu. Wiemy, że dla celów swoich skorzystają z niego wszyscy rodacy, którzy w walce z wyznaniem religijnem narodu błędnie widzą rękojmnię jego szybszego i wyższego rozwoju kulturalnego. Wiemy wreszcie, z której strony wyzyskany będzie najchętniej i najskuteczniej, ze strony naszej rodzimej herezyi uwsteczniającej. Nie wiemy tylko, o ile zgiełk złowieszczych głosów zmieni się następnie

w istotne zjawiska szkodliwe i za ledwie pocieszać się możemy, iż stanie się tak w małym jedynie zakresie.

Organizm pozornie zdrowy, a nurtowany wewnątrznie ciężkimi, ukrytymi chorobami, czas od czasu wyrzuca na zewnątrz wrzody, ropienia, widome tych chorób oznaki. Ostrzeżeniem podobnym w życiu społeczeństwa są potworne zbrodnie, świadczące o jego wewnętrznem zepsuciu. Próżno za mord jasnogórski składałobyśmy odpowiedzialność na takie czy inne warunki życia zakonnego; być może, iż tu były okoliczności sprzyjające, którym zresztą łatwo położyć może kres władza duchowna. Przyczyn szukać należy głębiej. Tkwią one w nas wszystkich, w całym społeczeństwie, w jego nadmiernem zmateryalizowaniu się, w powszechnej żądzy użycia za wszelką cenę. Duchowieństwo nie z obcego wszak pnia, ale z łona tegoż społeczeństwa wychodzi, musi więc dzielić z niem i współczesne wady i błędy. A kiedy żądza użycia dochodzi do rozmiarów potwornych, wyrastają na zgniłym podłożu takie straszne typy, jak zakonnik-zbrodniarz. Zmateryalizowaniu ogólnemu przypisać też należy coraz rzadsze istotne powołania kapłańskie w naszym społeczeństwie; na tem tle coraz częściej krzewi się typ duchownego dla karyery, dla chleba; takim był właśnie zbrodniarz. A brak innych, lepszych kandydatów sprawił, że i przed nim otworzyła wrota klauzura zakonna. A nienormalne warunki, w jakich rozwija się u nas całe życie wogóle, więc i życie religijne, dokonały reszty; zdolności zewnętrzne, energia brały górę nad cnotami czysto zakonnymi, pacząc w ten sposób samo założenie klasztoru.

Zbrodniarze są w rękę sprawiedliwości świeckiej. Co ze strony duchownej można było zrobić, aby na razie nadużyciom zapobiedz i wiernych uspokoić, to zostało już zrobione. Opinia publiczna z uznaniem i spokojnem zaufaniem przyjęła zarządzenia biskupa kujawsko-kaliskiego, oddające zarząd klasztorem w ręce księży świeckich, komisarzy biskupich, odsuwając odeń do czasu zakonników. Więcej na razie nie było do zrobienia, a wszelkie przesądzanie przyszłości byłoby przedwczesne.

Do spokoju i umiarkowania społeczeństwo wzywać trzeba. Współczesny aparat informacyjny działa niestety tak, że z klęski narodowej — nie wahamy się nazwać tak zbrodni na Jasnej Górze — robi powszednią sprawę romantyczno-kryminalną, schlebiając gustom ciekawej gawiedzi. Fala ta, niestety, nie prędko opadnie. A zło tkwi w tem, że przygłusza ona głos sumień. Gdyby na samo dno tych sumień ludzie zstępowali, gdyby dokonywali dokładnego i ścisłego obrachunku, znaleźliby tam niestety pier-

wiastki, które w swej potwornej wybujałości do takich właśnie zbrodni doprowadzają. A poznawszy źródło zła znaleźliby w sobie wolę do zgniecenia go, do odrodzenia moralnego jednostek, za którym poszłoby podwyższenie coraz to, niestety, obniżającego się poziomu moralnego społeczeństwa. Taka byłaby zdrowa reakcja zbrodni. Tymczasem zaś najzdrowszą znajdujemy w tych tłumach pobożnego ludu, który na pierwszą wieść o wypadku odróżnił plewy od ziarna, ustrzegł się wszelkich uogólnień i zrozumiał, że nikczemne czyny ludzkie nie mogą skalać Cudownego Obrazu, symbolu wyższych dążeń w sferę ideału. To, co było i jest przedmiotem wiary religijnej i narodowej, co było i jest pociechą w strapieniu, ulgą w ucisku, trwać będzie pomimo i wbrew złym czynom tego lub owego nędznego sługi. Warunki i okoliczności różne — ludzkie, zmienić można i trzeba, i zmienione będą. Nie zmieniają się uczucia z jakimi Polacy oczy swoje zwracają ku Jasnej Górze i z jakimi codzień szepcą: pod Twoją obronę, uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko!...

*

*

*

Przy gruntowniejszych badaniach, na które czas jeszcze nie nadszedł, możnaby zapewne, bez paradoksu, bez naciągania faktów wykazać filiację między naszą rodzimą, najnowszą schizmą maryawityzmu, a obcymi wpływami kulturalnymi. Są na to pośrednie dowody w wychowaniu petersburskiem kilku głównych filarów maryawityzmu, w okresie, kiedy ruch zaczął się rozwijać; mówimy tu oczywiście jedynie o oddziaływaniu moralnem; opieka władz administracyjnych, która pielęgnowała ruch w zarodku, należy oczywiście już do innej kategorii zjawisk — politycznej.

Od czasu koncylium Watykańskiego, jest to pierwsza szczyrba w Kościele katolickim. Niekompetentni oczywiście w sprawach dogmatycznych, stwierdzić przecież musimy, że historyczne oddzielenie się starokatolicyzmu, szeregu księży, a nawet biskupów, za którymi poszła część wiernych, może być uzasadnione wprowadzeniem przez Sobór ostatni nowych dogmatów. Wspominamy tylko w paru słowach o utworzeniu się kościoła niezależnego w społeczeństwie polskiem Stanów Zjednoczonych, dzieła kilku rozpustników i pijaków, którzy nie mogli być tolerowani

bezkarnie przez władze duchowne katolickie; tego rozłamu, w dziejach Polaków za Oceanem zjawiska uwsteczniającego, niepodobna traktować na seryo. Następuje potem owa właśnie schizma maryawityzmu, zjawisko tem ciekawsze, że powstało w łonie narodu — mimo wszelkich pozorów przeciwnych — dość obojętnego w stosunku do spraw i zagadnień religijnych, jak i abstrakcyjnych wogóle.

Dzisiejszych dygnitarzy i działaczy maryawickich znaleźmy wielu. Byli to wówczas duchowni katoliccy, nienagannego życia prywatnego, bezinteresowni, ale o bardzo ciasnych głowach, co jest cechą fanatyków wogóle, którzy w parafiach swoich wprowadzali nadmierne praktyki dewocyjne, odciągając lud od pracy codziennej, powszedniej, zarobkowej, jak również oświatowej i społecznej; znamy parafie, w których po osiedleniu się takiego kapłana w niwecz zupełnie szły kilkunastoletnie ciężko prowadzone prace oświatowe. Działalność tych księży odznaczała się przenoszeniem środka ciężkości życia doczesnego do zasługiwania nieustannego na szczęśliwość wieczną; doktrynalnie możnaby ich łączyć z niektórymi mistykami średniowiecza; wpływ wywierali głównie przez życie osobiste, pozbawione zupełnie wygod normalnych; ten typ życia był także przez czas długi, zbyt długi, obrońcą ich pośród wyższej władzy duchownej. Zbyt długi, bo dał możliwość zakorzenienia się propagandy.

Rozproszone usiłowania potrzebowały koncentracji. Znalazły ją w osobie kobiety, ogłoszonej za świętą, prostej, niewykształconej, a nawet ograniczonej, kuglarki czy mistyczki—oceni dopiero przyszłość, w każdym razie obdarzonej niepospolitemi zdolnościami organizacyjnymi, skoro z usiłowań rozbieżnych zdołała stworzyć spójnię tak silną, że kiedy nadeszło potępienie przez Stolicę Apostolską ruchu, był już dość silny, by mógł istnieć samodzielnie. Korzystał zresztą z pomocy dwustronnej. Z jednej—popierały go sfery rządowe; rzecz zupełnie zrozumiała, skoro herezya osłabiała katolicyzm. Mniej naturalne wydaje się poparcie gorące radykalnego odłamu opinii społeczeństwa polskiego. W walkach o kościoły nieśli pomoc maryawitom robotnicy-socjaliści; pisarze, walczący rzekomo w imię prawd naukowych z wszelką religią wogóle, propagowali maryawityzm, chociaż ze stanowiska dogmatycznego i praktyk jest on bez wątpienia objawem uwsteczniającym. Wykazało się tu dowodnie, że szumnie reklamowana owa walka wiedzy z religią była faktycznie walką nieuków z katolicyzmem, skoro przesady żydowskie pozostawiano w spokoju, a maryawickie apoteozowano. To dwustronne poparcie neutrali-

zowało się—na szczęście. Społeczeństwo nasze oddawna nauczyło się patrzeć z nieufnością na objawy życia, popierane z zewnątrz, z drugiej strony zaś opinia radykalna nie jest u nas dość silna, zwłaszcza w sprawach narodowych, aby mogła być wytworzyć nastrój, dla maryawityzmu przychylny. Dawną niechęć zastąpiło zobojętnienie — oto wszystko.

Z tego zobojętnienia wyrwali nas sami maryawici, urządzając w ostatnim miesiącu reklamę istic amerykańską dla swej sekty. Okazyi dostarczyło wyświęcenie dwóch nowych biskupów; mimo zupełnie wystarczającego jednego na kilkadziesiąt tysięcy sekciarzy, trzeba było zadowolić różne ambicje — ztąd nowi dygnitarze. Wyświęcenie odbyło się przy udziale dwóch biskupów starokatolickich z Hollandyi z wielką okazałością. Daleko odbiegliśmy już od początkowej prostoty ewangelicznej; automobile, masy kwiatów, bramy tryumfalne, uczyty—kosztują, zatem pewnie i dawna bezinteresowność również poszła w łatwą niepamięć.

Kiedy chodzi o zjawiska, tak jeszcze drażliwe, smutne i przykre, jak stworzenie sekty maryawickiej, może się nasuwać potrzeba taktyki przemilczania. Po głębszym namyśle trzeba ją odrzucić. Uświadamianie opinii nie jest bynajmniej równoznaczne z propagandą sekty; pisma mają obowiązek informowania o jej stanie, to też to czynią. Tembardziej należy się sprawozdanie w chwili dla maryawityzmu z dwóch względów zwrotnej: popierwsze, bo mamy do czynienia z usiłowaniami organizacyi hierarchicznej i podrugie — co ważniejsza — bo aprobata wyświęcenia nowych księży maryawickich przez biskupów uzależniona została od prowadzenia propagandy maryawickiej na Litwie i Rusi wyłącznie w języku rosyjskim. Chodzi tu więc o nasz interes narodowy; a dla publicysty świeckiego interes ten, obok społecznego—może być jedynem kryterjum oceny działalności sekty.

Według ostatnich danych statystycznych ilość maryawitów w Królestwie dochodzi do 73 tysięcy; ilość parafij zalegalizowanych wynosi 63; ilość świątyń — 38. Rozkład parafij i świątyń jest nierównomierny: w Warszawie mamy jeden kościół i dwie kaplice, w gub. warszawskiej 13 świątyń, w piotrkowskiej — 9, w siedleckiej — 8, w płockiej, kaliskiej i lubelskiej po 2, w łomżyńskiej — 1, w radomskiej, kieleckiej i suwalskiej kościołów maryawickich niema wcale. Kierownicy sekty wyzbyli się dawnego mistycyzmu i ignorowania potrzeb życia; spostrzegli, że w dziedzinie kulturalnej i społecznej działalność dopomaga propagandzie i rozwinęły ją w szerokim zakresie. Wzniesli wielki dom parafialny i dwa domy udziałowe w Łodzi, domy parafialne na po-

mieszczenie szkół, ochron i przytułków w wielu miejscowościach; w szkołach kształci się około 2,000 dzieci. W niektórych parafiach, jak w Lesznie i w Wiśniewie, mają maryawici wydziały przemysłowo-rolne; w płockiem nabyli majątek; w Zgierzu założyli warsztaty stolarskie na wielką skalę, po innych miastach zakładają mniejsze, jak również sklepy współdzielcze.

Ilość wyznawców sekty nie zwiększa się; przeciwnie, bezpośrednio po dekrete Watykańskim uszczupliła się dość znacznie, a obecnie pozostaje bez zmiany. Niebezpieczeństwa zatem na przyszłość, u nas przynajmniej, w Królestwie, nie przedstawia. Niemniej istnienie jej jest nieszczęściem narodowym; jak wiadomo, właśnie religijne są najmocniejsze i najtrwalsze; istnienie w pewnych okolicach kraju gmin wyznaniowych maryawickich uniemożliwia tam pracę kulturalną, wspólną, od wyznania niezależną i — chociaż dziś już namiętności uspokoiły się znacznie — istnienie ich jest stałym zarzewiem niezgody wśród sąsiadów.

Wywdzięczając się za opiekę i poparcie, jakiego z dwóch stron doznali, maryawici w publikacjach swoich wykazują z jednej pewne tendencje socjalistyczne, z drugiej zaś zupełną obojętność narodową. Znaczna ilość wspaniałych inwestycji, budowli i t. d., zestawiona z nieznaczną stosunkowo ilością wyznawców sekty, rekrutujących się wyłącznie z pośród ludności biednej, wzbudzała podejrzenia co do pochodzenia sum, na cele te przeznaczonych. Podejrzenia te wydają się niesłuszne; poprostu duchowni maryawiccy wyzyskują fanatyzm wyznawców zbieraniem od nich względnie bardzo znacznych ofiar pieniężnych. Zakładają przy parafiach wspólnoty, namawiają najgorętszych i stosunkowo najzamożniejszych do wyrzeczenia się majątku, dóbr doczesnych i znajdują chętnych, którzy potem pełnią obowiązki agitatorów. W jednym z listów swoich, biskup Kowalski mówi: „Niewolno nam, najmilsi, ograniczać się w miłości do udzielania jałmużny ubogim braciom naszym, ale obowiązani jesteśmy, w miarę możliwości, dzielić się z potrzebującymi tem, co posiadamy. Mamy też w Bogu nadzieję, że owa tak bardzo dziś upragniona równość ekonomiczna i braterstwo dokona się pośród nas przez ten Boski sakrament.“ Organizacya wspólnot jest już dalszym krokiem ku urzeczywistnieniu tych zasad. O zupełnej obojętności w stosunku do spraw i interesów narodowych świadczy ustęp inny: „Zwróćmy, najmilsi, uwagę szczególną — naucza w swym liście pasterskim przywódca maryawitów — na nasz stosunek do ludzi innych wyznań i obcych narodowości, ażebyśmy daleko odrzucili od siebie ten faryzejski kwas nienawiści wyznaniowej

i plemiennej, jakim usiłowali was napić dawni przewodnicy wasi. Źródłem bowiem nienawiści religijnej lub plemiennej nie jest bynajmniej przywiązanie do wiary,* albo miłość ojczyzny, jak to twierdzą obłudnicy, lecz jedynie brak ducha Chrystusowego.“ Świadczą o niej jeszcze takie fakty, jak publiczne sprawozdanie z misyi w Wilnie, wygłoszone w Warszawie, w którym duchowny z zapałem stwierdzał sympatyę, jakiej doznał tam ze strony generała, oficera żandarmeryi i protojereja, przyczem objawy sympatyi cytowane były dosłownie, w języku urzędowym. I takie, jak przyjęcie nowicyuszki Rosyanki do zakładu p. Kozłowskiej w Płocku, jak wygłaszanie w Wilnie kazań i nauk także w języku rosyjskim. Świadczą wreszcie o niej wszyscy ci, którzy *sine ira et studio* przyglądali się zblizka gminom maryawickim.

W cytatach pomijamy umyślnie ohydne, pełne najordynarniejszych wyrażzeń, napaści na Kościół katolicki, chodzi nam bowiem, jak zaznaczyliśmy wyżej, jedynie o stronę narodową i społeczną zjawiska; wystarczy zaznaczyć, że one to stanowią treść główną organu urzędowego sekciarzy, *Wiadomości Maryawickich*.

Kto wie, jak dalece lud nasz potrzebuje uświadomienia narodowego, jak wielką jest praca w tym kierunku, ten zrozumie, jaką krzywdę wyrządza społeczeństwu polskiemu sekta Maryawitów. Chrzczenie jej mianem „polskiego kościoła narodowego“ może być uważane tylko za najbardziej gorzką ironię. Stosunek do narodowości jest dotąd bierny, ale może być inaczej. Czy do reszty maryawici przekroczą Rubikon, który oddziela ich już dziś od społeczeństwa polskiego—niedaleka przyszłość pokaże. W każdym razie w odwieczną jedność religijną narodu polskiego wszczepia się ta schizma klinem, szerząc waśń między dziećmi jednej matki. I to działanie jest ciężkiem przestępstwem jej kierowników, a sympatya, okazywana im przez naszych radykałów — dowodem ich krótkowzroczności, lub, co gorsza, wrogiego interesom narodowym stanowiska. O nawróceniu powrotnem maryawitów dziś jeszcze mowy być nie może; pozostaje nam pocieszać się nadzieją, że gdy inicjatorzy i kierownicy zejdu z widowni, rozplynie się i sama sekta w anarchii i rywalizacyach. Dotąd nie jest ona także niebezpieczeństwem narodowym na Litwie i Rusi, gdzie kilkudziesięciu zaledwie liczy zwolenników.

*

*

*

Zawracamy dziś znowu do sprawy żydowskiej, zawracamy ze strony najmniej spodziewanej, ze strony lewicy. Od paru tygodni wre we wszystkich odłamach naszego obozu radykalnego, poczynając od umiarkowanej demokracji postępowej, kończąc na najskrajniejszych skrzydłach socjalistycznych. Przedmiotem sporu jest „odżydzanie postępu.“ Rozpoczął go „enfant terrible“ radykalizmu warszawskiego, który odznaczał się rzadką w warunkach naszych wolnomyślnością, obok bowiem katolickich „przesądów“ zwalczał także żydowskie. Wprawdzie w polemice zwrócił mu uwagę drugi taki sam „egotysta“ i także „enfant terrible,“ że wszelkie jego wystąpienia nacechowane są zawsze animozją osobistą, że o walce z katolicyzmem nie myślał aż do czasu skonfiskowania zbyt głośnych „Legend,“ jak i walkę z żydami wywołała napaść żydowskiego radykalnego warszawskiego świstka, niemniej jednak ciekawa sprawa została postawiona. Mniejsza o to z jakich pobudek i w jakich warunkach. Mniejsza też o styl, w jakim polemici lżą się wzajemnie, choć bierze pokusa przytoczyć próbki na wzór, jak pisać nie należy.

O cóż chodzi? Zdaniem p. Niemojewskiego równym błędem jest utożsamiać katolicyzm z polskością, jak żydostwo z postępem. Zwróćmy uwagę mimochodem, że pierwszego błędu nie popełnia nikt; przyznawanie katolicyzmowi siłą faktu znaczenia wyznania narodowego, ponieważ wyznaje go znaczna większość narodu, nie jest jeszcze identyfikacją z polskością; nikt nie zapomina o istnieniu Polaków innych wyznań i każdy cześci dobrych synów Ojczyzny bez względu na wyznanie; od tego stanowiska jednak niema zupełnie i nie potrzeba przejścia do szczególnego zwalczania katolicyzmu, jakie coraz bardziej staje się wyłącznym zadaniem naszych postępowców. Natomiast łączenie naszych ruchów radykalnych z wpływem Żydów narzuca się siłą faktów. I niema w tem nic dziwnego. Żyd, który zrywa ze swoim otoczeniem narodowym i wyznaniem, przechodząc do polskość zachowuje cechę zasadniczą umysłowości żydowskiej, swego rodzaju krytycyzm, działający prawie zawsze rozkładowo i liberalizm mieszczański, w którym jest mu najwygodniej. Te warunki wewnętrzne życia myślowego znajduje najlepiej wcielone w życiu rzeczywistym w obozach radykalnych różnych odcieni od liberalizmu właśnie począwszy, aż do kabalistycznych dociekań marksizmu. Dlatego we wszystkich społeczeństwach w obozach tych wszędzie znajdujemy Żydów, że zaś u nas jest ich najwięcej, więc i procent Żydów wśród naszych postępowców musi być i jest olbrzymi. Ztąd też płynie właśnie podkreślona wyżej, specyficz-

na cecha naszego postępu — walka z katolicyzmem; pierwiastek tej walki wnoszą Żydzi, dziedzicznie nienawidzący chrześcijaństwa i—wyzuci z religii własnej — wnoszący zaciętą niechęć do wszelkich religij wogóle. Jeżeli przez wyraz postęp należy rozumieć tworzenie lepszych warunków życia społecznego i kulturalnego, to zdawałoby się, że w tak „barbarzyńskim kraju,“ jak nasz, dla „postępowców“ istnieje olbrzymie pole pracy, które w myśl swych zasad gorliwie uprawiają. Ale tak nie jest bynajmniej. Poza kilku instytucjami i stowarzyszeniami, w których linia frontu walki jest o wiele dłuższa od linii pozytywnej pracy (Kruszynek, kółka Staszicowskie) nie widzimy nic, prócz bezpłodnej ale bardzo łatwej, więc w guście leniwych, walki z Kościołem.

Przypisać to należy właśnie udziałowi znacznemu Żydów wśród postępowców. Promotor polemiki—rdzenny Polak, szlachcic, o ile wiemy, płocki, wysuwający chętnie szlachectwo swoje w polemice—oburza się, gdy w walce wyznaniowej nazywają go pachołkiem żydowskim. I dlatego pragnie czempredzej postęp odżydzić, aby pokazać sztukę, że i Aryjczyk walkę taką prowadzić potrafi; prawda to zresztą, która hałaśliwego dowodzenia nie potrzebowała. Ale w obrachunkach padły także inne słuszne wyrazy. Przyznano, że „Żydzi paraliżowali nawet poniekąd akcyę postępowców polskich, lękając się obalić wielce dla nich korzystną fikcyę, że postęp polski i filosemityzm—to jedno.“ Przyznano dalej, że „postępowcy żydowscy oparli się wszelkim próbom szczepienia wolnej myśli wśród Żydów i chcieli zredukować kampanię wolnej myśli w Polsce do atakowania katolicyzmu z całkowitem pominięciem judaizmu i że ci postępowcy żydowscy usypiali naszą czujność na polakożercze zabiegi nacyonalizmu żydowskiego, nazywając walkę z nim objawem reakcy antysemitycznej.“ Przyznano wreszcie, że konieczna jest walka „z rozkładowymi wpływami nacyonalizmu i klerykalizmu żydowskiego na ideologię postępową polską oraz z literacką Targowicą, która się zdradziecko zakradła do naszych mas robotniczych, aby dla antypolskich szwindłów drobnomieszczanstwa żydowskiego wyzyskać siłę polityczną proletaryatu polskiego przez stałe podjudzanie go przeciw własnej ojczyźnie.“

Słowom tym chętnie przyznać możemy słuszność; trudniej będzie odpowiedzieć na pytanie, jaki realny wyraz znajdą w życiu? Zapewne do kilkunastu prawie kapliczek, na jakie dziela się nasi postępowcy, przybędzie nowa, jeszcze jedna kapliczka antysemityzmu czy asemityzmu postępowego. O spełnienie real-

ne zadania „odżydzenia postępu polskiego“ oczywiście bardzo trudno. Żaden ruch istnieć dziś nie może bez pieniędzy, a wydatki imprez postępowych ponoszą przecież przeważnie Żydzi. Z drugiej strony jeżeli ten nowy obóz postępowy, polsko-aryjski, ma być stworzony na obraz i podobieństwo jego proroka, jeżeli całą energię ma skupiać na bezpłodną i szkodliwą walkę wyznaniową, tak ciasną i fanatyczną, że dochodzącą do apologii bezwzględnie uwsteczniającego maryawityzmu, to stosunek do niego trzeba będzie utrzymać taki sam, jak do obozu postępowego polsko-żydowskiego. Jeżeli bowiem prowadzona jest robota szkodliwa — trzeba jej przeciwdziałać tak samo, bez względu na to, czy prowadzi ją aryjczyk, czy też semita. Obawiamy się zresztą, że możnaby tu zastosować słowa, wypowiedziane przy zgoła innej okazji: nasz „postęp“ rodzimy będzie taki, jak jest, albo go nie będzie wcale. Oczywiście „postęp“ w cudzysłowie, jako miano, nie jako treść, bo to, co jest postępem istotnym, co jest podniesieniem kultury, szerzeniem wiedzy, rozwojem współdziałności, robią na szczęście inne ręce, inni ludzie, bez etykiety postępu — w cudzysłowie.

*

*

*

Otwarta niedawno krótka sesya Sejmu galicyjskiego nie zapowiada żadnych trwałych ani wybitnych rezultatów. Nad posiedzeniami jego ciążyą dwie zmory spraw niezłatwionych: kwestya ruska i reforma wyborcza. Pierwsza—wobec żądań Rusinów podziału kraju—zgoła na razie nie do załatwienia. Ostatnie gwałty ochłodziły w stosunku do niej nawet tych, którzy z urzędu niejako, choć Polacy, zajmowali stanowisko ustępliwe, przedstawiciele najwyższych władz krajowych. Marszałek zaniechał w mo-
wie swojej zwykłego ustępu, wygłaszanego w języku ruskim, i zaznaczył słusznie, że jeżeli wobec sposobów załatwienia sprawy ruskiej różne mogą w społeczeństwie polkiem panować opinie, to wszakże kiedy dążenia Rusinów wychodzą z ram legalnych i kulturalnych — znajdują przeciw sobie zwarte szeregi całego społeczeństwa bez różnicy opinii. Namiestnik również ze swego stanowiska stanowczo i wyraźnie zaznaczył, że wobec gwałtów wła-

dza przed żadną nie cofnie się represją. A posłowie ruscy kilkakrotnie usiłowali czynić obstrukcyę i jak zwykle puste rozwodzili skargi: najgorszą cechą tego obozu jest to, że niema inteligentnego przywódcy, prawdziwego polityka, z którym porozumieć by się można. Dlatego to w sprawie ruskiej obracamy się stale w atmosferze demagogii, przypadku, afektu chwilowego.

Trudna również, choć zawsze do rozwiązania, jest sprawa reformy wyborczej do Sejmu krajowego, tak trudna, że pomimo permanencyi osobnej komisji reforma ani krokiem naprzód się nie posuwa. Każdy rozumie, że dzisiejsze prawo wyborcze jest przestarzałe i współczesnemu rozkładowi sił społecznych zgoła nie odpowiada, że wreszcie po dość radykalnej reformie wyborczej do parlamentu centralnego też same koła, które korzystają tu z rozszerzenia praw niechętnie godzą się ze zwężeniem ich, o ile chodzi o losy kraju. Wszyscy rozumieją również, że dokonanie reformy w kierunku głosowania czteroprzymiotnikowego jest niemożliwe; niestety, zrozumieniu temu wyrazu nie dają, tak silne są prądy demagogiczne, tak wielką obawą zarzutu zdrady pseudo-demokratycznego, pustego frazesu. Pomińmy, że reformy tego typu rząd nie zatwierdzi, bo to względ czysto oportunistyczny, choć bardzo ważny. Ale przecież Sejm galicyjski nie jest ciałem tylko politycznem; jest także najwyższą budowlą samorządu gospodarczego miejscowego i jako taki musi mieć zupełnie uprawnioną reprezentacyę interesów materyalnych różnych warstw. Z drugiej strony, najsumaryczniejsze rozejrzenie się w statystyce Galicyi uczy, że głosowanie powszechnie jest wręcz sprzeczne z naszym interesem narodowym, nie zapewniałoby nam bowiem wpływu, należnego tradycyjnie i kulturalnie. Proponowany z jednej strony klucz narodowościowy stwarza i aparat w manipulacyi dość ciężki i jako precedens niebezpieczny; urzędowe zapewnienie proporcjonalnego przedstawicielstwa narodowościom ruskiej, żydowskiej, niemieckiej wywołuje obawy podzielenia w przyszłości takim samym sposobem wszystkich stanowisk, czyli zamianę kraju zewnątrznie i urzędowo polskiego na wielojęzyczny. Ze wszystkich tych trudności wybrnąć tem trudniej, że trzeba mieć dwa lica, jedno na użytek wewnętrzny, drugie zaś dla wyborców, wynik coraz silniejszego przelicytowywania się w demagogii, najmocniejszej choroby życia publicznego w Galicyi, choroby tem cięższej, że stronnictwa ogarniają przeważnie bardzo ciasne widnokreśli własnych tylko interesów, a jedyny czynnik naprawdę polityczny, rząd krajowy, jest bądź co bądź zależny od centralnego. Nie leży w tego interesie wzmocnienie wewnętrzne Ga-

licy, przeciwnie raczej: chętnie hoduje wzajemne niechęci i współzawodnictwa, nie tylko rusińskie, nie tylko żydowskie, ale i niemieckie, które z dniem każdym stają się groźniejsze, idąc od zachodu i coraz to nowe ogarniając placówki. Dlatego — jak na to nieraz już zwracaliśmy uwagę — horyzont życia polskiego w Galicyi nie jest bynajmniej bezchmurny.

Od tej niewesołej strony obrazu odbija inna, na szczęście jasna, strona materialnego życia kraju, jego gospodarki wewnętrznej, kulturalnej, strona, ujawniająca się w cyfrach sprawozdawczych. Zaczniemy od budżetu.

Niedobór 2 $\frac{1}{2}$ mil. koron, niedobór stały zresztą jest wynikiem tego, że rząd centralny nie chce dać Galicyi autonomii finansowej; w r. 1911 będzie pokryty przez podwyższenie podatku realnego i osobistego. Przyglądając się dalej budżetowi widzimy, że lwia część wydatków pochłania oświata (25 $\frac{1}{4}$ mil., czyli o 1 $\frac{1}{2}$ mil. kor. więcej, niż w budżecie na r. b.), potem takie cele niewątpliwie kulturalne, jak wydatki na zdrowie publiczne (6 $\frac{1}{2}$ mil.), na komunikacje (6 mil.), na budowy wodne (9 mil.), melioracje, na cele rolnictwa.

Przyjrzyjmy się teraz rezultatom, osiągniętym na polu oświaty. W roku sprawozdawczym szkół ludowych publicznych było 5,334, w tem 140 zorganizowanych, ale nieczynnych. Na liczbę szkół czynnych składało się szkół jednoklasowych 3,345, dwuklasowych 1,192, trzyklasowych 20, czteroklasowych 362, pięcioklasowych 131, sześcioklasowych 53, wydziałowych średnio i więcej klasowych 91. W szkołach tych było czynnych klas 13,699. Uczyło w nich nauczycieli i nauczycielek 13,829. W porównaniu z r. 1907/8 liczba szkół publicznych wzrosła o 170, liczba gmin pozbawionych nauki szkolnej wynosi 319, o 135 mniej niż w roku poprzednim. Sił nauczycielskich przybyło 410. Uczęszczało na obowiązkową naukę całodzienną dzieci 985,211, zaś na naukę dopełniającą 187,921. Liczba dzieci pobierających naukę wzrosła o 31,712.

Seminaryów nauczycielskich państwowych było 17, z tego 14 męskich, 3 żeńskie (czwarte seminaryum żeńskie powstało od września 1910 r. w Brzeżanach). W siedmiu seminaryach męskich językiem wykładowym jest język polski, w innych polski i ruski; z seminaryów żeńskich jedynie w Krakowie wykładowym językiem jest język polski. Prywatnych seminaryów było 22, z tych dwa żeńskie miały prawa publiczności. Utrzymują je głównie instytucje i stowarzyszenia polskie; Tow. szkoły ludowej utrzymuje dwa seminarya: w Białej i w Krakowie; Rusini utrzymywali dwa seminarya prywatne w Jaworowie i we Lwowie; Niemcy

jedno (żeńskie) w Białej. Do seminariów uczęszczało 2,506 uczniów i uczennic na kursy, zaś 633 na kurs przygotowawczy.

Gimnazyów państwowych męskich istniało 51; w roku szkolnym 1909/10 utworzono trzy nowe, a od września 1910 założono nowe gimnazya: w Tłumaczu, tudzież gimnazjum realne w Łańcucie. Pięć gimnazyów: II w Kołomyi, II w Przemyśle, II w Stanisławowie, II w Tarnopolu i akademickie (wraz z filią ośmioklasową) we Lwowie miały język wykładowy ruski. Gimnazjum II we Lwowie, a częściowo gimnazjum w Brodach miały język wykładowy niemiecki. W gimnazjum II w Stryju i w Brzeżanach istniały pierwsze cztery klasy utrakwistyczne polsko-ruskie; utrakwizm w obu gimnazyach postępuje corocznie o klasę wyżej. Gimnazyów żeńskich prywatnych istniało 8 (jedno ruskie we Lwowie), a nadto niemal w każdym mieście, mającem szkołę średnią, zakładano prywatne kursa gimnazyalne żeńskie. Liceów żeńskich prywatnych było 10, z tego jeden zakład we Lwowie był niemiecki, zaś w Przemyśle był instytut ruski. Szkół realnych było 13; od września 1910 r. powstała nowa w Wieliczce. W gimnazyach publicznych i prywatnych było młodzieży męskiej 28,201, żeńskiej 1,465, w zakładach realnych chłopców 3,442, w liceach dziewczęcych 1,201. Co do stosunków narodowościowych, przedstawiają się one, jak następuje: w gimnazyach Polaków 15,580 (55.2%), Rusinów 6,318 (22.4%), Żydów 6,105 (21.6%); w gimnazyach żeńskich: Polek 715 (49%), Rusinek 110 (8%), Żydówek 623 (43%); w szkołach realnych: Polaków 2,327 (67.5%), Rusinów 234 (6.8%), Żydów 799 (23.2%); w liceach żeńskich: Polek 812 (68%), Rusinek 254 (21%), Żydówek 130 (11%).

Szkół przemysłowych i handlowych istniało 8: szkoła przemysłowa w Krakowie miała uczniów 484, szkoła przemysłowa we Lwowie 599, przemysłu drzewnego w Zakopanem 175, przemysłu drzewnego w Kołomyi 80, ślusarska w Świątnikach 82, przemysłu żelaznego w Sułkowicach 80, ślusarstwa maszynowego w Tarnopolu 30, Akademia handlowa we Lwowie 307. Do szkół przemysłowych uczęszczało 1,832 uczniów. Szkół przemysłowych uzupełniających było 72, a liczba uczniów wynosiła ponad 10,000. W roku 1911 powstanie nowych szkół przemysłowych uzupełniających 8.

Obraz powyższy budżetu i rozwoju oświaty kraju równoważy w znacznej mierze ciemne strony jego życia. Z drugiej strony zadaje kłam jeszcze i dziś dość u nas rozpowszechnionemu zdaniu o zacofaniu Galicyi, opinii wprost śmiesznej, jeżeli porównać tam-

tejsze i nasze np. stosunki. Wreszcie dają świadectwo, jak wygląda dziś „polska gospodarka“ w polskim kraju, rządonym polskimi rękami.

*

*

*

Daty dwudziestego trzeciego i dwudziestego szóstego września r. b. są datami historycznymi w dziejach Finlandyi i jej stosunku do państwa rosyjskiego. Zamykają one trzeci z kolei Sejm nadzwyczajny odmówieniem rozpraw nad projektami rządowymi, jako wbrew konstytucyi przedstawionymi.

Pierwszy Sejm nadzwyczajny zwołany został w r. 1899 za czasów Bobrikowa w celu uchwalenia nowego prawa wojskowego. Sesya Sejmu trwała cztery miesiące. Rezultatem jej było opracowanie żądanego prawa w innym jednakże kierunku, niż tego wniosek rządowy wymagał; podwyższono mianowicie ilość wojska z sześciu na dwanaście tysięcy z warunkiem wszakże, aby żołnierze pełnili służbę wyłącznie tylko w Finlandyi. Prawo to zatwierdzenia nie uzyskało, a następstwa—uchyłanie się od służby wojskowej, są ogólnie znane. Zresztą w r. 1905 rozkaz Najwyższy zniósł powinność wojskową w Finlandyi, wyznaczając wzamian za nią wynagrodzenie pieniężne.

Drugi Sejm nadzwyczajny zwołany został w grudniu 1905 r. Dokonał zmian wiekopomnych, zwłaszcza w zakresie prawa wyborczego, przechodząc od wyborów stanowych nietylko do bezpośrednich, powszechnych i tajnych, ale i do przedstawicielstwa proporcjonalnego i do udziału kobiet w wyborach. Sesya trwała osiem miesięcy; prócz reformy wyborczej, uchwalono prawa o wolności prasy, o zgromadzeniach i stowarzyszeniach, ale nie wszystkie prawa te zyskały zatwierdzenie.

Trzeci wreszcie Sejm nadzwyczajny został zwołany we wrześniu r. b. Czas jego obrad był z góry na miesiąc określony, a trwały one zaledwie dni kilka. Zadaniem jego było wyrażenie opinii co do wniosków rządu rosyjskiego, dotyczących prawodawstwa ogólnopństwowego (znanego czytelnikom z kroniki przed paru miesiącami), wynagrodzenia pieniężnego za służbę wojskową, wreszcie zrównania w prawach Rosyan, zamieszkałych w Finlandyi, z ludnością miejscową. Na treść tych projektów nie zwrócono

nawet uwagi. Rzecz w tem, że otwarcie Sejmu i wniesienie projektów odbyło się wbrew zwykłemu ceremoniałowi. Nie było mowy tronowej i adresu od Sejmu—generał-gubernator ograniczył się suchą formułą otwarcia Sejmu, na co marszałek odpowiedział również wyrażeniem w dwóch słowach hołdu wiernopoddanego. Po tych formalnościach zwykle generał-gubernator wręczał marszałkowi „propozycye Najwyższe,“ czyli wnioski, które miały być treścią obrad. W tym roku zaś z departamentu Senatu przysłano do Sejmu, jako korespondencyę służbową, projekty do praw, podpisane jedynie przez ministrów rosyjskich, bez podpisu tego, który dotychczas sam jeden projekty finlandzkie kontrasygnował, bez podpisu ministra sekretarza stanu dla Finlandyi. Skutkiem tego marszałek Swinhufvud oświadczył w Sejmie, że projektów rządowych, jako nie przysłanych przez ministra sekretarza stanu, do rozpoznania Sejmowi przedstawić nie może. Na tem sesya została zamknięta.

Rzecz jasna, że *talman* działał tu w porozumieniu z jednomyślnym w danym razie, choć złożonym z przedstawicieli różnych stronnictw, Sejmem. Rozprawy miały znaczenie czysto formalne, chodziło mianowicie o to, czy odpowiedzi nadać formę adresu czy nie; projekt adresu został większością głosów odrzucony. Tak samo nie wchodzono zupełnie w merytoryczne rozważanie praw, a Sejm złożył dowody niezwykłej dojrzałości politycznej, że ani jeden z mówców nie użył ostrego wyrażenia przeciw Rosyi; owszem, senator Danielson oświadczył, że „Sejm i naród finlandzki uczynią zawsze i w każdych okolicznościach wszystko, co można, dla szczęśliwego i właściwego rozstrzygnięcia wszystkich zagadnień spornych między dwoma narodami.“

Ostateczna odpowiedź, jako „Najpoddanejsze zawiadomienie,“ podpisana została przez marszałka i wicemarszałków Sejmu i złożona na ręce generał-gubernatora z intytulacją: „Najmiłościwszy i Najpotężniejszy Cesarzu i Wielki Książę!“ W treści zawiadomienie zwraca uwagę na to, że wydane 17 (30) czerwca 1910 r. prawo niema siły prawa w Finlandyi, że ustawy, wręczane przedstawicielstwu narodowemu, powinny być podpisane przez ministra sekretarza stanu. Skutkiem powyższego „Sejm pozbawiony był możności przystąpienia do rozważenia spraw, wymienionych w Najwyższym manifestie, wywołującym Sejm.“ Odpowiedzią na to ze strony rosyjskiej było rozwiązanie Sejmu i rozpisanie nowych wyborów.

Sprawy to nie załatwi. Wątpić trzeba, czy rząd rosyjski zmieni porządek przedstawiania praw i przywróci kontrasygnatę

ministra sekretarza stanu dla Finlandyi, chodzi tu bowiem o względy zasadnicze. Głosy prasy nacjonalistycznej, zarówno urzędowej, półurzędowej, jak i tej, która w roszczeniach swoich daleko wykracza poza względy urzędowe, są pełne oburzenia na Finlandczyków za ich niezrozumienie stosunku Finlandyi do państwa. Znikąd wszakże niema odwagi do zupełnie jasnego i wyraźnego postawienia sprawy, do jednostronnego zniesienia autonomii tej prowincyi. Obecne dążenie rządowe wyraża się w pragnieniu, aby wyrok zagłady swej autonomii wydała na siebie Finlandya sama w osobach swoich przedstawicieli. Że zaś rozwiązywanie Sejmów i nowe wybory nie zmieniają ich składu, zmienić nie mogą, bo są wyrazem jednomyślnej opinii kraju, że Finlandczycy zdecydowani są utrzymać się w granicach oporu ściśle legalnego, którego wyrazem był Sejm ostatni, przeto nie widać wyjścia z położenia. A właściwie wyjście jest jedno, zastosowanie prawa silniejszego. Na to jednak wobec zawsze lojalnej prowincyi zdobyć się jakoś bardzo trudno, skoro dotąd zdobyć się nie było można.

*

*

*

Jesień, pora obliczania plonów zniw, jest także porą różnych wystaw. I w tym roku było ich kilka. Wystawy rolnicze w Szawlach, w Humaniu, w Winnicy stwierdziły dowodnie, że mimo walk narodowościowych, posuwających się aż do dążenia wyżecia nas z ojcowizny, mimo obcej zewnątrznie fizyognomii kraju (napisy wyłącznie rosyjskie w Humaniu i w Winnicy), przedstawicielami wyższej kultury są wszędzie Polacy i tylko Polacy. Może właśnie stwierdzenie tego faktu wzmaga jeszcze fanatyzm różnych naszych najserdeczniejszych; i oto na znak protestu nie uczestniczą Rosyanie w wyborach do Rady Państwa, skoro nie udało się jeszcze wprowadzić sztucznej geometrii wyborczej nowego prawa o ziemstwach na Litwie i Rusi i ze wszystkich okręgów wychodzą Polacy. W zestawieniu z nazwiskami wystawców wogóle i nagrodzonych w szczególności wygląda to dość symptomatycznie i może być w rozprawach argumentem—zbędnym zresztą, skoro mamy do czynienia z takimi, którzy przekonani być nie chcą.

Prócz wystawy przyrodniczej, otwartej już od kilku miesięcy i bardzo ciekawej, mieliśmy w Warszawie dwie: rybacką i prze-

mysłu włóknistego. Pierwsza była nie dość interesująca ze względu na to, że rybołówstwo, jako jedna z gałęzi przemysłu rolnego, nie istnieje u nas prawie; to też plon był bardzo niski, a ilość eksponatów, zwiększana sztucznie takimi, które z rolnictwem nie mają wspólnego. Druga była przyćmiona blaskiem największej naszej firmy konfekcyjnej, która ze świetnym pawilonem wystąpiła i mniejszych konkurentów poprostu zakasowała. Był tu wszakże jeden dział, wart bardziej szczegółowego opisu i ze względu na jakość swej wystawy, jak i na doniosłość publiczną, dział czytelnikom naszym znany, dział przemysłu ludowego.

Jakież zadanie przyświecało organizatorom tego działu na wystawie przemysłu włóknistego i konfekcyjnego? Z jednej strony przedstawić, co lud wyrabia z przędzy lnianej, bawełnianej i wełnianej, z drugiej zaś, w co i jak się lud ubiera, o ile oczywiście własne stroje swoje zachował. Pierwsze spełnione zostało przez samo Towarzystwo popierania przemysłu ludowego, drugie— przy pomocy działu etnograficznego Muzeum Przemysłu i Handlu, z którego wzięto dwadzieścia cztery figury ubrane w malownicze, dotąd używane stroje z różnych okolic. Dowiadujemy się, że jednak jeszcze półtora do dwóch milionów włościan ubiera się w swoje własne stroje, że ważna kwestya zachowania ich połączona jest ze sprawą produkcji trwałych tkanin, farbowania ich, nawet nauki kroju, że tego uczyć trzeba i uczyć można, bo lud uczyć się chce, byle było za co, byle Towarzystwo miało dostateczne środki.

Niby macierz przemysłu ludowego rozsiadła się wystawa Towarzystwa, mnóstwo płócien z różnych stron, ze szkół własnych, z Kurpiów, ścierki z Oryszewa, wełniaki łowickie, gostyńskie i kutnowskie, chodniki, kilimy i t. d. Warsztat w ruchu; obok znane już wyroby guzikarskie, wśród których jako nowość produkowane przez kilka tysięcy chłopów z pod Ostrołęki guziki z masy perłowej, którą dostają i na małych tokarniach ręcznych obrabiają; bardzo ładne meble, wyściełane wełniakami.

To cząstka zaledwie. Bo tę wystawę otoczyły inne, usiłowaniom prywatnym zawdzięczone, wspólnością umiłowanego celu złączone. Wymieńmy płócienka Cienciary z Kamienicy Polskiej; tamże wyroby spółki „Tkacz,” związku chrześcijańskiego, liczącego 80 członków; znane, świetne wyroby p. Mohlówny; parawan hr. Platerowej, sukna z Pietkowa, wreszcie wełniaki i płótna spółki tkackiej z Frampola. Ciekawa jej historia. Siedzieli tam tkacze z dziada pradziada; dyplom cechu podpisany był przez Władysława IV; tkali doskonale. Ale z czasem zestarzały się poprostu warsztaty; ich typ był już niemożliwy. Założona w porę szkoła

miała tu jedno tylko zadanie: wprowadzenia nowych warsztatów. To zadanie spełniła i potem została zamknięta. Do spółki należy czterystu tkaczy.

Taki pokazano nam plon robót. I dobrze zrobiono, że pokazano. Każda instytucja publiczna, do ofiarności ogółu apelująca, jaknajczęściej przed tym ogółem egzamin zdawać powinna. Ruchliwe i dzielnie kierowane Towarzystwo popierania przemysłu ludowego ma się zawsze z czem na takim egzaminie popisać; obyż mu to do uzyskania poparcia społeczeństwa dopomogło, jak na to zasługuje. Przy jego warsztatach spotykają się ludzie różnych warstw: księża, ziemianki, włościanie i włościanki. Więc poza celami podniesienia ekonomicznego i kulturalnego spełnia jeszcze jedno — jest ogniwem jednoczącym — zadanie nie ostatnie i nie najmniejsze.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Marya Konopnicka.

Rok bieżący nazwać wypadnie rokiem żałoby; dawno już nie notowaliśmy tyle zgonów, tyle niepowetowanych strat z pośród największych i najpożyteczniejszych narodu. Schodzą do grobu przedstawiciele tego pokolenia, które dojrzewało w gorącej atmosferze powstania ostatniego, które najmocniejsze wycisnęło piętno na ostatnim okresie dziejów naszych. A kiedy porównujemy ich wielką kulturę, wiedzę, niestrudzoną pracę ze współczesnymi, dochodzimy do pesymistycznej wątpliwości, czy nie obniża się poziom życia duchowego narodu.

Przed półwiekiem, w głośnym naówczas klasztorze Sakramentek w Warszawie, pobierały nauki dwie panienki, Pawłowska i Wasiłowska, nazwiska znane zaledwie historykom literatury. Ale w późniejszym życiu nazwiska ich zabłysły, jak gwiazdy pierwszej wielkości, zdobyły sobie zasłużony rozgłos na całym obszarze ziem polskich, a nawet i poza niemi. Dziś już niema między nami znakomitych autorek. Przed paru miesiącami odprowadzaliśmy na miejsce wiecznego spoczynku Orzeszkową, wczoraj — pożegnaliśmy Konopnicką.

Była ona nietylko wielkim poetą polskim, godnym stanąć obok największych; była także wielką poetką świata. I gdyby pisała nie po polsku, lecz w bardziej rozpowszechnionym języku, zdanie to byłoby prawdą znaną i uznaną. Nigdy i nigdzie świetność formy, podniosłość treści, niebosiężny potok poetycki, nigdy zalety te nie były w takim stopniu udziałem żadnej kobiety, prócz Maryi Konopnickiej.

Nie była nigdy cudownem dzieckiem. Pisać zaczęła późno, jako dojrzała już, trzydziestoletnia kobieta. I od początku szła

coraz wyżej i wyżej, doskonając się nieustannie, ogarniając coraz szersze kręgi, aż na najwyższe szczyty twórczości. W tym nieustannym rozwoju i postępie ducha tkwiło jej podobieństwo z Orzeszkową.

Powodu do rozpoczęcia twórczości dostarczył jej zachwyty, doznany przy pierwszej podróży w Tatry; mamy ztamtąd pierwszy, prześliczny cykl poezji „W Górach,” malujący krajobrazy, w których odtwarzaniu była i później niedoścignioną mistrzynią.

Był to rok 1875, rok rozwoju haseł pozytywizmu, reakcyi przeciw romantyzmowi przedpowstaniowemu czynów. Konopnickiej obce były zawsze tendencje egotyzmu w twórczości; dość powiedzieć, że w poezjach jej miłość zajmuje zawsze miejsce podrzędne. Była zawsze obywatelką, ściśle związaną węzły ze swoim społeczeństwem. I dlatego ruch pozytywistyczny nie mógł przejść dla niej bez śladu. Stąd utylitaryzm, tendencya i retoryczność utworów jej z tej epoki. Wzięła z niej zresztą to, co było w niej najlepszego, najszlachetniejszego i — najtrwalszego: umiłowanie idei demokratycznej, umiłowanie ludu. A doszła do niego nietylko drogą rozumowania, stwierdzenia suchego, że tak pracować trzeba, lecz przedewszystkiem drogą uczucia, drogą litości dla upośledzonych życiowo, i dlatego umiłowania. Rozumowania mijają, zastępują je coraz to inne koncepcje myślowe; a uczucie poetki trwało niezłomnie przy ludzie aż do końca i znajdowało wyraz zewnętrzny nietylko w utworach poetyckich ale i w życiu codziennem.

Ten pierwszy okres twórczości można nazwać okresem służby społecznej: treść, idea, tendencya występuje na plan pierwszy. A kiedy, zmuszona okolicznościami, poetka opuszcza Warszawę, podróże doskonale wpływają na rozwój jej olbrzymiego talentu, rozszerzają widnokreśli, pogłębiają ducha, wznoszą go na wyżyny, z których ogarnia świat cały. Konopnicka nie traci nic z ogólnych, zasadniczych cech swej twórczości, ukochania dobra pospolitego i służenia mu, ale ta służba nabiera wyższego, ogólniejszego charakteru. Walka ze złem — oto cel główny, któremu służy. Nie może się pogodzić z jego istnieniem w życiu i stąd tony pesymizmu; przecież chce mieć nadzieję — przeciw nadziei.

Nie wystarcza jej liryka — marzy o eposie. Współczesnej — a więc na tle życia ukochanego ludu. Widzi, jak niedola pcha go przed dwudziestu laty za morze. I na tem tle powstaje pomysł olbrzymiego poematu, dobrze znanego czytelnikom *Biblioteki*, „Pana Balcera w Brazylii.” Pierwsze pieśni — widziane, od-

czute, przeżyte pozostaną zawsze jednym z najcenniejszych klejnotów w skarbcu poezji polskiej. A całość jest spełnieniem marzenia życia Konopnickiej, pozostawienia po sobie wiecznotrwałego pomnika współczesności. Świetna forma i rozmiar, napięcie dzieła, musi w każdym czytelniku wywołać zdumienie.

Doczekała się za życia tyle zasłużonej sławy i uznania; księgi jej wędrowały pod strzechy; znana była zarówno wytwornym miłośnikom literatury, jak dzieciom, jak ludowi. To też obchód jubileuszowy przed ośmiu laty we Lwowie był hołdem tak wielkim i tak powszechnym, jaki mało którego z pisarzy był udziałem. Od najwyższych ciał naukowych począwszy, przez delegacye stowarzyszeń, aż do Piaseckiej z Wrześni, która dzieci swoje, jako Jej dzieci przyprowadziła—nie brakło w tym pochodzie hołdowniczym królowej pieśni polskiej nikogo.

Nad świeżym grobem nie czas na wszechstronną ocenę twórczości zmarłej. W notatce zawrzeć można tylko wyrazy żalu, że odeszła od nas kobieta dobra, wielka obywatelka. I niby więź kwiatów na świeżą mogiłę, rzucić jej chcemy te słowa włościan z Żarnowca, którzy wzywają, aby „wielce można Pani wracała“ do nich „leczyć ubogie ludzkie i nieść im pociechę.“ I ten testament Jej, tak dziś potrzebny, byśmy mieli nadzieję przeciw nadziei. I to jej przyznanie własne na jubileuszu, że „chciała miłości — dla ziemi, chciała wyznawców — dla ideału, chciała światła — dla ludu, chciała cześci — dla pracy, chciała bojowników—dla idei, chciała tryumfu — dla prawdy i dla wszystkich chciała jedności!“ Te kwiaty jej twórczości, te bezcenne dary, którymi darzyła naród — słusznie Jej się teraz należą. Za wielkie, dobre dzieło życia — pamięć wieczna i miejsce wśród najlepszych synów Ojczyzny.

*

*

*

Marya z Wasiłowskich Konopnicka urodziła się w Suwałkach, w r. 1846, z ojca, Józefa, i matki, Scholastyki z Turskich. Matkę straciła we wczesnem dzieciństwie; wychowaniem dziewczynki kierował ojciec, człowiek światły i bardzo zaniżowany w literaturze ojczystej; wczesnie zaczęła czytywać poetów, a pierwsze zachwyty w młodocianej duszy wywołał Kochanowski. Kształcona w domu, dla dokończenia edukacji przepędziła rok tylko jeden u Sakramentek w Warszawie. Wypadki 1863 r. zostawiły w jej duszy wspomnienie niezatarte, głównie jako wrażenie roz-

łanu między dworem a chatą, niedoli i ciemoty ludu, jako przyczyny niepowodzenia ruchu. Młodo wyszła zamaż i zamieszkała w Bronowie, w Łęczyckiem, w majątku męża, ale szczęście ciche, rodzinne, nie było wogóle jej udziałem w życiu.

W r. 1876 przeniosła się na stałe do Warszawy i zaczęła pomieszczać pierwsze swoje utwory w *Kłosach*. Spędziła tu lat kilkanaście, wyrabiała sobie coraz większą sławę, redagowała od r. 1884 pismo dla kobiet, *Świt*, głoszące hasła równouprawnienia. W r. 1890 z rozkazu władz zmuszona była opuścić Warszawę i odtąd rozpoczęło się jej życie tułaczce. Mieszkała czas jakiś w Szwajcaryi, w Monachium, we Francyi i we Włoszech, wreszcie w Galicyi, gdzie od r. 1902 osiadła w ofiarowanej jej z okazji jubileuszu pracy twórczej posiadłości wiejskiej w Żarnowcu. W ostatnich latach przedsiębrała podróże w celu poratowania zdrowia, wyniszczonego ciężką, nieuleczalną chorobą, która też położyła kres jej pożytecznemu życiu 8 października r. b. w sanatorium we Lwowie.

Liczne jej poezye, rozrzucone po czasopismach, wyszły w osobnych zbiorach następujących: „Odgłosy z gór,“ „Na fujarce,“ „Z łąk i pól,“ „Z przeszłości“ (fragmenty dramatyczne, 1881), „Linie i dźwięki“ (1897), „Poezye“ (4 tomy, 1881, 1883, 1887 i 1896), „Italia“ (1901), „Damnata“ (1900), „Poezye“ (w nowym układzie, 5 tomów, 1902 — 1904), „Drobiazgi z teki podróżnej“ (1904), „Wrażenia z podróży“ (1884), „Cztery nowele“ (1888), „Moi znajomi“ (nowele, 1890), „Na drodze“ (1893), „Nowele“ (1897), „Ludzie i rzeczy“ (1898), „Dym“ (1898), „Trzy studia“ (1903), „Głosy ciszy“ (poezye, 1907), „Pan Balcer w Brazylii“ (1910).

Za życia doczekała się wyczerpujących studyów krytycznych prof. Piotra Chmielowskiego, Stanisława Tarnowskiego, A. Brücknera, Tadeusza Grabowskiego, Henryka Gallego, Antoniego Potockiego, Jana Lorentowicza i innych. Piękny hołd jubileuszowy złożył znakomitej pieśniarce na szpaltach naszej *Biblioteki* w roku 1902 Henryk Sienkiewicz.

ś. p. Felicyan Faleński.

W ubiegłym miesiącu umarł nestor literatów polskich, ś. p. Felicyan Faleński. Urodzony w r. 1825 w Warszawie, tu pobierał nauki w gimnazjum gubernialnem, którego nauczycielowi,

Aleksemu Nędzyńskiemu zawdzięczał znakomite i gruntowne wykształcenie klasyczne, umiłowanie wzorów, którym pozostał wierny na zawsze. Pierwszy utwór jego drukowany był w naszej *Bibliotece*, w lipcowym zeszycie 1850 r.

Nie była to szczęśliwa epoka dla poezji; apatya i odrętwienie ogarniały wszystkich na schyłku rządów paskiewiczowskich. A kiedy nowe panowanie żywe poczęło budzić nadzieje, kiedy rozpoczął się gorętszy ruch serc i umysłów, w innych czerpał siłę źródłach poetyckich, w romantycznych, nie w niepokalanym klasycyzmie Faleńskiego, który odrazu, jako twórca, stał się obcym między swymi. Po nieudanem powstaniu nie tylko ponownie zapanowała apatya, ale w dodatku zjawiał się na powierzchni życia prąd, skazujący na zagładę wszelką poezję, nie posiadającą wartości użytkowej, tembardziej taką, która hołdowała zasadzie „sztuka dla sztuki.“

Tymczasem Faleński był parnasistą czystej wody; dzieła jego odznaczały się niezmierną poprawnością formy, bardzo kunsztownym wierszem, przypominając misterne, w najdrobniejszych szczegółach wyczelowane rzeźby. Był klasykiem także i w tem znaczeniu, że strzegł się wszelkich wybuchów uczuciowych, jakby ich się wstydził; była w tem pewna czułość wewnętrzna i zamknięcie w sobie, która jednak na przeciętnym czytelniku robiła wrażenie oschłości i chłodu. To też Faleński nie był nigdy poetą popularnym; szanowano go, ceniono, ale mało czytano i — nie kochano.

A przecież w twórczości jego uderzała cecha, coraz rzadsza, niestety: wielka kultura, wielkie odczytanie i wykształcenie w dziedzinie wszelkich literatur, ze szczególnem uwzględnieniem Hellady i Rzymu. Prócz poezji: „Kwiatów i kolców,“ „Odgłosów z gór,“ „Świstków Sylena,“ „Meandrow,“ „Pieśni spóźnionych,“ odznaczających się niepospolitemi zaletami, ogłosił on także drukiem szereg bardzo wybitnych dramatów i utworów powieściowych. W dramatach: „Syn gwiazdy“ (1871), „Althea“ (1875), „Florynda“ (odznaczona na konkursie w r. 1887), „Królowa“ (1888), trylogia: „Junius Brutus,“ „Sofronista,“ „Ataulf“ (1896), „Franciszka z Ravenny,“ „Tańce śmierci“ (1898) znać wpływy największych dramatopisarzy świata: Ajschylosa, Szekspira, Calderona. Powieści — „Zdaleka i zblizka,“ „Na schyłku starego roku,“ „Strzępy dawnej okazałości,“ „Świetne widoki pani Marcinowej,“ „Bez służby,“ „Sama jedna,“ „Klechda niemądra o głupim Gawle“ — zawierają sporo ciekawych szczegółów i warte są przedrukowania, przypomnienia współczesnym. Tłómaczył także wybornie i wy-

kwintnie „Pieśni“ Petrarki, Ariosta „Roland Szalony,“ oraz Wiktora Hugo „Człowiek śmiechu,“ „Pracownicy morza“ i „Marya Tudor.“ Pierwszy zapoznał on publiczność polską z fantastycznymi utworami Edgara Poe, zamieścił bowiem obszernie studyum o pisarzu amerykańskim także w naszej *Bibliotece*. Nasi starsi i dawniejsi czytelnicy przypomną sobie jeszcze zapewne świetne studia Faleńskiego, poświęcone złotemu wiekowi literatury polskiej, „Trenom“ i „Fraszkom“ Kochanowskiego; miłował on nade wszystko tę starą, jędrną polszczyznę, na której kształcił swój język własny i której wpływ widzimy szczególnie w „Meandrach.“ Prócz tych rozpraw wydał osobno w r. 1881 piękną i cenną pracę o Mikołaju Sępie Szarzyńskim.

Starzał się z wielkim majestatem i godnością. Nigdy popularnym nie był; w ostatnich latach stał się zapomnianym. Nigdy o poklask tłumu nie zabiegał, idąc własną drogą; w ostatnich latach trzymał się zdala od współczesnego ruchu literackiego, którego może nie rozumiał, ale na który z pewnością patrzył z odzieniem wyższości, z pewnem lekceważeniem, sceptycyzmu pełnem. Przecież umiał cenić objawy życzliwości i uznania; szczerze wdzięcznym był p. Lorentowiczowi za ocenę jego twórczości, drukowaną w roku ubiegłym z powodu osiemdziesiątej piątej rocznicy urodzin poety.

Zgaśł cicho, skromnie i dostojnie, jak żył. Słusznie powiedziano w pożegnaniu Faleńskiego od braci literackiej, że na jego mogile „nigdy wielkie rzesze ludzkie płakać nie będą. Ale czasem zabłąka się tu może jaki artysta-samotnik, jaki podobny jemu kochanek piękna wiekuistego, jaki epigon helleńskiego ducha i rzuci mu kwiat... A ile razy polska jesień przyjdzie na ten cmentarz, sypać będzie, jak w tej chwili, słabymi liśćmi na chwałę cichemu śpiewakowi. Niech śpi spokojnie pod królewskim dywanem natury...“

ś. p. Roman Pleniewicz.

Ubył jeszcze jeden wybitny pracownik na polu pedagogii i historii literatury. Ś. p. Roman Pleniewicz urodził się w roku 1833 w ziemi kieleckiej i w Kielcach skończył gimnazjum, poczem zaraz poświęcił się zawodowi pedagogicznemu. Wykładał język i literaturę polską, dopóki można było wykładać po

polsku—w gimnazyjach, a potem w szkole handlowej im. Kronenberga i na pensjach. W licznym szeregu uczniów i uczennic swoich pozostawił doskonałe wspomnienie. Nie pojmował swego zadania, jako suchego zaznajamiania z regułami gramatycznymi, z datami, faktami i tytułami dzieł, lecz umiał budzić w młodocianych duszach kult i miłość najdroższych rzeczy ojczystych, języka i literatury. Na podkreślenie zasługuje i ten szczegół, że wielki nacisk kładł na okresy początkowe literatury, te właśnie, do których przeciętny uczeń nie zwraca się już później w życiu, bo nie pociągają go bezpośrednio wrażenia, ani współczesną doskonałością formy, czy ciekawą fabułą. A rezultat był ten, że z jego szkoły wychodziła młodzież z istotną kulturą literacką, tą kulturą, której nam dziś tak beznadziejnie brak, a której wyrazem jest doskonała znajomość rzeczy przeszłych, jako źródeł i korzeni terażniejszości. Uczniowie Plenkiewicza nie tylko znali nazwiska Rejów, Kochanowskich, Klonowiczów, Szymonowiczów, ale rozumieli piękno ich utworów, umieli rozkoszować się dawną jędrną polszczyzną, odróżniać jej odcienia i charakter. I w tem leży niepospolita, niepożyta zasługa zmarłego pedagoga.

Zawód pedagogiczny, jako źródło utrzymania, nie wystarczał. Był też ś. p. Plenkiewicz nie tylko pedagogiem, ale i urzędnikiem; współ ze ś. p. Kaszewskim i obok niego pracował w kancelaryi komitetu Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy. Mimo tych różnorodnych zajęć starczyło jeszcze Plenkiewiczowi czasu, woli i wytrwałości na prace nad umiłowaną literaturą. Piękną i trwałą kartę w jej dziejach zdobył sobie jubileuszowem, krytycznem wydaniem pism Kochanowskiego. Poprzedzający je obszerny życiorys wieszczą z Czarnolasu, ze względu na staranną formę, na ścisłą metodę naukową może być uważany za wzór monografii literackiej. W wydaniu dzieł uderza benedyktyńska iście praca; liczne i wyczerpujące przypisy są pomnikiem pracowitości i sumienności autora. Nie dziw też, że w uznaniu tych zalet został Plenkiewicz powołany do współpracownictwa przez krakowską Akademię Umiejętności.

Studia nad ukochaną epoką złotego wieku literatury naszej doprowadziły uczonego do drugiej jeszcze cenniejszej i ciekawej pracy o etyce Mikołaja Reja z Nagłowic. „Uwagi nad dziełami do wykładu języka polskiego,“ „Kształcenie młodzieży,“ „Monografia szkoły handlowej,“ liczne artykuły, rozrzucone w „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“ i w „Encyklopedyi Wychowawczej,“ a zwłaszcza ciężka i wyczerpująca praca redagowania ostatniej, doprowadzenia jej w naszych ciężkich i trudnych warunkach do trzech czwartych

całości — uzupełniają plan zbożnej pracy, zacnego i zasłużonego żywota.

Ś. p. Roman Plenkiewicz zeszedł z pola umiłowanej pracy jak żniwiarz, który w pocie czoła dzieła życia swego dokonał. Do grobu towarzyszył mu szczerzy żal setek tych, którzy na ławie szkolnej od niego uczyli się miłości piękna i ideałów, a także i wszystkich tych, którzy cziść umieją rzetelną, choć cichą i skromną zasługę, wiedzę, pracę i charakter nieskazitelnie prawy.

ś. p. Franciszek Żmurko.

W pełni wieku męskiego i sił twórczych odszedł od nas jeden z największych malarzy polskich, artysta, odznaczający się całkiem niepospolitą siłą twórczą, temperamentem i rozmachem, wyjątkową pracowitością, że przymiotami tymi najbardziej przypominał wielkich mistrzów Odrodzenia włoskiego. Sława Żmurki o wiele przekraczała granice jego ojczyzny; w tysiącnych reprodukcjach obiegały świat cały, budząc wszędzie zachwyt. Jeden z jego obrazów „Landemus feminam,” jest z pewnością najlepszym streszczeniem jego twórczości i jego wiary artystycznej. Chwale kobiety poświęcił Żmurko swój pędzel natchniony. Kobiety, nie pojmovanej jako źródło zła, jako jakiś wysysający i wiecznie krwi głodny wampir, wedle ascetów czy chorobliwych zwyrodnieńców dzisiejszych, lecz kobiety, pojmovanej w sensie Odrodzenia, jako źródła radości, rozkoszy najwyższej, kobiety roztańczającej naokoło siebie czar, upojenie zmysłowe, kobiety, koniecznie powabnej, radosnej w słońcu złotem. To zaklęcie barwami na płótnie w żywy obraz uroku kobiecego nadawało dziełom Żmurki cechy wieczności: ono sprawiało, że mijały obok niego kierunki, kruszono pędzle o teorye w kurzu walki, zgryźliwa zazdrość szarpała jego dzieła, a artysta szedł spokojnie swoją własną drogą, coraz wyżej i wyżej, że powiedzieć o nim można: skończył dzieło swoje z przypadku śmierci, ale skończył je w dobie największego rozwoju swego talentu, kiedy mógł jeszcze wiele dla chwały sztuki ojczystej i na chwałę kobiety dokonać.

Franciszek Żmurko urodził się we Lwowie w r. 1859; ojcem jego był znakomity matematyk polski, Wawrzyniec Żmurko. Młody artysta miał dobrych nauczycieli: najpierw starego Tepę w ro-

dziwnem mieście, a potem Jana Matejkę w akademii sztuk pięknych w Krakowie, dokąd niebawem udał się na dalsze studia, z Krakowa do Wiednia, z Wiednia do Monachium, do Wagnera wiódł szlak jego kariery artystycznej. W Monachium otrzymał medal złoty za pierwszy swój obraz „Kleopatra.“ Potem, w Krakowie, pod wpływem Matejki i w jego rodzaju namalował obraz historyczny „Kazimierz Wielki i Esterka.“ Uzyskane za ten obraz stypendyum cesarza Franciszka Józefa pozwoliło młodemu artyście udać się do Mekki malarzy, do Rzymu. Bawił tu niedługo, dość czasu jednak, aby poczynić studia liczne, pomocne mu potem w następnych obrazach. Powrócił do Krakowa, do Matejki, ale mistrz nie wywierał już na ucznia dawnego wpływu. Bo uczeń znalazł drogę własną, którą sam chciał kroczyć i doszedł do własnego mistrzostwa. Już w pierwszych kompozycjach Żmurki ogniskiem centralnem była zawsze kobieta; teraz już staje się zupełnie i szczerze malarzem kobiet. Przenosi się do Warszawy i tu już pozostaje; stolica nasza staje się jego drugim miastem rodzinnem i patrzy na potężny rozwój świetnego talentu mistrza.

Prac jego szereg długi; prócz wymienionych wyżej, oto tytuły głównych prac jego: „Śmierć Messaliny,“ „Zaślubiny Messaliny w Monto Pincio,“ „Dama Kameliowa,“ „Na skrzydłach pieśni,“ „Śmierć na kwiatach,“ „Napój miłosny,“ „Haszysz,“ „Demon,“ „Z rozkazu padyszacha,“ „Pieśń wieczorna,“ „Jus primae noctis,“ „Przeszłość grzesznika,“ „Gwiazda Bettleemska,“ „Laudamus Feminam“ i wreszcie piękna „Hetera,“ zakupiona przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych do stałych zbiorów. Do tego dodać mnóstwo prześlicznych główek kobiecych, pełnych niewysłowionego czaru i rzetelnej zmysłowości. Wszystkie jego celniejsze dzieła i te główki także były licznie reprodukowane zagranicą. Niezrównane w miękkości i subtelności tonu są zwłaszcza heliograviury „Münchener graphische Gesellschaft Pick & Comp.“; nabyło ono prawa reprodukcji większości dzieł artysty, który radował się szczerze doskonałem ich wychowaniem.

Jak mistrz prawdziwy, umarł Żmurko na stanowisku: niemal do ostatniej chwili życia nie wypuszczał z ręki pędzla i palety. Umarł, żegnany żalem powszechnym, a wiecznie żyć będzie w nieśmiertelnych dziełach swoich, które zawsze będą źródłem prawdziwej rozkoszy dla miłośników piękna wiekuistego.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Na posiedzeniu Komisji antropologicznej przy Wydziale II-im z d. 1 października r. b., po uczczeniu przez powstanie pamięci zmarłego członka ś. p. Z. Glogera, p. K. Stolyhwo odczytał sprawozdanie z delegacji na kongres międzynarodowy naukowy w Buenos Aires i doręczył Towarzystwu Naukowemu w darze od Uniwersytetu w Buenos Aires medal pamiątkowy oraz sprawozdanie z działalności tegoż Uniwersytetu za cały okres czasu jego istnienia. Następnie p. E. Majewski odczytał sprawozdanie z działalności Komisji antropologicznej za rok ubiegły naukowy.

W dniu 5 b. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którym p. Br. Chlebowski odczytał wspomnienie o zmarłym członku Towarzystwa, Kazimierzu Kaszewskim, charakteryzujące jego działalność i zasługi w literaturze. Następnie p. G. Korbut przedstawił część pierwszą pracy p. t. „Początki wpływu Boileau'a w Polsce.“ Podkreśliwszy doniosłość tego wpływu, który wycisnęła swe piętno na najznakomitszych nawet utworach okresu Stanisławowskiego, p. Korbut zwrócił uwagę na zapomnianego inicjatora boalizmu w literaturze polskiej, którym był znakomity bibliograf J. J. Załuski i na jego „Próbę pióra nowego poety“ (1753), zawierającą pierwszą przeróbkę, ale jeszcze w smaku barokowym, niektórych satyr Boileau'a.

W dniu 6 b. m. odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym ogłoszono komunikaty następujące: 1) P. Jan Tur: „Badania nad wpływem promieni radu na rozwój mięczaka *Pholas candida* L.“ 2) P. Feliks Kucharczyński: „Statyka Kochańskiego.“ 3) P. Sławomir Miklaszewski: „Sprawozdanie ze zjazdu gleboznawców w Sztokholmie.“ 4) P. Jan Sosnowski: „Nowa metoda obliczania krzywych aparatów samopiszących.“ 5) P. Jan Lewiński: „Badania geologiczne wzdłuż linii kolejowej Herby-Kielce.“

Wydział II-gi rozpoczął działalność powakacyjną w dniu 7 października. Na odbytem w tym dniu posiedzeniu, po uczczeniu pamięci swego członka, ś. p. Zygmunta Glogera, przewodniczący zaznaczył, że Wydział w roku ubiegłym odbył 14 posiedzeń i na nich wysłuchał i rozpoznał 27 referatów i komunikatów. Nadto istniejące przy wydziale Komisye: 1) historyczna—odbyła 6 posiedzeń, rozpoznała na nich 13 referatów, a nadto ogłosiła drukiem: I. T. Baranowskiego: „Materyały do dziejów wsi polskiej, zeszyt 1,“ H. Konica: „Materyały do dziejów Komisji rządzącej,“ I. T. Baranowskiego: „Księgi referendarskie, t. I.“ A. Jabłonowski źródel dziejowych trzecią część t. XVII, a I. T. Baranowski rozpoczął druk XXVIII tomu tychże źródeł. 2) Komisya antropologiczna, archeologiczna i etnograficzna zgromadziła się 4 razy i oprócz spraw administracyjnych rozpoznała 7 referatów. Przewodniczący zaznaczył również owocną pracę Komisyj i wskazywał na pożytek z uorganizowania projektowanych Komisyj: prawnej, statystycznej, filozoficznej, społecznej, psychiatrycznej. Po załatwieniu spraw bieżących wysłuchano i przedyskutowano referat p. Stanisława Poniatowskiego p. t. „O klasyfikacyach wskaźników antropologicznych,“ a następnie p. Kazimierz Stolyhwo demonstrował ciekawsze okazy archeologiczne i etnograficzne ze zbiorów, przywiezionych przez niego z Ameryki Południowej. Nakoniec Wydział na przedstawienie Komisji antropologicznej zakwalifikował do druku „Sprawozdanie z Kongresu naukowego w Buenos Aires z r. 1910,“ skreślone przez delegata T-wa Naukow. Warsz., p. Kazimierza Stolyhwę.

Fundusz imienia ś. p. A. Kraszińskiego. W dniu 25 listopada 1909 roku ks. Seweryn Czetwertyński złożył zebrane w gronie znajomych rb. 10000 Towarzystwu Naukowemu Warszawskiemu, jako fundusz wieczysty dla uczczenia pamięci Adama hr. Kraszińskiego. Obecnie T-wo Naukowe otrzymało od generał-gubernatora zawiadomienie № 15846, że ministeryum spraw wewnętrznych zezwoliło przyjąć T-wu ten fundusz. Zgodnie z treścią aktu darowizny procenty od rzeczonego funduszu będą używane przez Towarzystwo dla nagradzania najlepszych prac naukowych nad literaturą polską w zakresie filologicznym, historycznym i krytycznym, dokonane w języku polskim przez Polaków bez względu na miejsce urodzenia lub zamieszkania, tak zapoczątkowane przez samych autorów, jak powstałe wskutek rozpisania na nie konkursu przez Towarzystwo Naukowe Warszawskie, nie nagrodzone przez inne instytucje lub z innych funduszy T-wa. Pozatem procenty od tego funduszu mogą być użyte w części na poparcie odnośnych badań naukowych. Przeznaczenie każdorazowej subwencji lub nagrody zależy od Wydziału I-go językoznawstwa i literatury T-wa Naukowego.

— ZBIORY BIBLIOTEKI HR. HR. KRASIŃSKICH W WARSZAWIE W r. 1909—1910 wzrosły znacznie. Przybyło około pięciu tysięcy dzieł, wśród których miejsce dominujące zajmują przekazane biblioteczne zbiory po ś. p. mecenasie Mierosławskim i ś. p. profesorze Spasowiczu. Zbiór ś. p. Mierosławskiego zawierał oprócz paru rękopisów z XVIII wieku cenne druki, odnoszące się głów-

nie do dziejów wewnętrznych Polski. Księgozbiór ś. p. Spasowicza, przekazany bibliotece Ordynackiej przez panią Alicję Hasfortową, składa się z licznych dzieł filozoficznych, z Szekspiryanów, z dzieł, odnoszących się do historii i literatury Polski, tudzież Rosyi, wreszcie z pierwszorzędnych zagranicznych wydawnictw historycznych. Z rękopisów w zbiorze Spasowicza znajdują się cenne pamiętniki d-ra Morawskiego, ilustrujące życie litewskie w pierwszej ćwierci XIX wieku. Dział rękopiśmienny biblioteki hr. hr. Krasieńskich zwiększyły nadto w roku sprawozdawczym ofiary hr. Edwarda Krasieńskiego, hr. Ordynatowej Heleny Krasieńskiej, p. Piotra Saryusz Dembowskiego, wreszcie cenny dar pani Erykowej Jachowiczowej, która bibliotece przekazała obok licznych pamiątek rodzinnych całą rękopiśmienną spuściznę po Stanisławie Jachowiczu, będącą ważnem źródłem dla poznania dziejów pedagogiki polskiej. Zbiory biblioteczne zwiększyły się jednak nietylko dzięki darom, ale też wskutek zakupów, uczynionych przez Zarząd biblioteki. Nabyto więc 165 dzieł z wieku XV, XVI, a mianowicie: druków z wieku XV—15, z wieku XVI—150. Wśród druków XV wieku, nabytych świeżo, na uwagę zasługuje przepysnie ilustrowane „Directorium humane vite.“ Z druków wieku XVI wymienić warto 2 druki krakowskie Hallera, zawierające traktaty Stopnicy, tudzież komplet broszur polemicznych Glicznera, wśród których znajduje się i „Odpór na odpowiedz kwestii niektórych podanych o kościele powszechnym,“ Grodzisk 1579, znany dotąd tylko z okładki. Liczba rękopisów zwiększyła się o przeszło 100 numerów. Z tego wypadła na wiek XIII—XIV 1, na w. XV 3, na wiek XVI 26, na w. XVII 17, na w. XVIII 40, na wiek XIX reszta. Z pośród nowonabytych rękopisów wymienić warto piękny kodeks pergaminowy z XIII—XIV wieku, zawierający ceremoniarz biskupi; korespondencję Krzysztofa Radziwiła z Lwem Sapiełą, 1597—1602; zbiór przywilejów pruskich z końca wieku XVI; Ordo coronationis Henryka Walezego; listy królewicza Karola do Zabiełły; dyaryusz sejmu czteroletniego; korespondencje biskupów Wydzgi i Szembeka; szereg Miscelaneów z wieków XVII—XVIII i t. d. Dział dokumentów zwiększył się o 40 pergaminów, głównie z wieku XV.

Rosnące stale zbiory biblioteczne z trudnością już mieszczą się w dotychczasowym lokalu, to też dbała o dobro instytucji rodzina hr. Ordynatów Krasieńskich nabyła w dniu 1 października r. b. obszerny plac przy ulicy Okólnik hr. Krasieńskiego № 9, 11. Projekt gmachu, jaki stanie na tym placu, wykonany już został przez p. Juliusza Nagórskiego, młodego architekta, wychowawca szkoły Sztuk Pięknych w Paryżu. Projekt opracowany jest z uwzględnieniem całej nowoczesnej techniki wprowadzonej w nowych bibliotekach niemieckich, np. w Poznaniu, w Królewcu, w Berlinie.

Według planu p. N., gmach biblioteki ma się składać z trzech zasadniczych części: 1) ze składów czyli właściwej biblioteki, 2) czytelnicy i 3) muzeum. Muzeum ma stanowić część odrębną gmachu, w której parter zajmie westibul z klatką schodową oraz biura; a na pierwszym piętrze znajdzie się właściwa hala muzealna, mieszcząca zbrojownię, a na galeryach kolekcję obrazów. Czytelnia ma się również mieścić na pierwszym piętrze. Pełne ściany izolować ją będą od właściwych składów, otaczających ją z trzech stron i stanowiących oddzielną w sobie całość. Składy te, podzielone na 5 kondygnacyj wysokości 2 m. 20 cm.

a szerokości 6 m. kw., oświetlone będą wyłącznie światłem bocznem. Podłogi na każdym piętrze będą pełne-betonowe, półki żelazne, każda kondygnacja posiadać będzie balkon do odkurzania książek, między sobą pojedyncze kondygnacje komunikować się będą przy pomocy dwóch wewnętrznych schodów. Składy obliczone są na 300,000 tomów, projekt jednak przewiduje ewentualne ich zwiększenie przez nadbudowanie paru nowych kondygnacyj. Gmach zbudowany będzie w stylu Cesarstwa i stanowić ma z czasem architektoniczną całość z projektowanym pałacem hr. Krasińskich.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Październik, 1910. Treść: „Pan Balcer“ Konopnickiej (dok.).—Krytyka: Bougoud Ks.: Spowiedź. Eucharystya. O wiecznym przeznaczeniu dusz;—Bregman L. E., D-r Med.: Dyagnostyka chorób nerwowych;—Dyakowski B.: Od Karpat do Bałtyku, cz. I;—Rozprawy i wyznania Elsów o Juliuszu Słowackim (Eleusis, tom V);—Grabowski Tadeusz: Czy Historia Literatury jet nauką?—J. W.: O języku ludzkim i jego rozwoju;—Janik Michał: Z dziejów wymowy w wieku XVII i XVIII;—Jeske-Choiński Teodor: W pogoni za prawdą;—Jeż T. T.: Wasyl Hołub;—K. O.: Andrzej Wolan;—Komarnicki Lucyusz: Stylistyka polska, objaśnienia na przykładach i ćwiczeniach;—Kulikowska Marcelina: Dusze kobiece... serca kobiece;—Kuprin A.: Gambrinus i inne nowele;—Mar Jan Stanisław: Historia dwojga ludzi i jednego filistra;—Menger Antoni: Prawo do całkowitego wytworu pracy;—Mereżkowski Dymitr: Leonardo da Vinci (Zmartwychwstanie bogów);—Mohl Aleksander T. J.: W pogoni za prawdą;—Moeice Henryk, Ks.: Katolicy, brońmy naszej wiary;—Mutermilch Waclaw: W kwestyi wyboru języka pomocniczego międzynarodowego;—Niewiadomska Cecylia: Legendy, podania i obrazki historyczne;—Orzeszkowa Eliza: Gloria victis. Oni. Hekuba. Oficer. Bóg wie kto;—Prażmowska T.: Dzieje trzech rozbiorów Polski oraz ruchu narodowego w XIX w.;—Przybyszewski Stanisław: Dzień sądu (Synów Ziemi część wtóra);—Stella-Sawicki Jan, D-r: Dusza roślinna;—Studnicki Wł.: Finlandya i sprawa finlandzka;—Świętochowski Aleksander: Utopia w rozwoju historycznym;—Szlągowski Antoni, Ks.: Wierzę;—Zawadzki Wł., D-r: Pokój a szkoła;—Pod prasą;—Kronika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

B I B L I O G R A F I A.

KSIAŻKI NADESLANE DO REDAKCYI.

BRAUN ADAM: Z dziejów Bartnictwa w Polsce. W sprawie art. 3-go ustaw Bartnych Mazowieckich z r. 1401. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

DZIEWULSKI STEFAN: Statystyka projektu rządowego o wyodrębnieniu Chełmszczyzny w świetle krytyki. Wydane staraniem „*Ekonomisty*.” Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki. Warszawa, 1910 r.

FOUARD X. G.: Żywot pana naszego Jezusa Chrystusa. Tom drugi. „*Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich*.” Zeszyt 116 i 117. Sierpień i wrzesień 1910. Warszawa.

GIDE KAROL, profesor Ekonomii Społecznej Paryskiego Uniwersytetu: *Rozwój Instytucji Społecznej w ciągu XIX stulecia z trzeciego francuskiego wydania z upoważnienia autora przełożyli Z. Kosiewicz i J. Dmochowski.* Warszawa, 1910. Nakładem „*Prawdy*.”

INWENTARZE PAŁACU KRASIŃSKICH PÓŹNIEJ RZECZYPOSPOLITEJ, wydał dr. Ignacy Tadeusz Baranowski. *Collectanea Biblioteki Ordynacyi hr. Krasińskich* № 3. Warszawa, 1910.

JORDAN (Julian Wieniawski): *Z teki marymontczyka.* Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

KATALOG literatury naukowej polskiej, wydawany przez Komisję Bibliograficzną wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom IX. Rok 1909. Zeszyt III i IV. Kraków w drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

KREZMAR ROMAN: *Poezye.* Warszawa, 1911. G. Centnerszwer i S-ka.

LEMAITRE JULIUSZ: Jan Jakób Rousseau. Przekład Stanisława Turowskiego ze współudziałem Kazimierza Woźnickiego. Kraków i Warszawa, 1910. G. Gebethner i Sp.

LEONIDAS ANDREJEW: *Gubernator. Chrześcijanin. Kłamstwo. Tłumaczył z oryginału Bolesław Podlewski.* Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp.

MARCINOWSKA JADWIGA: *Zwycięstwo. Obraz dramatyczny w trzech aktach z epilogiem.* Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

MOCHNACKI MAURZYCY: *Pisma po raz pierwszy edycją książkową objęte.* Wydał i przedmową poprzedził Artur Śliwiński. Lwów, 1910. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

PAMIĘTNIK FIZYOGRAFICZNY (Wydawcy: W. Wróblewski i Br. Znatowicz). Tom XX. Wydany z zapomogi Kasy dla osób, pracujących na polu naukowym, imienia D-ra Med. Józefa Mianowskiego. Dział I. Meteorologia. — Dział II. Miscellanea. Warszawa, 1910.

PASCAL D-R T.: *Główne zarysy teozofii.* Przekład H. Krzemienieckiej. Warszawa, 1911.

PROGRAM Ces. Król. Szkoły Politechnicznej we Lwowie na rok naukowy 1910/11. XXXIX. We Lwowie, 1910. Nakładem Szkoły Politechnicznej.

PRUS BOLESŁAW (Aleksander Głowacki): *Faraon. Powieść.* 3 tomy. Siódmy tyśiąc. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

RAKOWSKI KAZIMIRZ, D-R: *Trzy lata w więzieniu pruskim. Pamiętnik więzienny.* „*Biblioteka Dzieł Wyborowych*.” Warszawa, 1910.

REYMONT WŁ. ST.: Marzyciel. Szkic powieściowy. Senne dzieje. W pruskiej szkole. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

ROCZNIK GEBETHNERA I WOLFFA na rok 1911. Kalendarz encyklopedyczno-praktyczny, opracowany pod kierunkiem redakcji „Tygodnika Ilustrowanego.“ Ozdobiony 200 ilustracjami, 14 tablicami porównawczymi i 6 mapami. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

RUTKOWSKI ZENOBIUSZ: Śpiew i muzyka w szkole elementarnej (wskazówki dla uczących). „Książnica Wychowawcza“ № 5. Wydawnictwo im. Staszica, staraniem Stowarzyszenia nauczycielstwa polskiego. Warszawa, 1910.

SIEMIĘŃSKI JÓZEF: O metodzie modernizacji pisowni w wydawnictwach źródeł polskich XVI w. Odbitka ze sprawozdań z posiedzeń Towarzystwa naukowego warszawskiego. Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii. Posiedzenie z dn. 3 czerwca 1910 r. Warszawa, 1910.

SOKOLNICKI MICHEL: Les origines de l'emigration polonaise en France. 1831—1832. Paris, Félix Alcan, editeur, 1910.

SPRAWOZDANIE Związku spółek zarobkowych i gospodarczych na Poznańskie i Prusy Zachodnie za rok 1909. Zebrał i ogłosił Ks. Wawrzyniak, patron. Poznań, 1910. Nakładem Związku spółek zarobkowych i gospodarczych na Poznańskie i Prusy Zachodnie.

SPRAWOZDANIE z zarządu Muzeum narodowego polskiego w Rapperswilu za rok 1909. R. XI. Paryż, 1910. Drukarnia polska A. Reiffa.

SZYCÓWNA ANIELA: Pedologia czyli nauka o dziecku (odbitka z „Encyklopedyi Wychowawczej“). Warszawa, 1910.

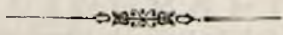
ZALEWSKI LUDWIK, Ks. D-R: Sztuka rymotwórcza Franciszka Ksawerego Dmochowskiego. Studium z dziejów krytyki literackiej w Polsce w epoce pseudoklasycyzmu. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

ZALEWSKI WŁADYSŁAW: Ku gwiazdom. Poezyi serya III. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

ZAPOLSKA GABRYELA: Kaśka-Karyatyda. Powieść współczesna. Wydanie drugie. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

— Śmierć Felicjana Dulskiego. Opowiadanie. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

ZIELIŃSKI WALENTY: Królewskim szlakiem. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA WE LWOWIE

KSIĘGARNIA P. F. E. WENDE I SP. W WARSZAWIE

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY NA WYDAWNICTWO:

PORTRETY POLSKIE

WIEK XVI — XIX

WYDANE PRZEZ

MARYĘ Z HR. BRANICKICH KS. JERZOWĄ RADZIWIŁŁOWĄ

POD REDAKCYA

DR. JERZEGO HR. MYCIELSKIEGO

PROF. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

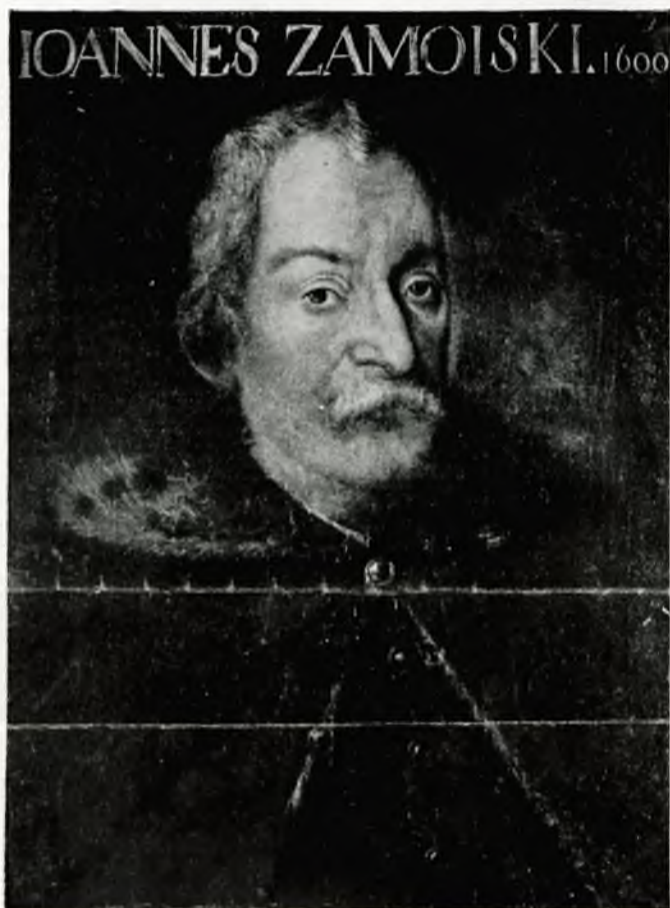
PROSPEKT



ikonografia dziejów Polski ostatnich czterech stuleci w najszerszym tego słowa znaczeniu, czyli portrety najznakomitszych osobistości, rolę wybitną w dziejach Kościoła, polityki, wojen, kultury, literatury, sztuki grających, wraz z malarstwem portretowym polskim i często obcem z Polską związanem — oto treść naszego wydawnictwa, którego coraz naglejszą potrzebę od ćwierci już wieku coraz to dotkliwiej każdy u nas przeszłość narodową miłujący odczuwa. Każdy dom, każda rodzina pyta, jak wyglądali naprawdę królowie nasi i królowe, znakomici duchowni i mężowie stanu, wodzowie i rycerze, drobna szlachta i mieszczanie, poeci i uczeni, artyści i niewiasty, znakomite cnotami i wysoką kulturą albo nieraz na całą Europę głośnie niezwykłą pięknnością. A to samo pytanie zadają sobie nieraz i uczeni, specjaliści nawet, którzy fachowo nie badając ikonografii minionych stuleci, stają często przed trudnym pytaniem, jak badane przez nich osobistości naprawdę wyglądały, jakie ich najpewniejsze, najpodobniejsze a zarazem pod względem artystycznym najpiękniejsze istnieją wizerunki. Jednej osoby bywa ich niekiedy kilka a nawet kilkanaście, ale który z tych portretów najbardziej do prawdy zbliżony, który pod względem malarskim najdoskonalszy? Na to pytanie wydawnictwo niniejsze

pragnie odpowiedzieć. Pragnie ono zappełnić tę wielką lukę w pracy nad dziejami Polski, ma zaś nadzieję zappełnić ją żyjącymi w portretach a z prawdą ściśle zgodnymi postaciami.

Najszersze ramy pod względem materiału ikonograficznego, zaczerpniętego z kościołów i klasztorów, z licznych zbiorów publicznych i prywatnych Polski i zagranicy, przedsięwzięcie nasze sobie zakreśla, ale w pierwszym tomie pragnie głównie i na czele wyczerpnąć ikonografię królów polskich i ich małżonek w szeregu portretów, dotąd albo nie publikowanych albo też wydanych pobieżnie lub nieartystycznie. W tej mierze trzy stulecia tylko podać ono może. Przed końcem pierwszej połowy wieku XVI malowanych portretów królów polskich większych rozmiarów nie posiadamy, a w reprodukcje rzeźb, posągów, rękopiśmiennych miniatur czasów dawniejszych wydawnictwo zapuszczać się nie zamierza. Z portretami Stanisława Augusta i końcem wieku XVIII



JAN ZAMOYSKI, KANCLERZ W. KOR.
(Galerya Uffizzij we Florencyi)

kończy się ikonografia naszych królów. W pierwszym tomie, po jednym licząc portrecie, wyczerpnąć ją postanawiamy, co nie wyklucza, że w razie danym w tomach następnych nieraz jeszcze inne portrety królów i królowych polskich powtórzyć nam przyjdzie. W ogóle cała portretowa ikonografia polska za pierwszą połowę wieku XVI dotąd naukowo nie sięga, z żadną więc osobistością do historii polskiej należąca w stulecia poprzednie cofnąć się nie przyjdzie. Okres prekluzyjny nam najbliższy będzie to druga połowa wieku XIX, pod względem artystycznym czasy twórczości Matejki i Grottgera.

Tom pierwszy wydawnictwa w cząstce minimalnej tylko będzie w stanie wyczerpnąć bardzo bogaty materiał, którym ono rozporządza a który tylko z miesiącem każdym i z zainteresowaniem się publiczności wzrastać będzie, tak, że na kilka tomów z pewnością wystarczy. Możliwość ukazania się dalszych tomów zależeć będzie jedynie od zajęcia, jakie publikacja obudzi. Każdy z 6 zeszytów tomu I obejmie zawsze po kilka portretów z każdego z czterech minionych stuleci. Przy zeszycie ostatnim każdego tomu wydanym zostanie spis jego treści, chronologicznie 60 jego tablic ułożyć pozwalający.

W wyborze portretów redakcja kierować się będzie na pierwszym miejscu historyczną i artystyczną ich autentycznością — następnie najwięcej interesującą

epoką z życia danej osobistości, wreszcie artystyczną wartością portretu, przy czym pochodzenie jego polskie czy obce żadnej roli grać nie będzie. Malarze polscy, od wieku XVII począwszy, wystąpią nieraz w tem wydawnictwie w utworach pierwszorzędnej miary, co znów nie przeszkadza, że nieraz portret znakomitej osobistości słabszy a niewiadomego artysty umieścić przyjdzie.

Stosunki polskiego społeczeństwa z artystami znakomitymi, a nieraz z najznakomitszymi zagranicy, od wieku XVI począwszy do końca XIX-go, oświetlą się również w naszych portretach w całej pełni i raz jeden więcej dowiodą wysokiej i wytwornej kulturalności naszego społeczeństwa i jego wybitnego dobrego smaku w dziedzinie sztuki, oraz chęci wprowadzenia pierwszorzędnych okazów malarstwa zagranicznego jako wzorów dla zwolna rodzącego się polskiego.

Do każdego portretu dodane będzie historyczne objaśnienie, jedną stroną druku wynoszące, na ostatnich naukowych badaniach oparte, a dziejową rolę danej postaci jak najwięcej

streszczające. Jako dodatek umieszczona będzie krótka wiadomość o samym portrecie, o artyście, który go wykonał, o jego pochodzeniu i obecnym stanie. Objaśnienia te będą miały cechę wybitnie historyczną, w drobnej tylko części artystyczną. Współpracownictwo w tej mierze obiecali nam prócz kilku innych: Prof. Dr STANISŁAW hr. TARNOWSKI, prezes Akademii Umiejętności, Prof. Dr SZYMON ASKENAZY, Prof. Dr WIKTOR CZERMAK, Prof. Dr WACŁAW SOBIESKI, Prof. Dr WACŁAW TOKARZ, Dr ZDZISŁAW JACHIMECKI, Dr KAZIMIERZ MARYAN MORAWSKI, Dr WITOLD KAMIENIECKI, Dr WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI i t. d. — część zaś artystyczną poda sam naczelny redaktor wydawnictwa, Prof. Dr JERZY hr. MYCIELSKI.

Oto nasze zamiary i nasze obietnice — spełnienie ich, po za tom I wybiegające, zależeć będzie od zainteresowania się publiczności i poparcia naszego społeczeństwa.

PORTRETY POLSKIE

wychodzić będą w zeszytach, każdy zeszyt w odstępkach dwumiesięcznych. Sześć zeszytów tworzyć będzie w ciągu r. 1911 całość zamkniętą czyli tom. Każdy zeszyt zawierać będzie 10 tablic ilustracji, wykonanych na kartonach w heliografurze, oraz 20 stronnic tekstu objaśniającego w języku polskim i francuskim. Cena zeszytu w prenumeracie t. j. przy odbiorze całego tomu wynosić będzie Kor. 15.—, Rs. 7.—, czyli rocznie Kor. 90.—, Rs. 42.—. Oddzielne zeszyty nabywać będzie można po podwyższonej cenie. Oprócz wydania zwyczajnego przygotowuje się jeszcze wydanie zbytkowne na japońskim papierze w maksymalnej ilości 100 egzemplarzy numerowanych i nazwiskiem nabywcy sygnowanych. Cena tomu w wydaniu zbytkownem wynosi Kor. 180.—, Rs. 90.—.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie.

SKŁADY GŁÓWNE: KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA
WE LWOWIE, E. WENDE I SP. W WARSZAWIE.



Fr. Winterhalter pinx.

HRABINA ADAMOWA POTOCKA

Zeszyt pierwszy wyjdzie w pierwszych dniach grudnia 1910 r. i zawierać będzie następujące tablice:

- Tablica I. KRÓL ZYGMUNT I. Portret z pierwszej połowy wieku XVI z nad kaplicy Zygmuntowskiej w katedrze na Wawelu.
- Tablica II. KRÓLOWA BONA SFORZA. Dwie miniatury z Muzeum Ks. Czartoryskich w Krakowie.
- Tablica III. KRÓL ZYGMUNT AUGUST. Dwie miniatury z Muzeum Ks. Czartoryskich w Krakowie.
- Tablica IV. KRÓLOWA ELŻBIETA AUSTRYACZKA, KRÓLOWA BARBARA RADZIWIŁÓWNA I KRÓLOWA KATARZYNA AUSTRYACZKA, żony Króla Zygmunta Augusta. Dwa portrety w „Germanisches Museum“ w Norymberdze, trzeci własność Ks. Stanisława Radziwiłła w Mańkiewiczach na Polesiu.

- Tablica V. JERZY OSSOLIŃSKI, KANCLERZ W. KOR. Portret olejny, własność hr. Konstantowej Potockiej w Rutce, w gub. Siedleckiej.
- Tablica VI. ANDRZEJ MORSTIN, Podskarbi w. kor. Portret olejny przez Hiacyntha Rigaud, własność hr. Andrzeja Morstina w Krakowie.
- Tablica VII. IZABELLA Z FLEMINGÓW KS. CZARTORYSKA JENERAŁOWA ZIEM PODOLSKICH w ruskim stroju wieśniaczym, grająca na bałabajce. Portret z r. 1769 przez Le Prince, własność P. J. Modela w Berlinie.
- Tablica VIII. KS. JÓZEF PONIATOWSKI w mundurze cheveaux-légerów austriackich, stojący przy koniu. Portret przez Józefa Grassiego z r. 1786—1787. Własność Ks. Stanisława Jabłonowskiego w Bursztynie.
- Tablica IX. FRYDERYK CHOPIN. Portret olejny przez Eugeniusza Delacroix w galerii Louvre'u.
- Tablica X. KATARZYNA Z HR. BRANICKICH ADAMOWA HR. POTOCKA. Portret olejny przez Franciszka Winterhaltera z r. 1854. Własność hr. Andrzejejowej Potockiej w Krakowie.

Następne zeszyty zawierać będą między innymi: portrety wszystkich Królów polskich i Królowych od HENRYKA WALEZEGO począwszy aż do STANISŁAWA AUGUSTA włącznie — portrety biskupów krakowskich PIOTRA TOMICKIEGO, FRANCISZKA KRASIŃSKIEGO, Kardyнала JERZEGO RADZIWIŁŁA i ANDRZEJA TRZEBICKIEGO, portrety kanclerza JANA ZAMOYSKIEGO, MICHAŁA KAZIMIERZA PACA, hetmana w. lit., STANISŁAWA i ANNY OŚWIĘCIMÓW, TADEUSZA KOŚCIUSZKI, STANISŁAWA MAŁACHOWSKIEGO, Marszałka Sejmu Czteroletniego, IGNACEGO POTOCKIEGO, JOACHIMA CHREPTOWICZA, podkanclerzego lit., ks. ADAMA CZARTORYSKIEGO, Jenerała Ziem Podolskich i jego syna KS. ADAMA, KS. ANTONIEGO RADZIWIŁŁA namiestnika Wielkopolski, Ordynata STANISŁAWA ZAMOYSKIEGO i jego żony ZOFII z ks. Czartoryskich, ADAMA MICKIEWICZA, ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO i jego żony ELŻBIETY z hr. Branickich, margrabiego ALEKSANDRA WIELOPOLSKIEGO, JANA MATEJKI portret własny, ks. JADWIGI z Zamoyskich LEONOWEJ SAPIEŻYNY, ks. HELENY SANGUSZKÓWNY, HELENY MODRZEJFWSKIEJ i t. d.

Karta zamówień

Niżej podpisany zamawia w księgarni:

Portrety Polskie (wiek XVI-XIX) zeszyt I. i dalsze:

	<i>Cena bez przesyłki:</i>	<i>Cena z przesyłką poczt.:</i>
..... wydanie zwyczajne — zeszyt 1 do	po K. 15'—, Rs. 7'—,	Kor. 15'80, Rs. 7'50
..... wydanie zwyczajne — Tom I. (6 zeszytów)	K. 90'—, Rs. 42'—,	„ 94'80, „ 45'—
..... wydanie zbytkowne — Tom I. (6 zeszytów)	K. 180'—, Rs. 90'—,	„ 186'—, „ 93'—

**) Należytość przesyłam przekazem pocztowym, proszę pobrać za zaliczką za całość, za każdy zeszyt zaraz po wyjściu*

Miejsce i data:

Imię i Nazwisko:

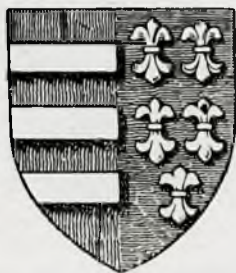
**) Uwaga: Niepotrzebne wyrazy proszę skreślić*

WYDAWNICTWO KAROLA KOZŁOWSKIEGO W POZNANIU

KRÓLOWA JADWIGA

NAPISAŁ LUCYAN RYDEL 1910 ROKU.

Herb Jadwigi na zwrotnikach sklepienia w kolumnie na Wawelu. Rys. z nat. St. Wyspiański.



Obrazek poniżej umieszczony jest w dziele barwny i znacznie większy. Malował go S. Radziejowski do *Legandy o krucyfiksie*, do której autor napisał prześliczny wiersz; — początek wiersza [tego podajemy pod obrazkiem.

Herb Jagiełły na zwrotnikach sklepienia w kolumnie na Wawelu. Rys. z nat. St. Wyspiański.



Zapowiedziane w zeszłym roku dzieło Lucjana Rydla wyszło w sierpniu r. b. w formie wielkiej ćwiartki, 338 stron i przeszło 160 rycin. Zaszczytnie znany autor pracował nad niem lat kilka z wielkiem zamiłowaniem i sumiennością, aby jaknajpełniejsze światło rzucić na cudną postać Kazimierzowej wnuki, tę Wielką Królową naszą, która Bogu dała ofiarę z własnego szczęścia, Kościołowi cały jeden wierny naród, Polsce światło wiedzy, Litwie światło wiary, obu ludom zjednoczenie w bratniej miłości, uciśnionym i ubogim istic macierzyńskie serce a ludzkości przykład najczystszy największego zaparcia się i poświęcenia.

Autor podzielił dzieło na dziesięć następujących rozdziałów:

I. Po zgonie Kazimierza Wielkiego. II. Rodowe gniazdo córki Ludwika. III. Bezkrólowie. IV. Oblubienica Wilhelma. V. Małżeństwo Władysława Jagiełły. VI. Apostołka Litwy.



Modląca się Jadwiga przed krucyfiksem.

Wejrzyj Ty na mnie miłosiernie z krzyża,
Królu boleści! we łzach tu przychodzę,
Bo kielich męki mojej się przybliża...

VII. Męczennica na tronie. VIII. Alma Mater. IX. Jadwiga w sztuce i poezji. X. Święta.

Dołożyliśmy wszelkich starań, aby stronie literackiej odpowiadało godnie ilustracyjne wyposażenie wydawnictwa. Dzieło to zdobi 160 ilustracji, przedstawiających bądź miejscowości, pomniki, zabytki, związane z życiem Jadwigi, oraz portrety osobistości historycznych — bądź utwory nowoczesnej sztuki, odnoszące się do wypadków opisywanych.

Z dawniejszych malarzy artystów Bacciarelli, Gerson, Matejko, Simmler, W. Eljasz, Piotrowski Lesser, Kurowski, sztycharz, niedawno zmarły Wyspiański, — a pośród żyjących malarze tej miary, co J. Bukowski, W. Tetmejer, Popiel, Krzesz, Tański, Radziejowski, Kowalski, — rzeźbiarze jak Szymanowski, Madejski, Błotnicki i wielu innych wybitnych artystów

złożyło się na bardzo bogaty materiał ilustracyjny. Śród tego tak bogatego materiału jest 16 obrazów barwnych, — między tymi **Chrzest Litwy**, wykonany trójbarwnym drukiem z oryginału, będącego własnością J. E. hr. Potockiej. Z pośród niekolorowanych ilustracji zasługują na szczególną uwagę cztery nigdzie nie publikowane rysunki Matejkowskie ze zbiorów Domu Matejki w Krakowie.

O dziele tem wyraża się *Dziennik Poznański* z dnia 4-go sierpnia jak następuje:

„Drugi pomnik pięćsetnej rocznicy Grunwaldzkiej stawil Poznań. Prawdziwy pomnik, bo trudno odmówić monumentalności temu wspaniałemu dziełu, na które złożyło się gorące pióro Lucyana Rydla, starania o doskonałość wydawnictwa Karola Kozłowskiego i iście wspaniała szata, w jaką księgę tę ubrał warsztat techniczny i drukarski. Dzieło w całym słowa znaczeniu poważne, pisane serdeczną krwią, ale i badawczym, krytycznym rozumem. Trzeba czytać te słowa szczerze, niewynuszone, dyktowane gorącym umiłowaniem największej polskiej ofiarniczki na tronie, aby ją ukochać i uwielbiać jak Lucyan Rydel. A z drugiej strony dość spojrzeć na bogaty dział zestawionych materiałów i wniknąć krytycznie w głąb księgi, aby przyznać autorowi drobiazgową sumienność i poczucie wielkiej odpowiedzialności historyka, który nie legendę, lecz naukowe dzieło pisze.

Przegląd Bibliograficzny (Nr. 9) pisze: „Dzieło Lucyana Rydla jest niewątpliwie najpiękniejsze ze wszystkich wydawnictw jubileuszowych, jakie ukazały się ostatnimi czasy z powodu jubileuszu grunwaldzkiego. I to pod każdym względem. Przedewszystkiem tekst wyszedł z pod znakomitego pióra autora *Zaczarowanego koła*, utalentowanego poety i dramaturga. Nie dziw więc, że utwór to wysokiej wartości artystycznej, pięknym i wzniosłym stylem pisany, a przytem przepojony nawskroś najgorętszym pietyzmem dla królowej dziewicy, która w dziejach naszych tak ważną, błogosławioną odegrała rolę. Nie trzeba dodawać, że autor zgromadził tu wszystko, co dotyczy osoby i dziejów Królowej Jadwigi, że wyczerpał wszelkie dostępne źródła i stworzył monografię, nie tylko podniosłą i budzącą ducha, ale i ściśle naukową. Pod względem wreszcie zewnętrznym książka przedstawia się niezmiernie ponętnie, nietylko ozdobiona jest piękną winietą okładkową p. J. Bukowskiego, prawdziwego mistrza w tym zakresie, ale i mnóstwem ilustracji, jedno i wielobarwnych, posiadających wartość nie tylko artystyczną, ale i archeologiczną, a pieczołowicie i z dużym nakładem pracy zgromadzonych“.

Także pochlebnie wyraża się o dziele tem *Kuryer Poznański* z dnia 7-go sierpnia br.:

„W chwalebnym orszaku Władców naszych, Chrobrych, Łokietków, Kazimierzów, Batorych, Sobie-

skich, świeci jedna jedyna postać niewieścia, największym i najlepszym równa zasługą i sławą, lecz nad wszystkich wznioślejsza poświęceniem się w dobrowolnej ofierze z świętością anielską — królowa Jadwiga, „Pani najlepsza“. Za cenę osobistego szczęścia swego podniosła Polskę do takiej potęgi, do jakiej przedtem ni potem żaden z najwaleczniejszych mieczem Polski nie doprowadził. Własnymi łzami ochrzciła Litwę, grzęznącą w ciemnościach gajów pogańskich; Chrystusowym krzyżem, sercem anielskiem posunęła daleko na wschód cywilizację europejską, której przygasle ognisko roznieciła na nowo w Akademii Jagiellońskiej. Pokolenie ówczesne już za życia uważało ją za świętą, a po zgonie do grobu jej garnęło się z modlitwą na ustach, z wiarą niezachwianą w Jej skuteczne wstawiennictwo. Cześć dla niej, jako Patronki Polski, przetrwała wieki, i niedaleką może jest chwila, gdy Kościół Apostółkę Litwy, Opiekunkę maluczkich, tę „Panią najlepszą“ w poczet Błogosławionych policzy i na ołtarze wywyższy.

Dziś, gdy echo wiekopomnej pięćsetnej rocznicy Grunwaldzkiej doniosłym wtórem rozbrzmiewa po całej Polsce, gdy stawiają pomniki granitowe Jagielle, trzeba nam pamiętać koniecznie i o tej, która klęskę krzyżactwa na polach Grunwaldu przepowiedziała, o Królowej Jadwidze. Jej w tym roku Grunwaldzkim należy się hołd królewski, najwyższy.

Z oddaniem takiego hołdu pospieszył zasłużony nasz wydawca p. Karol Kozłowski, wydając pomnikowe dzieło Lucyana Rydla p. t. „Królowa Jadwiga.“ Podkreślamy, że dzieło to pomnikowe, bo złożyła się na to wyteżona, usilna praca tak autora jak i wydawcy: Autor z prawdziwym pietyzmem i z sumiennością wytrawnego historyka zebrał wszelki materiał przyczynowy i z ukośnieniem najgłębszym językiem kwiecistym odmalował nam myśli i życie, serce i czyny Jadwigi. Wydawca zaś poparł pracę autora częścią historyczno-dekoratywną, wyłowivszy z niemniejszym pietyzmem wszelkie, dosłownie, od najdawniejszych czasów istniejące a przeważnie nieznanne portrety Jadwigi, oraz wszelkie zabytki i dzieła artystyczne, mające z Jadwigą już to bezpośrednio, już też pośredni związek. Wszystko to we wysoce artystycznym powiązaniu i wykonaniu, składa się na pomnik Jadwidze, pomnik cenniejszy od granitów

Stąd dumni być możemy, że Poznań, który, jak dotąd, najslabiej może uczcił rocznicę Grunwaldu, że Poznań właśnie pospieszył z wystawieniem pomnika Jadwidze.

Bardzo pochlebne recenzje o dziele Rydla podały także inne pisma, jak: *Tygodnik Ilustrowany*, *Kuryer Warszawski*, *Nowa Reforma*, *Czas*, *Świat*, *Muzeum*, czasopismo poświęcone sprawom wychowania i szkolnictwu, które dzieło to zalicza do najpiękniejszych u nas artystycznych wydawnictw.



Korona Władcy R.

KORONA JADWIGI

NA MONSTRANCYI W KOŚCIELE BOŻEGO CIAŁA W POZNANIU.

Podajemy niektóre ryciny z dzieła na okaz.



KATEDRA KRAKOWSKA W XV WIEKU
WEDŁUG ESSENWEINA.



W. Eljasz.

KRÓLOWA JADWIGA NADAJE SZKOLE GŁÓWNEJ
KLEJNOTY I PRZYWILEJE, KTÓRE TRZYMA NA
PODUSZCE MAŁE PACHOLE.



HERB POLSKI — ZABYTEK PO
LUDWIKU WĘGIERSKIM
W SKARBUCU AKWIZGRAŃSKIM.



ŚW LUDWIK, BISKUP TULUZY,
JEDEN Z PRZODKÓW KRÓLOWEJ JADWIGI.



ORNAT ROBIONY PRZEZ KRÓLOWĘ
JADWIGĘ.



MARYA, STARSZA SIOSTRA
JADWIGI, PODŁUG STAREGO
SZTYCHU.



MEDAL PAMIĄTKOWY NA 500 ROCZNICĘ UNIWERSYTETU
JAGIELLOŃSKIEGO. — WYKONAŁ WINCENTY TROJAŃSKI.



ZYGMUNT LUXEMBURCZYK,
MĄŻ MARYI, SIOSTRY JADWIGI.



KRÓLOWA JADWIGA.

Mal. Tuński.

W dziele obraz ten jest kolorowy na pięknym kremowym kartonie.

Polecając ten prospekt uwadze Szanownej Publiczności, mamy nadzieję, że każdy miłośnik ojczytych dziejów i piśmiennictwa skorzysta z tej sposobności i wzbogaci swoją bibliotekę tak zajmującym i cennym wydawnictwem, będącym zarazem miłą pamiątką pięćsetnej uroczystości Grunwaldzkiej.

Cena za egzemplarz oprawny wynosi **12,50 rs.**

■■■■ SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO POLSKIE I CESARSTWO ■■■■
W KSIĘGARNI E. WENDE I SKA. (T. HIŻ I A. TURKUŁ) WARSZAWA.

KAROL KOZŁOWSKI, Poznań, ul. Długa Nr. 8.